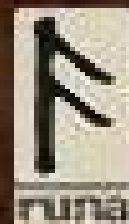


MICHAŁ KRZYWICKI



PLAGI  
TEJ ZIEMI





MICHAŁ KRZYWICKI

**PLAGI**

**TEJ ZIEMI**

**Agencja Wydawnicza**

# **RUNA**

## **PLAGI TEJ ZIEMI**

Copyright © by Michał Krzywicki, Warszawa 2008

Copyright © for the cover illustration by Jakub Jabłoński Copyright © 2008 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2008

Projekt okładki: Jakub Jabłoński

Opracowanie graficzne okładki: własne

Redakcja: Urszula Okrzeja Korekta: Jadwiga Piller

Skład: własny

Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o.

ul. Zabłocie 43, 30-701 Kraków

Wydanie I

Warszawa 2008

ISBN: 978-83-89595-45-4

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp.j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej: Agencja Wydawnicza RUNA

00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 408

tel./fax: (0-22) 45 70 385

e-mail: [runa@runa.pl](mailto:runa@runa.pl)

Zapraszamy na naszą stronę internetową:

Spis treści:

<a href="#">PROLOG .....</a>	<a href="#">4</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ I .....</a>	<a href="#">9</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ II .....</a>	<a href="#">42</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ III .....</a>	<a href="#">70</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ IV .....</a>	<a href="#">100</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ V .....</a>	<a href="#">112</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ VI .....</a>	<a href="#">132</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ VII .....</a>	<a href="#">150</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ VIII .....</a>	<a href="#">169</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ IX .....</a>	<a href="#">192</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ X .....</a>	<a href="#">207</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ XI .....</a>	<a href="#">237</a>
<a href="#">EPILOG .....</a>	<a href="#">262</a>
<a href="#">GLOSARIUSZ .....</a>	<a href="#">266</a>
<a href="#">OD AUTORA .....</a>	<a href="#">268</a>

# PROLOG

*Za młodu księżę pomorski Warcisław był naszym dobrodziejem. I za to dostał nóż w plecy. Wiele lat temu mnisi, którzy jechali do Kamienia z cennymi zbiorami, zostali napadnięci. Los chciał, że Bóg pozbawił ich żywota, ale księgi nie zaginęły. Stały się cennym skarbem Biblioteki Brenneńskiej, a księżę Przybysław roztoczył nad nimi opiekę. Za cenę życia wiecznego.*

Wypis z kroniki klasztoru w Darguniu, A.D. 1144

Białe płatki sypały się z nieba, grubym wiekiem przykrywając burgundzkie bagna niedaleko Montbard i pokryte lodem strumyki, które wyznaczały granice cysterskiego opactwa Fontenay.

Na ośnieżonym dziedzińcu zaskrzypiał śnieg pod ciężarem pośpiesznie stawianych stóp brata furtiana. Zgrzytnęły zawiasy ciężkich drzwi, chwilę później od grubych murów odbił się donośny głos:

- Bernard z Clairvaux! Bernard z Clairvaux!

Próg przekroczył przełożony zakonu cystersów. Stanął w lekkim rozkroku, splótł dłonie jak do modlitwy, przystawił palce do ust i wyszeptał:

- Boże, bądź łaskaw mnie grzesznemu. A dla tych, którzy hańbią twą cześć, Jezusie Chrystusie, nie miej litości.

Zaraz za nim wślizgnął się sznur białych mnichów. Ostatni z nich, Przeclaw, z łomotem zatrzaskał za sobą drzwi. Jakby na zawsze.

- Większość jest w infirmerii. Ale część pozostała w kuchni. - Furtian ugryzł

czerstwy bochen chleba, który wręczył mu jeden z przybyłych cystersów, i jęknął. - Od kilku dni nic porządnego w ustach nie miałem.

- W kuchni? - zdziwił się Bernard. - Nie w kościele?

- Tam najcieplej. Chociaż wczoraj przestali palić. Widocznie ledwo żyją. Jeszcze kilka dni, a sam bym zdechł. Ludzie z Montbard zaczęli już szeptać o zarazie.

- I niech tak zostanie. To, co się tu stało... - Bernard się zastanowił i po chwili dodał: - ...i zaraz się stanie, nie ma prawa wyjść nigdy poza mury tego opactwa.

Furtian wzruszył ramionami, jakby w życiu nic nie widział i nie słyszał.

Opat podziękował skinieniem głowy braciszкови, za to, że dzięki niemu od kilku dni mieli wieści, co się wyrabia w Fontenay, i za to, że bez problemu wpuścił ich do opactwa. Kazał dwóm mnichom, by się zaopiekowali bratem furtianem. Braciszek z wdzięcznością przyjął ciepły płaszcz godny chyba samego biskupa, dodatkowe suchary, dzban wina.

Gdy upił łyk, może dwa, coś złapało go za gardło, diabelstwo jakieś albo sam Szatan, bo dech mu odebrało w jednej chwili, a w drugiej życie.

Ciało opadło bezwładnie na ścieżkę. Wino uciekało z upuszczonego naczynia, wsiąkało w śnieg.

Bernard podziękował Przeclawowi ponurym uśmiechem. Mnich westchnął

ciężko i skinął na resztę.

Mnisi rozbiegli się między zabudowaniami gospodarczymi jak psy. Wbiegli na krużganki, wtargnęli do pokoi gościnnych, które okazały się puste, wyważyli drzwi refektarza, wdarli się do kuchni, kilku przeszukało kuźnię i chlew. Opactwo wydawało się wymarłe, gdyby nie kwilenie świń i szczekanie psów, które jednak gdzieś się pochowały.

Bernard spojrzął na odbitą na tle nieba i śniegu ponurą sylwetkę niepoświęconego jeszcze kościoła, którego budowę dopiero co ukończono. Jednak wbrew jego żądaniom, w Fontenay nie wykonano do końca budowy głównego portalu.

Nad wejściem do kościoła na rusztowaniach zalegał śnieg.

Bernard zaklął szpetnie. Za kilka miesięcy kościół miał poświęcić papież Eugeniusz III.

Opat skierował się w towarzystwie Przeclawa w stronę infirmerii, położonej na tyłach opactwa. Chorzy wyszli im jednak naprzeciw, wyłaniając się zza rogu refektarza. Kilku mnichów Bernarda cofnęło się w przerażeniu, ku wyjściu zaczął

podążać sam opat. Chorzy zatrzymali się na dziedzińcu. Zwiesili nisko głowy, ale bynajmniej nie ze wstydu, tylko smutku. Nikt w Fontenay nie witał opata, bo nikt go się tu nie spodziewał. Unikali jego błogosławieństwa. Nie w smak im był krzyż nakreślony w powietrzu i szpetna mina na obliczu Bernarda, tylko według niego samego wyrażająca zatroskanie. Zaniedbane tonsury i nieobecne spojrzenia zdradzały, że przez ostatnie dni modlitwa była jedynym zajęciem mnichów w opactwie.

Trzech padło z wyczerpania na śniegu. Kolejny zachwiał się w omdleniu, ale bracia przytrzymali go cierpliwie. Zawisł na ich barkach jak Chrystus, z rozpostartymi ramionami. Jego głowa opadła bezwładnie na wychudłą pierś.

- Szkoda, że zaraza mnie nie ubiegła. - Bernard nie zamierzał okazywać heretykom miłosierdzia. Wskoczył między chorych i niczym bicz boży wybijał pięścią zęby i łamał nosy.

- Dla was jestem jak czyściec! Czeka was prawdziwy Sąd. Ale nie ja będę waszym sędzią, tylko sam Chrystus.

Gdy opuściły go siły i minął pierwszy gniew, Bernard przystanął. Z trudem wciągał do płuc zimne powietrze.

- A więc to wszystko prawda, co mówiłeś o Fontenay. - Wsparł się na ramieniu Przeclawa. - I co mówił furtian. Zobacz, jak oni wyglądają. Stronią nie tylko od kobiet, ale i od jadła. W ten sposób

chcą się oczyścić przed śmiercią, którą na siebie dobrowolnie sprowadzają. Nawet ptaki wymarły. - Wskazał na gołębnik nieopodal kaplicy przylegającej do murów przy wejściu.

Z kruzganka wybiegł jeden z psów Bernarda, by zdać opatowi relację z tego, co zobaczył w innych pomieszczeniach.

- To jakiś koszmar - wysapał. - Straszmy ich stosem, ale śmieją się nam w twarz. Mówią, że od wielu dni nie przyjmują żadnych pokarmów. Nawet wody.

Wyglądają jak starcy. Nic nie chcą powiedzieć. Milczą jak zakłęci. Leżą wszędzie. W

refektarzu, w swoich celach, nie dbając już o nic.

- Więc trucizna jest zbyt duża. - Bernard spojrzał znacząco na Przeclawa. -

Spalcie wszystko. - Chrząknął i zerkając na furtianą i innych mnichów na dziedzińcu, dodał: - Wolę wszystko zniszczyć, niż choćby starać się to zrozumieć.

- Chyba ktoś już cię w tym ubiegł, opacie. - Przeclaw wskazał na budynek kościoła, gdzie dojrzał płomienie.

Chwilę potem klasztorem wstrząsnął potężny wybuch.

\*

Opat z Clairvaux patrzył na niebo i modlił się, by runęło na całe Fontenay. Ale wciąż padał tylko śnieg, który zdążył już przykryć zgliszczą kościoła. Spod białej kołdry mnisi Bernarda wygrzebywali resztki monstrancji, kawałki krzyża z ołtarza, część nawy głównej.

Przeclaw wspiał się na stertę gruzu. W ślad za nim poszedł jeden z klasztornych psów - bura suka. Łasiła się przez chwilę, ale mnich nie zamierzał jej głaskać.

Odskoczyła więc kilka susów dalej i zaczęła rozgrzebywać śnieg. Już po chwili skamlała i szczekała na przemian. Suka trzymała w pysku nadpalony ochłap ludzkiego mięsa. Oczy jej błyszczały, długi ogon przecinał powietrze. Tym razem Przeclaw potargał jej zmierzwioną od śniegu czuprynę, poklepał po grubym karku.

- Puść! - Lekkim uderzeniem w pysk zmusił psa, by upuścił zdobycz, i pozwolił mu odbiec.

Bernard stał kilka kroków od pogorzelnika. Wydawał się skupiony na modlitwie, ale Przeclaw domyślał się, że szeptał pod nosem najgorsze przekleństwa przeciwko tym, którzy ośmielili się puścić z dymem kościół.

- Co jest? Masz tego więcej? - Przeclaw ukucnął przy psie, który wrócił, nie przestając machać ogonem i szczekać. - No to chodźmy - powiedział niechętnie. Od smrodu spalenizny kręciło mu się w



głowie, ale dał się zaprowadzić kilka kroków dalej.

Z podmokłego śniegu sterczały kikuty nadpalonych ludzkich kości: rozgrzebane przez psa piszczele, żebra, dwie czaszki.

Bernard ruszył za nimi. Z trudem wspiął się na pogorzeliśko, nie zbaczał z wyznaczonej przez Przeclawę ścieżki.

Przykucnął przy jednym z trupów i z obrzydzeniem starł mu z twarzy puchową maskę, jakby chcąc się upewnić, że nie dojrzy tam niczego prócz zwęglonej czaszki.

- To Hugon - parsknął, zrywając z szyi trupa ocalały krzyżyk. - Heretyk, zaprzaniec. Jego teologia wypadła sroce spod ogona. Miał chłonny umysł, który, jak widać, nie okazał się dla niego błogosławieństwem. - Wstał i spojrzał w stronę refektarza. - Razem z nim i umierającymi w infirmerii mamy trzy tuziny. Musimy odnaleźć jeszcze tuzin. Zabierajcie się do roboty! - ponaglił mnichów.

Braciszkwowie zaczęli zbierać odnajdywane kości i przenosić do wielkiego dołu na cmentarzu za kuźnią, układali je, porządkowali, liczyli i dopiero potem przysypywali fosforem.

Śnieg nie zamarzał, kopanie nie sprawiło im więc trudności. Pracowali bez przerw na odpoczynek.

Przeclaw tymczasem naliczył kilka kolejnych trupów. Dzięki furtianowi, który przez posłańca zdawał Bernardowi dokładne relacje o wszystkich heretyckich spotkaniach, o gościach w opactwie, wiedzieli, ilu obecnie mnichów mieszkało w klasztorze.

Zmierzchało już, gdy jednemu z cystersów łopata ugrzęzła w czymś miękkim.

Przerwał pracę i kiwnął na Przeclawę. Mnich uklęknął i zaczął odgarniać dłońmi resztki śniegu.

Twarz okazała się cała, nienadpalona. Z ziemi wystawała ręka. Na serdecznym palcu świecił w blasku dnia pierścień przeora.

- Nawet Jakub. - Opat pokręcił głową. - Cóż. Cztery tuziny mamy skompletowane. Reszta uciekła. Gruzy po klasztorze zryliśmy przecież do gołej ziemi.

- Powiódł wzrokiem po hałdach usypanego na dziedzińcu gruzu. Spojrzał na gołe, wypalone ściany, zniszczoną nawę, pożarty przez ogień ołtarz. To wszystko, co zostało z jego kościoła.

Nagle usta przeora się rozchyliły.

Bernard natychmiast ukucnął przy nim, przystawił ucho do jego ust.

- Wypowiadaj się, Jakubie - szepnął.

Wydawało się, że przeor się uśmiechnął.

- Wolę zdechnąć - szepnął, nie otwierając oczu.

- Właśnie to robisz. Ale część z was uciekła.

- Nie uciekli, opacie - zagryzł wargi - tylko zamierzają, wbrew tobie, nadal budować Królestwo Boże na ziemi.

Opat złapał go za policzki.

- A wiesz może gdzie?

- W Langwedocji, gdzie nie sięga władza królów; nie sięgnie i twoja.

- Langwedocja. - Bernard pokiwał w zamyśleniu głową. - Spuszczę tam wszystkie swoje psy! Ale dlaczego miałbym ci wierzyć, Jakubie?

- Bo już jesteś martwy. Tylko o tym nie wiesz.

Bernard pobłogosławił szyderczo przeorowi, który wydał ostatnie tchnienie.

- Obróciliście mój kościół w gruzy. Odwdzięczę się wam. Zmienię każdą heretycką wioskę w cmentarz, dopóki się nie dowiem, co przede mną wywieźliście z Fontenay.

## **ROZDZIAŁ I**

*Korzeń jesionu,*

*Kora granatu.*

*Wymieszaj,*

*Skosztuj o zmroku.*

*Nie zapomnij,*

*Zamocz w słodkim winie.*

*Niech ci życie*

*Z ulgą płynie.*

*„O parciu bolesnym na stolec”, Przeclaw,*

*O naturalnych sposobach leczenia, Kopnik A.D. 1148*

*Brat Rudolf z Lubeki zginął śmiercią tragiczną. Ginęły też kobiety, starcy i dzieci. Struchlał jednak obodrycki książę Niklot, sam nie stając do walki. Pod Lubeką szukał także pomsty na Sasach okutany w zbroję Swarozycy książę Jaksa z Kopnika.*

*Kronika Słowian, Księga I, Wojna*, autor nieznanym Las był królestwem dzika. Ale należał również do Niklota. A zwierzę, które leżało powalone włócznią obodryckiego księcia, nie mogło tego wiedzieć. Mężczyzna przyklęknął na jednym kolanie i pogłaskał twardą sierść.

- Ponoć tam, gdzie jest krzyż, tylko bóg daje i zabiera. - Spojrzał na stojących wokół niego wojów. - Ale tu, w zwierzynieckich lasach, krzyża nie ma. I nie będzie!

Książę Jaksę z Kopnika przyglądał się Obodrytowi. Niklot miał długie włosy barwy słomy, spływające na plecy, wytartą kurtkę, a miecz wyszczerbiony. Nie dbał o książęce pozory. Autorytet wyrabia się siłą i rozumą, a nie ozdobami - w tym względzie Jaksę podzielał filozofię starego księcia.

- Nie ma krzyża w zwierzynieckich lasach, ale mój syn ma go pod habitem. -

Splunął.

Jaksę wiedział, że pierworodny księcia wybrał księgi, a nie miecz. Porzucił

ojcowiznę dawno temu, żeby oddać swoje życie nowemu bogu. Sromota mieć taką gadzinę w swoim rodzie, rozumiał złość księcia.

Niklot odwrócił się na pięcie i ruszył w las. Wszyscy woje podążyli milcząco za nim.

- Niedługo napadniemy na Lubekę. Tam wspólnie będziemy chleptać krew naszych wrogów. - Obodryta uśmiechnął się do Jaksy.

Sprewianin odwzajemnił uśmiech. Grunt to tkwić w gównie po uszy razem z Obodrytami, przeszło mu przez głowę. Spieprzajcie, dziki! Wasz napuszony książę idzie. Uśmiechnął się jeszcze raz, tym razem sam do siebie. Przy całej niechęci do księcia, Jaksę przybył jednak do Dobina, by wesprzeć Niklota w walce z Sasami.

Młody wilczek usłyszał wycie basiora. Zdawał sobie sprawę, że gdy zginie przywódca stada, cała sfera zostanie wyrznięta. Wtedy Jaksę nie będzie miał szansy na zdobycie Brenny. Jak tylko Sasi zdobędą Dobin, przeleją się przez Łabę, zdobędą Brennę, Dymin, i jego Kopnik.

Matka Jaksy zawsze go uczyła, by zachował dystans do świata. Że nic wokoło nie jest takie, jakie się wydaje. „Nigdy nie wiadomo, co skrywają liście” - mawiała, albo tak mu się tylko zdawało. Nie pamiętał zapachu jej skóry, raczej zapach sierści, jak szczenię. Czasami czuł w ustach gorzki smak matczynego mleka, ale z wielkim trudem przypominał sobie jej twarz, gdy pochylona nad nim warczała w jakiś dziwny nienaturalny sposób. Umarła zbyt szybko, pozostawiając go na łaskę swego brata, księcia Przybysława, pana na Brennie.

Zanim Jaksę dorósł, żył w cieniu księcia, swojego opiekuna i nauczyciela.

Nauczył się od niego, jak nienawidzić wszystko co saskie, jak trzymać w ręku miecz, jak pluć na krzyż. Jak śmiać się chrześcijańskiemu bogu w twarz, jak w modlitwie pielęgnować pamięć o matce - wraz z wujem odwiedzali tylko im znane kąciny.

Książę zmienił się jednak, gdy wiele lat temu, na drodze do Dargunia, pozbawił

mnichów życia i majątku. Księgi zauroczyły go tak bardzo, że nauczył się czytać.

Sposępniał bardzo, zamknął się w sobie. Kilka zim później sprowadził na dwór młodą żonę, przyjął chrzest. Wtedy drogi małżonków rozeszły się na zawsze. Księżna zawładnęła sercem starca. Potem go zatrąła. A może to księgi? Jaksza potrząsnął w zamyśleniu głową. Teraz, gdy wuj zdychał, miał szansę przejąć jego schedę. A czas nadchodził ku temu sposobny.

Wojowie zagłębili się w ciemny las, postępując powoli naprzód w poszukiwaniu zwierzyny. Książę Jaksza skinął na swoich druhow, by ruszyli za Obodrytami.

Zgubili się na jakiś czas, ale po chwili doszły ich odgłosy walki, a potem szaleńcze ryki. Jaksza wyszedł na polanę, gdzie wokół Niklota skupiło się pół tuzina wojów i jego synowie. Obodrycki książę leżał na ziemi przywalony cielskiem dzika. W

prawym boku zwierzęcia tkwiła włócznia. Obodryta nie pozwolił, by któryś z wojów zbliżył się do niego. Dopiero gdy dostrzegł Jakszę, książę wstał i wsparł się na jego ramieniu. Gestem ręki odprawił wojów, by dali im się rozmówić. Również druhowie Jakszy odeszli w las.

- Mój kapłan powiedziałby, że to zły znak. - Niklot wskazał na powalone zwierzę. - Dzik powalił księcia!

- Ale to jego krew wsiąka w ziemię, nie twoja.

- Chodź ze mną - nakazał Niklot.

Odszukali wśród zarośniętych ścieżek kącinę Trzygława - choć była zapuszczona, nadal robiła wrażenie. Majestatyczny posąg boga nierówno rozkładał

cienie na lśniącej od rosy trawie. Ściana drzew, lita niczym kamień, i sklepienie z listowia zazdrośnie strzegły go przed światem. Wszystko wokoło zachowało swój ponury czar. O tym, że las jednak jeszcze nie umarł, przypomniały im topielice i boginki. Przyglądały się intruzom z ukrycia, gdy postanowili wykopać się w zwierzyńskim jeziorze. Po tafli wody niósł się ich cichy chichot.

- Właśnie o to wszystko warto walczyć. - Niklot z ochotą zanurzył się w zimnej wodzie.

Jaksza poszedł w jego ślady. Był wdzięczny, że książę pokazał mu to święte miejsce.

Gdy wyszli z wody i pozwolili, by promienie słońca osuszyły ich ciała, ruszyli dalej w stronę grodu.

- Wszyscy wokół mnie knują. - Stary książę szedł przodem. - Próbowałem potajemnie rozmówić się z moim sąsiadem, księciem Holsztynu. Miał uprzedzić mnie o saskich planach. W zamian obiecałem mu bezpieczną granicę - że nie będę najeżdżał

jego ziem. Od kilku dni jednak nie daje znaku życia. Nie stawił się na umówione spotkanie. A niemieccy kupcy w Dyminie, Lubece czy Brennie wyznają zasadę, że lepiej przyjaźnić się z tymi,

którzy stoją u władzy. Czyżby moja klęska została już przesądzona?

- Trzeba nam wszystkim krwi. - Jaksza przeskoczył powalone drzewo. - Gdy wyruszymy na Lubekę, Obodryci, Stodorianie, Czeczpienie przywołają sobie, jak śmierdzi chrześcijański trup. W boju ozdrowieją. Odrzucą wtedy mrzonki, że gdy przejmą nową wiarę, Sas ich oszczędzi.

Książę przystanął na chwilę.

- Może mają rację? Nastąpiły takie czasy, że w lasach złe duchy wadzą nam, zatrują ją jadem nasze dusze. Nie dają się przekupić żadną ofiarą. Ale krew chrześcijan to nie to samo.

- Wróci stare. - Jaksza skinał na księcia, by szedł dalej.

Zgłodniał, więc spieszno mu było do grodu. Niklot posłusznie ruszył przed siebie.

- A ty, młody książę, nie wierzysz w szczerą przyjaźń starego księcia, he?

- Czeczpienie, Ranowie, Stodorianie nie chcą, byś nimi rządził. Dlaczego mam udawać, że myślę inaczej. - Wzruszył ramionami.

- Więc dlaczego tu jesteś? - zdziwił się stary.

- Bo tylko wspólnie możemy wystąpić przeciwko Sasom.

Jaksza rozumiał, że porażka Niklota oznacza zagładę Sprevian. Zwycięstwo obodryckiego księcia gwarantowało, że Sasi nie przekroczą Łaby. A jeżeli uda im się i dojdą do Brenny, to przynajmniej poturbowani. W przeciwnym wypadku...

- Dla swoich braci znad wschodniej Łaby zrobiłbym wszystko, oddałbym nawet połowę swojego majątku - Niklot wyrwał młodego księcia z zamyślenia.

- Połowę? - Jaksza się zdziwił.

- Z drugą bym wyjechał. - Niklot wyszczerzył zęby w pogardliwym uśmiechu. -

Ale ty to, książę, rozumiesz. Wesprzesz mnie na jutrzejszym wiecu?

Książę obodrycki zwołał wszystkich przedstawicieli plemiennych, by wzorem swoich przodków decydowali o najważniejszych sprawach Połabia. Do Dobina zjeżdżali Czeczpienie, Doleńcy i Ranowie, przybyli już Obodryci i Sprevianie.

Wszyscy mieli prawo, ale i obowiązek postanowić o wojnie bądź pokoju. Niklot wierzył, że w jedność siła. Chciał przekonać wszystkie plemiona, by wsparły go w walce z Albrechtem Niedźwiedziem i Henrykiem Lwem.

- Dlatego tu jestem - uspokoił Jaksza księcia.

- Odplacę za wsparcie. Twój głos się liczy. Książę z odległego Kopnika!

Przystanęli ponownie, tym razem na dłużej. Niklot przez chwilę gmerał przy kroczu, nie mogąc poradzić sobie ze spodniami, aż w końcu rozległ się imponujący szum książęcej uryny. Gdy Niklot skończył, oparł się o drzewo, by odsapnąć.

- Gościłem w państwie Piastów. - Jaksza stanął blisko księcia. Zamyślił się na chwilę wpatrzony w ścianę lasu, w pozołkłe od słońca liście. - Widziałem świątynie, których wieże sięgają nieba. Upokorzona przez klechę ciżbę. Słyszałem pełne pokory modlitewne pieśni. Pieśni niewolników! Nie nasza to melodia. Dla naszych przodków i dla nas tu jest świątynia - wskazał na drzewa. - Tam gdzie Prowe i Trzygław, gdzie śpiewają mamuny i boginki. A szum rzeki tam, gdzie kąpią się topielice, tak właśnie brzmi moja pieśń. Za Łabą i Odrą modlą się już w obcym języku, ale ja nadal rozumiem tylko skowyt wilka.

Niklot pokiwał ze zrozumieniem głową i splunął.

- Niedługo, młody książę, zapolujemy na Sasów. Już niedługo.

\*

Rzeka Hawela zewsząd otaczała Brennę. Zarówno siedzibę książęcą na Ostrowie Tumskim, jak i podgrodzie, okolono wysokim wałem. Od północy grodu strzegły bagna. Po drugiej stronie rzeki znajdował się Pardwin, zamieszkały przez rybaków, sieciarzy, rzeźników, w większości tych, którzy od lat przybywali na słowiańską ziemię aż zza Łaby. Dalej, na zachód od Pardwina, rozciągało się wzgórze.

Znajdowała się tam świątynia Trzygława, zbudowana na planie prostokąta. Chroniący ją kamienny wał stanowił granicę sacrum, którą mogli przekroczyć tylko kapłani i ich ofiary. Jednak od zeszłej zimy nie spalono na wzgórzu żadnej żertwy.

W Świątyni panował półmrok. W jej centrum stał dąb. Mieszkańcy Brenny mówili, że jego korzenie czerpały wodę z dna rzeki i więziły utopione w Haweli dziewice. W cieniu dębu stał Trzygław o drewnianym martwym obliczu.

Księżna Petrysa siedziała pod ścianą świątyni. Zamyślona, przyglądała się, jak kapłan rozrzuca wokoło suszone zioła. Ich zapach mieszał się z wonią zatęchłej krwi żertw, które jeszcze ostatniej zimy spłonęły na ołtarzu. Teraz płomień ledwie się tlił; jego cienie tańczyły po osowiałej, pomarszczonej zgryzotą twarzy księżnej. Myślała o mężu. Pomimo że książę Przybysław przyjął chrzest ostatniej zimy, wiedziała, że nie opuszczały go wątpliwości. Od dwudziestu lat dzierżył władzę nad ziemią Stodoran i sąsiednich Płonian, kiedy to po śmierci Henryka Gotszalkowica król duński uczynił go księciem. Przybysław miał jednak większe ambicje niż rządzić tylko plemieniem.

Wraz z chrztem w Lesce pod Magdeburgiem otrzymał od margrabiego saskiego Albrechta Niedźwiedzia insygnia królewskie, nikt jednak prócz samych Stodoran tego nie uznał. Zresztą sam książę nie okazywał nigdy swojemu preceptorowi wdzięczności za okazaną łaskę. Zapomniał podziękować także żonie za wstawiennictwo u potężnego Askańczyka, czego Petrysa nie omieszkała

mu nie raz wypomnieć.

Niemieckie rycerstwo pod przewodnictwem panów saskich, takich jak Albrecht Niedźwiedź, szerzyło chrześcijaństwo na wschód od Łaby. Niemłody już, bo mający cztery tuziny lat na karku, ambitny Askańczyk prowadził książąt i grafów z Cesarstwa Niemieckiego na żyzne słowiańskie ziemie. Nad Bałtykiem kraina Wagrów, niegdyś pogańska, została szmat czasu temu podbita, nowe granice przesunięto aż po Lubekę nad Trawną. Niemieccy rycerze wykupywali dzierżawy dalej na wschód, w samym sercu połabskiej ziemi, aż pod Brennę. Na południe od grodu, na Ziemi Suchej nie tak dawno osiedliło się dwóch niemieckich rycerzy. Budując wzmocnione forty, tworzyli boże wyspy w morzu pogaństwa. Petrysa wyczekiwała dnia, kiedy to morze wyschnie, a pogańskie świątynie zostaną zburzone już na zawsze.

A książę Przybysław, choć przyjął chrzest, zbyt przychylnie patrzył na starych bogów i ich kapłanów. Tego też nie mogła znieść.

- Twój mąż słabnie, pani. - Kapłan wydawał się zatroskany.

Od chwili przyjęcia przez władcę Brenny chrześcijaństwa nie darzył go zaufaniem. Był przekonany, że złe wody, które dręczą księcia, są skutkiem chrztu.

- Obawiasz się, że jest zbyt słaby, by trafić do Nawii? - zakpiła.

- Jeżeli pomagasz mu tak, jak szepczą ludzie, rychło zejdzie z tego świata. Musi ci bardzo zależeć, żeby trafił do waszego nieba. - Zgrzytnął zębami i nie czekając na reakcję księżnej, kontynuował: - Zresztą, co księciu po życiu, kiedy Sasi nałożą mu na kark chomąto?

- Nie odpowiadał na jego pytania - prychnęła, wskazując na Trzygława.

Drewniany posąg wydawał się tak samo stary jak książę. Może i na niego już czas.

Trzy głowy okuto w blachy, mające imitować srebro. Trzy twarze. Ale jedno ponure oblicze. Oczy Trzygława kapłan przewiązał chustą.

- Zasłoniłeś mu oczy, kapłanie, żeby nie widział grzechów.

- Nie mierz naszych bogów wedle swoich praw, księżno - przestrzegł ją kapłan.

- Wystarczy, że na nasze pohańbienie przekonałaś księcia, by przyjął chrzest.

Trzygław nie skrywa wzroku przed grzechem, tylko przed naszą hańbą!

- To gdzie teraz ma patrzeć? No, gdzie? - Podsunęła kapłanowi palec niemal pod nos. - Chrzest przyjęli na Wolinie, w Dyminie, i w Kamieniu, a także w Szczecinie.

Kapłan, zrezygnowany, opuścił głowę, tym samym przyznając jej rację.

Petrysa cieszyła się, że kiedy minie lato, a niechby nawet zima, on i jemu podobni odejdą w

pohańbieniu już na zawsze. Na wschodnim brzegu Łaby osiedlali się chrześcijanie, w państwie Piastów od kilku pokoleń krzewiono wiarę w prawdziwego Boga. Los Połabia został przesądzony. Od wielu lat Sasi przekonywali roztropnych do nowej religii modlitwą, niepokornych karali mieczem. Tych książąt, których nie poruszyła bojaźń boża, do przyjęcia chrztu przekonywała polityka. Łatwo przewidzieli korzyści, jakie niesie godność chrześcijańskiego księcia.

- Ale posągi Trzygława nadal tam stoją. A księżę Warcisław w Szczecinie chrzest przyjął i zaraz potem zdechł - rzekł kapłan.

Imię jej ojca wyrwało ją z odrętwienia.

- Został zamordowany. - Wzięła się pod boki.

- Zdechł - powtórzył z naciskiem kapłan. - Tak jak zdycha twój mąż.

- Ja też zdechnę?

- Tak jak każdy zdrajca.

- Uważaj - przestrzegła go. - Nadal jestem twoją księżną.

- Może tak, a może nie - powiedział hardo. - Niedługo stare bogi powrócą.

- A skądże ty to mógłbyś wiedzieć? Nowy Bóg jest silny.

Do świątyni wszedł strażnik grodowy Stępota. Cherlawy był, wąski w ramionach. Tylko ruda broda nadawała mu pozory godności, a kilka grubych blizn na twarzy mogło odstraszyć niejednego śmiałka. Chwalił się, że miał już trzy tuziny wiosen na karku, ale nikt mu nie wierzył.

W rękę złowróźnie ścisnął topór.

Kapłan udawał, że go nie dostrzega. Roztarł w dłoni zioła i wrzucił do ognia.

Zasyczało, a po świątyni rozniósł się słodki zapach miodu.

- Chrześcijański Bóg jest tchórzem - oznajmił spokojnie. - Pozwolił przybić się do krzyża. Poza tym jest samotny. A Trzygław ma Młodego Pana Jarowita, dobrze mu na Wołoszycy i w Dyminie, w kącinach, pod chatami prawowiernych grodzian u Czrezipienian. Także u nas w świątyni na Obli złożono jego tarczę i włócznię. Prowe roztacza opiekę na ziemi wagryjskiej i Świętowit ma swój dom na Arkonie. Silne to bogi i naszemu Trzygławowi szesznać nie dadzą.

Kapłan miał rację.

Po wschodniej stronie Łaby pulsowały rzeki, w których korytach - niczym w żyłach najbardziej hardych wojów - przetaczała się z wolna niepoświęcona woda.

Księżę Niklot w Dobinie, na północ od Łaby bronił czci zwierzyńckiego jeziora, strzegł



obodryckich kącich ukrytych w leśnych ostępach. Dalej na wschód, swoich puszczy strzegli Czrepienie. Wielu z nich jednak przyjęło już chrzest. Pogańska pozostała Arkona nad Bałtykiem. A dumni Ranowie strzegli swej wyspy przed najazdami Duńczyków. Poświęcono natomiast rzekę Hawelę i strzegącą ją Brennę, gdzie zasiadał książę Przybysław, główny oponent Niklota.

- Nie wszystkie rzeki są jeszcze stracone. Lepiej niech wyschną w swych korytach, niż zbezczesci je woda święcona - mruknął kapłan. - Są jeszcze ich obrońcy: Niklot i Jaksza.

- Majaczysz. - Petrysa zbyła kapłana machnięciem ręki.

Robił na niej przygnębiające wrażenie. Jakby w jednej chwili zapadał się pod ciężarem swego płaszcza. Zgarbił się, zmałał.

- Mówię, że stare bogi jeszcze nie umarły - wyszeptał.

- A skąd wiesz? - powątpiewała. - Sam mówiłeś, że od miesiący Trzygław do ciebie nie przemówił.

- Gdy jesteś w polu, łany zboża falują poruszone wiatrem. To południca. A topielice, zielone jak trawa wychodzą na brzegi Haweli, by po chwili, spłoszone ludzkim śpiewem, z powrotem schować się w mule i strzec ukrytych skarbów. A bogunki, które podmieniają dzieci, a boginiaki, które wyjadają resztki z domowych spiżarni? A chmarnicy? Przecież to nie wiatr. Wystarczy otworzyć szerzej oczy.

Nasłuchiwać. To leśne demony. Nie znikły. Więc i Trzygław powróci. Nie zostawi swoich dzieci na łaskę krzyża.

Starzec ma tupet, przyznała w myślach. Zaczepnęła w płuca powietrza, ciężkiego od zapachu ziół.

- Mój mąż nie miał wyjścia. Jest rozumnym władcą. - Westchnęła, trochę do milczącego posągu, trochę do kapłana. Zaczęła odczuwać znużenie rozmową z nim.

Był zbyt uparty. - Niemcy przyjdą tutaj z krucjatą. To pewne. Chrzest Przybysława ochroni nasze ziemie. Hrabia Albrecht ominie Brennę.

- A co na to wiec? - zainteresował się kapłan. - Jak zareaguje Tileman i jego psy?

Tileman od wielu lat służył księciu radą, a gdy pozwalala mu na to młodość, także i mieczem. Pochodził z możnego rodu, który za swoje zasługi - wszystko dla Brenny, zawsze przy księciu! - otrzymał szereg nadań w ziemi Stodoran. Bogactwo, tak jak wielu wojów z drużyny księcia, powiększył, handlując skórami na traktach.

Jego wozy przekraczały Łabę, Trawnę, docierając do ziemi Wagrów i Fionów.

- Nie martw się. Nie tylko książę ukląkł w Lesce przed Chrystusem. Najsilniejsi i najmożniejsi Brenny bili pokłony przed krzyżem. Wiedz, że Albrecht Niedźwiedź

nadał Przybysławowi tytuł *rex*, znaczy król! - powiedziała dumnie.

- A psy szczekają - skwitował tylko. - Brenna to już nie gród. Nie ma tam rycerzy. Zamienili gród w folwark. Szkoda jeno, że trawę wszystką wokół wyskubali.

Nie martwi cię, księżno, że ziemi nie starczy dla Askańczyka? - zakpił.

- Wiele jest jeszcze ziemi nadającej się pod uprawę. - Uśmiechnęła się jakoś dziwnie.

- Ale nie kosztem świętych miejsc! Czy książe chce być pasterzem tych zachłannych owiec?

Kapłan powątpiewał w ufność Przybysława wobec Niemców. Mierząc wzrokiem Petrycę, dał jej odczuć, że za wszystko zło w Brennie wini ją, a nie jej męża.

Nienawidziła tej jego ignorancji i pychy. Przez takich jak on zginął jej ojciec Warcisław, a ona została skazana na samotność. Książe przyjął chrzest, ochrzcił wodą święconą całe Pomorze Zachodnie. W ten sposób naraził się pogańskim kapłanom.

Oprawcy nie dali mu nawet szansy, by zginął w walce. Został zamordowany jak pies, z ukrycia, kiedy przebywał wraz z córkami na polowaniu. Petryca była tego świadkiem i tylko cudem uniknęła śmierci. Matka dla jej własnego dobra ukryła ją, a gdy nadszedł

czas, wydała za mąż za księcia Przybysława.

Gdy młoda wybranka przybyła na dwór, stary książe zjednywał ją sobie podarunkami. Czynił wszystko, by poczuła się bezpieczna, ale bynajmniej nie z miłości. Nawet gdy osiągnął swój cel - ona straciła cnotę, a on po miesiącach pełnych oczekiwania zyskał syna - nie zmienił swojego postępowania. Opiekował się nią jakby z przymusu. Na początku próbowała go zrozumieć. Dostrzegała w sobie wiele wad, nie była pewna swego uroku. I gdy dzieliła się z mężem swoimi obawami, kiedy byli sobie jeszcze nieco bliżsi, głaskał ją czule po głowie, uspokajał. A gdy naprawdę się bała, pocieszał. „Nie martw się”, mówił, „już wszystko przesądzone”. Ale co? Tego nie wiedziała. Nie wyczuwała w tym jednak grozy - wręcz przeciwnie. Tymi słowami książe ją pocieszał.

Z czasem pojawił się jednak gniew wywołany upokorzeniem. Małżonka chciała wiedzieć, czy książe ją kocha, czy może nią gardzi. Kiedy nie otrzymała odpowiedzi, do ich komnat zawitała nienawiść.

Książe jednak godził się na wszystko. Wybacział kłótnie, znosił wyzwiska, nie zważał na płacz. Zastanawiała się, dlaczego tak jest, ale potem po prostu przywykła.

Książe, dopóki jeszcze mógł i nie dolegały mu bóle w stawach, długie godziny spędzał

w bibliotece.

Nie tylko dziwiło ją to, że potrafił czytać, ale przede wszystkim miała wrażenie, że to właśnie księgi go zmieniają.

Minęła zima, a choroba księcia postępowała - pogłębiał się ból w stawach, skóra męża pożółkła, jego oczy stały się szkliste, oddech nierówny.

Petrysa zrozumiała wtedy, że musi zadbać o siebie. Po śmierci męża, tak jak po utracie ojca, będzie zdana wyłącznie na siebie. A tu w Brennie, na bagnach, czekała ją i jej syna śmierć z ręki księcia Jaksy z Kopnika. Bez oporów więc pokumała się z Sasami. Namówiła męża, by przyjął chrzest, czym zyskała sobie przychylność Albrechta Niedźwiedzia. Askańczyk widział w niej godnego partnera. Księżna korzystała z jego dobrej rady, pomocy, przede wszystkim jednak należało pozbyć się księcia.

- Wy, kobiety, macie za duże ambicje i zbyt wiele jadu, który sączyście w nasze męzne, ale kochliwe serca. A co z Jaksą? - spytał nagle kapłan.

Petrysa wzruszyła ramionami.

- Pewnie siedzi w Kopniku i liczy na Piastów albo gna na wiec do Obodrytów.

Zarówno Mieszko, jak i Niklot wysadzą go z siodła przy byle okazji. Siostrzeniec mojego męża okazał się głupcem. Jego matka była mądrzejsza. Księżę bez tronu -

syknęła z pogardą.

- Księżę na Kopniku - sprostował kapłan na Obli. - Jaksza rządzi na Kopniku, na ziemi Tolęzan. Będzie ubiegał się o stolec w Brennie. Waszą ziemię uznaje za swoje dziedzictwo.

- Mam potomka.

Kapłan zmierzył ją wzrokiem. Czekala, czy odważy się nazwać jej syna bękartem. Wydając niesprawiedliwe sądy, najłatwiej można podważyć jej autorytet; zacisnęła pięści przygotowana na upokarzające słowa.

Starzec, widząc jej złość, spuścił wzrok i ciężko westchnął.

- Jaksza przy starej wierze ostał - rzekł tylko.

- Nic innego nie dostrzegasz? - Cały czas nie mogła nadziwić się głupocie kapłana. - To szczenie podrzucone przez mamuny - skwitowała.

Dla niej stary kapłan był już tylko głupcem, z którym nie warto się liczyć. Żył

dzięki przychylności księcia, a księżę teraz zachorzał na dobre, więc i dni kapłana zostały policzone.

- Stary już jesteś. - Wyprostowała się i zaczęła strzepywać niewidzialny kurz z sukni.

Zerknęła na strażnika. Stępota w odpowiedzi mocniej ścisnął topór.

- Nie rób tego... - Kapłan zaniemówił, widząc posępne oblicze księżnej.

Stępota wrzasnął i wycelował toporkiem w głowę kapłana. Ofiara nie zdążyła się uchylić. Z otwartej dłoni posypały się ziola.

Trzygław milczał.

\*

Na placu targowym w Dobinie ustawiono trybuny dla mówców. Wokół

rozstawili się Obodryci, możni panowie z ziem na wschód od Łaby aż do Odry, plemiona: Czeczpienian, Doleńców, Redarów i pomniejszych plemion, a także dwa tuziny Sprewian z księciem Jaksą na czele.

Wszyscy Słowianie, jak nakazywała tradycja, dzierżyli w dłoniach włócznie.

Kolorowe chorągiewki przypięte poniżej grotów zdradzały przynależność plemienną.

W oczekiwaniu na księcia Niklota, który miał przewodniczyć zgromadzeniu, woje umilali sobie czas sprośnymi opowieściami bądź przechwałkami z pola walki. Pośród tłumu wyróżniali się najbogatsi, dumnie potrząsający zdobionym orężem - toporami i mieczami, które nadawały się do Nawii, a nie na wyprawę pod Lubekę. Brodaci, z długimi rozpuszczonymi włosami, pstrokaci i roześmiani, wyglądali jak na targu, a nie na wiecu. Przeważali jednak prawdziwi weterani wypraw na ziemię Wągrów, Duńczyków, rajdów morskich na Bałtyk. Ich porwane bliznami gęby i poszczerbione miecze zdradzały, że byli rzemieślnikami w swoim fachu. Reszta mieszkańców grodu tłoczyła się w ciasnych uliczkach, z trwogą przyglądając się gościom z nad Sprewy, Wkry, Haweli, z nad Jeziora Morzyckiego. Wszyscy jednakowo przeklinali upała.

Największą grozę budził jednak książę Jaksę wraz ze swymi wojami.

Sprewianie wyglądali jak wyciosane w kamieniu posągi z martwymi spojrzeniami utkwionymi gdzieś w przyszłości. Ponurzy, z wyszczerbionymi mieczami wyczekiwali ofiary jak stado wygłodniałych wilków. Nie obchodziły ich plemienne waśnie i spory.

Przybyli na ziemię Obodrytów, by walczyć, a nie strzepić języki po próżnicy.

Na mównicę wszedł Niklot i wszelkie rozmowy ucichły. Przy jego boku stanęli synowie. Książę Obodrytów wciągnął głęboko w płuca zgniliznę ubitego mięsa z podmiejskich jatek, odchody z ulicznych kanałów, pot zgromadzonych. Wyglądali pięknie, cuchnęli niemilosiernie. Jaksę domyślał się, że książę będzie chciał

zapamiętać tę chwilę. Tak na pewno czuł się Henryk Gotszalkowic, wiele tam temu, gdy miał pełnię władzy. Tak na pewno poczuje się Jaksę, gdy zdobędzie Brennę.

Jednakże młody książę zdawał sobie sprawę z wagi problemów.

Siłą Sasów była religia. Wtargnęła na ziemię słowiańską wraz z mieczem władców wschodnich marchii, spragnionych zdobyczy i nowych ziem. Przywlekli ją także kupcy z Saksonii, którzy jak robactwo zalęgli się w Lubece nad Trawną, w Dyminie nad Pianą. Chrystusową religię przyjął jeszcze Henryk Gotszalkowic, który za pomocą krzyża chciał zjednoczyć ziemię Słowian po zachodniej stronie Łaby, tak jak nad Wisłą zrobił to Mieszko z rodu Piastów. Po śmierci

Gotszalkowica duński król Kanut Lewar nie zapanował nad całym Połabiem, do którego rościł sobie pretensję.

Oddał więc ziemie słowiańskim książętom. Przybysław odtąd rządził na ziemi Stodoran, Sprewian i sąsiednich Pienian, a Niklot, książę obodrycki, osiadł w Dobinie.

I choć książęta nie przyjęli wiary chrześcijańskiej, a serca ich pozostały nieustraszone, wahali się między tym, co dobre dla nich, a co dla ich poddanych. Przybysław chrzest przyjął, podczas gdy Niklot wzbraniał się przed wodą święconą.

Marzenie o zjednoczonej Słowiańszczyźnie stawało się coraz bardziej odległe.

Tym bardziej że ziemie na wschód, aż do Piany wraz z Dyminem i Szczecinem, należały do pomorskiego księcia Raciborza, gdzie wznoszono już kościoły i otwierano bramy przed chrześcijańskimi osadnikami.

I choć co jakiś czas zrywał się pogański ludek - ginęli słudzy Chrystusa, palono klasztory - po krwawej jatce urządzonej chrześcijanom równie brutalną otrzymywał

odpowiedź. Bo z jeszcze większą gorliwością książęta chrześcijańscy wprowadzali nowy porządek.

Jaksa rozumiał, że Niklot zdawał sobie sprawę, że jego ziemie zostały pogańską wyspą w morzu chrześcijaństwa, dlatego też czynił wszystko, by przetrwać. Pokumał

się nawet z chrześcijańskim księciem holsztyńskim Albertem, rozdzielającym dzierżawy na ziemi Wagrów i Połabian. W zamian za gwarancję spokoju dla nowych osadników niemieckich na wschód od Łaby, Obodryta mógł liczyć na wyrozumiałość albo przynajmniej ostrzeżenie, kiedy nadejdzie krucjata. Ostatnio jednak książę Holsztynu uległ namowom niemieckich biskupów, którzy niechętnie odnosili się do jego zażyłości z pogańskim księciem, i unikał Niklotowych posłańców. Od wielu dni nie dawał odpowiedzi.

Mimo to wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że na Połabie niebawem wyruszy wielka krucjata. Ze zwierzęcej i ludzkiej krwi, i z nagich kości kapłani wróżyli kurz na zwierzynieckim gościńcu, wzbijany przez galop saskich koni, jak we śnie widzieli ślady wozów ciężkich od prowiantu, przewidywali deszcze, które zmyją z drogi krew. „A zaraz potem”, mówili, „nadejdą susze i długie dni w oblężeniu”.

Obodryci rozumieli, że najpierw nadejdą zastępy niemieckich panów zakutych w zbroje. Ich miecze i oszczepy utorują drogę saskim osadnikom: mężom, kobietom, starcom i dzieciom. Z ludzką ciżbą wymiesza się bydło, stada kóz i baranów. Dla nikogo nie zabraknie słowiańskiej ziemi: pól uprawnych, lasów i pastwisk. Nowy ludek wydrze plony zagrabionej ziemi, płacąc daniny swym saskim panom.

Teraz niemieckie dzierżawy na połabskiej ziemi, zresztą nieliczne, nic nie znaczyły, bo słowiański ludek nie uznawał saskiej władzy. Zwycięska krucjata mogła na trwałe ugruntować niemiecką władzę na wschód od Łaby.

Książęta słowiańscy również nie płacili należnego Sasom trybutu, narzucanego niekiedy w wyniku granicznych sporów. Nawet ci, którzy pod groźbą kolejnej saskiej wyprawy przyjmowali chrzest, szybko wracali do pogaństwa, gdy groźba najazdu mijała.

Jednakże wojna, która miała nadejść, różniła się od poprzednich. Zdawał sobie z tego sprawę Jaks, wiedzieli o tym przybyli na wiec Słowianie.

- Mów! - krzyknął ktoś z tłumu.

Niklot spochmurniał.

- Gadajże! - ponaglił ktoś inny.

Niklot czekał cierpliwie, aż umilknie gwar.

- Zebraliśmy się tu, by starym zwyczajem radzić - rozpoczął po chwili. - Tak jak nasi pradziadowie. Mamy rozstrzygnąć, czy stoczyć bój ze znieawidzonym Sasem.

Jaks spojrzał na zwrócone ku księciu twarze. Niektórzy poważali go, inni po prostu się go bali. Tak czy inaczej, domyślał się, wyruszą na Lubekę. Rzecz wydawała się przesądzona.

Niklot zacisnął pięści.

- W jedności siła.

Przywódca Doleńców wystąpił na środek.

- Jedność wśród Słowian to kłamstwo.

- Spasłeś się jak wieprz, bo dawno nie wachałeś krwi - wtrącił gwałtownie Jaks.

Jeden z Czrepienian spojrzał hardo na młodego księcia.

- Gdy tylko Sas odejdzie, Niklot sięgnie po władzę - wycedził. - Sto lat nie minęło, jak to samo mieliśmy za Gotszalka, który po śmierci króla Kanuta mieczem i krzyżem narzucił wiarę chrystusową aż do Piany. Aż po nasz gród Dymin. I buntowali się nie tylko Czrepienianie, także wszelki lud wokół Piany osiadły.

- Kiedy jarzmo Gotszalka zelżało, zaraz wzięliście się za łby. Niektórzy się nie bali prosić o pomoc Sasów, nawet Duńczyków. Dymin musiał okupić pokój bardzo wysoko - przypomniał mu Niklot.

- Z dwojga złego i tak lepiej nam poprzeć Niklota - oznajmił najwyższy z Ranów. Jego mina zdradzała, że nie lubi sprzeciwów. - Wobec tej wojny nikt nie może zostać obojętny. Wolę podrzynać gardła Duńczykom i Sasom niż Obodrytom.

- Tu nie o mnie chodzi. - Książę obodrycki czuł się poruszony. - Jeno o waszą ziemię!

Ran potrząsnął groźnie włócznią.

- Zgody między Słowianami nigdy nie będzie, to oczywiste. Ale na czas wojny zalejmy Sasów jak jedna fala!

- Jeżeli jest, jak mówisz, to prędzej czy później Sas zaprzęgnie nas w chomąto.

Więc może lepiej od razu nadstawić karku, może mniej nam będzie ciążyć - zakpił

Jaksa.

- Mówmy o nienawiści. O nienawiści do Sasów! - krzyknął Niklot.

- Dziwne, że ta nienawiść nie przeszkadza ci jednak układać się z księciem holsztyńskim - warknął przywódca Doleńców.

- Dzięki niemu wiem, że Sasi szykują na Połabie wielką krucjatę.

Jaksa tracił cierpliwość.

Przybył na wiec, by dać świadectwo siły Sprevian, a nie by roztrząsać stare przewiny, właśnie i spory. Z niechęcią spoglądał na swoich braci Słowian, którzy zamiast wesprzeć Niklota, ujadali jak dzika sfora.

- Nie będzie bezpieczna ziemia Redarów ani Doleńców. Nie będzie bezpieczny Dobin, Dymin, nawet Brenna. Przybysław z Brenny przyjął chrzest - zauważył Jaksa. -

Widzicie tu gdzie Stodoran? Dymin też chrześcijański. Chrześcijaństwo wylewa się z rzeki Piany aż po Szczecin i Kamień.

- Nie każdemu nad Piana mili biskupi - wtrącił jeden z Czrezipienian. - Choć nas obroni książę Racibór.

- Liczycie na pomorskiego księcia? - prychnął Jaksa.

- Bo silny i z silnymi przystaje. Duńczykami, Piastami. A Doleńcy, Czrezipienianie, Redarowie - każdy patrzy swego. - Czrezipienianin spocił się cały od upału, wydawało się, że zaraz padnie zemdlony. - Minęły czasy, kiedy to Słowianie od Haweli i Piany aż po Bałtyk występowali jednym frontem przeciw swoim wrogom.

Zresztą Związek Wielecki to mit.

Jaksa zamyślił się. Niegdyś Związek Wielecki niczym palisada chronił pogan przed zakusami cesarzy i królów niemieckich, ale także przed słowiańskimi książętami, którzy za cenę stworzenia jednolitego państwa narzucali swym poddanym chrześcijańskie chomąto. Związek w końcu upadł rozdzierany plemiennymi waśniami i sporami.

- Takich czasów nigdy nie było. Zresztą przez was - wtrącił Doleniec. - Ale niech Czrezipienianie robią, co chcą. Niech czekają na Racibora.

- A jaka jest wasza wola? - Niklot zwrócił się do Ranów. Bardzo chciał ich pozyskać.

Ranowie nie cieszyli się dobrą sławą wśród Duńczyków, Pomorzan i Sasów.

Położona w południowo-zachodniej części Bałtyku wyspa Rugia, którą zamieszkiwali -

o stromych zboczach, z licznymi zatokami, rozbita na mniejsze wysepki - stanowiła dla nich dogodne siedlisko, by nękać i łupić duńskie i pomorskie statki, by stamtąd karać słowiańskich sąsiadów, kiedy przyjmowali chrześcijaństwo. Jeńców zabijali na miejscu lub brali ze sobą, by zakuć w dyby, a potem sprzedać za okup albo w niewolę.

Łupem dzielili się także z Trzygławem - urodziwych i młodych palili na ołtarzach w Arkonie.

Najwyższy z Ranów wystąpił przed szereg.

- Wiele tygodni temu zezwoliliśmy kupcom z ziemi węgryjskiej na połów śledzi przy naszych brzegach. Kilku z nich okazało się duńskimi szpiegami. Stąd wiemy, że duńscy książęta pogodzeni. Nie omieszkają wykorzystać okazji, by przyłączyć się do krucjaty i szukać zemsty za ciągłe najazdy. Zechcą przejąć także nasze łowiska.

Dlatego też zbieramy przeciwko nim flotę.

Jaksa podchwycił temat.

- To zrozumiałe. Symbolem tej wiary powinna być sakiewka, a nie krzyż. Sasi wejdą w nasze dzierżawy nie dla wiary, tylko dla zysku. Albrecht Niedźwiedź chce dzierżyć władzę na całym Połabiu, ściągać z nas haracze. Lepiej stanąć przy Niklocie.

- Trzygław nieraz wystawił nas na ciężką próbę. - Ran spojrzął na Jakse. -

Wiadomo mi, że papież już zezwolił na krucjatę. Niemcy zbierają się we Frankfurcie.

Z ochotą odpowiedzieli na wezwanie Bernarda z Clairvaux.

Jaksa niewiele słyszał o Bernardzie. Wiedział tylko, że jest przełożonym zakonu cystersów i kimś niemal świętym dla krzyżowców.

- Już nam mnisi z klasztorów w Darguniu i z Trzebutowa mówili o nim.

Ambicje papieża, a mózdek mnicha. Nie chcemy tu takich jak on - przestrzegł Niklot.

- Po naszych lasach nie będą szczekać psy Bernarda.

- Cysters ma mózdek mnicha, ale spryt szakala - przyznał Ran. - Nie z obawy przed nim, ale przed



Duńcykami wesprzemy was w tej wojnie. Zresztą w tych trudnych czasach każde plemię, walcząc z osobna, skaże się na zagładę.

Jaksa, by dostać się przed oblicze Niklota, utorował sobie drogę łokciami. Tłum spoconych wojów rozstąpił się przed nim jak fale.

- Sprewianie chcą wojny! - krzyknął, stając przy boku Obodryty.

Dostrzegł ulgę i wdzięczność na jego udręczonej twarzy.

Ranowie stali nieporuszeni jak posągi.

Jaksa spojrział na nich wymownie. Jeden z nich, ten najwyższy, postąpił kilka kroków, by stanąć obok księcia z Kopnika, i ryknął w niebo:

- Wojna!

- Chcemy wojny! - podchwycili szybko Ranowie.

- Warnowie chcą wojny!

- Rzeczanie chcą wojny! Dostarczymy po stu wojów z każdego okręgu.

- Wojna! - przytaknęli Obodryci.

- Wojna!!! - ryknął Niklot.

- Wojnaaaa!!! - zahuczał wiec.

\*

Petrysa rozparła się wygodnie w rzeźbionym krześle, nogi przykryła wełnianym kocem. Nosiła się z niemiecka - na elegancki kaftan miała narzucony ciepły, podbity futrem sukienny płaszcz. Jednakże pomimo ciepłego ubrania i zaduchu, jaki panował

w izbie, zimno przenikało jej kości.

Z dumą rozejrzała się po Białej Sali, gdzie zebrali się najzaciejsi przedstawiciele grodu Brenny i stadorańskiej ziemi. Stary Tileman Krabe siedział po jej prawicy, a naprzeciwko, po drugiej stronie stołu, przysypiał kupiec Jan Nipschke z na wpół przymkniętymi powiekami, opierając się na barku strażnika grodowego Stępoty. Swoją obecnością zaszczylił również wszystkich Chębota, do którego należały najbardziej żyzne ziemie nad Hawelą.

Petrysa ciężko westchnęła. Musiała w duchu przyznać, choć z niechęcią, że wiele zawdzięczała brenneńskim możnym. Kupcy i rycerze służyli jej radą podczas choroby księcia, a i niekiedy zbrojną pomocą. Tak jak zeszłej zimy, kiedy musiała zdusić bunt podległych jej władzy sąsiednich Płonian. Plemię siało spustoszenie na Ziemi Suchej, nie uznając tam władzy Albrechta Niedźwiedzia.

Pozostawiało po sobie spalone chaty niemieckich osadników i trupy kupców po gościńcach - w ten sposób chciało się przyczynić do zerwania przyjaznych stosunków między księżną i Askańczykiem. Moźni brenneńscy toporami i ogniem przekonali Płonian do uległości wobec księżnej.

Sam Przybysław nie zawsze dopuszczał radę do władzy, a wiecu nie zwoływał

od lat. Decyzje podejmował sam, w zaciszu swojej komnaty. Tym większą więc rada okazywała wdzięczność Petrusie, tym bardziej więc Chębota i Tileman mogli zadbać nie tylko o los grodu, ale i swoje majątki.

W Białej Sali nie zabrakło także Sasów - Rudolfa von Arnsteina i Arnolda von Plotho. Arnstein wyżej sobie cenił wolność i liche lenno w słowiańskiej ziemi niż łaskę jakiegoś hrabiego i mieszkanie pod jego dachem w Cesarstwie. Dlatego też osiedlił się na Ziemi Suchej, korzystając z dobroci Albrechta Niedźwiedzia. Każdą z cnót rycerskich - wierność, hojność i posłuszeństwo Bogu i Kościołowi - wielbił i przekazywał swojemu młodszemu podopiecznemu. Sasi przy każdej sposobności okazywali swoje oddanie księżnej, starając się przy tym stworzyć wrażenie, że Petrysa potrzebuje ich tak samo, jak oni jej.

Nieco dalej usadowili się bracia Kuniczukowie - Stykusz i młodszy Jeruszko.

Ziemię posiadali zarówno w ziemi Stodoran, jak i nad Tolężą, w dziedzictwie, które należało do Jaksy. Księcia kochali, bo nadawał im majątki, Petrysy nienawidzili, bo dzierżawy przekazywała brenneńskim możnym, którzy odpłacali jej spiskowaniem przeciwko Sprewianinowi.

Kapelan Bodzanta, wraz z piastunką syna Petrysy, skrył się w odległym kącie sali. Bardziej interesowała go pełna biała pierś, z której niemowlę ssało mleko, niż panowie obecni na sali.

Wokół stołu kręcili się pacholki księcia, czujni, by ich pani nie zabrakło niczego. Pomimo ostatnio trapiącego gród kryzysu stoły były suto zastawione -

pieczona i gotowana wołowina, udziec barani, do tego sosy warzywne i ryby - pstrąg, węgorz, jesiotr, saskie piwo, a wszystko podane na błyszczących srebrnych talerzach i misach. Dzwoniły kubki i czary, wznoszono toasty za Stodoran, za księcia Przybysława i jego żonę Petrycę.

- Lato. Niektórzy idą w pole, inni wybierają wojnę. - Petrysa zerknęła w stronę Tilemana Krabe, siedzącego po jej prawicy.

Starzec uniósł szczeciniaste siwe brwi, nachylając się w stronę księżnej.

- Wielu jest takich, którzy z wojny mają więcej korzyści niż straty. - Tileman się uśmiechnął.

Choć stał nad grobem, bystrością umysłu przewyższał niejednego z zasiadających przy stole młodzików. Księciu zawsze wydawał się niezastąpiony.

Również księżna patrzyła na niego przychylnym okiem. Woląла mieć go po swojej stronie. Stary cap trząsał całym grodem. Zastraszał chłopów, siłą łamał najmniejszy przejaw niesubordynacji, a dzięki lichwie trzymał w garści czeladź. I co najważniejsze, kupiec Tileman sprzeciwiał się wojnie z

Askańczykiem.

- Ponoć Bernard z Clairvaux węszy, śle swe psy na Połabie - szepnął starzec.

Zwał się chrześcijaninem, ale nie z miłości do Chrystusa, bynajmniej. - Tropią wszelkiej maści czarowników, alchemików, nekromantów... Heretyków chyba. - Nie rozeznawał się w tych sprawach.

Kupiec badawczo spojrzął na księżną. Petrysa tylko machnęła ręką. Nie dała po sobie poznać, jak bardzo ją to interesuje.

- Książę zmarniał ostatnio. Skóra mu zbladła, jest upał, a nim wciąż zimno trzęsie. Czyżbyś i ty, pani, zachorzała? - Tileman wskazał na wełniany koc. - Ludzie gadają, że od chrześcijańskich czarów złe wody trawią księżęcą parę.

- Nie obchodzi mnie, co mówi plebs - ucięła. - Zapewniam cię, że moje serce mocno bije.

Starzec zamyślił się na chwilę. Zmarszczył czoło.

- Może źle mówią. - Nachylił się do księżnej, tak że Petrysa poczuła jego kwaśny, duszący oddech. - Ale gdyby okazało się inaczej, powiedziałałabyś mi o tym, książno, prawda?

- Nie omieszkałabym - skłamała, pociągając nosem. Stary idiota, pomyślała, a na głos dodała z przekąsem. - Przecież zabezpieczone muszą być interesy każdego.

Tileman Krabe odchylił się z powrotem na miejsce. Na czole ubyło mu kilka zmarszczek. Najwyraźniej zadowolala go odpowiedź.

Księżna odwróciła się od Tilemana i zwróciła do Stykusza, najstarszego z klanu Kuniczuków, ale tak, by wszyscy obecni ją usłyszeli.

- Dzięki tobie wystawimy dodatkowo trzy tuziny konnych.

Rycerz skinął głową, dziękując za uznanie.

Ziemia Kuniczuków leżała na granicy państwa Stodoran i Sprewian. Bliżej jednak im było do Kopnika, bo młody książę stronił od Sasów. A obcych nienawidzili najbardziej. Stykuszowi już szumiało w głowie wino, a to, co się nie zmieściło w gardle, zostało na białej tunice, narzuconej na kolczugę. Stykusz pogładził się po białej brodzie i przepił do młodszego brata. Milsza mu była roześmiana czerwona gęba Jeruszki niż wiecznie posępne twarze możnych panów, którzy tylko udawali rycerzy, a dawno spaśli się już tak bardzo, że z trudem wsiadali na konia.

- Książę Niklot ma niewielu konnych. Jak dojdzie do wojny z Niemcami, będziemy musieli liczyć na siebie - wtrącił Rudolf Arnstein, który nie krył niechęci do Kuniczuków.

Zeszłego lata spalili jego gród. Zagonili stada owiec, krów i koni, rozkradli drzewo budulcowe oraz kadz do warzenia piwa. Nie omieszkali przy tym zhańbić kaplicy św. Mikołaja, przywłaszczając

sobie kościelne paramenty. Arnold więc osobiście udał się na skargę do księcia Przybysława do Brenny. Po drodze jednak nieopatrznie zajechał do Krześnicy nad Pianą, która należała do Kuniczukowego klanu. Tam Jeruszko i Stykusz popijali w miejscowej gospodzie i gdy tylko Arnstein pojawił się w drzwiach, obili mu mordę nahajem jak psu. Związali postronkiem i ku uciesze gawiedzi prowadzili główną drogą zaprzęgniętego w dwukółkę. Później wrócili do gospody, by dalej pić. Przypomnieli sobie o nim dopiero nazajutrz. Odstawili go do podległego im starosty w Chęscinie. Tam przesiedział w wieży trzy dni bez wody i jedzenia, w towarzystwie żab, żmij i szczurów. Modlił się do świętego Mikołaja o wolność i zemstę. Dopiero dzięki interwencji kupców z Brenny zwolniono Saksończyka. Nie odzyskał nigdy stad owiec, paramenty owszem, a co do kadzi, to wziął ją sobie jako odszkodowanie za fatygę browarnik i kupiec brenneński, Tileman Krabe, zresztą brat w wierze chrześcijańskiej. Rudolf przyjął również przeprosiny Kuniczuków i małe zadośćuczynienie w postaci kilku niewolnic. Winy jednak nigdy nie zapomniał i czekał tylko na odpowiednią sposobność, by się zemścić.

- Chamy swawolne. Heretycy - warknął, spoglądając na zapite, roześmiane mordy tulących się do siebie braci.

- Cichaj! Bo usłyszą - przestrzegł go młody Arnold von Plotho.

Szczyił się przyjaźnią z Saksończykiem. Jego rodzina pochodziła z Płonia, niedaleko Saksonii. Ojciec postanowił oddać mu w dzierżawę ziemię, ale los chciał

inaczej. Arnold, pierwszy do rąbania, cięcia, krajania i obdzierania, machał mieczem nie gorzej niż cepem. Za jedno mu było, co zetnie - kłos czy głowę. Nie był wcale głupi, ale mało obeznany z życiem. Marzyła mu się wyprawa, chwała i łupy. Zatraskany ojciec dobił więc targu z Rudolfem, ten obiecał zaopiekować się krnąbrnym synem na wschodzie. I słusznie postąpił, bo Arnsteinowi dobrze się wiodło. Zdobył ziemię na niewiernych i osiadł na stałe wśród niegościnnych Słowian, między rzeką Elde i Rhin.

Zakupił nawet dzierżawy nad Hawelą, daleko od granicy saskiej. Arnstein i Plotho szybko się pokochali. Rudolf traktował Arnolda jak pierworodnego. Z tym jednym wyjątkiem, że pierworodnego nie zaciągnąłby do łóżka.

- Kuniczukowie łatwo mnie podeszli. To nie był nawet gród, to folwark. A Elda płytka. Ale nad Hawelą... - Ściszył głos do szeptu. - Tam mnie nie podejda.

Nowe dzierżawy leżały na cyplu, otoczone mokradłami. Arnstein zamierzał

zbudować tam prawdziwą warownię. Prace cały czas trwały, budowano fosę, podwyższano mury.

Dzierżawy odsprzedał im książę, za namową żony, która potrzebowała złota. Na dworcu szeptano, że pozbywała się nawet rodzinnych kosztowności.

Plotho odchylił się nieco, tak by lepiej się przyjrzeć Petrysie. Była pochłonięta jedzeniem. Dokładnie oddzielała rybnie mięso od ości, przeżuwała, by po chwili wypluć resztki.

Czeladź gadała, że dla zysku gotowa jest pokumać się nawet z diabłem. Musiała być zrozpaczona, wiedząc, że jej mąż ponoć w testamencie zapisywał niewielkie sumy tym, których za życia ograbił bądź wykorzystał.

Plotho nie wiedział, ile w tym wszystkim jest prawdy.

Petrysa, widząc przyglądającego się jej młodzika, ciężko westchnęła.

- Gdy wojna wybuchnie na dobre, będziemy mieć Sasów po swojej stronie. -

Wskazała Tilemanowi uśmiechniętego Arnolda, który przepijał do Rudolfa. - Gorzej z Jaksą. Ten wilk i jego sfera mogą napytać nam biedy. - Mówiąc to, zerknęła na Kuniczuków: Stykusza i Jeruszkę. - Nie kochają oni Sasów.

- Mamy jeszcze Racibora.

Księżna się zamyśliła. Nie mogła liczyć na brata swego zamordowanego ojca -

księcia pomorskiego Racibora, pana na Szczecinie. Jego władztwo nie sięgało aż tak daleko. A poza tym Petrysa nie chciała wracać do przeszłości.

- Może się wstawić za nami. Przecież to chrześcijanin. - Tileman jakby czytał w jej myślach. - Racibór płaci trybut lenny z Pomorza Piastowicom. Papież nie pozwoli na grabież jego sojuszników. A wszystko, co do rzeki Piany i dalej na wschód od Dymina, chrześcijańskie.

- Papież też daleko. - Odrzuciła ze wstrętem rybę. Ość boleśnie wbiła jej się w dziąsło. - Niedługo się okaże, ile jest wart sojusz z Albrechtem. Ale nie trzeba oglądać się na mojego stryja w Szczecinie - zakończyła z naciskiem.

- Chrzest dzisiaj to dobry interes - powiedział Tileman trochę do siebie, trochę do pozostałych. - Nowy bóg jest silny.

- Ale w kęcinach Słowianie starym bóstwom służą. I to może dać pretekst Sasom, by nam nie zawierzyli.

- Petrysa nie ukrywała obaw.

- I w tym twoja głowa, pani, żeby kęciny opustoszały i żeby uciszyć Jaksę -

powiedział starzec, po czym przeniósł wzrok na Arnsteina. - Poprośmy o pomoc Niemców. Wyręcą nas w robocie.

- Kuniczukowie będą mieli wreszcie pretekst, żeby poderżnąć im gardła -

powiedziała.

Tileman się zniecierpliwił. Choć księżna była według jego uznania bystra, nie dało się ukryć, że to

baba. A każda baba mnoży problemy.

- Co na to wszystko twój mąż?

- Mój mąż by się ucieszył. - Westchnęła, pocierając obolałe dżiąsło.

- Jak to?

- Cieszy się, że zanim hrabia Albrecht zajedzie pod mury Brenny, on pójdzie już do piachu. Martwi się wyłącznie o swoją duszę. Jest między niebem a Nawią.

Tileman chciał coś rzec, ale Petrysa przerwała mu kiwnięciem ręki. Rozejrzała się po obecnych. Czas przypomnieć hołocie, kto tu rządzi.

- Panowie! - Zaczekała, aż sala całkiem umilknie.

- Pod nieobecność mojego kochanego męża, a waszego księcia, proszę o wysłuchanie. Zawsze stałam przy boku Przybysława i teraz mój małżonek prosi, bym go wyręczyła i towarzyszyła szacownemu gronu. Czas tutaj zejdzie wam raczej na miłym odpoczynku niż na wojaczce. - Ton, jakim przemówiła, był bardzo poufały. -

Księżę Przybysław jest dzielnym rycerzem. Dzięki hojności i koneksjom ojca wyruszył

na wyprawę w obronie Świętego Gaju z księciem Bogusławem, a moim dziadem.

Odwiedził także Cesarstwo Niemieckie, walczył tam przy boku margrabiów, którzy prowadzili ze sobą wojny domowe. Bogusław pasował Przybysława na rycerza. Odtąd nigdy nikomu nie pozwalał o tym zapomnieć. Również spisywana na brenneńskim dworcu kronika zaczyna się od słów: „Przybysław, rycerz i wierny sługa księcia Bogusława, wierny druh księcia Warcisława”. A teraz... teraz dojdzie jeszcze nowy tytuł. *Rex*. - Ostatnie słowo powiedziała z naciskiem.

Dopiero teraz większość zebranych zrozumiała sens przydługiego wstępu.

Ale nie wszyscy.

- Wolę, by Albrecht zajechał, choćby jutro. Nudno tak popasać leniwie. -

Stykusz Kuniczuk nie ukrywał, że nie darzy ani Przybysława, ani tym bardziej jego żony szacunkiem.

Domyślał się zresztą, że nie takiej odpowiedzi księżna oczekuje.

- Na wasze jutro to my nie jesteśmy przygotowani - warknął strażnik grodowy, Stępota.

Przez cały czas siedział naburmuszony w kącie, daleko od uczujących, nie pijąc, nie jedząc z pańskiego stołu. Przysłuchiwał się tylko rozmowie i spozierał na gości ukradkiem.

- A prawda, nasz strażnik, prosimy bardzo - zakpił Kuniczuk, przyzywając go ręką, niby z ochotą, do

stołu.

Stępota pochodził z państwa Przemyslidów i uważał się za mistrza w swoim morderczym fachu. Ponoć w Czechach znano go także z uwodzenia zamężnych prażanek, więc skończył jako uciekinier na Połabiu, o czym jednak nie wspominał

chętnie.

Leniwie, niczym niedźwiedź, przytoczył się do stołu. Po jego niepewnych ruchach Petrysa spostrzegła, że nie tylko w czarze, którą trzymał w ręku, ale i we łbie przelewało mu się wino. Miała tylko nadzieję, że dopełni swych obowiązków.

Uprzednio poinstruowany przez księżną miał skupić się jedynie na zaletach, a nie na wadach obwarowań grodu. Miało to stanowić zachętę wobec niepewnych możnych panów, którzy nie do końca ufali w potęgę Brenny i rozwałę księżęcej pary. Według niektórych Petrysa zbytńio zawierzała słowom Albrechta Niedźwiedzia.

Gwar ucichł. Tileman rozłupał w grubych palcach orzech.

- Mury wytrzymają choćby potop. - Spojrzał na Kuniczuków.

- A żywność? - wtrącił Jan Nipschke, jeden z tutejszych kupców.

Dotąd sprawiał wrażenie sennego i mało zainteresowanego, ale milczenie też może się w końcu znudzić.

Stępota chciał coś odpowiedzieć, lecz Petrysa nakazała milczenie skinieniem ręki.

- Wiecie jak dziatwy uczy się liczenia? Zadaje się im pytanie. Ile trzeba wyrzucić z obleganego miasta ludzi, aby miasto przetrwało oblężenie cztery niedziele dłużej?

Biała Sala zarechotała wspólnie. Sprawa wydawała się załatwiona. Księżna w duchu jednak liczyła, że saski książe jej nie zawiedzie, bo wtedy i możni nie ośmielą się jej zdradzić.

- Czego mamy się bać? Przecież nie Sasów?! - Nipschke ziewnął.

Księżna kazała mu wygłosić tę formułkę. Zdał egzamin; więc mógł wrócić do drzemki.

- A co będzie, kiedy przeciwko Brennie zwróci się Niklot? - wtrącił nagle Arnstein. - Czy bramy waszych grodów go powstrzymają? Pomorze, aż po Pianę, należy do księcia Racibora. Trybut płaci Piastowcom. Nic Niklotowi do nich. Ale Brenna?

- Bzdura! Nie o Niklota tu chodzi. Sasi ruszą na Obodrzyców, to pewne. Ale co stanie na przeszkodzie, by wdarli się dalej w głąb Połabia? - wtrącił Stykusz Kuniczuk.

- Chrzest! Nasz chrzest go powstrzyma. Z chrześcijanami się układał w Lesce, nie z poganami! - Tileman Krabe nie darzył sympatią Kuniczuków.

Od kiedy się zestarzał, nie lubił tych, którzy preferowali walkę mieczem, a nie sakiewką.

- Więc przed kim się zbroimy?

- Przed Niklotem! - wtrącił Plotho, nie zważając na groźne miny Kuniczuków. -

I przed jego psem Jaksą!

- Nie lękam się księcia obodryckiego. Ani tym bardziej księcia Jaksy. Ale Sasi to co innego! - Stykusz wiedział, że wraz z bratem są osamotnieni na tej sali w swych poglądach. Otwarcie występowali przeciwko księżnej i księciu, przeciwko Tilemanowi.

Petrysa przyjrzała mu się przerażona. Rozluźniona mina Stykusza zdradzała, że nie robił sobie nic z wpatrzonych w niego nienawistnych oczu Sasów ani z Krabego.

- Piastowice płacą hołd z Pomorza cesarzowi. Zbyt mocno są skłóceni -

kontynuował, narażając się na otwarty konflikt z księżną. - Albrecht Niedźwiedź i Henryk Lew nie omieszkają wykorzystać kłótni między synami Krzywoustego. Po drodze leżą nasze ziemie. Na wiecu w Dobinie stawili się Obodrzyce, Stodorianie, Sprewianie, Ranowie i Czrezipianie. Zabrakło, księżno, Stodoran! To tak, jakbyśmy sami sobie nałożyli saskie chomąto!

Policzek wymierzony Petrysie zabolął.

- Obodryci to poganie! Nie z nimi nam pertraktować, tylko z chrześcijanami.

- Rzecz jasna. - Jeruszko beknął, upity jak świnia. - Ale mów za siebie, księżno.

Petrysa zdawała sobie sprawę, że wśród możliwych tylko nieliczni chcieli powrotu pogaństwa, jak choćby Kuniczukowie.

Chrześcijaństwo było dla nich jak rwąca rzeka, która pochłania kąciny, zalewa grody, niszczy stary porządek. Ich ład, w którym to oni mają władzę i z nikim się nią nie dzielą. Kuniczukowie nie wybaczyli jej, że dzierżawy, których pożąдали, księżna nadawała przybyłym na Połabie niemieckim rycerzom i mnichom. Stąd też wykorzystywali każdą okazję do zademonstrowania swojej nienawiści do Sasów.

- Sprytny jest saksoński pies - ciągnął Stykusz. - Swoją wyprawą włoży kij w mrowisko. Najwięcej skorzysta z naszej niezgody. Bić go trzeba!

- Obodryci babę mają za księcia! - zakpił Arnstein.

- Zamknij się, saski psie! To Stodorianie w Brennie mają babę na książęcym stolcu. - Stępota spojrział na Petryse bez trwogi. - Więc milcz, barani łbie, kurwo niemyta!

Tego było za wiele. Petrysa wstała, chcąc grzmotnąć pięścią w stół, ale ujrawszy, że Kuniczukowie zrywają się od stołu z obnażonymi mieczami, zaraz usiadła.



Stępota zareagował szybko. Popchnął dwóch rosłych pachołków w stronę nacierających wojów, aby zagrodzili im drogę. Jeruszko sam się przewrócił, zbyt pijany, żeby stawić opór. Stykusz starał się ciąć mieczem, ale pachołkowie okazali się bardziej trzeźwi i przydusili go swym ciężarem do stołu. Jeden z nich nie zauważył

nawet, że po policzku leci mu krew.

- Puść! Ubiję Sasa! - Stykusz próbował wyrwać się z żelaznego uścisku. - Twoja matka to saska kurwa! - wrzeszczał w stronę Arnsteina.

- Moja matka urodziła się Słowianką, a ojciec Sasem - sprostował nadzwyczaj spokojnie Rudolf. Czuł się bezpieczny, widząc wprawnych w rzemiośle pachołków Stępoty.

- Pokój! - krzyknęła Petrysa, by przypomnieć obecnym, kto tu rządzi.

Nie chciała dopuścić do rozlewu krwi.

Jej krzyk zbudził niańkę, która przysnęła przy karmieniu małego księcia.

Podniosła się, by wyjść, ale Petrysa jej zabroniła.

- Siedź, babo! Mój syn nie opuścił jeszcze żadnej narady.

Niepokój niańki udzielił się małemu księciu. Rozpłakał się na dobre.

Opiekunka zaczęła szeptać mu coś do ucha, kołysać do snu.

Bracia z powrotem usiedli przy stole. Z trudem próbowali skupić się na dopijaniu piwa.

- Wy, Kuniczukowie, nie wiecie, skąd wieje wiatr. - Tileman zmarszczył czoło, jakby się o nich troskał. - Chrześcijan chcecie gonić, pogaństwo wam się marzy.

Księcia Jaksy wypatrujecie.

- Gdy tylko mój syn dorośnie, obejmie władzę nad Hawelą - wtrąciła księżna.

Nie uszło jej uwagi, że nikt na sali nie był tym uradowany.

- Księżę zemrze nam niedługo. Ty, pani, jesteś nieco młodsza. Przeżyjesz księcia i roztoczysz nad synem opiekę. - Stykusz się skrzywił. - Saskie rządy wprowadzisz do Brenny!

Wszyscy zamarli. Na głos zostało powiedziane to, czego obawiali się nawet zwolennicy księcia. Nikt nie chciał jednak wybiegać tak daleko w przyszłość. Nikt prócz Kuniczuków.

Tileman zarechotał. On też pewnie cieszył się, że wtedy położy się w grobie.

Księżna spochmurniała.

- Może się okazać, że to już nie będzie wasz problem - zakpiła z goryczą.

- Jakże to? Grozisz nam? Tak otwarcie? Twój mąż jeszcze leży w komnacie i oddycha, a ty już, księżno, wzięłaś się do porządków pod jego strzechą.

- Śmierć nagła może spotkać obu braci - przyznała nieporuszona.

- Prawda to? - Arnstein, zadowolony z otwartej groźby księżnej, grzotnął pięścią w stół, aż podskoczyły cynowe dzbany i półmiski.

- Nie porządzi tutaj sprewiański chłystek. - Plotho roztrzaskał dzban o podłogę.

Bracia ponownie podjęli wyzwanie. Stykusz poderwał się z miejsca, ale pacholkiwie Stępoty znowu okazali się szybsi.

- Nie lekceważcie mnie, Kuniczukowie! - przestrzegła księżna. - Na waszą krew przyjdzie jeszcze pora!

Bracia odstąpili Sasów, ale nie usiedli z powrotem na miejsca.

Tym razem Tileman zapowiedział toast. Za wojnę, na której głupcy umierają, a mądrzy się bogacą. Panowie ochoczo podnieśli dzbany. Saskim piwem uczczono również zdrowie i męstwo księcia, i roztropność jego żony. Nie omieszkali wypić także za zwycięstwo. Nie wszyscy wznosili toasty równie chętnie. Kuniczukowie wypili, ale nie za pomyślność książęcej pary, lecz tylko dlatego, że było jeszcze co wypić.

- Niech na wiecu zapadną decyzje. - Stykusz chwycił się ostatniej szansy, zwracając się do wszystkich.

- Tak jak stary obyczaj nakazuje! Wiec! - Trzasnął pucharem o blat stołu. - Czy mamy otworzyć bramę Brenny przed Sasem, czy będziemy bronić swego?!

- Wiec! - zawtórował mu Jeruszko.

- Nie będzie żadnego wiecu! - syknęła księżna, wstając od stołu. Dość pobłażania, nawet Kuniczukom.

- Wszystko już postanowione.

- Jak to? - Jeruszko jakby otrzeźwiał.

Petrysa się wyprostowała. Zatoczyła wzrokiem po sali, napotykając przyjazne miny Tilemana, Arnsteina, Plotho i możnych brenneńskich. Nawet zaspana gęba Nipschkego wydawała się przyjazna. Tylko na czerwonych twarzach Kuniczuków malowało się zaskoczenie.

- Z mocy władzy Przybysława, danej mu przez pradziadów, książę postanowił, że wiecu nie będzie! I

wojny! Czrezipienianie niech robią co chcą, Stodoranie nad Hawelą nie służą obodryckiemu księciu. Kruczjata ominie Stodoran, zapewniam was, drodzy przyjaciele. Wasze majątki, kobiety i dzieci są bezpieczne.

- Jakże to tak?! - Stykusz nie wierzył w to, co usłyszał. - Książęca władza ogromna. Ale nie godzi się bez wiecu decydować, czy wojna ma być, czy pokój.

- Będzie pokój! - Petrysa usiadła i ze spokojem rzekła: - Przecież księżę chrzest przyjął. Chrystusa pod nasz dach zaprosił.

- Niemca chyba... - Jeruszko wstał i chciał dokończyć, ale brat go powstrzymał.

Stykusz zatoczył błędnym wzrokiem po zalanych gębach.

- Widzę, że kości zostały rzucone! - wykrzyknął. - A więc daliście się omamić babie. Baba na książęcym stolcu!

- Niech żyje księżę Przybysław!!! - Tileman rozdarł się na całe gardło, tłukąc dzban o ziemię i zagłuszając Stykusza.

Za jego przykładem poszła cała sala. Goście obawiali się, że chwilę wahania mogą przyplącić kąpielą w Haweli. Stykusz baczenie się wszystkim przyglądał.

- Niech żyje!!! - huknęli wszyscy.

Prócz Nipschkego, który przysnął na chwilę.

Kuniczukowie chwycili się pod ramię i przeklinając nowego boga na Brennie oraz starego księcia, opuścili salę. Słudzy Stępoty chcieli rzucić im się do gardeł, ale księżna ich powstrzymała.

- Mówiłam już przecież - warknęła. - I na to jeszcze przyjdzie pora.

- Mądry księżę uchronił nas przed Niemcami!!! - Nipschke poderwał się nagle z miejsca, budząc się z drzemki. - Niech żyje!!!

Tileman skarcił go wzrokiem.

Nie tak to miało być, nie tak.

- A kto uchroni nas przed Jaksą? - przypomniał księżnej Bodzanta, jej spowiednik, dotąd milczący.

Petrysa westchnęła ciężko, spoglądając na Arnsteina i Plotha.

- Nim też się zajmujemy. Już niedługo.

\*

Wielki Ogień delikatnie ciał taflę rzeki, która obmywała dębowe burty łączone sosnowymi kołkami i uszczelniane mchem. Pokład trzeszczał pod stopami trzech tuzinów wojów. Odłożono wiosła, zwijano żagle. Na pokładzie Jaksy z Kopnika stał w otoczeniu najprzedniejszych obodryckich wojów. Okutany w kaftan i kolczugę, głowę chronił pod hełmem, spod którego wysypywały się białe włosy. Niecierpliwił się, wyglądając Lubeki. Pragnął krwi niczym wygłodniały wilk. Ze wszystkich odgłosów na statku najprzyjemniej brzmiał ten koło jego ucha. Za plecami Jaksy pomrukiwało groźnie tuzin wojów znad ukochanej Sprewy. Przystanął przy burcie, czekając, aż statek dobije do brzegu.

W ślad za nim płynęło jeszcze pół tuzina statków.

- Dziś wychłęptamy chrześcijańską krew!!! - usłyszał ryk Nikłota, który niósł się jeszcze przez chwilę po tafli spokojnej rzeki. - Kreeew!!!

Przed najeźdźcami, w porannej mgle zamajaczyła Lubeka.

Otoczony wałem gród zbudowano na wzgórzu okolonym dwiema rzekami -

Trawną i jej ujściem. Poza wałem rozciągało się otwarte podgrodzie zamieszkane przez szewców i kowali, murarzy i odlewników. Na południu, po drugiej strony Trawny, stały niskie chaty rogowników i pomniejszych kupców w większości zza Łaby.

Ci bogatsi - z Saksonii - pobudowali murowane piętrowe domy. Nad wszystkim górował kościół pod opieką brata Rudolfa, z wysoką wieżą, której krzyż - z daleka tak się wydawało Obodrytom - niemal kłuł niebo.

Cały gród spał jeszcze, a w powietrzu unosił się kwaśny zapach piwa i potu po całonocnej zabawie.

Brat Rudolf pierwszy usłyszał wrzask zwiastujący nieszczęście. U ujścia rzeki, pod osłoną dopiero co jaśniejącego o świcie nieba, pojawiły się szerokie obodryckie żagle. W kierunku grodu poleciał grad strzał. Zaraz potem ze statków wylała się najeżona mieczami i toporami pogańska fala.

Rudolf wznosił oczy ku niebu, rozpostarł ręce, wołał niebiosy o pomoc. Bóg go nie wysłuchał. Obodrycy poderżnęli mu gardło, a jego ciało naszpikowali włóczniami.

Najeźdźcy wyciągali z chat zaspanych grodzian. Tłukli ich toporami jak wieprze.

Krzyk mordowanych na podgrodziu przerażonych starców, kobiet, dzieci zlewał się z wrzaskiem obodryckiego tryumfu. Najeźdźcy podpalali strzechy chałup, tłukli ludzkie mięso niczym rzeźnicy w jatce.

- Kreeew!!! - krzyczał Niklot. - Krew!

Obodrycy pili więc więcej i więcej...

Gród zbudził się z porannego letargu. Zza palisady mieszkańcy Lubeki zaczęli ciskać w stronę podgrodzia kamienie i bele. Nie szczędzili nikogo - ani Obodrytów, ani pozostałych na podgrodziu

mieszkańców.

Trąby na statkach bardzo szybko dały sygnał do odwrotu.

Jaksa odskoczył na bezpieczną odległość, poza zasięg pocisków. Opuścił topór, który wydawał się ciężki od krwi. Zamiast walczyć z Sasami - potrząsnął głową -

książę mordował starców i dzieci.

Dość miał już walki.

Rozejrzał się za pozostałymi wojami. Ratowali się ucieczką. Pod gradem śmiertelnych pocisków, zgięci w pół zapomnieli o dumie. Na oślep, wśród gryzącego dymu przedzierali się przez rzędy płonących chałup. Gwałt i rabunek przestał się dla nich liczyć. Obodryci ratowali życie.

Jaksa podążył ich śladem, ale zaraz przystanął. By uwolnić płuca od gryzącego dymu, wdarł się do najbliższej chaty.

Oszalała z przerażenia matka próbowała w kącie izby uciszyć kwilące niemowlę.

Bezskutecznie wtykała nabrzmiały sutek do jego ust. Pod ścianą, zaraz przy niej, siedziała tęga baba. Pewnie służka, pomyślał, bo choć ścisnęła w dłoni drewnianą pałkę, wydawała mu się ociężała ze strachu. Nie podniosła się nawet, by bronić przed intruzem swej pani.

Zanim Sprewianin zdążył cokolwiek zrobić, do chaty za nim wtargnął Obodryta.

Uśmiechnął się do Jaksy, ukazując rząd brunatnych od juchy zębów, przystanął nad karmiącą matką i zamachnął się toporem.

- Twoim bękartem nakarmię psy, a potem ciebie sam schrupię!

Nie nakarmił.

Nie schrupał.

Padł martwy.

A Jaksa zamarł, zbyt ciężka mu słowiańska krew na toporze. Zaraz potem zobaczył, jak podłoga gwałtownie się przybliża, a w ustach poczuł smak ziemi.

Z klepiska.

Przekręcił lekko głowę, by dostrzec, jak ponownie mierzy w niego pałką gruba służka.

- Zostaw! - usłyszał jeszcze jej panią. - Uchronił moje dziecko i mnie przed zgubą! Przysługa za przysługę.

Właśnie, pomyślał Jaksą, próbując wstać.

- Zabierzesz go poza gród i niech tam sobie radzi.

Jaksą już podnosił się na łokciu...

- Dobrze, ale nieprzytomnego!

Baba wymierzyła ciężki cios w jego głowę.

\*

Dwa dni bezskutecznie oblegano Lubekę. Zresztą Niklot nie miał nadziei na zdobycie grodu. Zyskał jedynie czas, by łupić sąsiednie ziemie. Jego oddziały pustoszyły krainę Wagrów, pałac podgrodzie Segebergu. Obodryckie topory i miecze zbierały także swoje żniwo wśród Westfalów, Holendrów i Fryzów, wszędzie siejąc zniszczenie. Niklot kazał odstąpić dopiero na wieść, że w Westfalii i Saksonii zbiera się niemieckie wojsko, które przygotowuje się do krucjaty.

Dwa dni także na jego polecenie szukano trupów najprzedniejszych wojów, w tym księcia Jaksy z Kopnika.

Zwłok nie znaleziono.

\*

Petrysa, spacerując na ganku, żałowała, że jej dwór nie stoi w północnej części Brenny. Tutaj od południa mogła obserwować tylko jezioro, mokradła i lasy. I przecinający wszystko trakt. Nie minie lato, a pojawią się tu Sasi, by podążyć traktem dalej na wschód pod Dymin. Kto wie, może przekroczą Pianę, by zagrozić Słowianom w Kamieniu i w Szczecinie.

Wieczorny chłód przepędził ją z ganku. Izba, jej duma, miała sufit upstrzony konstelacjami gwiazd, znakami horoskopów, Słońcem i Księżycem. Najbardziej jaśniała jednak odcinająca się od reszty nieba Mleczna Droga. Pokryte pleśnią ściany zakrywały pięknie zdobione zasłony sprowadzone z Westfalii, Bawarii i Saksonii.

Przedstawiały sceny z życia świętych. Na każdej wyróżniała się śmierć męczennika.

Dziwne, zamyśliła się, spoglądając na misternie wyszyte postaci. Można je było odczytać dwojako, w zależności od tego, kto patrzył. Dla poganina chwila śmierci świętego jest symbolem tryumfu pogaństwa, dla chrześcijanina dowodem męczeństwa. Księżnej najbardziej przypadła do gustu ostatnia scena - jeden ze świętych ginął z rąk pogan, którym przewodził przodek Petrysy. Podobizna jej pradziada, wyhaftowana czerwoną i czarną nicią, zlewała się w diabelskie monstrum.

Za to postać męczennika jaśniała złotem i srebrem. Na pierwszej scenie poganie ćwiartowali go jak wieprza, na drugiej jego półciartowane członki pradziad księżnej sprzedawał margrabiom frankońskim. Kiedy jej mąż Przybysław po raz pierwszy oglądał te sceny, powiedział, że margrabiowie rzucili się na resztki trupa, nie tyle z bożego miłosierdzia, ile z chęci zysku. Zamyśliła

się. Odległe to czasy, kiedy jej pradziad z Saksonii musiał ulec pod orężem Karola Wielkiego. Księżna jednak miała o nich jasne wyobrażenie. Wtedy sprawiedliwości dochodzono wyłącznie mieczem. Jej przodkowie nie tracili czasu na politykowanie z zarozumiałymi kupczykami, tylko udającymi rycerzami.

Usiadła przy oknie. Otuliła się grubym wełnianym płaszczem, mocniej nasunęła na głowę kaptur. W tym skromnym odzieniu, pozbawiona biżuterii, nie wyglądała jak księżna, raczej jak mniszka. Jej matka pochodziła z Saksonii, zatem Petrysa widziała dwory Albrechta Niedźwiedzia, biskupie dworce w Bawarii, a mimo to nienawidziła mody i zwyczajów z zachodu. Preferowała ascezę. Dzisiaj jednak nosiła płaszcz utkany z najlepszej wełny. Było jej ciepło i przytulnie. Dlatego też miała wyrzuty sumienia.

Pomyślała o ojcu. Gdy żył, Petrysa nie odstępowała go na krok. Warcisław zabierał córkę nawet na polowania. I choć powstrzymał ją przed pójściem z włócznią na dzika, podarował jej łuk, z którego ustrzeliła dlań pięknego jelenia. Ojciec nie ukrywał, że darzy córkę szczególną miłością. Jej bracia, Kazimierz i Bogusław, byli za mali, by zaspokoić ojcowskie potrzeby dogasającego już księcia. Warcisław - teraz wiedziała to na pewno - jakby przeczuwał, że jego czas nadchodzi. Zawsze jednak wyobrażał sobie, że zginie jak wojownik na wydeptanym polu, a nie w lesie, zarżnięty jak dziki zwierz. W Szczecinie mówiono, że jego mordercą był pogański kapłan, który myślał, że śmierć księcia przyczyni się do powrotu pogaństwa na ziemi Pomorzan.

Jako młoda dziewczyna przysięgła, że pomści śmierć ojca, ale z roku na rok zapominała o obietnicy, godząc się z tym, że to tylko dziecięca mrzonka.

Petrysa zapomniała, jak wyglądał Warcisław, jak śpiewała jej matka. Teraz jej domem była położona na bagnach Brenna.

Na schodach zadudniły ciężkie kroki i do komnaty jak taran wtargnął pijany Stępota. Z trudem trzymał się na nogach. Wygrzebał resztki pieczystego z białej brody, po czym odrzucił je z niesmakiem. Rozejrzał się po komnacie, a nie widząc ławy, zważył się na skrzynię i z ulgą oparł o ścianę.

Chwilę po nim wbiegła służka. Ukłoniła się nisko, przepraszając panią, że nie upilnowała drzwi. Petrysa, widząc jej podbite oko i juchę na gębie, domyśliła się, że dziewczka dzielnie walczyła. Zastanawiała się, czy aby nie straciła cnoty, bo Stępota był

ponoć szybki w tych sprawach. Kazała jej się wynosić i ze wstrętem spojrzała na strażnika. Chrapał już w najlepsze. Nogi wyrzucił przed siebie, pas miał ledwie zapięty, pochwę od miecza pustą. Przepił pewnie oręż, choć Petrysa nie wątpiła, że odzyska go, jak tylko wyzdrowieje. Aż dziw ją brał, że taki pijanica jest postrachem Brenny i okolic.

- Wstawaj! - Trzasnęła go po gębie.

Choć służył jej jak pies, trzeźwego nigdy by tak nie potraktowała. Ale pijany mało co pamiętał.

Na wieści od niego czekała od południa.

Ocknął się i przetarł twarz. Próbował nawet się podnieść, ale szybko zrezygnował. Zbyt ciężka mu głowa.

- Moja zbroja jest jak brzemię. Nie jest lekka - westchnął.

Prócz wełnianej koszuli, spodni i przesywanicy nic na sobie jednak nie miał.

Zgubił nawet buty. Na razie nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Nie narzekaj. Przecież balast przepiłeś. - Pokiwała głową zrezygnowana. - To u księcia tak tęgo piją?

- A gdzieżby tam. - Odegnął niewidoczną muchę. - Po wizycie u twego męża, pani, zajrzałem do gospody. Moi pacholki ławy obstawili. No i mocne piwo tam mają.

- A pamiętasz, o czym radzili? - zapytała, znowu odwracając się do okna.

Petrysa spojrzała na swojego oddanego woja. Stępota nie darzył jej sympatią, to pewne. Ale miał nadzieję, że gdy jej syn podrośnie, księżna odda mu go w opiekę. Ale czy mogła powierzyć swój skarb komuś, kto szuka swego szczęścia na dnie dzbana?

Milczała, czekając, aż zaczną gadać.

Westchnął ciężko pod jej spojrzeniem, spróbował się nieco ogarnąć. Ale nie miał sił, nawet by podciągnąć spodnie.

- Źle jest, pani. - Beknął. - Nie każ mi więcej za twoje ucho robić, bo na śmierć się zachleję.

- Nikt nie kazał ci spijać się jak świnia.

- Łatwo mówić, gorzej czynić.

- Mów! Jak książę przyjął wieści z rady? Był chociaż przytomny?

- Przytomny, a jakże. Nawet o miód prosił. Gdy zdałem mu relację, powiedział

tylko, że nim minie lato, w Brennie będzie więcej Sasów niż Słowian.

Księżna spojrzała gdzieś daleko przed siebie. Tak, jej mąż miał rację.

Uśmiechnęła się.

Matka Petrysy pochodziła ze starego saksońskiego rodu. Przekazała jej miłość do chrześcijaństwa i pogardę dla słowiańskiego ludu. To, o co matka mogła się jedynie modlić, Petrysa wprowadzała w życie. Nie minie tuzin wiosen, a cały pogański ludek na wschód od Łaby, nad Hawelą i Pianą ugnie karki pod krzyżem.



Wszystko jest kwestią czasu. Gdy czegoś bardzo chcesz, to Bóg cię wysłucha.

Odkąd książę zachorzał, nikt nie miał wątpliwości, że nastąpiła jej władza w Brennie. Sprowadziła na dwór Arnsteina i Plotho, z każdym dniem na stodorańskie ziemie przybywali kupcy, mnisi i cieśle zza Łaby. Wszyscy, którym sprzykrzył się bat cesarza. Mieli nadzieję na dzierżawy od kolonizujących ziemie na wschód od Łaby niemieckich margrabiów.

Stępota podniósł się, by podejść do okna. Łapczywie wciągnął świeże powietrze.

Dopiero teraz poczuła, jak śmierdzi moczem.

- Kupcy spiskują. - Specjalnie użyła tego określenia na możnych w Brennie.

Zawsze sprawiała mu tym ogromną radość. Mimo że wielu dzielnych wojów ostało się w drużynie księcia, tylko on w Brennie uważał się za rycerza. I przyznawała mu rację. Wojowie zgnuśniali albo, tak jak Tileman, zestarzelili się i wzięli do handlu.

Wykorzystywał to Jaksą i zachęcał tym skłonnych do wojaczki, by stanęli z mieczem w ręku przy jego boku. W tawernach i na gościńcach jego ludzie przekonywali zdolnych młodzików, by nie godzili się na saskie chomąto, i obiecywali w imieniu księcia nadzieję na ziemi.

- Nie mogę ufać Kuniczukom, już niedługo Nikłota po grodach zaczną wyglądać. Jaksą zaś tylko czeka, żeby wbić mi nóż w plecy. Jeżeli go nie uciszymy, źle skończy, a ty razem ze mną.

- Może nie będzie tak źle - powiedział tajemniczo, ale zaraz czknął i zapadł w drzemkę.

Słyszając jego pochrapywanie, księżna złapała go za koszulę.

- Mów, co wiesz! - krzyknęła zniecierpliwiona.

Ocknął się i odepchnął ją delikatnie.

- Do gospody zajechali wojowie z Jaksowej kompani. Bili się pod Lubeką. Jeno dwóch się ostało. Tęgomir i Kuśpiej.

- A Jaksą? Zginął?! - Zacisnęła pięści.

- Trupa młodego księcia nie znaleziono. Ale bądźmy dobrej myśli. Tęgomir, stary drań, miecz wygrał ode mnie! - Zmienił szybko temat, jakby Jaksą mało go obchodził.

- Graliście, zanim do mnie przyszedłeś?! - Wytrzeszczyła oczy, nie dowierzając głupocie strażnika. - Sam sobie jesteście winieni!

- Wybacz, pani. - Odsunął się na wszelki wypadek.

Gdy przebywali sam na sam, zawsze miała nad nim przewagę i ciężką rękę.

- A gdzie on teraz jest? - Przez chwilę miała nadzieję, że porozmawiał z Tęgomirem.

- Miecz wziął, buty mi znuł. Bał się chyba, że jak wytrzeźwieję, to upomnę się o swoje. Pojechał pewnie nad Sprewę. I dobrze zrobił. - Spojrzał wściekły na swoje bose stopy.

- Głupiś, Stępota, głupiś! - skwitowała.

- A Albrecht Niedźwiedź? Czy Sas dał już znać?

- Nie, mój nowy spowiednik jeszcze nie dotarł. A Bodzanta już spakowany.

- Bo strachliwy i czuje się jak w gościach. Chciałby do swoich. Za Łabę.

- Oby ten nowy czuł się tutaj jak u siebie w domu.

## **ROZDZIAŁ II**

*Gdy jądra nabrzmieją*

*I ból odczujesz,*

*Weź mąki z bobu,*

*I soku z bzu,*

*Wetrzyj z olejem*

*W twardy swój członek.*

*Jak na spowiedzi,*

*Złe wody wytrujesz.*

*„O nabrzmiałości jąder tudzież dokuczliwym bólu członka”, Przeclaw, O naturalnych sposobach leczenia, Kopnik A.D. 1148*

*Żyjmy przyzwoicie (...), nie w hulankach i pijatykach, nie w rozpuście i wyuzdaniu (...) Ale przyobleczcie się w Pana Jezusa Chrystusa i nie troszczcie się zbyt o ciało, dogadzając żądom, lecz wszystko w swoim czasie. Liście i tak spadają z drzew.*

Św. Augustyn, Rz. 13, 13-14, i dodatkowo: komentarz na marginesie jego dzieła. Autor dopisku nieznan

Margrabia Albrecht Niedźwiedź i książę saski Henryk Lew wezwali do Magdeburga panów saskich, którzy stawili się tam na krucjatę przeciwko Słowianom Połabskim.

Wspierało ich rycerstwo z Bawarii, Saksonii, Szwabii. Przybyli także Flamandowie, Walonowie i Lotaryńczycy, którzy statkami z Brenny mieli dostać się do Anglii, a stamtąd wraz z brytyjskim

rycerstwem popłynąć do Ziemi Świętej. Wielu z nich jednak zostało, by szukać łupów bliżej, na Połabiu. Wśród krzyżowców znaleźli się też biskupi oraz nawróceni na wiarę chrystusową Wagrowie.

Dla tych wszystkich, którzy stawili się pod rozkazami Albrechta i Henryka, świat po św. Pawle i Piotrze miał niedługo skurczyć się do ziem na wschód od Łaby.

Rycerze w tunikach przyozdobionych w krzyż, który zwisał nad krążkiem wyszytym z czerwonego sukna, poprzysięgli gotowość, by nieść poganom światło Chrystusa. To, czego nie udało się dokonać Karolowi Wielkiemu, Henrykowi Ptasznikowi i Ottonom, miało się powieść Albrechtowi Niedźwiedziowi, Henrykowi Lwu i Bernardowi z Clairvaux, a także biskupom niemieckim i pospolitym rycerzom.

Kolumna podążająca zwierzynieckim traktem w stronę Dobina ciągnęła się przez kilka staj. Krzyżowcy musieli zmówić wiele pacierzy, by przejść z jej końca na czoło. I tylko na przodzie dało się odetchnąć świeżym powietrzem. Tam świętobliwy pochód otwierali dumni biskupi i leniwi książęta, wielu margrabiów, i hrabiów, na których rozkazy czekali usłużni giermkowie.

Dalej panował już tylko smród tłoczącej się na gościńcu wygłodniałej cizby, porykującego bydła, nerwowo stąpających koni. Pastuchowie popędzali kijami leniwe muły, ciągnące dwukółki wypchane prowiantem. Na większych wozach załadowano drabiny, liny, rozłożono trebuszety.

W las, który zewsząd otaczał krzyżowców, niósł się nieustający lament kobiet i przerażonej dziatwy. Rycerze nie mogli opędzić się od napastliwych dziewczek i kalekich włóczęgów.

Nad głowami przykrytych kurzem i spoconych od letniego słońca piechurów, kuszników i obozowych ciurów górowali konni feudałowie niemieccy. Uzbrojeni we włócznie i miecze, swoją dumną postawą roztaczali aurę zwycięstwa. Niewielu jednak mogło pochwalić się pełną zbroją. Przed słowiańskimi toporami i strzałami miały chronić ich kolczugi złożone z dużych pierścieni połączonych rzemieniem, narzuconych na pikowany kaftan, i jakkolwiek liche wydawało im się czasami to zabezpieczenie, liczyli na to, że połabska ziemia także ich uczyni bogatymi. A zysk wart był ryzyka, choćby niemałego.

Posłanie w wozie, który podskakiwał gdzieś pośrodku kolumny, odpowiadało mnichowi. Wiązka dobrze ubitej słomy i miękkie cycki Magdy wystarczały, by zamortyzować wstrząsy. Uwielbiał jej białą skórę, rude włosy i piegi na całym ciele, obfity zadek, grube uda... Ach! Przy takich łakociach cielesna powłoka mnicha wyglądała znacznie mniej okazale.

Przeclaw nie dbał o tonsurę, a twarz miał wychudzoną. Chodził w przydużym habicie, lekko zgarbiony, przytłoczony ciężarem niewypowiedzianych grzechów.

Jednak oczy - ciemne, lekko skryte pod krzaczastymi brwiami - wszystkim dziewczkom wydawały się aż nazbyt piękne. Niedostatki ciała nadrabiał usposobieniem, łagodnością i spokojem ducha, a także wrodzoną zdolnością, by kochać i być kochanym - miał zręczne palce, długi język i ciepłe usta. Dzięki temu w ciągu kilku dni, kiedy saskie wozy nieubłaganie toczyły się na wschód, pokochali się z Magdą szybką i nieskrępowaną niczym fizyczną miłością. Niepokoił go jednak fakt, że kochanka

wzięła po chrześcijańsku ślub, a jej mąż - nieco zbyt gwałtowny - nie skąpił

jej razów. Przeclaw naliczył na jej plecach wiele pręg, nastawiał wyłamane palce. Nie mógł mieć wątpliwości, jak zdradzony mąż potraktowałby kochanka.

\*

Wóz powoli wytracił prędkość. Rozległ się dźwięk rogu. Znak, że kolumna stanęła na postój.

Magda zaczęła masować swoje obolałe cycki. Jeszcze przed chwilą Przeclaw gniótł je niemiłosiernie; dziewczka myślała, że z miłości, a on czynił tak, bo... nie wiedział co czyni. Aż nazbyt pogrążył się w swoich myślach.

Wiele lat temu, jako chłopiec został oddany pod opiekę do Clairvaux. Bernard, opat klasztoru, stworzył tam prawdziwą twierdzę, gdzie nie sięgały prawa biskupów i władców świeckich. Dla przełożonego liczył się jedynie głos papieża.

W bibliotece opactwa, na zlecenie Bernarda, zabezpieczano wiele setek rękopisów - traktatów z dziedziny medycyny, filozofii i sztuki wojennej. Według Bernarda zbyt duża ich liczba krążyła w granicach Francji i Cesarstwa, by trafiać w niepowołane ręce. Ich *sententia* opacznie była rozumiana, wręcz heretycko. Stąd brał

się pogląd opata, że więcej nauki i pożytku wynika z obserwacji natury niż z czytania ksiąg, bo jedynym jej twórcą jest Bóg i tylko przez Boga można ją zrozumieć, a nie przez koślawe literki, które mogły zostać nakreślone dłonią Szatana.

Mimo to, *non superbiendo vel contradicendo* Przeclaw już jako oblat wyszkolił

się w nauce czytania i pisania. Jako nowicjusz pomagał składać w skryptorium księgi: wygladzał skóry, z których powstawał pergamin, skrawał brzytwą nierówności, dziurkował kartki. Każdy wolny czas przeznaczał na ich lekturę. Najbardziej zachwyciły go pisma medyczne: Galena, Awicenny, Arystotelesa. Szybko wyszkolił się w poznaniu co to jest *litera i sensus* pisma, także *sententia* nie przychodziła z trudem; dzięki niej dał się poznać przełożonemu opactwa, który uwielbiał dysputy, choć wolał

raczej, gdy to jego słuchano.

Z czasem opat zaczął zabierać Przeclawa w podróże po Francji i Cesarstwie.

Szybko więc dorastający mnich stał się powiernikiem jego trosk i tajemnic. Z pokorą wysłuchiwał wszystkich przestroóg, zakazów i życiowych wskazówek. Ale po wizytach w Chartres przypadła mu do gustu nauka tamtejszych mnichów. Bogobojni braciszczowie, nie porzucając oczywiście bożego objawienia, za którego sprawą cały świat się dzieje, twierdzili, że dzięki rozumowi można wyjaśnić to, co widzimy i czego doświadczamy w życiu. Studiowali naturę ochoczo, jak nakazywał Bernard, ale nie wyłącznie dla Boga, lecz dla niej samej, by lepiej ją poznać, a dzięki niej samym siebie.

Tak więc Przeclaw studiował naturę podczas podróży, najchętniej w tawernach lub przy boku

rozgrzanych dziewczek, przykazanie *ora et labora* zostawiając na później.

Twierdził przy tym, że i na świętość przyjdzie czas. Święty Augustyn wprawdzie zażył życia, a dopiero potem dopadło go objawienie. Zresztą z tymi objawieniami bywało różnie.

Podczas pobytu w Chartres wymęczony podróżą i nieco rozczulony Bernard przyznał, że nie gardził kiedyś rozpustą i że chorował od nadmiaru jedzenia i picia.

Omówił nie skazał się przez to na śmierć, a swej duszy na wieczne potępienie. Jednakże dzięki objawieniu, którego doznał podczas modlitwy - Najświętsza Panienka sprawiła, że z jego ust popłynęło mleko - uratował siebie. Tę samą historię, w nieco odmiennym świetle, Przeclaw poznał kiedy indziej dzięki mnichom z Burgundii w Fontenay. Opat przyswoił wtedy zbyt dużo trunku, i gdyby nie jego towarzysz, zadławiłby się wymiocinami. A modlitwa pod ołtarzem brzmiała ponoć jak bluźnierstwo.

Grzechy młodości odbijały się na zdrowiu Bernarda, więc z czasem Przeclaw, jako jego zaufany, wyjeżdżał w podróże bez niego. Jako wizytator klasztorów wszędzie wysłuchiwał tych samych skarg przeorów i opatów: przeciekający dach, niedostatki w spiżarni albo łamanie celibatu.

Jednak gdy wracał do Clairvaux, Bernard z racji podupadającego zdrowia coraz częściej nadstawiał ucha na nowinki medyczne zebrane po klasztorach. Trapiące go dolegliwości - problemy gastryczne, ból w stawach i łamanie w kościach, a nawet melancholie - godził się opat łagodzić nawet dzięki heretyckim receptom, choćby z Fontenay albo Chartres. Ale narzucił sobie zbyt ascetyczny tryb życia: surową dietę i przerywany sen w zimnej celi na wiązce słomy z drewnianym kłosem pod głową. Nie mógł liczyć już na ozdrowienie. Stąd z coraz większą niechęcią patrzył na życie doczesne, kłuło go to, co się dzieje w opactwach. Mnisi nie podzielali skłonności Bernarda do ascezy, tętniło tam heretyckie życie.

Między klasztorami krążyły księgi z anonimowymi komentarzami do fragmentów dzieł Arystotelesa, Platona, Ojców Kościoła. Diaboliczne komentarze przeczyły twierdzeniu Augustyna z Hippony, że *bez woli Boga nawet jeden listek nie spada z drzewa*. I choć brak było spójności wśród heretyków, jednako twierdzili, że Bóg już wyznaczył człowiekowi miejsce na ziemi. I teraz od niego zależy, czym zaskarbi sobie zaufanie Najwyższego - wyłącznie pracą rąk własnych czy ascezą i modlitwą. Wskazywali, że jeden jest Bóg i wiele dróg do Niego, a żadna nie gorsza, nie lepsza. Że wszelkie klauzury, wyznania winy i grzechy to tylko chomać, bo żaden człowiek nie ma prawa sądzić drugiego w Bożym imieniu.

Opat z Clairvaux kazał odpowiednio zaradzić problemom w opactwach, usuwając legalnie - bądź nie - posądzonych o herezję mnichów. W krótkim czasie Przeclaw wytruł kilku opatów, przeorów i ostatnich braciów, nawet książąt -

wszystkich tych, którzy mogli zniszczyć Kościół. W ferworze pracy wiele nauczył się o ziołach - tych, które zabijają, i tych, które leczą.

Jego starania nie zawsze okazały się skuteczne. Uśmierceni szybko znajdowali naśladowców.

Bernard postanowił więc zwalczyć herezję osobiście. Wraz z Przeclawem udali się w podróż po całej Langwedocji, Bretanii, Prowansji i Akwitanii, gdzie szerzono nauki diabła. Tanchelm podcinał zasadność istnienia kleru, w Orleanie kilku kanoników trafiło na stos za głoszenie nauki, że materia jest zła. Piotr Waldo nakłaniał do dobrowolnego ubóstwa, inni heretycy odrzucali święte sakramenty, a jeszcze inni odmawiali czczenia krzyża. Bernard z Clairvaux bił na alarm. Papież i biskupi pośpiesznie zwoływali synody, przeklinali heretyków, Bernard gorliwie podpalał stosy. Niektórzy heretycy zdołali zbiec, a ci, którym się nie udało, śmiali się tylko, przyznając, że ich śmierć nie ma już znaczenia. Wróżyli Bernardowi samotność, jednocześnie zapowiadając mu życie wieczne, ale bynajmniej nie w niebie. Przerazało to Bernarda, a zarazem wzbudzało coraz większą nienawiść wobec heretyków. Z tym większym zapałem podpalał nie tylko stosy, ale i - za zgodą papieża, który obawiał się rozprzestrzeniania diabelskich nauk w Cesarstwie - całe miasteczka. W ten sposób dotarł do źródła herezji. W jednej z langwedockich wsi Bernard zrozumiał, że ci, którzy szli na śmierć z uśmiechem na ustach, wydawali się osłabieni, jakby dawno nie mieli w ustach nic do jedzenia. *Endura* - zrozumiał to w jednej chwili. Cieszyli się, że śmierć na stosie wybawi ich od męczarni umierania w agonii, którą sobie sami zafundowali, odstawiając od ust wszelkie jadło. Żyjesz w społeczności wedle jej praw -

każde odstępstwo karane jest banicją - i w zgodzie z zadaniem, jakie wyznaczył ci Bóg.

Krajesz w rzeźni mięso, obsiewasz pole, pilnujesz stada, zbierasz kapustę, pielesz, wypiekasz chleb - ciężko pracujesz. A gdy sił już nie starcza, albo pokusy świata zbyt silne, kładziesz się i czekasz na śmierć.

Podczas gdy wynosili z chaty na łożu jednego z heretyków, zbyt słabego, by o własnych siłach mógł udać się na stos, Bernard wspomniał Fontenay i mnichów, którzy wybrali głodową śmierć. Wyglądali niemal jak ten nieszczęśnik - wysuszony, o żółtej cerze, bez chęci do życia.

Prześladując mieszkańców wiosek u podnóży Pirenejów, natrafiali na ślady tych, którzy umknęli Bernardowi z Fontenay. Księga, którą wieźli ze sobą, naznaczyła całe Ariège, Langwedocję. Mieszkańcy, nie bacząc na wyznaczony przez Boga podział

na *oratores, bellatores, laboratores*, żyli w pozbawionych porządku bożego wspólnotach. Przed obliczem papieskiego posłańca grzeszyli pychą. Ci, których udało się Bernardowi zmusić do wyjawienia chociaż części prawdy o księdze, mówili, że pochodzi z Jerozolimy, że została podczas pierwszej krucjaty wydarta z grobu Chrystusa przez niewiernych. Tubylcy twierdzili, że zapisano ją krwią Syna Bożego.

Cudem odzyskali ją miejscowi chrześcijanie, by przekazać ku przestrodze krzyżowcom i by nakłonić ich do powrotu tam, skąd przybyli. Ale tylko nieliczni dali wiarę i opuścili Antiochię, Edesę i Jerozolimę. Zresztą zaraz słuch o nich zaginął. Skończyli swój żywot jako pustelnicy, inni narzucili sobie klauzurę w klasztorach do końca swoich dni. Większość krzyżowców jednak nie chciała wierzyć księdze, z którą obnosili się miejscowi chrześcijanie. Traktowano ich zresztą podejrzliwie. Niedługo potem księga zaginęła, by odnaleźć się w Fontenay, a teraz ponoć podążała na dwukółce na Połabie, tam gdzie w praktyce nie sięgała jeszcze ręka żadnego z biskupów. Tym samym wyznaczyła kierunek drogi krzyżowej Bernarda.

Przeclaw wyobrażał sobie, jak może wyglądać taka księga. Gdy nie gził się z dziewczką i nachodziła go wyrobiona w klasztorze skłonność do kontemplacji, czuł

niemal, jak wodzi palcami po chropowatym pergaminie, wyczuwając każde zgrubienie wyschniętej krwi Chrystusa cudownie przemienionej w litery.

Bernard też marzył o księdze, wierząc jednocześnie, że tylko on może właściwie zinterpretować jej treść. Zamierzał się dowiedzieć, jaką tajemnicę skrywa księga, by zdusić herezję na zawsze.

Zaplanował krucjatę za Łabę.

Ruszyła machina dyplomacji. Tych, których wiara okazała się krucha, przekonywał blask monet. Stoły książąt i biskupów przykryły złoto i srebro z cysterskich sakiewek. Tak czy inaczej, w końcu każdy chciał być bliżej Boga.

Ale po kolei, po kolei...

Przeclaw westchnął ciężko.

Pamiętał chłodny i ponury dzień w Vezaláy. Wszystkie śniegi jeszcze wyjątkowo nie stopniały, kiedy Bernard z Clairvaux wygłosił płomienne kazanie przed królewską parą i wasalami Ludwika VII i wszystkimi najprzedniejszymi rycerzami, którzy przybyli na północ Francji, by wysłuchać kazania opata.

- Edessa! - wołał. - Edessa wzywa! Bóg wam błogosławi do grobu Jego syna, a Chrystus odpuści wam grzechy. Jesteście rycerzami Chrystusa, awangardą tych, którzy idą za jego wołaniem, nie bacząc na niebezpieczeństwa. Odrzućcie wszelki zbytek, idźcie czyści duchem, jak przystoi pobożnym pielgrzymom. Nie zabierajcie zastaw, kosztownych szat i klejnotów, zbytek zostawcie w domu, bo celem waszym jest Golgota, Grób Pana Naszego, nie pałace...

- Dajcie krzyże! - odpowiedzieli. - Bóg tak chce. Bóg tak chce!

Gdy przekonał króla Francji, Bernard za zgodą papieża pośpieszył do Niemiec, by namówić do wyprawy cesarza. Nie bacząc na srogą zimę, opat wyruszył wzdłuż Renu, w każdym mieście wygłaszając w imieniu papieża płomienne apele, które wzbudzały entuzjazm wśród bogobojnych chrześcijan. Po świętach Wielkiej Nocy spotkał się z samym cesarzem Konradem III w Spirze. Odprawił tam sumę pontyfikalną dla cesarskiego dworu z okazji jego koronacji. Swą płomienną przemową przekonał cesarza do udziału w wyprawie.

Poznał także bliżej Albrechta Niedźwiedzia. Sas zapewniał, że zrobi wszystko, aby krzyżowcy sięgnęli Odry. W zamian za okazane zrozumienie Bernard obiecał

pomoc w osobie Przeclawa, który, korzystając ze swoich zdolności, miał się przysłużyć Askańcykowi w bardziej przyziemnych celach.

Dzięki wsparciu cesarza i możnych panów niemieckich Bernard mógł rozpocząć dalsze podróże misyjne po zachodnich Niemczech i Francji. Zaczął w Wormacji, skąd pojechał do Kreuznach,

Koblencji, dalej do Remegen i Kolonii, wszędzie wzbudzając entuzjazm, po czym wrócił do Francji, by nieco wypocząć.

Podczas podróży Przeclaw dokonywał wielu uzdrowień, które przypisywano Bernardowi. Mnich nie dbał jednak o sławę, ale o dach nad głową - zresztą wyłącznie taki, pod którym jest zgiełk, leje się piwo, a dziewczki aż parują z ochoty. Opat udawał, że nie dostrzega jego grzesznych występków. W większych miastach zresztą spali osobno - Przeclaw w lupanarach, Bernard w biskupich albo książeńcych domach.

Jednakże na traktach i gościńcach Przeclaw musiał uszanować swojego preceptora, i zamiast badać naturę kobiecej duszy i ciała, toczył z opatem długie nocne dysputy, także o naturze, ale tym razem Boga. W niczym się zresztą nie zgadzali. Dwie są ścieżki człowieka, które prowadzą do szczęścia: doczesna i ta w niebiesiech, przekonywał Przeclaw opata, marząc o dziwce i dzbanie piwa. Opat twierdził jednak, że to, co na tym padole, w żaden sposób nie przybliży człowieka do Boga.

Poszukiwanie szczęścia na ziemi nie powinno przysłańać szczęścia w niebie.

- Nie wśród dziwek i złodziei - podkreślał opat, przestrzegając Przeclawa przed karą bożą, a potem zaraz dodawał, wskazując plecy: - Pomasuj mnie, o tu, bo bardzo boli.

Bernard przysięgał przed Chrystusem i Przeclawem, że wydrze heretykom ich skarb, który skryli przed nim aż na Połabiu.

A że heretycy nie mogli zginąć jak igła w stogu siana, wystarczyło dobrze nadstawiać ucha. Wielu zapewne szukało schronienia w cysterskich klasztorach, licząc na wyrozumiałość swych braci.

Przeclaw nie zamierzał jednak szukać heretyckiego skarbu wyłącznie dla opata.

Zaczął myśleć przede wszystkim o sobie. Nie chciał pozostawać przez całe życie świętym psem Bernarda. Kiedyś pies musi zerwać się ze smyczy. A wtedy, być może -

pogładził Magdę po policzku - dobrze będzie mieć taką babę przy sobie. Kiedy już osiadzie na słowiańskiej ziemi, narodzi mu taka bachorów. A jak podrosną, zaczną uprawiać pole, zaopiekują się ojcem na starość. Zresztą tu, na Połabiu, żyła kiedyś jego matka. Słowiańska jest jego dusza, słowiańską ma przecież krew, rozmarzył się.

\*

- Chyba się rozmarzyłeś? - wyrwała go z odrętwienia.

- Tak. Jeszcze chwilka i rozbolełaby mnie głowa. - Uśmiechnął się.

Pomiętosili się jeszcze trochę. W zabawie nie przeszkadzał im na wpół

przytomny Jaksza leżący w głębi wozu. Znaleźli go przy traktce w rowie, gdzie leżał bez ducha. Za namową Magdy Przeclaw nakazał ciurom zanieść nieprzytomnego do wozu.



Widocznie nieobce jej było chrześcijańskie miłosierdzie, choć, jak wyznała potem, znaczenie miała również uroda woja. Książę wpierv ledwie dyszał, jednak dwa dni kuracji wystarczyły, by powoli zaczęły wracać mu siły. W majakach po trochu zdradził

swoją tożsamość, a także to, że od kilku dni błąkał się po lasach. Wspominał też coś o jakiejś Żydówce, że ją pożarły wilki.

- Kochasz mnie? - spytała, już na dobre odrzucając mnisią rękę z piersi.

- Kocham - skłamał.

Sielanka rodzinna była mu obca. Przynajmniej w tych trudnych czasach.

- Mocno?

- Bardzo mocno. - Znowu skłamał.

Zszedł z niej i przytulił ją do swojej spoconej piersi. Wozem trzęsło, ale Magda przydusiła go swym sporym ciałem. Dzięki temu nie odczuwał wstrząsów, jedynie łaskotanie na brodzie jej rozrzuconych włosów. Pogłaskał kochankę po rudej głowie.

Odwdzięczyła się delikatną pieśczołą, czule muskając mu policzki.

- Mówią, żeś mądry.

- Kto tak mówi? - spytał.

- Podobnoś Sprośniaka uleczył.

- Wieści szybko się rozchodzą. - Jęknął, bo tak miło go głaskała.

Znał ją od kilku dni, a już wiedziała, jak go pieścić i gdzie.

- Od wczoraj wieczór to nie szybko. - Wydęła usta. - Mówią, że Sprośniak teraz zdrowy.

- Dobrze mówią. - Nie słuchał jej, bo gładziła jak anioł, także po przyrodzeniu.

W tej chwili zrobiłby dla niej wszystko.

- A mnie byś uleczył? - spytała niepewnie. - Z grzechu?

- Z czego?! - zdziwił się.

Przerwała pieśczoły. Wsparł się na łokciu i przyjrzał jej uważnie.

- Z reguły nie zajmuję się duchem, tylko ciałem.

- Bo mnie właśnie o ciało chodzi. Tylko że pewien lekarz w Lubece mówił, że moja przypadłość to z

grzechu.

- Bo pewnie nie mógł znaleźć recepty. - Westchnął.

- Może. Ja się na tych waszych sprawach nie znam.

- Jaka to przypadłość? - zaciekawił się.

- Krwawię.

- Jak każda baba.

- Zbyt dużo. Wstyd.

- Ale nie krwawisz, gdy ze mną jesteś. - Rozłożył się zadowolony na sianie, kładąc pod głowę rękę.

- Zalecam kąpiel z kory dębowej. Oczywiście z jej wewnętrznej części. Dodaj do tego babkę, laskę pasterską i rdest ptasi. Jeśli nie uleczy całkowicie, to na pewno złagodzi. I po grzechu!

Chrząknęła, zawstydzona w obliczu najprawdziwszej magii.

- A więc to prawda, żeś ty z diabłem po imieniu. - W jej głosie nie było ani nutki kpiny.

Spojrzał na nią pobłaźliwie.

- Sprośniak mi mówił - wyjaśniła, uroczo trzepocząc rękami.

- Ano zna się tego i tamtego. - Postanowił, że nie będzie jej edukował.

- A stara Osterowa może przyjść?

- Oj, co to, to nie. - Pogroził jej palcem. - Ja wam za bazar robić nie będę.

- A niby dlaczego nie?! - fuknęła niezadowolona. - A kto ci za burdel na kółkach robi?!

Co prawda, to prawda, pomyślał i przesunął dłonią po jej cycuszkach.

- A kto cię do piersi przytula i głaszcze? A kto cię na duchu podnosi? - ciągnęła litanie miłosierdzia.

- To trzeba było nie podnosić. Że też w życiu musi być zawsze coś za coś. -

Zezłoszczony, próbował poderwać się z posłania.

Powstrzymała go i pogłaskała jak małego chłopca.

- Osterowa nie przyjdzie z pustymi rączkami - mruknęła prosząco. - Przyniesie jajeczko, może nawet kurkę.

Zastanowił się. W brzuchu burczało, a gardło miał suche.

- Dobrze, ale niech do picia też da coś porządnego.

Magda klasnęła zadowolona.

- Dąb i laska pasterska, powiadasz. A co to ten rdest ptasi?

- Gównno.

- A, tego na słowiańskiej ziemi pod dostatkiem!

Wyskoczyła zadowolona z wozu i pognęła po Osterową. Chwilę później stara wgramoliła się na wóz. Twarz miała jak skutą mrozem - wychudłą, białą, z dwoma zapadłymi ślepiami.

- O takich jak ty mówią, że wolą przez cały dzień z nosem nad księgami tkwić niż życia doglądać - przywitała się.

Podniósł się na łokciu.

- Ja tak nie uważam. Wszystkiego w księgach nie znajdziesz. Żeby życie poznać, trzeba wyściubić nos poza próg biblioteki.

- Ale w tej słowiańskiej głuszy życia nie poznasz. Możesz spotkać jeno śmierć.

Nie wolałbyś gdzieś w klasztorze dumać niż tu po lasach jej szukać?

- Pogawędki chcesz ze mną urządzać czy leczyć cię mam? - uciał ponuro.

Co to za ludzie, sarknął w duchu. Wystarczy, że spojrzą w jego gębę i wyczytują z niej udrękę.

Osterowa, trochę zmieszana brakiem ogłady u człowieka z pozoru przecież obytego, wyjęła zza pazuchy trzy jajeczka.

- Wieczorem będzie rosółek. A syn zaraz przyniesie coś do picia. - Uśmiechnęła się przymilnie.

- Co dolega? - Z powrotem rozciągnął się na sianie, próbując nie liczyć dziur, na których podskakiwał wóz.

- Stara jestem, ale mnie straszna ochota na chłopów bierze.

- To jaki problem? - Zdziwił się.

- A chciałbyś ty mnie? - Wyszczrzyła zęby. Całe pół tuzina.

- Nie. - Skrzywił się.

- Więc teraz rozumiesz, jak się męczę! - ucięła.

- Lentyszek i nasiona sałaty ugotuj. Pij napar przez trzy dni. Kurację powtórz po niedzieli - wymamrotał od niechcenia.

Rzuciła się, by go ucałować, ale ją odepchnął.

- Zrób to jak najszybciej - nakazał.

Stara mlasnęła zadowolona i wygramoliła się z wozu przodem, narażając go na nieprzyjemny widok.

- Magia! - usłyszał, jak głupia krzyczy na trakcie. - Prawdziwa magia!

Czuł, że niedługo zaczną się problemy.

Do południa przyszli jeszcze Chętny z żoną. Ona miała kolki, on niedrożność śledziony. Na sam koniec, przed samym obiadem, do wozu zawitała Magda.

Zastała go, gdy leżał wyciągnięty na sianie, co jakiś czas spoglądając troskliwie na mamroczącego księcia. Pochyliła się nad chorym, rękawem starła pot z jego czoła.

- Wiesz, jesteś jak oni. Ci, co jadą na przodzie kolumny. - Spojrzała na mnicha.

Domyślił się, że ma na myśli jego habit i odczytanie w księgach.

- Może i tobie trafi się jakiś kąsek. Może nawet własne biskupstwo. Będiesz nawracał pogan i żył jak pan - rozmarzyła się. - Weźmiesz mnie ze sobą?

- Wezmę. - Kłamstwo szło mu dziś nadzwyczaj sprawnie.

- Biedny to ty nie jesteś, skoro masz własny miecz. - Wskazała na broń, leżącą obok.

- Nie zawsze krzyżem można wojować. - Przeciągnął się leniwie i przysiadł.

\*

Tabory zaparkowano wzdłuż całego gościńca. Tam, gdzie droga okazała się zbyt wąska, pachołkowie karczowali las, a gdzie podmokła - kładli faszynę i słomę. Cizba chroniła się w naprędcie budowanych szałasach, rycerstwo w namiotach ustawionych na żerdziach. Wyciągano zapasy, rozdawano paszę dla koni, rozpalano ogniska. Słupy dymu unosiły się ponad lasem, niekiedy dym rozpraszał wiatr.

Podczas marszu mężczyźni i kobiety szli osobno, teraz mogli wypocząć razem. Z

namiotów i pobliskich krzaków dochodziły rozkoszne pojękiwania i sprośności. Młody rycerz dawał upust swym chuciom, mnich łamał celibat. Wielu odnalazło w taborze swoje przyszłe żony.

Co jakiś czas przegalopował drogą goniec albo straż, składająca się z kilku konnych. Nie zważali na nic. Dlatego wśród cizby wzbudzali nienawiść. Gdy odjechali już bardzo daleko, wygrazano im i

wróżono niechybną śmierć w polu.

\*

Nad gościńcem znowu uniosła się szara chmura kurzu - znak, że minął dzień postoju i wozy ruszyły z łoskotem.

- Muszę rozprostować kości. - Przeclaw przeciągnął się na posłaniu.

- Ale wrócisz?

- Wrócę.

Nadeszła odpowiednia pora, by rozejrzeć się za spokojniejszą rozrywką. Mąż Magdy, jak go zapewniała, był zbyt krewki. Jeszcze los zapragnie, żeby Przeclaw spotkał go na swojej drodze. Coraz bardziej się tego obawiał.

- Bacz na mojego księcia. - Wskazał Jaksę i wyskoczył z wozu.

Kurz natychmiast oblepił mu włosy, wdarł się do ust i nozdrzy, do oczu, tutaj było go więcej niż w wozie - niby mgła na chwilę przysłonił mu widok. Kiedy Przeclaw oswoił się z pyłem, podszedł do Sprośniaka i Chętnego, którzy rozmawiali o czymś żywo, przyglądając się idącej powoli cizbie i toczącym się wozom.

- Oj, tęgie to głowy. - Sprośniak drapał się po łysinie.

- Ponoć nasz książę Henryk Lew uderzy z zachodu - wyjaśniał Chętny. - Był

kmieciem z ziemi węgryjskiej, gdzie Obodrycy podczas jednego z najazdów zrównali jego chatę z ziemią, stąd spieszno mu było do dzierżaw na wschodzie.

- Mamy czterdziestotysięczną armię - wtrącił Przeclaw.

- Prawda - zgodził się Sprośniak.

Według jego szacunków musiało to być dużo. Na pewno znacznie więcej niż mieszkańców jego wioski.

- Z północy przybędą Swen i Kanut na czele Duńczyków - Przeclaw postanowił

podzielić się swą wiedzą z chłopami. - Wspomoże nas także Albrecht Niedźwiedź.

Mówią, że jego armia jest większa od naszej. Ba! Mówią, że jeszcze raz taka. Ciągnie dzień drogi za nami.

- Nasz książę obiecał rycerzom godną odprawę, jeżeli w ciągu tygodnia zdobędą siedlisko obodryckiego księcia. I nam dostanie się jakiś łanik. - Chętny zatarł dłonie.

- Będzie dobrze, jeżeli zdążymy przed jesiennym chłodem - Sprośniak się zasmucił.

Ruszyli wzdłuż kolumny, opowiadając sobie dowcipy i marząc o słowiańskiej ziemi. Wozy wtoczyły się na kamienny most pod Boizenburgiem, ostatnim grodem na ich drodze po tej stronie Łaby. Przodem posłano strażę. Zmierzczało już, ale Przeclaw dojrzał, jak możni panowie zboczyli trochę z trasy i pognali w stronę grodu. Wozy zwolniły.

- Co się stało? Prawie stoimy. - Chętny klepnął Sprośniaka. - Idź poniuchać trochę.

- Biada nam! Biada nam! - usłyszeli po chwili lament kobiety.

Musiała pochodzić z niedalekiej rybackiej chaty, bo stojący w progu brodaty mężczyzna przywoływał ją ruchem ręki. Ale nie posłuchała.

- Biada mi - łkała.

- A niby czemu? Może mąż nazbyt ochotny? - Chętny zarechotał, gdy kobieta, łapiąc się za głowę, podbiegła do kolumny.

- Słowianie spalili Lubekę. Spalą i nas! Niepotrzebnie opuszczaliśmy naszą ziemię. Niepotrzebnie! - lamentowała.

- Prawdę mówi - powiedział Sprośniak, gdy wrócił. Odepchnął babę, by wracała do męża. - Książę obodrycki spalił Lubekę. Mówią, że Słowianie niedaleko. Słyszałem o tym przed południem, ale wtedy nie dawałem temu wiary.

- Więc nie umkną nam! W drogę. - Chybcie spieszno było do słowiańskich skarbów.

- Kiep z ciebie. To już książę Henryk zarządził - skarcił go Przeclaw.

Jakby na potwierdzenie jego słów cały tabor znów ruszył z łoskotem.

Przeclaw już wdrapywał się na wóz, gdy powstrzymała go w pół skoku czyjaś ciężka ręka. Odwrócił się i zobaczył ponurą twarz zarośniętą rudą szczeciną. Tunikę rycerza pokrywał kurz, jego pas wisiał krzywo, w brodzie ostały się resztki wieczerzy, przegryzanej jeszcze w pośpiechu. Małe oczka ukrywały się pod krzaczastymi brwiami i świdrowały mnicha. Przeclaw przełknął ślinę.

- Zwą mnie Zygryd. - Rycerz przedstawił się niechętnie. - Książę burgundzki z Zahringen wzywa.

- Książę? Właśnie teraz? - Pomimo udawanej niechęci Przeclaw odetchnął z ulgą.

Stał przed nim bowiem mąż Magdy. Moje szczęście, że spotkaliśmy się w sprawie księcia, pomyślał, próbując dodać sobie odwagi.

Bez entuzjazmu wdrapał się na podstawioną przez Zygryda szkapę.

Ruszyli wzdłuż kolumny, wyprzedzając toczące się mozolnie dwukółki, tuziny bydła, cizbę zalegającą

gościńiec. Rozbawiona dziatwa wpadała im pod kopyta, pacholkiwie leniwie odsuwali się z drogi. Kurz pokrywał ich zmęczone twarze. Konni rycerze jakby od niechcienia pozdrawiali ich skinieniem głowy, choć niejeden prosił

mnicha o błogosławieństwo.

Przekroczyli most i znaleźli się po drugiej stronie rzeki. Tu kolumna rzedła, wolna od wozów, ciężby i bydła, rozciągała się na gościńcu jak nitka. Dojechali na jej czoło, do księcia burgundzkiego. Przeclaw zdążył jeszcze zobaczyć, jak przednia straż na jego rozkaz oddala się galopem.

- A, jesteś wreszcie. - Książę kiwnął mu głową na powitanie. - W księgach uczony, a lepiej ci z gminem niż z możnymi panami.

- Łaska pańska na pstrym koniu jeździ, a ludek stały jest w swych uczuciach. -

Uklonił się nisko.

- Nad gmin się wywyższać to pochlebia tylko głupcom - skwitował książę.

Przeclaw przełknął zniewagę. Konrad z Zahringen przypominał psa. Kudłata morda, wysunięty pysk, czarny, grudowaty nos.

Mnich zrównał szkapę z jego grzywaczem. Konrad milczał przez dalszą drogę.

Przeclaw postanowił mu w tym dorównać.

Zygryd podążał za nimi jak cień.

Przeclaw źle się czuł w doborowym towarzystwie. Nie rozpoznawał wszystkich książąt ani biskupów, choć wielu spotkał już kiedyś w Lubece, w Chartres, nawet w Danii. Niejednego zresztą przywracał medykamentami do zdrowia. Na czele pochodu włókł się arcybiskup hambursko-bremeński, biskup werdeński, margrabia z Saltwedele oraz liczna nieznana z imion gromada baronów, która w sumie prowadziła jakieś czterdzieści tysięcy zbrojnych. Na samym przodzie jechał Henryk zwany Lwem.

Największą jednak uwagę wszystkich skupiał na sobie Bernard z Clairvaux, przełożony zakonu cystersów, który dosiadał czarnego rumaka. Skrywał się pod długim wełnianym płaszczem. Głowę miał szpiczastą, haczykowaty nos, usta nerwowo zaciśnięte.

Pomimo zapadającego zmierzchu kolumna krzyżowców brnęła dalej w las.

Minęli Boizenburg i znaleźli się na wąskim zwierzynieckim gościńcu. Nie ujechali nawet dwóch wiorst, gdy musieli się zatrzymać. Świeżo ścięte pnie drzew zawałyły drogę. Z lasu, po krótkim zwiadzie, wyszli piechurzy, krzycząc, że wszędzie zasieki, doły, a dalej już tylko mokradła.

- To jedyna sucha droga, która prowadzi na Zwierzyn, do ziemi Obodrytów -

mruknał ksiązę Konrad.

Usunięcie przeszkody zajęło pachołkom dwa pacierze.

Na kolejną natknęli się staje dalej. Kilku pachołków rozbiegło się znowu po lesie. Gdy wrócili, mówili o spalonych i wyludnionych wioskach.

- Chyba Bóg pokarał Słowian za to, że spalili Lubekę - rzekł jeden, żegnając się przy tym.

- Głupiś! Pałą wszystko, żeby dla nas nic nie zostało. Zupełnie nic! - warknął

biskup werdeński Dietmar.

Mimo że duchowni - modląc się cichutko pod nosem - zawierzyli swój los Bogu, potrafili trzeźwo ocenić sytuację. Tu, w tych lasach, Najwyższy wystawiał ich na najcięższą próbę.

- I co teraz? - Zygfryd nie okazywał bojaźni.

- Dla koni siana wystarczy, ale gorzej z nami. - Konrad westchnął.

Pomimo zapadających ciemności ksiązę Henryk Lew kazał kilku ciurom ponownie zapuścić się w las.

- Ustrzelcie mi na kolację dzika albo sarnę. Przy okazji spalcie chociaż jedną słowiańską chatę.

Nie było ani dzika, ani sarny. Nie wrócili.

Droga przez gęstniejący las była z każdym stajem coraz bardziej uciążliwa.

Podmokły gościniec wabił komary, które z diabelskim uporem cięły przede wszystkim skórę biskupów. Duchowni nie dokończyli nawet pacierza, a trzeba było przystawać, żeby usunąć kolejną przeszkodę. Ksiązę Henryk wrzeszczał wtedy w las, złorzecząc wszystkim Słowianom.

Gdy się zatrzymali na dłuższy popas, ksiązę Konrad zsiadł z konia i skinął na Przeclawa, by udał się za nim. Zeszli z gościńca. Las wydawał się spokojny, ale szum drzew był mało kojący, a skowyt wilka gdzieś w oddali nie wzbudził ich zaufania.

Konrad odchylił tunikę i dał ulgę pęcherzowi.

Przeclaw poszedł za jego przykładem. Przez moment próbował nawet zarysować jakiś kształt na suchej trawie, ale mu to nie wyszło.

- Co robisz? - ksiązę się zirytował.

Od osób w swoim towarzystwie wymagał więcej powagi.

- Oddaję mocz.



- To widzę.

Już po chwili obaj zapinali pasy.

- Chylę czoła. Ma pan bardzo pojemny pęcherz, książę - pogratulował Przeclaw.

Książę nie wiedział, czy mnich sobie z niego kpi, czy mu pochlebia.

- Z przyjemnością każę wyrywać cięte języki - uprzedził na wszelki wypadek.

Przeclaw odchrząknął. Zrozumiał.

- Co ci dolega, panie? - postanowił szybko go udobruchać.

Z uznaniem przyglądał się jego szerokim plecom, postawnej sylwetce.

- Nie bez powodu właśnie teraz sikałem. - Książę Konrad westchnął.

- Zapewne.

- Nie przerywaj! Widziałeś moje przyrodzenie, prawda?

Przeclaw ucieszył się, że Konrad nadal stoi do niego plecami. Z trudem powstrzymał uśmiech,

- Jest imponujące.

- Tak, to prawda. - Książę chrząkał, komplement nieco go udobruchał. - Ale mi dokucza. Jest nabrzmiąle. Boli.

Gdy Konrad opisał objawy - trafnie i obrazowo - rozbawienie Przeclawa od razu ustąpiło. Odezwał się w nim medyk.

- Zalecam wosk i olej, a także sok portulaki. Okłady przez trzy niedziele. Ale dolegliwość już po pierwszych okładach powinna ustąpić.

- Na pewno? Słyszałem, że na takie dolegliwości jest dobry kij. Kuracja wstrząsowa.

- Co innego jaja kmiecia, a co innego pańskie.

- A żeby im dodać ognia? - Książę skinął głową. - Jak już wyzdrowieją, znaczy.

Przeclaw westchnął. Nieważne, czy pacjent pochodzi z gminu, czy jest księciem.

Bóg jest sprawiedliwy. Każdy ma te same dolegliwości.

- Len z pieprzem.

Książę się odwrócił. Poczzerwieniał na twarzy.

- Dobrze więc. Sprawdź twoje receptury. Cieszę się, że Albrecht Niedźwiedź

podesłał mi takiego opiekuna.

- Nie zapomnij o tym, książę, gdy będziemy dzielić słowiańską ziemię.

- A ty nie zapominaj, po co tu jesteś - odciął się Konrad. - Z motłochem obcujesz, od biskupów stronisz. Nie nadstawiasz ucha. A w tej sforze wielu jest niechętnych Albrechtowi.

- Muszą zajść okoliczności, w których będę mógł upuścić trochę juchy. Ale ja nie walczę mieczem tylko trucizną.

- Czym więcej kąśliwych języków utniesz, tym bardziej Albrecht będzie zadowolony. I tym większa czeka cię nagroda.

- Nagrodę, książę, to ja odbiorę, ale od Bernarda z Clairvaux. Nie zapomnij, że i jemu służę.

Konrad się zamyślił.

- Silny to sojusz, kiedy mnich przystający z papieżem, wspiera dobrze rokującego księcia - rzekł po chwili.

- A ty, panie, wiesz komu służyć. - Mnich się uśmiechnął. - Ale dziękuję za troskę i radę.

Obaj zaczęli przedzierać się z powrotem do drogi. Ciury tymczasem uporały się z przeszkodą i kolumna ruszyła dalej. Zapadł zmierzch.

\*

Krzyżowcy po raz kolejny w ciągu ostatnich dni rozbili obóz na gościńcu.

Wszystkich ogarnęło zniechęcenie, gdyż droga do Dobina niebezpiecznie się przedłużała. Przeclaw, pożegnawszy księcia, poszedł wzdłuż wozów i naprędce rozpalanych ognisk. Szkapą była w nocy strachliwa, więc co jakiś czas musiał zsiadać z grzbietu i ją uspokajać. Klucząc między wozami, słyszał narzekania niestrudzonych dotąd rycerzy, którzy gwarzyli nerwowo. Giermkowie czyścili dla zabicia czasu broje swych panów, piechota szykowała topory i piki. Dziwki, narzekając na swój los, zarabiała na kromkę chleba, włóczędzy wykorzystywali ciemności, by podkraść coś z wozów. Przeclaw również poczuł głód. Syty śmiech kilku Sasów przy stukocie dzbanów piwa zachęcił go do podejścia bliżej ogniska. Noc zapowiadała się chłodna, pozazdrościł więc ciepła. Wokół na obalonych pniach siedziało trzech saskich krzyżowców. Gdy wyszedł z cienia, zwrócili głowy w jego stronę.

- Czego chcesz, mnichu? - warknął najstarszy z nich, brodaty.

Przeclaw przywiązał szkapę do wozu, pobłogosławił niedbale rycerzy i nie pytając o pozwolenie, przysiadł się do ogniska. Wybrał miejsce obok Sasa, który przypominał siedzącego na zadzie naburmuszonego byka.

- Ogrzać się chciałem.

- Ogrzej się przy biskupie werdeńskim Dietmarze. - Stary Sas zarechotał.

Najwidoczniej nie bał się nikogo. Biskup Dietmar, znany ze swych skłonności, nie przebierał w środkach wobec tych, którzy nazbyt pochopnie i surowo go osądzali.

- Gustuję w babach. - Przeclaw splunął w ogień.

- Ale chyba nie w mojej Magdzie!

Przeclaw dopiero teraz poznał Zygryda. Rudy Sas uniósł brew, udając, że czyta z Przeclawa jak z otwartej dłoni.

- Bo moja ruda jest ochotna, ale wierna - dodał.

Kilku rycerzy dziwnie nisko zwiesiło głowy. Przeclaw zauważył, że nie uszło to uwagi rudzielca.

- Jesteś przy Konradzie - zauważył ten o wyglądzie byka. - Mówią o tobie, że uprawiasz czary.

- Sława mnie wyprzedza. - Zaśmiał się, spoglądając łakomie na garniec piwa.

- Zła to sława, skoro nie przynosi nam chwały - wtrącił Zygryd.

- Co przez to rozumiesz? - Przeclaw stał się czujny.

- A to, że ktoś taki jak ty - Sas, który siedział najbliżej mnicha, szturchnął go palcem - nie przysłuży się wyprawie. Raczej zaszkodzi.

- Oj, księżę chyba jakiś zamysł miał, że pozwolił mu przy sobie na gościńcu jechać - stary Sas próbował bronić gościa.

- Jaki zamysł? Utknęliśmy w tym lesie na dobre! - Zygryd wysunął przed siebie dłonie, by ogrzać je nad ogniem.

Noc zapowiadała się chłodna.

- Boisz się. - Milczący dotąd najmłodszy z Sasów zachichotał.

- Daj spokój - skarcił go Zygryd, a widząc, jak Przeclaw próbuje przewiercić wzrokiem dzban piwa, który trzymał jeden z Sasów, odebrał mu go i wcisnął w dłonie mnichowi. - Pij, czarowniku.

Usłuchał skwapliwie. Po chwili, zadowolony otarł rękawem zapluta piwem gębę.

- Słyszysz ten las? - zagadnął go Zygryd.

Wszyscy przy ognisku na chwilę wsłuchali się w przytłumiony jazgot, świsty i pohukiwanie sowy. Na liściach grał wiatr.

- To demony. Słowiańskie. Nie chcą nas tutaj. - Stary Sas pokiwał głową.

- To zrozumiałe. - Najmłodszy wzruszył ramionami. - Każdy broni swego.

- Młody jeszcze jesteś i głupi! - warknął Zygryd. Odebrał dzban mnichowi i upił

łyk. - Ja nie boję się ludzi schowanych po lasach, zatrutych studni, a nawet głodu czy zimy! Po prostu nie zamierzam stać się łupem topielicy albo wampira. Nie chcę być pokarmem mamunowych niemowląt.

- Dużo wiesz na ten temat - zdziwił się Przeclaw.

- Dużo wiem o świecie. - Duma wojownika została mile połączona. - A poza tym moja żona jest Wagyjką. Słowianką, znaczy.

Boże litościwy! Ruda Magda. Przeclaw nagle zatęsknił za żoną Zygryda. Czuł

jeszcze jej zapach na sobie, ciężar jej piersi. Przełknął ślinę i odchrząknął. Miał

wrażenie, że wpatrujący się w niego rudzielec przejrzał jego myśli.

- Pomożesz mi? - Zygryd zrobił chytrą minę.

- Jeżeli tylko zdołam. - odparł nie bez obawy.

- Ciesz się mnie to. - Zygryd nie wydawał się zdziwiony. Widać był

przyzwyczajony do tego, że raczej nikt mu nie odmawiał. - Pomożesz mi zwalczyć ten niepokój. Chcę, żebyś uczynił coś, co da mi gwarancję, że jeżeli zginę, to nie od słowiańskiego demona. Nie chcę, żeby moja dusza została przeklęta. Zamierzam umrzeć jak wojownik. Z mieczem w dłoni!

Przeclaw spojrzał na piękny półtorak ze zdobioną głowicą.

- Z tym mieczem?

- To Boży Gniew. Prezent od księcia Konrada.

- A jak mam ci pomóc? - spytał Przeclaw.

- To już twój problem. - Zygryd się uśmiechnął. Uśmiechnęli się również jego kompani.

- Przecież pomagasz księciu Konradowi, a kto wie, może z twoich usług korzysta nawet sam Henryk Lew. Mówią, żeś uczony w księgach, żeś nauki medyczne i czarowskie pobierał daleko na zachód od Łaby.

Jak na prostego woja był dobrze poinformowany.

- Dużo o mnie wiesz - rzekł Przeclaw.

- Ludzie o tobie gadają. Gada moja Magda. Dzięki niej mogłem opowiedzieć o tobie księciu. Na szczęście dla ciebie darzy cię zaufaniem. Spodobałeś mu się.

Pomogłeś księciu, dlaczego więc nie masz pomóc zwykłemu saskiemu rycerzowi?

Ależ z niej głupia dziewczka, zeźlił się mnich. Wagyjska gaduła.

Wstał, by rozprostować nogi. Wpadł mu do głowy szatański pomysł.

Ryzykowny, ale przecież za kilka dni i tak go tu nie będzie. Uśmiechnął się, nie tylko do swoich myśli. A może książę Albrecht złotem wynagrodzi jego małą niespodziankę.

- Czemu szczerzysz zęby?

- Pić mi się chce.

Z wdzięcznością przyjął kolejny dzban piwa.

- To będzie cię jednak kosztować. - Przeclaw znowu się uśmiechnął.

- Zgadzam się na wszystko. - Zygfyrd był zdecydowany.

- Oddasz mi swój miecz - powiedział stanowczo Przeclaw.

Czekał chwilę, zastanawiając się, jakie to wywrze na rycerzu wrażenie.

Wywarło.

Piorunujące!

- Ty czarci pomioście! - warknął rudy i poderwał się z kłody. Zaczął wrzeszczeć: -

Myślisz, że oddam ci mój Boży Gniew?! Może mam ci oddać jeszcze moją Magdę?!

- Każdy płaci. - Przeclaw cofnął się na bezpieczną odległość, bo Zygfyrd zaczął

zbyt czule pieścić rękojeść miecza. - Płaci Konrad. Płaci Henryk. Nawet Dietmar -

kłamał. Miał nadzieję, że zrobi to na Sasach odpowiednie wrażenie. - Dlaczego więc nie ma zapłacić zwykły saski rycerz?!

Zygfyrd opadł z powrotem na siedzenie.

- Mój Boży Gniew? Byliśmy razem pod Mechlinem, we Fionii, wyprawialiśmy się na Wagrów, na Rugię!

- A po co ci miecz, mnichu? - zaciekawiał się ten o wyglądzie byka.

- Miecz Zygryda to nie byle jaki miecz - wyjaśnił krótko.

- Nawet biskup Dietmar czy Bernard z Clairvaux obnoszą się z mieczem -

zauważył najmłodszy Sas. - Czy wam, sługom bożym, nie wystarczy krzyż?

- Zamknijcie się! - Zygryd uciął to gadanie po próżnicy. - Co mi dasz za niego, mnichu?

Przeclaw uniósł brew.

- Talizman.

- Zgoda. - Zygryd poderwał się z pnia, wyciągając dłoń.

Mnich się uśmiechnął. Tak łatwo mu poszło. Uściskał grubą, szorstką dłoń Sasa.

- Ale działanie talizmanu odczujesz dopiero po upływie kilku dni - przestrzegł.

Za niespełna dwa dni dotrą pod Dobin. Była nadzieja, że jeżeli Zygryd nie zginie podczas przeprawy przez obodryckie lasy, to będzie nawozem na morzyckich bagnach pod grodem Niklota. Pogmerał chwilę przy mieszku zawieszonym u pasa pod habitem i wyjął mały zielony kamień.

- To Plugawa - oznajmił. - Broni przed mamunami, topielicami, wampirami.

Zygryd porwał kamień i zaczął go gładzić z namaszczeniem.

- Chcę mieć pewność, że to zadziała. - Spojrzał badawczo na mnicha.

Przeclaw tylko na to czekał. Czuł, że Zygryd i tak mu już wierzy, ale przy kompanach nie chciał wyjść na łatwowiernego.

- Kiedy kamień zacznie działać, weźmiesz go i pójdziesz sam w nocy do lasu.

Bez miecza i bez tarczy.

To za Magdę, uśmiechnął się do siebie w myślach. Za jej pręgi na plecach. Za jej wyłamane palce.

- A jeśli nie wrócę?

- Nie jestem głupcem. Twój kompani wymierzą mi karę. Masz swoje gwarancje.

- Zgoda. Ale nie myśl, że schronisz się w cieniu Konrada albo nawet samego Henryka.

Przeclaw skinął głową, ale na znak, że Sas może pocałować go w rzyć.

Zygryd ze smutkiem pogłaskał miecz na pożegnanie i wręczył go mnichowi.

Ten ścisnął go mocno i powiódł wzrokiem po twarzach zamyślonych i wpatrujących się w niego

Sasów.

- Z Bogiem. Czas na mnie - pożegnał się. Pobłogosławił Sasom, życząc im dobrego snu, i odszedł.

Gdy znalazł swój dom na kółkach, Magdy już w nim nie było. Wdrapał się z wysiłkiem i legł na sianie. Chyba przysnął.

Gdzieś nad uchem usłyszał śpiew. Cichy, jakby kołysankę. Gdyby nie zapach mokradeł, przysiągłby, że to Magda. Odwrócił się. Wozem zatrzęsło. Usłyszał chłupot wody i odgłos pośpiesznie oddalających się kroków. Rozerwana płachta za jego plecami przekonała go, że to nie sen.

Spojrzał w stronę leżącego w ciemnościach Jaksy. Książę sapał ciężko. Znak, że jeszcze dychał.

W jednej chwili Przeclaw wszystko zrozumiał. To choremu leśne lichy śpiewało na ozdrowienie.

Nie dla uszu mnicha muzyka.

Nie przejął się jednak tym wcale. Wręcz przeciwnie. Licho złego przecież nie weźmie, pomyślał o sobie, szczerząc zęby w ciemnościach.

Wymościł sobie legowisko na sianie i wspomniął Sasów.

Gdyby zechciał, mógłby naprawdę sprzedać Zygfydowi talizman chroniący go przed lasem. Ale sztuczki dla ubogich duchem bawiły go bardziej, poza tym magia wymagała więcej czasu. Zresztą musiał przyznać, że dzięki małym oszustwom robiło mu się lekko na sercu, tak dobrze, tak grzesznie... Zasnął szybko, pomimo dziwki, która, wykorzystując jego drzemkę, próbowała okraść ich wóz. Wymierzył jej kilka kuksańców na ślepo, ale celnych, bo uciekła z jękiem. Wróciła po chwili. Uprosiła kawałek ciasta i wdzięczna, przylgnęła do jego pleców. Zasnął w jej objęciach.

Przeclaw ocknął się na dobre dopiero, gdy poczuł czyjąś dłoń na ustach.

Próbował odszukać w sianie Boży Gniew, ale obrona nie była konieczna. Pochylał się nad nim Sas o wyglądzie byka. A dziwka gdzieś znikła. Pozostał mu po niej jedynie ból pleców.

- Tak? - Mnich wsparł się na łokciach.

Ludzie przy wozach spali, zewsząd dochodziło pohukiwanie sowy, czasami szepty przechodzącej tuż obok straży.

- Chcę talizman - szepnął Sas. - Taki sam, jaki otrzymał Zygfyd.

Stary wstydził się nieco, więc cała transakcja odbyła się sprawnie i szybko. Za kamień znaleziony przy drodze - innego Przeclaw nie miał pod ręką - Sas oddał mu pięknie zdobiony nóż.

Chcąc sprzedać go na gościńcu, Przeclaw mógł liczyć nie tylko na kurkę i jajeczko.

- Dlaczego talizman nie jest zielony? - Sas stał się czujny. - Dawaj inny! Chcę taki, jaki ma Zygfyd.

- Nie ma dwóch takich samych kamieni na świecie. Tajemnicze wyjaśnienie uspokoiło go nieco, bo pokiwał głową zadowolony i odszedł w ciemność.

Nad ranem zjawił się najmłodszy z Sasów, bardziej podejrzliwy niż jego kamrat.

Dał się przekonać dopiero po tym, jak mnich pokazał mu sztuczkę ze znikającą w dłoni monetą. Opłacało się. Przeclaw wzbogacił się o skórzany pas. Kolejna dobra wieczerza.

\*

W ciągu dwóch następnych dni Konrad wzywał Przeclawa wielokrotnie.

Burgundczyk uważał się na ustawiczne bóle głowy. Narzekał, że nie pozwalają mu trzeźwo myśleć. Książęce przyrodzenie natomiast goiło się zbyt wolno, a w nosie i w gardle zalegała plwocina. Jednakże najbardziej, pomimo upalnego lata, dokuczały mu bóle w krzyżu, które zazwyczaj pojawiały się od wilgoci i zimna. Mimo to Przeclaw był

zadowolony. Usługując księciu, mógł się wywiedzieć, kto zbyt ujadą w sforze biskupów i książąt niechętnych Bernardowi, a także poznać plany Henryka Lwa, bo niekończące się spory między możnymi panami o podział łupów potęgowały wśród krzyżowców zwątpienie.

Choć wyprawę dzieliły od Dobina już tylko dwa dni drogi, smutek zawisł jak czarna chmura także nad obozem. Rycerstwo wyczekiwało otwartej walki, a ciżba padała z wycieńczenia. W taborze panował chaos, mnożyły się kradzieże, bydło padało, znikały konie. Zaczęły się problemy z wyżywieniem, bo Słowianie zatruli studnie, niszczyli pola. Nawet płomienne kazania Bernarda zagłuszał ryk dziatwy, płacz matek i pokasywanie starców.

\*

Krzyżowcy siedzieli w namiocie Henryka Lwa rozstawionym wśród wozów.

Prócz gospodarza i księcia burgundzkiego, na naradę stawili się także biskup werdeński Dietmar, arcybiskup hambursko-bremeński Hartwig, margrabia z Saltwedele, kilku pomniejszych baronów, a także Bernard z Clairvaux i Helmold, duchowny, który spisywał kronikę Słowian.

Przeclaw znał jego dzieło i postanowił, że gdy tylko opuszczą namiot, porozmawia z duchownym.

- Słowianie spalili swoje wsie, zabrali bydło, zatruli studnie. - Arcybiskup hambursko-bremeński miał skrzekliwy, kobiecy głos.

- A mówią, że Słowianie to lud gościnny. - Biskup werdeński Dietmar się zaśmiał.

- Trzeba nam zjechać z gościńca i znaleźć inną drogę na Zwierzyn -

zapropozował książę burgundzki Konrad.

- Nie ma innej drogi - stwierdził Henryk.



Przeclaw wiedział, że Konrad nie śmiałby sprzeciwić się młodemu księciu, nawet jeżeli Henryk Lew nie miał racji. Książę burgundzki marzył o spowinowaceniu swojej rodziny z rodem Henryka Lwa. Jego córka miała poślubić młodego księcia już za parę miesięcy. Nie chciał więc zniweczyć tak korzystnego mariażu. Jednakże z nienawiści do przyszłego zięcia zamierzał pokrzyżować mu plany i pokumać się z Albrechtem Niedźwiedziem. Kto wie, jaki saski pan w dniu sądu nad Słowianami będzie rozdawał ziemię? Na wszelki wypadek Konrad jednemu się przysłuży, drugiemu odda córkę. Zabezpieczał się ze wszystkich stron.

Margrabia z Saltwedele, który również starał się przypodobać księciu saskiemu, postąpił krok naprzód.

- Przecież całe rycerstwo niemieckie nie zawróci z powodu bandy pogan.

Henryk Lew zacisnął pięści.

- Nie cofnę się, chociażbym nawet miał skakać po drzewach.

- Panowie, więcej wiary - odezwał się biskup werdeński Dietmar, który był

bardzo łasy na dzierzawy.

Bezpośredni zatarg z Albrechtem o jakąś podrzędną parafię nie pozostawił mu wyboru. W dniu krucjaty musiał stanąć przy boku Lwa.

- Albrecht Niedźwiedź jest dzień drogi za nami. Idzie wprost na Dymin. Po drodze Brenna. - Henryk zmarszczył brwi. - Zastanówcie się, panowie, kogo byście widzieli przy podziale łupów. Tych, co idą ze mną, czy tych przy boku Albrechta?

Musimy szybko zająć gniazdo Niklota, by podążyć dalej na wschód.

Arcybiskup hambursko-bremeński i margrabia z Saltwedele pokiwali skwapliwie głowami. Nie uśmiechało im się, żeby inni biskupi idący za Albrechtem Niedźwiedziem pierwsi dotarli nad Pianę czy Hawelę.

- Albrechta wspierają Flamandowie, Walonowie i Lotaryńczycy. Askańczyk znął ich ziemią - ciągnął swój wywód Henryk. - Ale nas wesprą Duńczycy. Bardzo na nich liczę. Swen i Kanut odłożyli właśnie na czas wyprawy. Mają dotrzeć do portu Wyszomir.

Przez trzy pacierze debatowano jeszcze nad sprawami, czemu uważnie się przysłuchiwał Przeclaw. Z zaciekawieniem przyglądał się nerwowym spojrzeniom Bernarda z Clairvaux i jego zaciśniętym ustom, otyłemu Henrykowi czy leniwie mówiącemu Konradowi, który, gdy patrzył na Lwa, przypominał merdającego ogonem fałszywego pieska. Panowie się sprzecjali, nie podejmując jednak żadnego konkretnego planu. Spory nieco ucichły, gdy odezwał się Bernard z Clairvaux.

Przeclaw znał go dobrze i wiedział, że woli przemawiać do możnych, nie do gminu. Złożył ręce jak do modlitwy, pochylił lekko głowę, niby w pokorze, i zaczął

przemawiać spokojnym, ale złowróżbnym tonem:

- Zaiste, problemy podziału dzierżaw i grodów słowiańskich warte są książęcej i biskupiej uwagi. Ale pamiętajcie, co macie na tunikach. - Cysters wyciągnął spod płaszcza krzyż i mocno ścisnął go w dłoni. - Krucyfiks! Przybywacie na Połabie, by chwalić Pana, by walczyć z pogaństwem i herezją. Nie zapominajcie o tym.

- Nie pozwalasz nam o tym zapomnieć, Bernardzie - mruknął książę Henryk.

Tylko on nie obawiał się cystersa, choć również w nim Bernard musiał budzić niepokój. - Twoi siepacze są poza moją kontrolą.

Przeclaw spojrzął na Bernarda, zastanawiając się, jak opat odeprze zarzut.

Jeszcze przed Boizenburgiem, podczas jednego z kazań Bernard wyklął tych, którzy nie wierzą w zbożny cel wędrówki, utyskiwał na upadek moralności i na panujące wśród krzyżowców zwątpienie. Na reakcję nie musiał długo czekać. Wielu niedorostków uzbroiło się w kije i pałki, zebrało się w bandy i wyruszyło na własną krucjatę. Między tabor. Przeganiali wszetecznicę, tłukli na kwaśne jabłko ubogich mnichów, łamiących celibat, przy ogniskach zapewniali ciżbę o świętości ich misji, dbali także o jej bezpieczeństwo w nocy i w dzień, wystawiając straż.

- Mają zbożny cel - wyjaśnił po chwili opat.

- Jak my wszyscy - zauważył biskup Dietmar, ośmielony sprzeciwem księcia.

Bernard posłał mu złowróżbne spojrzenie. Nie znosił sprzeciwu osób duchownych. Mógł zrozumieć opór świeckich, ale byle klecha nie powinien szczekać, tylko merdać ogonem. Zmieniły się czasy od chwili, kiedy doradzał biskupom, i teraz to oni będą doradzać jemu. Jeżeli im na to pozwoli.

- Twoje psy, Bernardzie, pojawiają się, kiedy trzeba palić słowiańskie chaty i kąciny - odezwał się margrabia z Salwede. - Szkoda, że nie ma ich, kiedy trzeba oczyścić gościniec z barykad.

- Moje psy są święte! Nie będą robić za pacholków. Ich przeznaczeniem jest walczyć za wiarę. W przeciwieństwie do was nie zapomnieli o tym. Wy myślicie wyłącznie o ziemi, która przypadnie wam w łupie!

- To hołota - nie wytrzymał Henryk. - Zwyczajni siepacze! Nie wstydzą się grabić nawet naszej kolumny!

Kilka osób spojrzało wymownie na Przeclawa. Ten wzruszył bezradnie ramionami. Nie czuł się za nic odpowiedzialny.

- Odsiewają ziarno od plew. - Bernard z trudem się uspokoił.

- Gwałcą kobiety, zabijają mężczyzn.

- Zabijają dziwki i włóczęgów - nie ustępował cysters.

- A ty? Co o tym sądzisz, biskupie? - Henryk zwrócił się do Dietmara.

Nie był najstarszy, ale jako jeden z nielicznych wśród tej biskupiej kłótlivej sfory miał przebłycki intelekt.

Zaległa cisza. Dietmar poczuł na sobie wzrok Bernarda. I jego nienawiść.

Postanowił nie ryzykować dalszej waśni z cystersem.

- Boli mnie w krzyżu - oznajmił nagle.

Bernard uśmiechnął się tryumfalnie. Skinął na Konrada i Przeclawa. Los biskupa został właśnie przesądzony. Przeclaw przewidywał, że tak właśnie zakończy się próba sił między tymi dwoma. Dietmar, jak wielu niemieckich biskupów, przychylnie patrzył na herezję, która przecież chciała obalić stary porządek we Francji, w Cesarstwie. Gawiedź rozniosłaby kilka pomniejszych biskupstw, ale przede wszystkim runęłaby na opactwa, które tak bardzo tkwiły ością w gardle biskupom, bogacąc się i ściągając najlepsze donacje od fundatorów. Gdy pożoga zaczęłaby zagrażać większym miastom i biskupstwom, stłumiłoby się herezję, a winnych by osądzono. Bernard jednak w zarodku stłumił herezję w Langwedocji, tym samym podcinając skrzydła biskupom niemieckim. Dlatego też nie zamierzał odpuścić na Połabiu, by już nigdy nie odrodziła się herezja. Wielu biskupów ruszyło z niemieckim rycerstwem za Łabę ze strachu, żeby Bernard nie mógł ich oskarżyć o herezję.

Henryk zacisnął pięści. Jeszcze mocniej niż poprzednim razem.

- Koniec narady - oznajmił.

Przeclaw odetchnął z ulgą. Jak na jego gust, w namiocie zrobiło się zbyt gorąco.

Henryk pożegnał książąt i wyszedł niezadowolony. Konrad zatrzymał się przy biskupie Dietmarze. Książę wiedział już, co należy robić.

- Boli w krzyżu? - spytał.

- Twoja troska mnie poraża. - Dietmar był nieufny.

- Mogę polecić mojego medyka. Jest znakomity. - Konrad bezwiednie pogłaskał

się po przyrodzeniu i wskazał na Przeclawa.

Dietmar już chciał odejść.

- Chrystus nosił swój krzyż, więc i ja nie będę narzekał.

- Nie tylko na krzyż może ci pomóc.

Dietmar się zatrzymał. Przechylił głowę, jakby w ten sposób mógł ocenić intencje księcia.

- Przyjdź do mnie jutro, mnichu. - Spojrzał na Przeclawa i niedbale machnął ręką.

Najwidoczniej uważał, że robi Konradowi łaskę.

- Tylko nie zapomnij, kto ci go polecił, biskupie! - zawołał za Dietmarem księżę, gdy ten opuszczał namiot.

- Zapewniam cię, księżę. Nie zapomnę.

Reszta biskupów i baronów kłóciła się jeszcze o coś zapamiętałe. Przeclaw, czując się zwolniony z obowiązku towarzyszenia Konradowi w tych sporach, odszukał

Helmolda. Mały gruby mnich z niedbale wygoloną tonsurą sprawiał wrażenie zagubionego, przez cały czas trzymając dłonie złożone jak do pacierza. Właśnie miał

zamiar opuścić namiot.

- Ile w tym prawdy? W tym o czym piszesz w kronikach. - Przeclaw zastąpił mu drogę.

Helmold spojrzał na niego zaskoczony.

Przeclaw zetknął się z jego zapiskami w Chartres. Wszystkie dotyczyły historii Słowian. Dowiedział się także, że akolita kontynuuje swe dzieło, sięgając także daleko w przeszłość.

- Prawda jest jedna. - Kronikarz wzruszył ramionami.

- Prawd jest tyle, ilu kronikarzy - uciął Przeclaw.

To, co przeczytał w jego kronikach, nie przypadło mu do gustu.

- Dlaczego nie piszesz o magii?

- Jest tam tyle magii, ile zapragniesz. Magii miłości chrześcijańskiej, poświęcenia, oddania modlitwie.

- Mówię o prawdziwej magii. - Mnich nie dawał za wygraną. - Tej z lasu.

Helmold dopiero teraz rozumiał. Na początku było widać, że mnich go przeraził, zaraz jednak na jego twarzy zagościło uczucie ulgi.

- Jeden z moich rozdziałów będzie traktował o religii Słowian. Opiszę kąciny, świątynie Trzygława, bogów Arkony. Nie wszystko pewnie zobaczę, ale wierzę, że z krucjatą dotrę w takie miejsca, o których nawet nie śniłem. - Kronikarz pobłogosławił

go i odszedł.

Przeclaw spojrzal za nim z pogarda. Atramentu nie powinno się marnować po próżnicy. Splunął. Nic to, pomyślał, historia osądzi.

### ROZDZIAŁ III

*Nienawiść w nim wezbrała jak wody Jeziora Zwierzynieckiego podczas kąpieli boginek.*

*Kronika Słowian, Księga I, Wojna*, autor nieznanego Nie przez przypadek Niklot wybrał na miejsce wiecu Dobin, leżący na północ od Mechlina i na zachód od Lubeki. Gród stał się głównym ośrodkiem oporu przeciwko saskiej krucjacie. W przeciwieństwie do Mechlina - pierwszego co do ważności grodu Niklota - Dobin był trudniejszy do zdobycia. Nazywano go leśną fortecą. Do grodu prowadziła tylko jedna grobla, a tę książę kazał zalać. Wzniesiono nowe, wyższe wały.

Jezioro Zwierzynieckie i mokradła stanowiły naturalną zaporę. Niklot kazał

poprzecinać leśne drogi zasiekami z powalonych drzew, a w zagajnikach, na łąkach i przy strumieniach Obodrycy pozakładali liczne pułapki - głębokie doły, zamaskowane rowy, na których dnie czekały naostrzone jak kły wilka pale.

Wojska krzyżowców rozstawiły się nieopodal jeziora na południe od grodu.

Henryk Lew kazał wykarczować las po wschodniej stronie, tak by mieć materiał dla machin oblężniczych i dość miejsca na obozowanie. Stały tam namioty rycerzy i luksusowe pawilony książąt, baronów i biskupów. Poślednie rycerstwo i najemnicy rozłożyli swój dobytek bliżej brzegu, naprędce rozpalili ogniska, pozwalając ogrzać się przy nich włóczęgom i dziewczkom. Między jeziorem a Dobinem ciągnęła się główna droga, którą przybyli Saksończycy. Henryk wysłał jeden oddział zbrojnych dalej gościńcem na wschód, by obsadził jedyny most na Warnawie. W ten sposób, gdy z północy nadejdą Duńczycy, gród zostanie odcięty od reszty Połabia.

Po dwóch pracowitych dniach, kiedy to nieustannie we dnie i w nocy, przy świetle płomieni buchających z licznych ognisk, składano trebuszety i naprawiano drabiny, przygotowywano koty dla osłony saperów oraz kuszników, maszyny wojenne przystąpiły do działania. Ostrzał trwał nieubłaganie przez kolejne dni. Oblegany gród nie pozostał dłużny. Gdy tylko wróg podchodził bliżej palisady, przekraczając niewidzialną granicę między jeziorem a mokradłami, witała go chmura strzał.

Niekiedy na nieostrożnych leciał grad kamieni.

Z każdym kolejnym dniem niemieckie rycerstwo coraz bardziej nerwowo reagowało na przeraźliwy świst, zwiastujący chmurę kolejnych pocisków. Uspokajając konie, przeklinali Henryka Lwa za to, że wyszedł na głupca. Kusznicy i piechurzy stojący bezpiecznie na skraju lasu, zalegając w namiotach i wozach albo tłocząc się w nocy wokół ognisk, klęli lato, że zbyt gorące, noce, że zbyt chłodne, a księcia za niewypłacony żołd. Odważniejsi przeklinali - tylko w duchu - samego pana Boga.

Henryk Lew klął na Duńczyków, którzy obiecali pomoc, a ta nie nadchodziła.

Książę Konrad ledwo stał na nogach. Klimat Połabia bardzo mu nie odpowiadał.

- To świnią! - rzekł książę, po czym wyrzygał ciężkie germańskie piwo.

- Kto, panie? - zapytał Przeclaw, choć doskonale znał odpowiedź.

- Ten młody pyskacz wystawia moją cierpliwość na próbę. - Konrad spojrział w stronę brzegu jeziora, gdzie majaczyła wątła sylwetka saskiego księcia, i otarł brodę rękawem. - Oni też. - Przeniósł wzrok na gród. - Też świnię! Nic sobie z nas nie robią.

A przecież tylu mężnych chrześcijan im zagraża. Mogłem iść od razu z Albrechtem.

Pewnie już siedzi w Brennie, dzieli łupy między tych, co z nim poszli. Choć mam nadzieję, że nie zapomni mych zasług, kiedy przyjdzie dzień zapłaty.

- Kiedy przyjdzie pora, panie. Tymczasem napatrzę się jeszcze, potem ruszę do Brenny. Zresztą muszę czekać na posłańca od Albrechta.

- Chyba że go wilki na gościńcu dopadły. Ale w sumie racja. Teraz trzeba nam cierpliwie trudy wojny znosić i o wstawiennictwo u Najświętszej Pani prosić. -

Konrad beknął. - A posiłków jak nie było, tak nie ma. Rycerstwo się niecierpliwi.

Zbiegło już kilka tuzinów piechurów.

- A więc to prawda? - Przeclaw uśmiechnął się na myśl, że tyle niepośledniego przecież, bo rodowego rycerstwa przegrywa właśnie - w ich mniemaniu - z pogańską hołotą. Przyczek w nos nauczył ich pokory, no i biskupów.

- Prawda - przytaknął.

Przeclaw od dwóch dni nie trzeźwiał, nie znał więc najnowszych wieści. Skrył

się przed Konradem, biskupem Dietmarem, Zygfydem, nawet Magdą; doglądał

księcia Jaksy, który z dnia na dzień zdrowiał. Gdy miał za co, korzystał z uciech zgrabnych saskich dziewczek, leczył, albo znikał na długie godziny w lesie. Cieszył się, że niedługo będzie mógł opuścić morzyckie mokradła. Dzięki majakom księcia w chorobie dowiedział się, że Jaksza jest ważnym słowiańskim księciem, który zapewni mu w drodze do Brenny bezpieczeństwo. A kiedy przyjdzie czas, Przeclaw otruje to, co uleczył.

- Sześciu z nich wróciło. Ale tylko trzech na własnych nogach. - Głos Konrada przywrócił mu zmysł słuchu.

I powonienia.

Dopiero teraz poczuł, jak książę śmierdzi od tych nieustających wymiotów.

- Słucham? - Przeclaw uniósł brew.

- Trzech z tych, którzy uciekli, znaleziono na obrzeżach puszczy. Mieli pogryzione gardła. Rycerze mówią, że to słowiańskie duchy, mamuny, topielice. Pełno ich po bagnach. Biskup Dietmar zdradził mi, że ciągną za nami całe hordy koboldów, karłów z Fionii, Saksonii, Bawarii. Sam diabeł nam depcze po piętach. - Zniżył głos do szeptu. - Odkąd nad Saksonią, Wagrią, i dalej na wschód zawisł krzyż, uciekają przed wodą święconą. Na pogańską ziemię! Biskup mówił, że między demonami toczy się walka o lasy, mokradła i łąki. Ale co ja ci będę tu gadał. Ty na pewno wiesz o tym więcej. - Machnął ręką.

- A niby skąd? Strach zatruwa serce mężnym wojom. Choć przyznaję, że tu w połabskich lasach jest coś więcej niż tylko drzewa.

Konrad się uśmiechnął.

- Ty wiesz lepiej. Nie tylko o Bogu na uniwersytetach uczą. - Skrzywił się, bo znowu zebrało mu się na wymioty.

Stanął w rozkroku, oparł się jedną ręką o Przeclawa i dał ulgę żołądkowi.

Trwało to prawie tak długo jak oblężenie Dobina. Kiedy skończył, oczyścił trzewia, siląc się na gazy, i westchnął. Czy z ukojenia, tego Przeclaw mógł się tylko domyślać.

- No i wielu biskupów oraz książąt ostatnio pomarło - rzekł książę. - Podobno mieli wspólną cechę. Wszyscy sprzeciwiali się Albrechtowi Niedźwiedziowi. Ale dla ciebie to nie tajemnica.

- Za głośno szczekali. Chyba się czymś struli. - Przeclaw się uśmiechnął.

- Tak napisze Helmold w swojej *Kronice Słowian*. - Konrad się zaśmiał. - A księcia Dietmara uleczyłeś?

- Nie miałem jeszcze okazji. Ale zapewniam, że ból krzyża przejdzie mu już na wieki.

- Swoją drogą nie wierzę, że ktoś taki jak on należał do heretyków z Langwedocji.

- Rozeznajesz się, widzę, w kościelnych sporach.

- Teologia jest mi obca, ale nie walka o władzę.

Przeclaw skrzyżował ręce na piersi, zapatrzył się gdzieś przed siebie.

- Wielu biskupów takich jak Dietmar nie przestało warczeć. Korzystają z ochrony świeckich panów - zauważył książę.

- Właśnie tym ucinam języki.

- Ale chyba dlatego, że się domyślają, co też umknęło twojemu panu w Chartres i w Langwedocji. Zresztą sam jestem tego ciekaw. Czy jest to więcej warte niż urodzajna ziemia? - Konrad spojrział pytająco na mnicha. - Czy znalezienie tego okaże się wystarczającą zapłatą dla ciebie? A jeżeli już to

znajdziesz, czy będziesz miał tyle sił, żeby się tym podzielić ze światem? Myślałeś kiedyś o tym?

Przeclaw potwierdził skinieniem głowy. Księga zapisana krwią Syna Bożego rozbudzała wyobraźnię. Kiedy ją odnajdzie, wiele będzie zależało od tego, co z nią zrobi. Może między jej kartami odnajdzie wskazówki. Już teraz wiedział, że dzięki niej zerwie się ze smyczy Bernarda.

- Czyż nie zwą tego kamieniem filozoficznym? - Burgundczyk wciągnął głęboko połabskie powietrze. Zastanawiał się, ile jeszcze dni będzie musiał zapijać smutki na tym bagnistym padole. - Mam przeczucie, że wszystko czynisz nie w imię wiary. A wręcz przeciwnie, w imię jakichś diabelskich sztuczek. Daleko ci do gorliwości twojego preceptora.

O dziwo, Przeclaw wcale nie wyczuł w jego głosie zarzutu.

Książę na chwilę się rozmarzył. Zmrużył oczy, by nie widzieć tego, co go przytłaczało, by pod zamkniętymi powiekami lepiej móc wyobrazić sobie swoją przyszłość.

- Wystarczy mi małe księstwo. Dla mnie to bardziej namacalne niż pogoń za nieznanym. Muszę uszczknąć coś dla siebie z tej słowiańskiej ziemi. - Konrad machnął w stronę Dobina, jakby się odganiał od natrętnej muchy. - Głodem grodu, tak jak chciał Henryk, nie weźmiemy. Te słowiańskie bękarty wychodzą nocą za wały.

Gdzieś wśród mokradeł jest ścieżka. Rycerz tam nie wejdzie, zbyt ciężka zbroja, a ciura pogubi ze strachu gacie. Złapaliśmy nawet jednego obodryckiego szpiega, ale wolał połknąć własny język niż zdradzić przejście.

- Książę Henryk prędzej czy później zrezygnuje. - Mnich chrząknął niepewnie.

Konrad spojrzał na niego zdziwiony i rzekł:

- Bernard z Clairvaux przekonał papieża Eugeniusza III, by ten błogosławił

wyprawę i nadał krzyżowcom takie same prawa, jakie mieli ci, którzy wyruszali do Ziemi Świętej. Zastrzegł jednak, że pod groźbą ekskomuniki nie można przyjmować od Słowian okupu. Więc Henryk jest w potrzasku. Nie może odejść spod grodu, bo straci twarz, nie mogąc wziąć okupu.

- Bernard spełnił jedynie wolę Albrechta. W ten sposób Henryk Lew jest uwięzany, Albrecht zaś spokojnie dojdzie do Brenny i Dymina. Albo, kto wie, może i dalej.

- Jeżeli też nie utknie gdzieś pod jakimś grodem. A tu, jak tak dalej pójdzie, stracimy całe wojsko. No i gdzie są ci Duńczycy?

Spojrzeli w stronę ostrzeliwanego grodu. Konrad z niechęcią, Przeclaw z roztargnieniem.

Południowa strona grodu była narażona na nieustanne ataki Sasów - od dwóch dni próbowali podejść pod osłoną kotów pod palisadę, by utwardzić grząski grunt, rozrzucając piasek i łupki kamieni. Nawet najwięksi śmiałkowie, zanim pozbyli się balastu, ginęli od strzał i z błotem w pysku. W cieniu drzew pracowały proste, sklecone naprędce maszyny oblężnicze. Na dwóch belkach wbitych na krzyż



w ziemię obracała się inna, do której po jednej stronie przymocowano łychę z przeciwwagą ze skórzanego worka wypełnionego balastem. W stronę grodu leciały ze świstem belki i kamienie. Jednakże za palisadę docierały tylko mniejsze pociski, nie czyniąc większych szkód w grodzie. obrońcy wydawali się niezwyknięci.

Henryk Lew podjechał do Przeclawa i Konrada niespodziewanie od tyłu.

- Trzeba nam posiłków. - Odchrząknął, poprawiając się w kulbace.

- Więc trzeba posłańców wysłać - zauważył księżę.

- No to ślij. - Henryk wzruszył ramionami. - I niech kilku wojów pójdzie na południe od grodu. Niech spalą wszystko, co napotkają.

Zawrócił konia i popędził na wzgórze.

Konrad nie wytrzymał.

Rzygnął po raz ostatni.

Przeclaw spojrział na swoje kolorowe łapcie.

Protekcja księcia była mu coraz bardziej nie w smak.

- Zrób coś z tym. - Konrad wskazał na wymiociny.

Przeclaw schylił się, by przyjrzeć się zawartości książęcego żołądka.

- Czyste jak woda. To nie zatrucie, księżę.

Konrad wzruszył ramionami.

- Wszystko jedno, bylebym przestał. Co rano wstaję i ściska mnie o tu. -

Wskazał żołądek. - Bez względu na to, czy piję.

- To zwykłe nerwy.

- Co radzisz?

- Myślę, że dobrze by było zapomnieć o Henryku, Dobinie i całej tej wojnie.

Chociaż na chwilę.

Konrad przyjrzał się uważnie mnichowi.

- Niech będzie. Co więc radzisz?

- Kobietę.

- Prawdziwy z ciebie medyk. Mistrz. - Księżę uśmiechnął się lubieżnie.

\*

Zgiełk nagłego szturmu wypłoszył leśne zwierzęta; sarny i jelenie rzuciły się w pogoń, nagięły się młode drzewka i krzewy, z liści pospadała rosa.

Przeclaw i Jaksza wymościли sobie legowisko z gałązek i mchu przy powalonym konarze. Na polanie znajdującej się na lekkim wzniesieniu, osłoniętej od wiatru ścianą drzew, mieli dobry widok na drewnianą palisadę Dobina; Sasi, Wagrowie, Fionowie próbowali właśnie ją zdobyć po raz kolejny. Spokojne niebo upstrzone bestiariuszem chmur, przysłonił na *Zdrowaś Maryjo* grad strzał, po *amen* nastąpił

łomot i szcęk żelastwa. Las wypełnił się krzykiem.

- Niekiedy jak w teatrze jesteśmy aktorami, innym razem wyłącznie widzami. -

Przeclaw oparł głowę o chropowate drzewo.

Wciągnął do płuc przesycone krwią i dymem powietrze.

Księżę z Kopnika nie ozdrowiał jeszcze zupełnie, ale mógł już chodzić o własnych siłach. Zatem gdy tylko ocknął się nad ranem, mnich zabrał go, by rozprostował kości. Księżę jednak nadal miał mętny wzrok i obolałą głowę.

- O czym myślisz? - szepnął Jaksza, nie przestając zerkać na obwarowania grodu.

- O życiu. O tym, że nie zawsze zostajemy tym, kim chcemy zostać. Że w młodości widzimy siebie jako księcia, a zostajemy jego błaznem. Marzymy o wynalezieniu lekarstwa, a w końcu trujemy ludzi. Choć dla niejednego trucizna to też lekarstwo. - Przeclaw uśmiechnął się złowróźnie.

- Tak sądzisz?

- Nie mówię o medykamentach, tylko o życiu, które zadaje ból. Zatrzuwa. -

Pokiwał palcem. - A w tobie widzę wiele niepokoju. Ale nie martw się, kiedy umieramy, nic już nie zabieramy ze sobą.

Patrząc na słowiańskiego pana, Przeclaw zastanawiał się nad trucizną, jaką wybierze, gdy przyjdzie

na to pora.

- Uratowałeś mi życie. - Jaksza nie dziękował. Stwierdził fakt. - Po co mnich ratuje sprewiańskiego księcia?

- Żeś księżę, tego rozeznąć nie mogłem po twojej zachlapanej juchą mordzie.

Jakeś leżał w rowie, to byłeś człowiek. A człowiekowi w niedoli trzeba pomóc.

Sprewianin wziął do ręki gałązkę, by w zamyśleniu ogołocić ją z liści.

- Taki dobry jesteś? Uważaj więc, bo nie wystarczy ci życia na dobre uczynki, mnichu - rzekł wreszcie.

- Racja. Dziękuj Magdzie, nie mnie. Ma miękkie serduszko. A jak zacząłeś we śnie majaczyć, to i ja uznałem, że skorzystam na twoim zdrowiu. Bo skorzystam, prawda?

- Winny ci jestem, żeś mi juchę z pyska otarł, to prawda. Do życia przywrócił.

Czego chcesz?

- Niechętny jesteś, księżę, do zadośćuczynienia za dobry uczynek. Ale honorowy. Tak też sobie myślałem. Odprowadzisz mnie bezpiecznie do Brenny.

Poprowadzisz najkrótszą drogą.

Jaksza przyjrzał się uważniej mnichowi.

- Mogłem się domyślić. Słowiańską ziemią kupczycie, ale nie dzielcie skóry na niedźwiedziu. Gdy tylko ujrzymy brenneńską bramę, nie będę już twoim dłużnikiem.

- Zgoda.

Uścisnęli sobie dłonie. Ale niezbyt mocno.

Z ciemnej puszczy, przez odgłos ścinanych i powalanych przez Sasów drzew przeniknął cichy, ale rozpoznawalny śpiew.

- To mamuna. - Przeclaw splunął. - Coraz bliżej podchodzą ludzkich siedzib.

Wyglodniały. Zbliża się uczta. Mówią, że nie ma już leśnych demonów na Wołogoszczy. Wszystkie rusałki, wąpierze, utopce albo pozdychały, albo uciekły przed chrześcijańskim mieczem za Łabę, do was. W obodryckich lasach czują się jak u siebie w domu. - Wsłuchał się uważniej w śpiew mamuny. - To zew śmierci. Nie będą rozróżniały saskiej krwi od waszej. Dla nich to jedna krew. Ludzka.

Nagle śpiew umilkł. W puszczy jednak nadal wyczuwało się napięcie. Świergot rozbudzonych ptaków mieszał się z nerwowym stukotem dzięcioła; gdy ustał, ptaki zerwały się z przeraźliwym

skrzekiem.

- Tak czy inaczej, Obodryci nie są sami. - Jaksą się zamyślił. - Wielu Sasów pochłoniął las. A są tu chyba wszystkie chorągwie książąt i biskupów niemieckich.

Zanim Sasi odejdą, pewnie z nastaniem suszy, dużo krwi się jeszcze przeleje. Ale wystarczy dla wszystkich. - Spojrzał na gród jakoś dziwnie, potem na drzewa. -

Chciałbym jednak usłyszeć śpiew słowiańskich rogów, krzyk Czrezipienian, Doleńców, Ranów. Cokolwiek. Byleby wiedzieć, że nie tylko bogowie czuwają nad Obodrytami.

- Oby czuwali również Ranowie - prychnął Przeclaw. - Ponoć was wesprą, bo nie chcą zostać prowincją duńskich bękartów.

Jaksą się domyślał, że Ranowie czyhali ze swoimi statkami u ujścia rzeki na Bałtyku, żeby zablokować część duńskiej floty, która zmierzała pod Dobin.

Ich rozmowę przerwała Magda. Wróciła z lasu z koszem jagód. Dzięki barwionej na czerwono sukni i trzem srebrnym spinkom wpiętym we włosy wyglądała jak wysoko urodzona pani. Cyc wypchnęła spod haftowanej koszuli obficie i pięknie niż zwykle.

- Chodź ze mną. - Kusząco oblizwała wargi.

Przeclaw odchrząknął i rzucił krótkie spojrzenie na księcia.

- Idź, poradzę sobie - bąknął zamyślony Jaksą.

Mnich pozwolił pociągnąć się dziewczynie za rękę, ale księżę poderwał się z ziemi i odepchnął ją, gdy wręczyła mu garść jagód.

- Nie jedz tego! - przestrzegł.

- Przecież to nie wilcze łyko. - Magda się wystraszyła.

- Wiem, już dawno przekwitło. Skąd to masz?

- Z bagien - odparła. Przeclaw przyjrzał się owocom.

- To pijanica. Nie można ich jeść z kwiatem. Powodują odurzenie. Ale nie są trujące.

- Normalnie nie. Ale te pijanice - księżę wziął jedną w palce - są specjalne.

Strute przez boginki i mamuny. Na czas wojny. Sprawdzalem. Oczywiście nie na sobie. - Uśmiechnął się. - Jak je zjesz, czeka cię powolna śmierć.

\*

Magda mogła być rusałką, pomyślał Przeclaw i westchnął. Dużą rusałką. W

gruby warkocz, niby od niechcenia, wplątała kwiaty polne, na szyję zarzuciła naszyjnik z dzikich jagód. Gdy szła wzdłuż brzegu, jej szerokie biodra kusiły, choć kroki stawiała ciężko, pokracznie. Przyglądał się uważnie, jak zdejmuje suknie, wchodzi do wody i się kąpie. Podskakiwała radośnie, trzepiąc rękoma spienioną wodę. Jej twarz promieniała. Włosy błyszcząły, a piersi falowały. Ich sutki - twarde i różowe - najbardziej przypadły mnichowi do gustu. Spocił się w jednej chwili z tęsknoty za jej ciałem.

Wydawało mu się, że cały blask słońca skupił się tylko na niej, że spłynął na nią z nieba jak błogosławieństwo. Nacisnął mocniej niesforne krocze, które przypominało, że jest gotowe do użycia.

Magda zakryła piersi dłońmi.

- Jeżeli chcesz popatrzeć, to chodź i je sobie weź!

- Jeżeli chcesz go poczuć, to wyskakuj z wody - burknął w odpowiedzi.

Nie uśmiechało mu się zażywać codziennych kąpeli. Kąpał się tydzień temu.

Magda wyszła na brzeg. Pozwolił jej się zaprowadzić nieco dalej, pod krzewy.

Na jego życzenie zostawiła we włosach spinki. Pochwaliła mu się, że ukradła je wczoraj w nocy.

- Zbyt niebezpiecznie tu na takie zabawy. - Rozejrzał się dookoła, gdy przyłgnęła do niego.

Gród majaczył w oddali, na północnej stronie jeziora było widać krzątających się Duńczyków, którzy przybyli pod Dobin dwa dni temu. Sasi budzili się ze snu. W

powietrzu czuło się zapach bagna i zgniłej trawy.

Jej gorący uśmiech szybko jednak rozwiał wątpliwości Przeclawa.

- Zbyt tu ciasno. - Podrapał się po wypchanych gaciach.

Magda nie kazała dłużej się prosić.

\*

Po niespełna pacierzu Przeclaw mógł stwierdzić, że poranek okazał się udany.

Leżeli spełnieni na słońcu, susząc mokre ciała.

- Uważaj, bo zachęcisz jakąś topielicę z jeziora. - Klepnęła go po pośladkach.

- Raczej oślepię ją ich bladością.

Rzuciła się na niego, a on przytrzymał jej buzię. Jęknęła z bólu.

- Co się stało?

Jeszcze przed chwilą, gdy posiadał Magdę, widział tylko jej wygięte w łuk plecy i trzęsące się pośladki. Aż dziw, że nie zauważył wcześniej siniaka na jej twarzy.

- Zygryd - westchnęła.

- Bydlę - skwitował krótko.

Zastanowił się, jak długo jeszcze rudzielec pożyje z talizmanem w ręku.

- Mówiłeś, że mnie kochasz. - Wyciągnęła nogi na trawie.

- Na wieki wieków. - Dla jej ciała był gotów mówić nieprawdę.

- Ostatnio jesteś zbyt zajęty, żeby się ze mną spotykać.

Chciał skłamać, ale mu przerwała.

- Ale to się zmieni.

Minę miała poważną. Skupioną.

- Kim właściwie jesteś? Grzechy skrywasz pod habitem, nosisz tonsurę, ludzi leczysz, ale nie siedzisz w klasztornych murach. Mówisz, że mnie kochasz, ale nie odwiedzasz! - dokończyła z wyrzutem.

- Zimne ściany klasztoru nie służyły memu zdrowiu. A z tobą właśnie jestem w tej chwili.

- Powiadają, że oszukujesz pijanych, mamisz trzeźwych. Na początku wszyscy cię wielbili, a teraz chowasz się między wozami albo pod płaszczem księcia Konrada.

Jednych nagradzasz, drugich oszukujesz. Mówią nawet, że dałeś jad starej Cherlawce, żeby wytruła kury swej znenawidzonej siostry. Inni są przekonani, że wiedziałeś, po co naprawdę Cherlawce trucizna.

- A po co? - Nie mógł ukryć uśmiechu.

- Dla siostry.

Chciał coś powiedzieć, ale mu nie pozwoliła.

- Jak to jest? Cherlawka prosi cię o truciznę, a ty ją dajesz. Pomagasz jej. A gdyby po to samo przyszła jej siostra, także byś pomógł. Nie interesuje cię, kto jest tym dobrym, a kto tym złym. Pomógłbyś każdemu, prawda?

- Zło to pojęcie względne. Załóżmy, że to ja sprzedałem Cherlawce truciznę i że wiedziałem, po co

jest jej potrzebna. Jeżeli bym tego nie zrobił, poszłaby do kogoś innego. Ja nie zmieniam losów świata. Nie bawię się w Boga, ale nie chcę stać z boku.

Świat to takie urządzenie, że lubię je nakręcać, jeżeli mam tylko okazję. I kto wie, może już niedługo trafi mi się nadzwyczajna okazja. - Pomyślał o księdze.

- Za takie myślenie pewno już niejeden tęgi parobek przetrzepał ci skórę.

- Liczę siniaki. - Nie dał się wyprowadzić z równowagi. - Przyszłaś ze mnie kpić?

- A jednak masz swoje powody, żeby nie wszystkim pomagać. Chociaż Chętny albo stara Osterowa mówią, żeś pomocny. Niektórych przecież oszukałeś.

Wsparł się na ramieniu. Spojrzał w jej piękne oczęta. Dziewka naiwna nie była, więc wiedział, że byle czym jej nie zbędzie. Zresztą człowiek, gdy mu lżej na duszy i przyrodzeniu, zawsze skłonny jest do zwierzeń.

- Nie chcę się chwalić - westchnął - ale leczę choroby kosmosu, wypłukuję z ludzkiego organizmu złe wody, ulgę sprowadzam na choroby serca i duszy. Pomagam zakochanym i tym, którzy kochani już nie są. Każdemu bez wyjątku: rycerzom, mieszczanom, dziewczkom i chłopom. Nie każdy jednak może być wyleczony. To wola Boga! Jeżeli komuś moje medykamenty nie pomagają, to nie moja wina. Wszystko w rękach Boga. Więc po co to dochodzenie?!

Usiadła na ziemi i po chwili namysłu wyznała:

- Dzisiaj zależy mi na czymś szczególnym.

- Więc dobrze trafiłaś. Niejedna mi mówiła, że jestem utalentowany. -

Ponownie spróbował złapać ją za to, na czym siedziała, ale wyrwała się z uścisku i wymierzyła mu policzek.

Trzask był okrutny. Przeclaw rozmasował zaczerwienioną gębę.

- Przestań! Masz traktować mnie poważnie!

Czas na mnie, pomyślał smutno. Baba zaczyna robić się niebezpieczna.

- Rodzimy się z talentami, które zostają nam do końca życia - przyznała, głaskając się po udach.

- Chyba że te talenty skrócą nam życie. - Zaczął się ubierać.

W takich chwilach szorstki habit zawsze mu przypominał, że wciąż jest mnichem.

- Mam prośbę. - Zastanawiała się przez chwilę. - Ale żeby to zostało między nami - dodała pośpiesznie.

- To oczywiste. - Spojrzał na nią wyczekująco.

- Chciałabym, żeby mój mąż dochował mi wierności małżeńskiej.

- Zygryd? - Zdziwił się. Szybko pojął. - Aby miłość nigdy nie osłabła w sercu czy w przyrodzeniu, jeśli wolno spytać?

- W przyrodzeniu.

- No dobrze, dam ci członek świeżo zabitego wilka. Stań z nim przy drzwiach ukochanego - chrząknął - i wypowiedz jego imię. W tym samym momencie zwiąż członek białą nicią. Zdolność do miłosnych igraszek wygaśnie w nim jak w rajfurce, która zbyt dużo widziała w życiu.

- Myślałam o czymś bardziej trwałym. Jesteś pewny, że to pomoże? Nie chcę, żeby wciskał swoje przyrodzenie między inne uda niż moje.

- A wciska, jeśli wolno spytać? Pewna jesteś?

Magda zamarła.

Przeclaw, widząc jej wahanie, dodał cicho:

- Muszę poznać chorobę na wskroś, jeżeli mam ci pomóc. - Zmilczał, że ona również wiernością nie grzeszyła. - Bez względu na to, czy choroba dotyka ciała, czy ducha.

- Jestem pewna. - Prawie zapłakała. - Na Boga!

- Boga w takich chwilach lepiej za drzwiami zatrzymać. Teraz on nie pomoże, raczej pokarze.

- Bóg mnie całe życie takim mężem karze - odpowiedziała i zaraz zasłoniła usta, przerażona swoją szczerością.

- A jak długo, wybac mi dociekliwość, z mężem dzielisz życie?

- Dwa lata będzie, na wiosnę. - Zarumieniła się.

Wysłuchał się przez chwilę w odgłosy pijackich przyśpiewek gdzieś w dodali. Nie podobały mu się saskie porykiwania.

- To mój trzeci - odezwała się znowu. - Byłam kiedyś na targu w Lubece. Tam mi jedna baba poradę sprzedała. Cobym sobie z tym trzecim lepiej radziła. - Zamilkła, najwyraźniej zawstydzona.

- Słucham z uwagą.

Ciężko westchnęła, spojrzała w bok, potem mlasnęła. Po smutnym wyrazie jej twarzy Przeclaw zrozumiał, że obudziły się w niej złe wspomnienia.



- Kazała mi ryby przez noc między udami trzymać, a jedną w sam żywot wcisnąć, głęboko. - Zarumieniła się. - A potem wedle recepty mężowi podać do zjedzenia, gdy z wyprawy wróci. Miało to ożywić jego zmysły, ochotny miał być bardziej.

- I co, nie pomogło? - zakpił, uśmiechając się pod nosem.

- A niech mnie лихо, że nie wiem. Ryby w końcu nie podałam. Są przecież gusta i guściki. A wątpię, żeby on... Zresztą nie tego chciałam. - Machnęła ręką zrezygnowana. - Może i pobawiłby się ze mną przez noc, może dwie, a później do innej by poszedł. Ja chciałam, żeby żadnej już do końca swojego podłego żywota nie tknął. Ale baba mówiła coś o ochronie rodziny.

- A co z pierwszym i drugim mężem? - zapytał Przeclaw.

Zły był na siebie. Zawsze trzymał się zasady, żeby nie mieć prywatnych związków ze swoimi klientami. Tym razem zżerała go ciekawość.

- Zmiłuj się. - Niewinnie zatrzepotała rzęsami.

Mnich z pokorą schylił głowę. Postanowił jednak, że musi trzymać się od niej z dala.

- Dobrze więc. Cykuta ci odpowiada? Twój małżonek odejdzie bez zbytnich boleści z tego świata.

Uśmiechnęła się na znak, że się zgadza.

- A tak przy okazji... Co mógłbyś mi dać na bóle głowy?

- Dioskorides mówi, że to sprawa zgnilizny. Chcesz ją z głowy wykurzyć, włóż do nozdrzy sok z bluszczu białego i ziemnego, obmyj głowę, a ból minie. Jeżeli to nie pomoże, użyj ciemnego bluszczu.

- Ile płacę? - Gdy wstawał, złapała go za habit.

- Daj na mszę! Za duszę męża. - Uśmiechnął się uroczo, ale na zabawę przeszła mu ochota.

Rzuciła mu się na szyję.

- Jak mój mąż zdechnie, wyjdę za ciebie.

\*

Biskup werdeński Dietmar wolał trzymać się z dala od zgiełku wojny. Zajął

pustą chatę na skraju lasu, a rycerzom kazał rozstawić namioty wokoło. Przeclaw pobłogosławił strażników przed wejściem. Na ich twarzach rysowały się tajemnicze uśmieszki. Mnich zapukał i nie czekając na zaproszenie, wszedł do izby. Powietrze przesiąkło piwem. Białe jak mąka nagie ciało gospodarza rozlało się na rzeźbionym, obitym w aksamit fotelu; prezent od papieża Eugeniusza wieziono pod Dobin aż z ziemi węgryjskiej. Przeclaw podszedł bliżej i delikatnie poklepał świński ryj biskupa.

- Boże, błogosław mnie! - Dietmar ocknął się z pijackiej drzemki.

Skierował spojrzenie małych oczek na gościa. Zanim ten zdążył się odsunąć, małe dłonie objęły go w pół i przyciągnęły do siebie. Przeclaw zaczął tonąć w fałdach tłustego, spoconego mięsa. Wiedział, że biskup nie stroni od uciech cielesnych i lubuje się w oblatach.

- Nic z tego. - Oswobodził się z uścisku. Z odrazą odepchnął tłustą świnię z powrotem na fotel, gdy ta próbowała go ponownie przytulić. - Ubierz się, biskupie!

- Odkąd jesteś taki wstydlivy? - Biskup podrapał się po skurczonych jak dwa orzeszki genitaliach, by po chwili dodać z wyrzutem: - Długo już do mnie nie zaglądałeś.

- Pomyliłeś mnie z kimś innym. Jestem tu na polecenie księcia Konrada, by zaradzić twoim dolegliwościom - wyjaśnił.

- Ach, tak. Choroby, wojna... - Biskup trochę oprzytomniał.

Podniósł się ciężko z fotela i narzucił na siebie habit. Stał nad stołem i nabrał w szerokie dłonie zimnej wody z misy, by przemyć twarz i otrzeźwić się nieco.

- Muszę zadowolić się tymi germańskimi sikami. - Sięgnął po dzban z piwem. -

A gdzie wino z południa? - Prawie załkał.

Mnich usiadł przy stole. Poczul się bezpieczny, dopiero gdy biskup również opadł na fotel.

- Kim jesteś? - Tłuscioch jęknął, masując obolałą głowę.

- Może przyjdę innym razem. Nie bardzo biskup dziś przytomny.

Biskup nie otrzeźwiał jeszcze. To pewne. Inaczej by się z mnichem nie pospolitował. Widać miał nadzieję, że dzięki temu stanie mu się bliższy. Znacznie bliższy...

- Kto jest bez grzechu, niechaj pierwszy rzuci kamieniem. - Dietmar zrobił

niewinną minę, widząc niepokój w oczach gościa.

Na ciebie kamieni by nie wystarczyło, pomyślał Przeclaw. Rozejrzał się po nędznej chacie: ława, butwiejąca skrzynia, stółek i fotel - przybytek niegodny biskupa.

Dietmar przedkładał jednak skromną chatę i towarzystwo śpiącego w kącie chłopca nad kompanię biskupów i książąt.

- Jak widać, każdy grzeszy inaczej. - Dietmar splunął, widząc, jak mnich przygląda się chłopcu. - Nie w smak mi książęce dziwki. Zresztą ja tylko dbam o swoje potrzeby.

Z twarzy znikł mu fałszywy uśmiech.

- A ty jesteś tu po to, by mi w tym pomóc, medyku. Prawda? Boli mnie tu i tu. -

Biskup wskazał plecy i głowę.

Przeclaw postanowił czym prędzej wykonać zadanie i wydostać się z chaty. W

obecności biskupa nie czuł się zbyt pewnie. Naprędce przypisał receptę:

- Głowa lżejszą się wydaje, kiedy sok z bluszczu białego i ziemnego, włożony w nozdrza, zgniliznę z niej wypłucze. A plecy? Niestety, nie mam o tym pojęcia -

skłamał. - Możesz dodać jeszcze jagody z bagien, biskupie - dodał po chwili, spoglądając na śpiącego w kącie chłopca i wybierając mimochodem dla Dietmara powolną śmierć, prawie bezbolesną i rozłożoną w czasie.

Niedługo kolejny pies przestanie szczekać. Tłścioch wezwał strażników i kazał

im przynieść bluszczu.

- I niech nie zapomną jagód, biskupie, tych z bagien. - Przeclaw z trudem powstrzymywał uśmiech.

- Właśnie, przynieście mi jagód!

Strażnicy wyszli.

- Tak przy okazji, ciekawe, ilu z nich stamtąd wróci. - Uśmiechnął się i popatrzył na gościa.

Wyraźnie na coś czekał. Przeclaw spojrzał nań pytająco.

- To wszystko? Jesteś medyk czy szarlatan? - Biskup nie wytrzymał i krzyknął: -

Takie porady to ja na targu mogę kupić!

- Nie przeczę - odpowiedział spokojnie Przeclaw.

- Magii mi trzeba! Nie porad medycznych.

- Magii? - zdziwił się mnich.

- Tej najprawdziwszej. Wiem, że potrafisz. - Biskup przyglądał się uważnie mnichowi nad kuflem piwa. - Wiem o talizmanach.

- A po co pasterzowi bożej owczarni magia? Czyż nie wystarczy ci, biskupie, magia krzyża?

- Ciężko jest sprostać oczekiwaniom tego świata. - Dietmar pociągnął łyk piwa.

- By unieść swój krzyż, trzeba czasami pokumać się z diabłem. Wy z Bernardem wiecie coś na ten temat, prawda? Wszyscy szepczą, że szukacie czegoś na Połabiu.

- A ty, biskupie, co szepczesz?

Przeclaw chciał wstać od stołu, ale biskup, pomimo tuszy, dopadł go w dwóch susach i przyciągnął do siebie.

- Nie drwij ze mnie! Uważasz, że nie jestem godzien wiedzy, którą posiadacie?

Wiele nam biskupom zawdzięczacie, wy, mnisi, którzy potraficie jedynie przewracać zatłuszczone od waszych palców stronice, bezpieczni w zaciszu klasztornych murów.

To my, nie wy, walczymy ze światem. Gdyby nie nasze prawa, już dawno byłoby uciekły z zagrody, i nam, i wam!

Glut ugrzął mu w gardle i biskup zaczął niebezpiecznie chrząkać.

- Masz, popij, biskupie. - Popchnął po stole garniec piwa.

Dietmar z trudem wypuł to, co utkwilo mu w gardle. Nagle wyparowały z niego nienawiść i agresja.

- Tak, wypiję. Zresztą może to moje ostatnie. - Spojrzał w stronę grodu.

\*

Mgła się podnosiła, pełzła po drzewach. Wydawało się, że wszystko wokoło dymi, a las jakby zamarł, wyczekując świtu. Nie poruszyła się żadna gałąź, a liście, choć ciężkie od rosy, tkwiły w bezruchu.

Z każdą chwilą jednak promienie słońca zaczęły przebijać się przez poszycie, oblewać jasnym strumieniem wierzby i topole, przeganiając mgłę na mokradłach.

Pierwsza kropla rosy opadła.

Chwilę później zadrżała ziemia.

Krzyżowcy wysypali się z lasu. Rozciągnęli się na brzegu jeziora jak kolorowa nitka. Z okrzykiem na ustach zaczęli wybijać śmiertelne pozdrowienie, uderzając mieczami i toporami o tarcze; zielone, żółte i niebieskie - wszystkie zdradzały przynależność plemienną. Zamajaczyły czerwone krzyże, wyszywane na białych tunikach niepośledniego rycerstwa. Wśród rzeszy Sasów, Bawarczyków, Wągrów i Fionów do boju stanął margrabia z Salzwedel, książę burgundzki Konrad z Zahringen, a także sam książę Henryk. Wszyscy nerwowo wyczekiwali odgłosu rogu, który wezwie ich do walki.

Tylko biskupi zostali w obozie, poświęcając się modlitwie.

Od północnej strony ustawili się w bojowym szyku Duńczycy. Dowodzili nimi królewicze duńscy

Swen i Kanut. Ich przodek król Kanut Wielki wiele lat temu dzierżył koronę Obodrytów, odkąd otrzymał ją jako dowód zaufania od cesarza niemieckiego Lotara, by podbić krainy na wschód od Łaby. Jednakże skrytobójcza śmierć duńskiego króla przerwała te plany, a kraj pogrążył się w chaosie wojen domowych, które przodkowie Swena i Kanuta zostawili im w spadku. Młodzi książęta, zmęczeni wyniszczającymi Danię wojnami, odłożyli na bok dawne waśnie i spory i podzielili królestwo między siebie. Ambicje skierowali ku ziemi, która im się prawnie należała. Zresztą ich celem, prócz księstwa Niklota, była Rugia, skąd słowiańscy piraci nękali ich ziemie. Pod wodzą mieli tysiąc wojów. Stali teraz w nierównych odstępach, o kilka kroków od mokradeł, które oddziaływały ich od grodu. Mgła nie opadła jeszcze na tyle, by mogli dojrzeć coś więcej niż zręby palisady.

Po ciężkich tygodniach w upale, bez wody i godziwego jedzenia krzyżowcy byli zdesperowani. Dezercje i choroby pustoszyły obóz, mówiono też, że ci, którzy nieopatrznie zabłądzili w lesie, stawali się ofiarami mamun, topielic, wąpierz i leśnych duchów. Nadszedł czas, by zadać Niklotowi śmiertelny cios. Zagrały rogi.

Krzyżowcy zaatakowali jednocześnie od południowej oraz północnej strony grodu. Krzyk Sasów i Duńczyków po dwóch stronach jeziora złął się w jeden wrzask nienawiści, który na długo zawisł nad Brenną - pod osłoną kotów, przysłon i tarcz ruszyli pod wały. Obodrycy prowokowali najeźdźców obraźliwymi gestami i drwinami, zachęcając ich do śmiertelnego marszu. Ukryci za palisadą, ufali, że ogromne wały ochronią ich przed saską nawałą. Oczekali, aż wrogie oddziały zbliżą się na wystarczającą odległość, i wtedy przywitali krzyżowców gradem strzał oraz kamiennych pocisków.

Do pracy ruszyły obodryckie maszyny. Zgrzytały łychy, napinano proce, skrzypiały dranicie. Ciężkie głązy łamały kości, rozpruwały tarcze i osłony.

Nad Jeziorem Zwierzyńskim rozległy się bawarskie przekleństwa, było słychać jęki Sasów i okrzyki bitewne nieulekłych Fionów. Krew powoli zaczęła wsiąkać w morzyckie bagna. Krzyżowcy padali trupem. Ci, którzy dotarli pod wały, próbowali oprzeć o palisadę drabiny. W ich stronę poleciały płonące pociski - pęki podpalonych i oblanych żywicą gałęzi, faszyna i słoma; tych, co zdołali się wspiąć na drabiny, oblewano kipiącą w kadziach smołą. Saski trup niczym nawóz przykrywał ziemię.

Wokół palisady walały się porzucone miecze, wyszczerbione topory, roztrzaskane tarcze. Znikły gdzieś kolory - żółty, niebieski, czerwony.

Oblepieni błotem krzyżowcy przypominali upiorną armię potępionych.

Wszystko to - straceńczy atak od południa i północy - miało odwrócić uwagę Obodrytów od najważniejszego odcinka walki. Po zachodniej stronie grodu, tam gdzie najeźdźcy zorientowali się, że bagna są najmniej grząskie, na wąskiej, sztucznej grobli rozrzucano faszynę i podciągnięto pod palisadę drabiny. Kilka tuzinów Sasów miało za zadanie wdrzeć się na wały i wywołać w grodzie panikę, wzniecając pożary.

Wśród chat mieszkańcy grodu ze spokojem obsługiwali maszyny wojenne, podawali na wały kądź i słomę. Wyglądało to na zwykłą, codzienną krzątanie, a nie czas wojny. Dopiero po chwili Obodrycy

zauważyli atakujących, którzy przedarli się do środka. W grodzie rozległy się rogi ostrzegające mieszkańców przed niebezpieczeństwem. Wówczas obrońcy rzucili się w dzikim szale na krzyżowców.

Miecze i topory cięły kolczugi i tarcze - niekiedy tylko powietrze. Kilku Sasów padło na ziemię, tamując innym przejście. Pozostali na oślep runęli do ucieczki, spuszczać się po drabinie.

Henryk Lew, który pozostał w tyle i nie doczekał się dogodnej chwili, by się włączyć do walki, stracił cierpliwość. Nakazał odwrót. Brodził w bagnie, próbując nie zejść z drogi wyznaczonej faszyną i słomą. Tłusty dym żywiczny gryzł go w gardło i dusił. Trudno było przezeń cokolwiek dostrzec. Gdy Henryk wydostał się poza jego zasięg, widok był porażający. Księcia oszołomiła bezładna ucieczka krzyżowców.

Desperacki atak z południa dobiegał końca.

Jeszcze przez pół dnia było słyhać walczących Duńczyków po drugiej stronie jeziora. Zabili wielu obrońców grodu, ale tuziny wojów wciągnęły bagna.

Nim zapadł zmierzch, obodrycki okrzyk tryumfu obwieścił zwycięstwo oblężonego grodu.

Kończył się kolejny dzień walki.

\*

Jaksa z Kopanika obserwował z bezpiecznej odległości przewalającą się pod grodem masę włócznie, tarcz i toporów. Czuł się dziwnie. Nie tylko nie brał udziału w walce, ale siedział sobie bezpiecznie na tyłach wroga. Jedynie dzięki dwóm dziwkom z Bawarii, które szwargotały przymilnie u jego boku, czuł się jak zwycięzca. Odwrócił

wzrok od uciekających Sasów i ruszył do boju.

Szturmował dwie naraz.

\*

Do namiotu burgundzkiego księcia wpadł jak burza biskup Dietmar.

Nieproszony. Za nim, jak cienie, wsunęli się dwaj rycerze jego świty.

- Pozbyć się go. To obraza boska trzymać taką zakałą - wskazał na Przeclawa.

- A może to przez twoje zaloty, biskupie, które zakończyły się niepowodzeniem?

Konrad doskonale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Głowy za Przeclawa nie zamierzał dawać, nie mógł jednak dopuścić, żeby mnichowi stała się jakaś krzywda.

- To przez jego czary. To diabeł. Diabeł wcielony.

- Nie warcz na mnie, biskupie, bo twoja sfora nie jest silniejsza od mojej. -

Burgundczyk spojrział z pogardą na posępne gęby rycerzy.

Zastanawiał się, gdzie są jego strażnicy, których obowiązkiem było stać pod namiotem.

- Ale sfora księcia Henryka owszem. A ty, jak mi wiadomo, bardzo chciałbyś do niej należeć.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, że nie omieszka poinformować księcia, że osłaniasz mnicha, który zrobił

z całego wojska bandę pogańskich durni. Jeżeli zależy ci na zięciu, pozbądź się tego diabła. Natychmiast! Oddaj go mnie.

Konrad zaklął w duchu. Miał wrażenie, jakby znowu rozboleły go plecy i głowa.

Poczuł też nowy ból, lecz trudno mu było go zlokalizować. Coś kłuło go w klatce piersiowej, brakowało mu tchu. Dość miał bagien, Jeziora Zwierzynieckiego i tego zapomnianego przez Boga Dobina.

Przeclaw natomiast milczał. Pomyślał, że tak będzie najlepiej.

- To czarownik. Diabeł - Dietmar nie przestawał warczeć. - Sprzedał

Duńczykom talizmany. Rzekomo miały ich chronić przed obodryckimi psami. Przed ich orężem.

- Nieprawda. Łżesz, biskupie. - Przeclaw nie mógł znieść kłamstwa.

- Zygfyrd wyznał mi wszystko jak na spowiedzi. To dobry rycerz i chrześcijanin.

- Dajcie tego czarownika mnie. - Zza pleców Dietmara wyskoczył margrabia z Salwede. - Setka moich wojów poległa na bagnach. Przy tych, których zdołano zabrać spod grodu, znaleziono talizmany. Zwykle białe kamienie.

Konrad i Przeclaw wymienili spojrzenia. Książę zwiesił smutno głowę. Obaj wiedzieli, co ma na myśli. Nie mógł już chronić mnicha przed sądem. Podrapał się po bolącej głowie, mocniej zacisnął dłonie, które spoczywały na coraz bardziej dokuczającym mu żołądku.

- Również wielu twoich poległo z talizmanem w ręku - zwrócił się do Konrada margrabia.

W ciszy, która zapadła, było słuchać bzyczenie nocnych owadów.

- Będę spokojniejszy, gdy ten łgarz przestanie chodzić po bożym świecie -

mruknął wreszcie Konrad.

- Wydaj go mnie, książę - nalegał margrabia.

- Wszyscy dzielnie walczyli tylko z tego powodu.

- Dietmar rozsypał białe kamienie na ziemi.

Konrad odsunął się od Przeclawa.

- Weźcie go.

- Jak miłość łatwo może przerodzić się w nienawiść - zakpił zadowolony Dietmar.

Skinął na swoich rycerzy. Postąpili krok naprzód, ale mnich powstrzymał ich gestem ręki.

- Zaczekajcie! Dietmar prawi to na pohańbienie Bernarda.

- To, że jesteś jego psem, nie znaczy, że unikniesz kary. Bernard zresztą jest już daleko. Wczoraj wieczorem opuścił obóz. Henryk Lew nie jest zadowolony. -

Popatrzył wymownie na Konrada. - Mądrzy wiedzą, po której stanąć stronie. A rzecz -

spojrzał na Przeclawa - da się wyjaśnić. Przecież wspierają nas książęta, biskupi i Henryk Lew. Bernard nie będzie chciał porażki krucjaty brać na swoje barki. Śmierć tego gada może nie przysporzy nam chwały, ale jego krew ucieszy i Sasów, i Duńczyków.

Przeclaw się domyślał, że ich nie przekona. Jego słowo przeciwko saskiemu. Z

trudem przełknął ślinę. Nie wiedział dlaczego, ale uśmiechnął się pod nosem. Chyba nie w porę.

Rycerze Dietmara pochwycili Przeclawa. Próbował wyzwolić się z uścisku, straszyć magią, ale biskup zapewnił, że wystarczy skrępować magowi ręce, by został

unieszkodliwiony. Poskutkowało. Już po chwili Przeclaw mógł się podrapać wyłącznie po tyłku. Leżąc na ziemi, spoglądał na biskupa, księcia i margrabię. Z tej perspektywy wydawali mu się wyżsi i jeszcze mniej przyjaźni.

Zawleczono go przed oblicze Henryka Lwa.

W namiocie Henryka w najlepsze trwała wymiana wyzwisk i gróźb.

Duński książę Kanut nadał się cały. Swen postąpił krok naprzód.

- Nie będziemy walczyć, jeżeli sprawa się nie wyjaśni.

Duńczycy przypominali dwa bojowe koguty szarpiące się do boju.

- Co to za brednie? - tłumaczył się Henryk. - Gusła i czary? Jesteśmy chrześcijanami! Nie bawią nas wasze pogańskie sztuczki.

- To dlaczego każdy Sas ma taki sam kamień przywiązany rzemykiem do pasa?



- Swen był młodszy, bardziej zadziorny od kuzyna.

- Panie, Duńczycy mówią prawdę - wtrącił cicho Dietmar.

Do tej pory wkroczenie biskupa i księcia Konrada do namiotu nie zostało przez Henryka zauważone.

Henryk machnął ręką i wyszedł z namiotu. Wrócił ze strażnikiem.

- Pokaż, co tu masz. - Zerwał mu z paska szmaciane zawiniątko.

Rozwinął je szybko i rzucił na podłogę zwykły szary kamień.

- Co to jest? - warknął.

- Kamień - odpowiedział strażnik.

Henryk Lew wybuchnął śmiechem.

- Mów prawdę albo każę obciąć ci jaja.

- Talizman - wyjaśnił szybko.

Wtedy Dietmar rozsypał pełną garść podobnych kamyków.

- A to co? - zdziwił się Lew.

- Kamienie.

- Czym się różni twój talizman od moich kamieni? - spytał Dietmar strażnika.

- Panie, nie wiem, skąd biskup ma kamienie, ja dostałem swój magiczny talizman od mnicha - wyjaśnił.

- Od jakiego mnicha? Tego? - Dietmar kopnął leżącego Przeclawa w tyłek.

- Tego to ja już nie wiem - obruszył się. - Zygfyrd i inni Sasi sprzedają takie talizmany. Mówią, że od mnicha. Miały nas chronić przed lasem i obodryckimi strzałami. Były jeszcze inne. Chroniły przed bagnem albo przed trucizną. Każdy w obozie chciał mieć taki dla siebie.

- Właśnie. A ten tutaj rozpoczął ten proceder! - Przeclaw poczuł kolejny kopniak, tym razem w zębra.

- Tylko taki talizman jest prawdziwy. - Dietmar dotknął krzyża wiszącego mu na szyi.

Strażnik posłusznie skinął głową. Nie dla wiary, lecz ze strachu przed gniewem biskupa.

- A co się stanie, jeżeli ktoś pomimo twojego talizmanu i tak zginie w lesie albo obodrycki miecz pogruchota mu kości? - zaciekawił się Henryk.

- Znaczy to, że był niegodny i miał grzech śmiertelny na sumieniu.

- Kto ci to powiedział? - Dietmar naprawdę się zaniepokoił: w obozie zaczęto szerzyć herezję.

- No, chyba ten tutaj - wskazał na Przeclawa. - Znaczy się, jeden taki powiedział, że on... - Strażnik zaczął drapać się po głowie.

- Wystarczy, możesz odejść. - Henryk odwrócił się do Duńczyków. - Sprawa wyjaśniona. Jak chcecie, sami możecie obedrzeć go ze skóry.

- Wszyscy wyszliśmy na głupców. - Duńczyk jęknął. - Nasze drużyny, zamiast z krzyżem iść na pogan, i z mieczem, wiarę pokładają w kamieniach.

Konrad z Zahringen odchrząknął i stanął pośrodku namiotu między Duńczykami a saskim księciem. Ucisk na klatkę stał się nie do zniesienia, kłucie narastało. Jeszcze niedawno chodził jak struty. Żaden medyk, ani żadna modlitwa nie ulżyli mu w cierpieniach, dopiero pomoc mnicha okazała się zbawienna. Przeclaw domyślał się tego wszystkiego, patrząc na zatroskane oblicze księcia.

- Niekoniecznie, panowie - zaczął jego obrońca. - Nie będziemy wyprowadzać naszych wojów z błędu. - Zmusił się do uśmiechu.

Musiał wyciągnąć Przeclawa z opresji, ale nie chciał nadstawiać przy tym swojego karku. Żałował, że Bernard opuścił już Dobin i pognął do Albrechta.

- Jak to? - zdziwił się Henryk Lew.

- Przecież dzięki tym kamieniom świetnie walczą.

- To prawda - musiał przyznać Swen.

- Dodatkowo rozdamy je tym, którzy ich nie mają - wyjaśnił rzeczowo Burgundczyk.

- To herezja! - Dietmar wyrzucił przed siebie krzyż trzymany w ręku. - Klęknij, księżę, póki nie jest dla ciebie za późno.

- A ci, co zginą, okażą się niegodni. - Henryk się uśmiechnął.

Pomysł zaczął mu się podobać.

- Otóż to! - Księżę Konrad spojrział na księcia niemal z wdzięcznością.

Knut postąpił krok naprzód.

- Zgoda. A co z nim?

- Mnich będzie żył. Obiecał, że zdradzi nam tajemne przejście. - Księżę z Zahringen czuł się uratowany.

Dietmar nachylił się nad Przeclawem, boleśnie przygniatając mu kolanem żebra.

- Będiesz się smażyć w ogniu, fałszywy mnichu - syknął.

- Jak tam jagody, biskupie? Nie odpowiada ci tutejsza dieta? - Przeclaw wysilił się na uśmiech.

Po umęczanej twarzy Dietmara poznał, że biskup wiele pacierzy spędził na wypróżnianiu.

\*

Pachołkowie Konrada szybko się uwinęli z oswobodzeniem Przeclawa. By nie zostawiać świadków i jak najdłużej zachować uwolnienie więźnia w tajemnicy, strażników Dietmara wyrznęli, a mnicha zaprowadzili pod osłoną nocy na polankę, gdzie obozował Jaksza.

Księżę Konrad obiecał Henrykowi więzić mnicha. Nazbyt jednak obawiał się zemsty Bernarda i sprzeciwu Albrechta, więc umożliwił Przeclawowi ucieczkę. Zresztą sam też w ciągu kilku dni postanowił odłączyć się od Henryka Lwa i ruszyć pod Brennę na spotkanie z Niedźwiedziem. Pod Dobinem wszystko zostało już przesądzone. Jeszcze kilka nieudanych szturmów na gród Niklota i Henryk Lew rozpocznie negocjacje, żeby wyjść z porażki z honorem.

Kiedy Przeclaw oznajmił Jaksie, że już wyruszają, księżę bawił się w najlepsze.

Przy jego boku leżała naga dziewczka, niezbyt nadobna, jak na gust mnicha; było już po wszystkim i naga para właśnie smakowała leśne owoce.

- Może się dołączysz? - zagadnęła mnicha, figlarnie wydymając usta.

- Nie lubię owoców - zbył ją tylko i spojrzał na księcia.

Dzięki medycznym zdolnościom i troskliwości mnicha Jaksza szybko wrócił do zdrowia. Nawet z dziewczek mógł korzystać, a między babami nie wybrzydzał. Brał do wozu i Bawarkę, i Dunkę, nawet Wągryjkę. Płacił tym, co mu Przeclaw znosił - kurką, jajeczkiem. Mnich wiedział, że bez młodzika nie przetrwa na gościńcu podczas podróży do Brenny. Nadszedł czas, żeby księżę odpłacił za opiekę.

- Zanim powiem amen, dziewczka ma stąd zniknąć. A zanim zmówię modlitwę, my również musimy być już bardzo daleko stąd. I nie mam ani chwili na wyjaśnienia.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

Jaksza ważył coś w myślach. Spoglądał to na Przeclawa, to na tłuściutkie ciało tuż przy nim. Po minie mnicha rozumiał jednak, że sprawa jest poważna.

- Cni mi się pod Brenną i tęskno mi do Kopnika. - Uśmiechnął się wreszcie. -

Więc zajmij się dziewczką, a ja się nieco ogarnę.

Przeclaw odprawił babę lekkim szturchnięciem, ale że zbyt powściągliwie wóz opuszczała, dodał jeszcze kilka kopniaków w tłusty tyłek.

Jaksa włożył roztrzaskaną kolczugę, przypiął miecz, a na ramiona narzucił

płaszcz. Do skórzanego worka zapakował łyżkę drewnianą, miskę, krzesiwo i hubkę, bukłak na wodę i kilka błyskotek.

- Niezłeś się przygotował. - Mnich pokiwał z uznaniem głową.

- Dziewki są bardzo usłużne. No i kraść potrafią. Ale koń by się przydał.

- Jest i koń, i wikt na kilka dni drogi. Także to - pokazał pierścień od księcia Konrada - w nagrodę za służbę.

- Masz możnych protektorów.

- Ale nie takich, co za mnie głowę położą.

Przeclaw nie miał powodów, żeby wyjawiać Sprewianinowi całą prawdę.

- Idziemy, nic tu po nas. - Przeclaw spojrział na Jakcę. Z takim kompanem niestraszny mu słowiański gościniec. - Za wzgórzem przy jeziorze czekają na nas konie.

- Ale to przecież po drugiej stronie bagien!

- Zgadza się. Nie przejdziemy pod nosem Sasów niezauważeni. Musimy iść dookoła.

- Nawet się nie pożegnasz z Magdą? - zakpił.

Przeclawowi wcale nie było do śmiechu.

- Nie słyszałeś od swoich dziewczek o jatce? Struła swego męża Zygryda i kilku jego kompanów. Sama, ratując się przed toporem, uciekła w las.

Jaksa wzruszył ramionami i wygramolił się z wozu za mnichem.

\*

Za ich plecami został obóz: rozpalone ogniska i śmiechy Sasów. Przed nimi rozlewały się mokradła, których dotychczas nie zdołali przekroczyć krzyżowcy.

Zielony kozuch przykrywał wodę i błota, wydawał się lity jak marmur. Ponad powierzchnię wystawały kikuty nagich gałęzi i kępy roślin. Dostępu do mateczników broniły posępne drzewa.

- Po co mi to? - Jaksa odepchnął dłoń Przeclawa.

- Różaniec. Na utopecie i topielice. - Mnich nerwowo pocierał między palcami powiązane paciorki. -

Trzepiesz zdziwę przez oczy i uciekasz, ile tylko masz sił w nogach.

- Twoje czary na nic się tutaj zdadzą, mnichu. - Jaksza go nie uspokoił.

- Więc co?

- Zaczekaj.

Książę zawrócił jeszcze w stronę obozu, by przyciągnąć wiechcie słomy i faszyny.

- Obwiąż to wokół łapci. Resztę przymocuj rzemieniami na plecach. Postaraj się wziąć jak najwięcej. Gdy nasiąknie tak bardzo, że będziesz czuł ciężar butów, wymienisz słomę.

Przeclaw wykonał posłusznie polecenie.

Ruszyli przed siebie. Jaksza na przodzie uważnie stąpał po grząskim błocie. Raz po raz przystawał, by się podeprzeć o jakieś butwiejące drzewo. Przeclaw starał się tylko nie stracić go z oczu.

Im bardziej zapuszczali się w głąb bagien, tym sztuka chodzenia na podpiętych chrustem łapciach wydawała się trudniejsza. Podeszwy były ciężkie od błota i musieli przystawać, by je zmienić. Sprewianin kluczył między drzewami, szukając bezpiecznego przejścia, jednocześnie gubiąc się w labiryncie drzew. Przeclaw przystawał co chwila. Nie ukrywał znużenia uciążliwym i powolnym marszem.

Rzadka mgła otuliła ich zniecka. Przecięli wąską groblę, by ominąć szerokim łukiem Dobin. Brnęli dalej w bagna, czasami odpoczywając, oparci o śliskie drzewa.

Mgła wisiała nisko, więc musieli bardzo uważać, by cały czas się widzieć. Jaksza czuł, że mieszkańcy bagien wypatrują ich zielonymi rybimi ślepiami.

- Jak daleko jeszcze? - Niecierpliwił się Przeclaw.

- Cichaj. - Książę przycisnął palec do ust.

Przystanął, by się rozejrzeć. Coś spoglądało na nich z boku. Przenikało wzrokiem mgłę, mlaskało, wzdychało.

Przeclaw również to poczuł. Napiął się, gotowy do skoku. Miał wrażenie, że zapada się pod nim błoto. Zanim się spostrzegli, drogę zaszła im topielica.

- W nogi. - Przeclaw rzucił się w tył na oślep. Jaksza pozostał nieporuszony na miejscu. Wybuchnął śmiechem.

- Dokąd to? Nie poznajesz? - Wskazał na topielicę.

Przeclaw przystanął. Nie od razu poznał Magdę. Była ubrana jak wtedy, gdy widział ją ostatnio: czerwona suknia i dwie spinki, ledwo teraz widoczne w splątanych wodorostami włosach. Ale jej

twarz nie wyglądała tak, jakby dziewczyna wyszła z bagna. Wprost przeciwnie - wydała mu się czysta, jaśniejąca, utkana z mgły.

Kobieta wyrzuciła przed siebie chude ręce, jakby bardzo mocno chciała go objąć i przytulić.

- Przygarnęła nas - szepnęła.

- Magdo. - Przeclaw przełknął ślinę.

Głos uwiązał mu w gardle.

- Przygarnęła nas. Dla mnie jest dobra jak matka. Kocha mnie. Kocha nas.

Dopiero teraz poczuli smród rozkładającego się ciała.

- To topielica - powiedział Jaksa.

W jego głosie nie słychać było strachu. Wydawał się raczej zaintrygowany.

- Jestem brzemienna, wiesz? - Nie wiadomo do kogo się zwróciła, jej oczy bowiem patrzyły gdzieś daleko, przed siebie. - Ale nie mogę go zostawić sobie. A ciebie zabrać. Ja muszę iść. Nie mogę tu zostać.

I wtedy spojrzała na księcia.

- Starannie dobierasz sobie przyjaciół... nie pozwala mi... a jestem brzemienna -

powtórzyła, gładząc się po wyдутym nagle brzuchu.

- To twój bękart. - Rechoł Jaksy przeraził Przeclawa bardziej niż widok topielicy. Książę z Kopnika szydził w obliczu topielicy i, jak na gust mnicha, był zbyt pewny siebie. Jakby przeczuwał, że nic mu się nie może stać. - Sam mówiłeś - Jaksa nie przestawał szczerzyć zębów - że Zygryd nie dotykał jej od roku. Chyba że pięścią po mordzie. Mnich został tatuśkiem! A to mamuśka. - Wskazał na Magdę. - Pięknego będziecie mieli bachora!

Na bagnach rozległ się śpiew. I choć Magda otwierała usta, pieśń płynęła gdzieś z głębi mokradeł.

- *Mój kochanie.*

*Niech śpiew zauroczy drzewa*

*Mój kochanie.*

*Cały las śpiewa.*

- Pozwolę ci odejść... - Tym razem jej usta się rozchyliły, ale nieznacznie. -

Jestem brzemienna... choć, wierz mi, bardzo bym chciała, żebyś ze mną został.

Zostaniesz? Nie, nie możesz. Ja nie mogę. Muszę stąd odejść...

Zielone oczy przygasły. Znowu zaśpiewała:

*- Mężów miałam pół tuzina,*

*Ostatniego trucizną zabiłam.*

*Nie powiłam mnichowi bękarta,*

*Bo wody z jeziora upiłam.*

*Bom mnichowi nie wierzyła,*

*Wody z jeziora upiłam.*

Rozległ się bulgot. Magda powoli zanurzała się w bagnie. Ale śpiew nie przycichł.

*- Uratowałam cię, kochanie.*

*Choć byłeś mi niewierny,*

*Nie dałeś mi szczęścia, najmilszy,*

*Ze wszystkich mych kochanków.*

*Bom w jeziorze się utopiła.*

*Bom w jeziorze...*

Kiedy mętna tafla mułu zamknęła się ostatecznie nad Magdą, śpiew zamilkł.

Jaksa się śmiał. Podszedł i przetrął twarz mnicha skrawkiem rękawa.

*- Co robisz? - Mnich odepchnął jego dłoń.*

*- Błoto ci z mordy otarłem, bo nie jest ci z nim do twarzy. Ale teraz wyglądasz prześlicznie. Dziw, że Magda cię poznała.*

Przeclaw otarł resztki błota z czoła i brody.

*- Amen - powiedział i ruszyli dalej.*

Nie odwrócił się. Zbyt wiele kobiet jest na tym świecie, tam przed nim, a nie gdzieś na bagnach.

\*

Przedzierali się przez mokradła z coraz większym trudem. Z mrocznej topieli ci, którzy już dawno

pomarli, wyciągali w ich stronę ręce. Tuż pod powierzchnią Przeclaw widział ich wzdęte blade ciała. Przez delikatną zasłonę mgły wszędzie wokół

przebijały się widmowe światła.

W końcu opuścili mroczną krainę. Kiedy już postawili stopy na twardym gruncie, zrzucił z nóg nasiąkniętą błotem słomę.

Dwa konie przywiązane do drzewa na skraju bagien chyba nie mogły się ich doczekać. Wierzgały i rżały, toczyły pianę z pyska.

Przeclaw dopiero po chwili zrozumiał, że to bagna za ich plecami ożyły.

Zaraz potem ożył cały las.

To, co zobaczył, znał tylko z opowieści matki albo ze starych rycin i zapomnianych ksiąg.

\*

Drewniany most.

Most, którego nigdy nie było.

Swój początek miał pośrodku jeziora i wznosił się ponad jego błyszczącą taflą daleko, daleko, kończąc się gdzieś na bagnach. Pokryty cuchnącym szlamem i wodorostami, przegniły, trzeszczał pod naporem kroczących po nim leśnych duchów.

Sasi, chcąc dodać sobie odwagi, ryknęli hurmem.

Ryknął las.

Echo ryknęło.

Wychodząc z wody, mostem ruszyły mamuny, rusałki, stradcze, topielce, gudełki i brzeginie. Rycząca i chichocząca na przemian masa. Klejnoty z rybich łusek migotały na palcach rusałek, naszyjniki z ludzkich jelit krępowwały szyje brzeginek, gudełki prężyły piersi spod ciężkich sukien uplecionych z warkoczy potopionych dziewczek.

Sasi, skrępowani kolczugami, pokryci błotem, krwią i ludzkimi strzępami, postanowili stawić opór. Na most spadł grad strzał.

Las znowu ryknął.

Pierwszy szereg mamun i brzeginek padł rażony pociskami. Ale tylko na chwilę, żeby przepuścić stąpające po nich lizunki, chmurnice, utopce. Sasi nie rezygnowali.

Rażone pociskami, na most padały z chlupotem wężokształtne letuny, poderwaniem w niebo ratowały



się obłoczyce. Most zapełnił się szarzieloną masą, bladymi twarzami, bagiennym błotem, śluzem i krwią. Sasi cofnęli się przerażeni.

Biskup Dietmar wyszedł naprzeciw leśnych duchów z krzyżem. Blady boginiak, który wyglądał jak żywy, przywołał gestem wodę z jeziora, wchłonął ją, by po chwili wypluć razem z ziemią. Biskup padł martwy, uderzony potężną falą. Z gardeł nagich południc wyrwał się krzyk, który się wzniósł ponad odgłosy bitwy, ponad krew, błoto i śluz. Sasi zatkali uszy, uciekali w popłochu, porzucając broń. Kłobuki, przypominające wyrosnięte kruki, poderwały się z ziemi, by zionąć ogniem. Wschodnia część wzgórza zapłonęła, a po drugiej stronie spadł grad.

I naraz wszystko ucichło.

Księżę Konrad stał osłupiały na skraju lasu. Postanowił przyśpieszyć wyjazd.

Bardzo rozbolała go głowa.

\*

Jeszcze przed jutrznią drewniany most na Warnawie zaskrzypiał pod ciężarem kopyt dwóch koni. Przeclaw ponaglał Jakse, zapominając, że ten ledwie co ozdrowiał.

Młody księżę zagryzł wargi. Nie mógł pozwolić, by z jego powodu dopadł ich pościg.

Jak przewidywał Przeclaw, Konrad wysłał za nimi rycerzy, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Nie przejechali nawet staja, gdy usłyszeli za sobą odgłosy pogoni.

Pośpiesznie minęli zakręt, zboczyli z gościńca, przecięli parów i znaleźli kryjówkę między drzewami. Z bezpiecznej odległości ocenili siłę Sasów. Było ich pół tuzina. Gdy tętent koni i saski szwargot ucichły na dobre, Jaksza z Przeclawem powrócili na gościniec.

- Nie lepiej będzie nam w lesie? - spytał mnich.

- Nie z końmi.

- Ale jadąc gościńcem, natkniemy się na pogoń.

- Widziałeś przecież, ilu ich jest. Nie mamy się czego obawiać. Stawimy im czoło.

Przeclaw nic nie powiedział. Młody księżę sprawiał wrażenie upartego.

Jazgot, który nagle usłyszeli, skłonił Przeclawa do szybkiej modlitwy - prosił o wstawiennictwo u Najświętszej Pani. Jaksza, nieprzejęty przeraźliwymi odgłosami jatki i wołaniem o pomoc, spokojnie poprowadził konia stępem. Tam, gdzie gościniec rozwidlał się na północ i dalej na wschód, nadzy albo odarci ze skóry Sasi tkwili na gałęziach, porozwieszani jak mięso w jatce. Wszędzie walały się roztrzaskane tarcze, połamane miecze. Po śladach na ziemi dało się rozpoznać, że do ostatka resztkami sił

próbowali się wyrwać oprawcom. Nawet ziemia była poryta paznokciami.

Przeclaw dostrzegł na twarzy Jaksy przeraźliwy uśmiezek. Wolał nie pytać, co rozśmieszyło księcia.

- Oto co zostało z naszej pogoni - skwitował tylko.

- Jesteśmy teraz bezpieczni.

- Tak samo jak na bagnach.

Las najwidoczniej roztaczał nad Jaksą opiekę. Podczas jego choroby jakieś lichy nuciło mu piosenkę, na bagnach młodzik czuł się jak u siebie, a na gościńcu, zanim zdążyli dobyć mieczy, z Sasów zostały tylko strzępy.

A co się stanie, gdy Przeclaw spróbuje podać księciu truciznę? Przełknął ślinę.

Obawiał się nawet o tym myśleć.

Las należał do Jaksy. I ta ziemia.

A do mnie nic nie należy, pomyślał, smutniejąc. Nic.

Ale tylko do czasu, gdy odnajdę księgę.

## **ROZDZIAŁ IV**

*Nasiona kopru palone,*

*Miodem nasączone,*

*Wetkaj okład tam,*

*Gdzie boli cię kram.*

*„O hemoroidach tudzież innych skutkach siedzenia zbyt długo na końskim grzbiecie”, Przeclaw,*

*O naturalnych sposobach leczenia, Kopnik, A.D. 1148*

Dwóch cystersów rozłożyło obóz na skraju lasu. Łąka śmierdziała wilgocią, ciężkie komary, świerszcze przygrywały - raczej fałszując - Klemensowi do snu, a Bonifacemu na złość; zwlókł się więc z postania, przygasił nieco ognisko, zadbał także o szkapę zaprzęzoną do dwukółki, poklepał ją po pysku i szepnął coś czule do ucha.

Nagle zeszywniał na odgłos kroków. Gdy się upewnił, że idzie Złe, zbudził

pośpiesznie Klemensa i wskazał poza okrąg światła, jakie dawało tłące się ognisko. Z

lasu wyłoniła się ciemna postać. -

- Diabeł!!!

Rzucili się w stronę wozu. Klemens do krzyży, Bonifacy do wody święconej.

- W imię Boga. Zaprzestańcie paniki - odezwał się diabeł ludzkim, zmęczonym głosem.

Mówi. Nie zionie ogniem. I nie zabił, myślał intensywnie Klemens, trzymając w jednej ręce krzyż, łup z kaplicy w Saint-Philibert, a w drugiej wodę święconą.

- Kropnij go! Tak na wszelki wypadek - poinstruował go Bonifacy, również mocno ściskając własny flakonik z wodą święconą.

Przeclaw, wychodząc z cienia, przyzwolił gestem ręki na ten akt desperacji.

Klemens kropnął. Bez efektów.

- Ma tonsurę i habit - zauważył.

- Nie rozpaliliście na noc ogniska?! Ledwo się tli. - Przeclaw podszedł bliżej, był już dokładnie na wyciągnięcie ręki.

Teraz mógł dokładniej przyjrzeć się mnichom - Bonifacy, starszy, grubszy, z rzadką tonsurą, bulwiastym nosem; Klemens - chudy, wysoki, z haczykowatym nosem. Obydwaj wyglądali żałośnie. Widać od miesięcy w drodze.

- Nie chcieliśmy nieproszonych gości - bąknął Bonifacy.

- A poza tym mamy sokoli wzrok - pochwalił się Klemens.

- W ciemności to i diabeł ma dłuższy ogon. - Jaksza zaśmiał się i stanął w kręgu światła.

Mnisi popatrzyli w jego stronę.

Księżę, nie bacząc na taksujące go spojrzenia, rzucił na ziemię wiązkę chrustu, przykucnął przy ognisku i zaczął je rozpalać.

- Do rana jesteśmy bezpieczni. Trzech, góra czterech czai się na nas dwa pacierze drogi stąd. Rozpalili ognisko. Oj, mnisi - spojrzał na cystersów - nie upilnujcie długo swojego skarbczyka na wozie.

Przeclaw, naśladując Jaksę, nie czekał na zaproszenie mnichów i rozsiadł się przy ognisku, by ogrzać zbolące kości.

- Nasz gość jest człowiekiem światowym. - Klemens wskazał na księżę, którą Przeclaw wsadził sobie pod tyłek, bo ziemia była zbyt zimna.

- Mógł ukraść - wtrącił Bonifacy. - Niech udowodni, że zna się na rzeczy.

Przeclaw niechętnie pozbawił pośladki oparcia, otworzył *Porady medyczne* Awicenny na przypadkowej stronie i zaczął czytać.

- Oj, same mądrości - przerwał zachwycony Bonifacy.

- O leczeniu, ale bez wstawiennictwa Boga - wtrącił z niesmakiem Klemens. -

Heretyckie dzieło.

- Nieprawda. Dzięki niemu leczę i ciało, i duszę.

- Ale z pomocą diabła.

- Mnie to akurat nie przeszkadza. - Zaśmiał się.

- A co radzi Awicenna na hemoroidy? - zaciekawiał się nagle mnich.

Wszyscy spojrzeli na niego zdziwieni.

- *Porady* wspominają o tym, choć niezbyt wyczerpująco, ale myślę, że będę mógł ci pomóc tak czy inaczej. - Przeclaw się uśmiechnął.

- Piękna księga i mądra. - Bonifacy skinął z uznaniem głową.

- Wierz mi, że kiedyś zdobędę piękniejszą. - Przeclaw się rozmarzył.

\*

Droga do Brenny wiła się nieprzerwanie przez las. Kolejny dzień w podróży dłużył się niemiłosiernie. Jaksza jechał na przodzie i bacznie obserwował podskakującą na gościńcu dwukólkę. Mnisie skarby dzwoniły, zgrzytały, brzęczały. Cystersi niepewnie przyglądali się swoim towarzyszom, próbując w milczeniu znieść niewygodę podróży.

- A wy ciągle w drodze? - Przeclaw podjechał nieco bliżej dwukółki.

Klemens pociągnął nosem, by po chwili smarknąć w rękaw.

- Szukamy klasztoru, gdzie żyje się w zgodzie z regułą benedyktyńską.

- Ale sama reguła cluniacka potępia duchownych obieżyświatów, więc jakże to?

- zdziwił się Przeclaw.

- Trafił nam się teolog, bracie Bonifacy - zakpił.

- Wojna. Zły czas dla podróżnych. - Przeclaw uśmiechnął się pod nosem, widząc, jak Bonifacy

trzęsie się na wózku i próbuje przytrzymać ciągle zsuwającego się Klemensa.

- Gdy planety są pod wpływem Marsa, w ludziach wzbiera złość, stąd złe humory, więc wojna dziwić nie może - przyznał mu rację Klemens.

Braciszkanie cysterskiego zakonu z Fleury, w którym pozostawili po sobie tylko wspomnienia i kilka bękartów, czuli się niepewnie w towarzystwie tajemniczego mnicha. Na jego niekorzyść przemawiała źle przycięta tonsura i zaniedbany habit, które jakoś nie pasowały do wygładzonej twarzy. Jaksza natomiast wzbudzał w nich strach. Jego szeroki skórzany pas, miecz, wychudzona chorobą gęba i spojrzenie jak u wilka - to wszystko ich paraliżowało.

Świat nie rozpieszczał mnichów, odkąd kilka lat temu pozostawili klasztor.

Sprzedaż świętych relikwii, choć przynosiła zyski, przyciągała też szubrawców i grzeszników. Obawiali się, że ich nowi towarzysze drogi połączą się na ich skarb.

- Wojny wybuchają dlatego, że niedostatecznie zajmujemy się zwalczaniem diabła. - Klemens spojrzał wymownie na Przeclawa.

- Niektórym do walki wystarczy wyłącznie modlitwa. - Bonifacy wydawał się zamyślony i mniej bojowy od swojego młodszego kompana.

Czarny rumak Jaksy kulał. Książę odciążył go jak mógł. Cały swój ekwipunek -

dwie koszule, płaszcz, opończę, kolczugę, nagolenice, żelazny hełm, tarczę - wrzucił na wóz mnichów z Fleury, pomiędzy prawy palec Chrystusa, włócznię św. Maurycego, szesnaście drzazg z drzewa Chrystusowego, łzy Maryi, dwie głowy świętego Łukasza i monstrancję z klasztoru w Poitiers.

- Mówią, że wy, rycerze, nie boicie się Boga? - Bonifacy skinął głową na Jaksę.

- Mówią też, że wy, mnisi, robicie głupców z tych, co nieuczeni w piśmie.

- Jakże to tak? - Klemens się oburzył.

Jego obowiązkiem było bronić dobrego imienia cystersów.

- Mówią, że mnisi sprzedają fałszywe relikwie. - Jaksza pogwizdywał pod nosem.

- Potwarz!

Książę się zaśmiał. Dawno już nie miał takiej uciechy jak teraz z mnichów.

- A co powiesz o dwóch głowach świętego, którymi się chwalicie?

- Powiem, że co dwie głowy to nie jedna - odpowiedział Klemens.

W duchu odetchnął z ulgą. Spodziewał się bardziej kłopotliwego pytania.

- A monstrancja? To też relikwia? - wtrącił się Przeclaw.

Razem z Jaksą zdążyli przejrzeć o poranku zawartość dwukółki, kiedy mało rozważni mnisi jeszcze spali.

- To grzech szperać nam w wozie - skarcił go Bonifacy.

- Mówiłem ci, żebyśmy spali na zmianę. Nikomu nie można ufać. - Klemens aż zacisnął dłonie ze złości. Jedną pięść skierował w stronę Bonifacego, ale z boską pomocą rozmyślił się szybko. - A monstrancja jest z Saint-Philibert - wyjaśnił.

- Kawał drogi ją wieziecie. - Przeclaw był pełen podziwu. - A dwa złote kielichy?

- Z Tournus.

- Też na sprzedaż?

- Nie. Przynoszą nam szczęście.

- Pewnie! - parsknął. - I pewnie też dostaliście to wszystko za darmo.

- No dobrze. - Klemens przystanął. - W Tournus wybuchł pożar. Mieliśmy czekać, aż się stopią?

- A w Saint-Philibert?

- Tam wybuchła zaraza. Monstrancja uchroniła nas przed śmiercią.

- A macie może coś z Chartres? - zaciekał się Przeclaw.

- Tam też wybuchł pożar - szybko odpowiedział Klemens, chcąc w ten sposób odeprzeć potencjalne zarzuty.

- Niech będzie. - Machnął ręką, nie pytając o dalsze kradzieże.

Przyjdzie czas, to sam sprawdzi. Nie chciał ostatecznie zniechęcać mnichów do siebie. Na gościńcu, podążając wraz z nimi, nie wzbudzał podejrzeń. Zresztą w większej kompanii raźniej, no i weselej.

Aż do zmroku jechali w milczeniu.

\*

Pokonywali kolejne staje, mijając szumiące puszcze i lasy splątane gęstwina.

Niekiedy natrafiali na otwarte polany połączone ze sobą pasmami łągów. Z rzadka też cała kompania musiała wyteńczyć siły, by przepchnąć dwukółkę przez moszczone bierwionami brody.

Nocną porą przystawali na popas, o brzasku wstawali, by ruszyć dalej gościńcem.

Przeclaw i Bonifacy od kilku dni weszli w bliższą zażyłość, co wzbudziło natychmiastową niechęć Klemensa. Podczas postojów z zazdrością obserwował, jak jego towarzysz wysłuchuje w modlitewnym skupieniu wszystkiego, co ma do powiedzenia mnich ze źle przyciętą tonsurą. Również nowy zapach Bonifacego wzbudzał jego podejrzenia. Starszy brat pachniał koprem i miodem.

Kolejny dzień w podróży przepowiadał najgorsze. Dwukółka jakby bardziej trzęsła; monstrancja nieraz wypadała na gościniec, kielichy brzęczały, posypały się bursztyny. Mnisi kilkakrotnie musieli wstrzymać podróż, by pozbierać swe trofea i mocniej naciągnąć płachtę. Gdy minęli kolejną przecinkę lasu, Klemens nie wytrzymał. Tyle razem przeszli z Bonifacym, ale wystarczyło kilka dni, żeby stary cap zapomniał, że obcym się nie ufa, że na tym padole są skazani wyłącznie na siebie!

- Heretycy! - Wymierzył groźnie palec w stronę Jaksy i Przeclawa, spoglądając wymownie na druha.

Nadeszła chwila prawdy.

- Katarzy! - zawtórował mu Bonifacy, ale bez przekonania.

- Słudzy diabła! - warczał dalej Klemens, niezrażony brakiem bardziej zdecydowanego poparcia starszego braciszka.

Gdy droga znowu wprowadziła ich w gęsty las, Bonifacy nie wytrzymał.

- Stójcie! - warknął.

Dwukółka zatrzeszczała i znieruchomiała. Przeclaw i Jakska również dali odpocząć koniom.

- A gównu! - oznajmił filozoficznie Klemens.

- Raczej hemoroidy - sprostował Bonifacy. - To one nie pozwalały mi usiedzieć na wozie, nie mówiąc już o koniu. I gdyby nie ten mnich - uśmiechnął się niemal czule do Przeclawa - kto wie? Może mój koszmar trwałby do śmierci.

- Wystarczająco długo, abyś mógł odpokutować swoje grzechy. - Klemens splunął. - Diabelskie sztuczki! Dałeś się omamić.

- Diabelskie sztuczki?! - Bonifacy złapał to, co znalazł pod ręką. Kielich z Tournus okazał się ciężki, mało poręczny. Zamachnął się nim na młodszego cystersa. -

W zadku mam naturalny okład z kopru i miodu, a ten złodziej monstrancji mówi mi o diabelskich sztuczkiach!

- Macer wspomina, że najlepsze na hemoroidy są palone nasiona kopru zmieszane z miodem - wyjaśnił spokojnie Przeclaw.

- Jesteś z Chartres! Ale nawet z odzienia nas cystersów nie przypominasz -

rzekł Klemens z wyrzutem. - Znam ja was. Modlicie się do Boga, by wybaczał wam wasze diabelskie sztuczki. Rozmiałowani jesteście w arabskich pismach. Ale przyjdzie dzień sądu. Dzień Sądu Ostatecznego. Już nadchodzi.

Klemens krzyczał, a Bonifacy groził palcem. Nie odważył się użyć kielicha.

Jaksa nie pozostał mnichom dłużny. Wyciągnął miecz z pochwy.

Klemens rzucił się do wozu i wyciągnął kuszę. Naciągnął ją pośpiesznie z niemałym wysiłkiem.

- Załatwię tego diabelskiego mnicha i będzie po kłopotcie. - Wymierzył w Przeclawa.

- Przecież Kościół zakazał używania kuszy. To broń niegodna. Nierycerska! -

Bonifacy cały się trząsł.

- Opamiętaj się, bracie! Zważ, po której stronie stajesz. Ile razem przeżyliśmy. -

Klemens niemal płakał.

- Koper w dupie to nie wszystko!

Bonifacy się ugiął. Przypomniawszy sobie, że na wozie jest jeszcze jedna kusza.

Wziął ją, naciągnął i wymierzył w Jakse. Cieszył się, że to Klemens, nie on, mierzy w mnicha z Chartres.

- W wojnie przeciw niewiernym kusza to bicz boży.

- Klemens się uśmiechnął.

Broń trzymał pewnie. Wyraz jego twarzy zdradzał, że był zdecydowany zabić.

- Psy! - Przeclaw zacisnął pięści.

- W obliczu wspólnego wroga odłóżmy swary - zaproponował nagle Jaksa, oglądając się nerwowo za siebie. - Zbliżają się! - Spojrzał na gościniec, wsłuchał się przez chwilę w odgłosy lasu. Ptaki się zerwały, a potem zapadła cisza.

Klemens zbierał między zębami ślinę.

- To mnie przekonuje. - Splunął.

Mnisi opuścili kusze.

Całkiem niepotrzebnie.

Dwóch Sasów wyskoczyło z lasu po prawicy Jaksy. Dwóch pozostałych wystrzeliło gdzieś zza ich



pleców z łuków. Klemens padł od strzału w grdykę. Bonifacy zgiął się wpół i upadł na kuszę. Jaksza odparował cios jednego z rycerzy. Drugi natarł

na Przeclawa. Mnich uskoczył do tyłu i wyciągnął z pochwy Boży Gniew, ale nie zdążył

go użyć. Powietrze przeciął świst, gdy tuż koło jego ucha przeleciał bełt. Napastnik upadł, rżąc.

Jaksza w tym czasie rozprawił się ze swoim przeciwnikiem. Ci, co dzierżyli łuki, nie zdążyli ponowić ostrzału. Coś wypadło z lasu i podcięło im gardła.

Walka nie trwała dłużej niż jedno amen.

- To psy Henryka Lwa. Niezbyt dobrze wytresowane. - Przeclaw splunął. - Na szczęście potężnych masz sprzymierzeńców. - Spojrzał w las, gdzie umknęło coś, co przypominało wilka.

Jaksza tylko wzruszył ramionami.

- Bójcie się... bójcie się... Boga - rżął Bonifacy, próbując podnieść się z ziemi.

Przeclaw ukląkł nad nim.

- Dzięki za uratowanie życia.

- Celowałem w ciebie - przyznał. - Wybacz, ale odchodząc do nieba, dobrze zabrać ze sobą heretyka.

Przeclaw pomacał jego żebra i brzuch. Szukał śladu krwi na habicie.

Bezskutecznie.

- Nic ci nie będzie. - Wyciągnął spod koszuli cystersa duży złoty krzyż na łańcuchu. - Chrystus uratował ci życie. Dziś jeszcze nie pójdziesz do nieba.

- Wasz bóg popełnia błędy. - Cień Jakszy przysłonił szczęśliwie ocalonemu niebo. - Może to naprawię?

Cysters zemdlął.

\*

Trzy dni jechali gościńcem, niekiedy przystawali na czas obozowania, daleko zbaczając w las, choć Przeclaw bardziej obawiał się leśnych duchów niż saskiej pogoni. Jaksza przypominał mu jednak, że z nim mogą czuć się bezpieczni.

Zabrali za sobą zdradzieckiego cystersa. Przeclaw powstrzymał księcia przed poderżnięciem mu gardła.

Z każdym stajem, który zbliżał ich do Brenny nad Hawelą, księżę z Kopnika stawał się bardziej

niecierpliwy. Popędzał konia do przodu, by po chwili wrócić klusem posuwistym i sprężystym. Krytykując mnichów za opieszałość, nakazywał

pośpiech. Nie stronił od kompanii tylko wtedy, gdy ropiała mu rana bądź opadał z sił.

Wówczas bez zażenowania prosił Przeclawa o lecznicze zioła.

- Dokąd zmierzasz? - Przeclaw siedział na wozie wraz ze skrepowanym mnichem, dając tym samym ulgę koniowi.

Bonifacy westchnął.

- Pragnę stanąć przy boku Chrystusa w jego walce z Szatanem.

- To zrozumiałe. - Przeclaw odchrząknął znudzony. - A dokładniej?

- Do Brenny - wyjaśnił. - Podobno już go tam widziano.

- Kogo?

- Chrystusa! Chrystusa na białym koniu.

- Może to ktoś z Arkony? - zakpił Przeclaw.

- A gdzieżby tam. - Cysters splunął.

- Był sam?

- Mówią, że samiuteńki jak palec.

Przeclaw aż przyklasnął z uciechy, jaką dawała mu rozmowa z zahukanym mnichem. Dobrodusznie jednak ukrywał kpinę, powstrzymując się od śmiechu.

- Więc to bzdury! Chrystusa poznasz po tym, że ma na tarczy czerwony krzyż, a towarzyszy mu archanioł, a także Waleczność, Dobrotliwość, Szczodrość i Grzeczność.

Dziewki piękne i cnotliwe.

- Gdyby nie te panny i archanioł, pomyślałbym, że to ty - fuknął Bonifacy, obrażony, że Przeclaw mu nie dowierza. Mimo to ciągnął swój wywód: - Chrystus ma od Najświętszej Pani szarfę, która przyniesie mu szczęście. Słyszałem pewnego truvera jak śpiewał, że jeden z rycerzy tak się rozkleił w modlitwie, że nie zdążył na potyczkę z sąsiadem. Gdy wreszcie przyjechał, wszyscy gratulowali mu zwycięstwa.

Przenajświętsza pod jego postacią stawiała się do walki!

Przeclaw westchnął głęboko. Dwukółką trzęsło, gościniec piał się nieco w górę, brakowało cienia.

A Bonifacy widocznie tak przestraszył się śmierci, że chciał być świętszy nawet od Boga.

- Jeżeli chcesz stanąć przy boku Chrystusa, dlaczego nie jesteś wraz z Henrykiem Lwem albo Albrechtem? - zaciekał się Przeclaw. - Bo to, co mówisz, to brednie!

Bonifacy wyciągnął błagalnie w jego stronę skrępowane ręce, obiecując, że będzie już grzeczny. Przeclaw zlitował się nad nim i łaskawie rozciął sznury. Grubas wyszarpnął spod sterty pakunków zawiniątko, rozpakował je i wepchnął do ust kawałek suchego chleba.

- Chrystus grzesznikowi wybaczy, gdy ten wznosi miecz przeciwko niewiernym.

To wiedzą wszyscy. - Bonifacy przełykał łapczywie kromkę. - Ale nie chcę mieć nic do czynienia z bandą w niewieścich sukniach, z szarfami dziwek na włóczniach, w ozdobnych pióropuszach, błaznów goniących za czczą sławą, wyrzynających się nawzajem.

- Przemawiasz jak Bernard z Clairvaux. - Przeclaw westchnął. - A on przecież prowadzi tych, których nazywasz bandą. Jego zasługi są nieocenione. Sam musisz to przyznać. Świat tak został urządzony, że miejsce w niebie trzeba sobie zdobyć przemocą. Czuję, że właśnie tutaj, na niepoświęconej ziemi, na Połabiu będziemy świadkami ostatecznego zwycięstwa nad złem..

Sam się dziwił swej szczerości; może powodem tego była poczciwa twarz mnicha.

- Na neutralnym gruncie, znaczy - wtrącił się Jaks, który niezauważenie podjechał do dwukółki.

- Prawda to - zauważył Bonifacy. - Już za diabłem zza Łaby kroczą koboldy i krasnale. Uchodzą wszyscy ci, którzy boją się wody święconej. Choćby ty. - Wskazał

Przeclawa. - Magią się parasz.

- Włożenie w dupę kopru z miodem to jeszcze nie magia. - Oskarżony się zaśmiał. - Zresztą ci, którzy sprzedają kradzione relikwie, też nie mogą liczyć na wyrozumiałość po zachodniej stronie Łaby.

- A gówno! Swoje w życiu widziałem i swoje wiem. Ale pozostałem tylko skromnym mnichem. Mnie diabeł nie ruszy. A ty ze swoją magią musisz mieć się na baczności. Hemoroidy znikły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Bajki o miodzie i koprze możesz opowiadać dzieciom. Koper w dupie, oj nie, to nie wystarczy.

To jest prawdziwa magia. - Bonifacy aż się zakrztusił z przejęcia.

Zrobił się czerwony na twarzy, nie mogąc złapać tchu. Kiwnięciem ręki poprosił, by pokleпали go po plecach.

Jaks podziwiał las dookoła. Przeclaw spoglądał w niebo.

Kromka, niestety, nie okazała się mordercza.

\*

Przed zmrokiem zatrzymali się przy opuszczonej chacie na skraju wykarczowanego lasu. Przeclaw zajrzał do studni.

- Nie pij! Na pewno zatruta - przestrzegł go Jaksa.

Mnich posłuchał. Pożałował, że to nie księżę tu podszedł. Drugiej takiej szansy na otrucie go nie będzie już miał. Niechętnie podał Słowianinowi swój bukłak. Księżę wypił łąpczywie.

- Za mało. - Otarł usta z mlaśnięciem, oddając wodę.

Przeclaw, niepomny na przestrogi, nabrał wody ze studni i ponownie napełnił

bukłak. Jaksa wzruszył ramionami.

- Nie będę cię drugi raz ratował.

- Nie będzie takiej potrzeby.

Przeclaw podszedł do drzemiącego cystersa i ocucił go uderzeniem w twarz.

- Masz. Pij.

Bonifacy zaczął z wdzięcznością opróżniać bukłak.

- Szkoda, że nie ma z nami Klemensa. - Mlasnął zadowolony.

- Jeżeli ta woda jest zatruta, to niedługo się z nim spotkasz. - Przeclaw uśmiechnął się, wskazując na studnię.

Cysters mocno oplótł palcami wiszący na jego szyi krzyż.

- Ty łotrze! - Splunął w stronę truciciela. - Należymy przecież do tego samego zakonu.

- Ile to może potrwać? - spytał Jaksa, nieczuły na tragedię cystersa.

- Pacierz wystarczy - ocenił Przeclaw, a zwracając się do Bonifacego, napomniął: - Módl się. To jedno, co teraz możesz zrobić.

Bonifacy splótł ręce i zaczął się modlić. Bardzo dokładnie. I bardzo powoli.

- Amen - powiedział w końcu. Jaksa pobiegł do studni.

- Pij, pij, heretyku! Chrystus cię nie obroni! - szydził Bonifacy, szczęśliwy, że nadal żyje. W ciągu kilku dni drugi raz cudem uniknął śmierci. - Pijcie, to zawiozę wasze truchła do Brenny.

Mylił się. Po chwili również Przeclaw przeszedł próbę wody pomyślnie.

- Tutaj nasze drogi się rozejdą. - Jaksa wsiadł na konia.

Przeclaw zaczął odwiązywać szkapę od wozu.

- Dokąd jedziecie? - Cysters był przerażony. - Przecież niedługo zapadnie noc.

- Przed zmrokiem zdążymy. Brenna jest tuż-tuż.

- Nie zostawiajcie mnie samego w tej głuszy!

- Chciałeś mnie zabić. - Przeclaw spojrział przelotnie na Bonifacego. - Teraz ci się odpłaciłem. Jesteśmy kwita.

- Wybacz, nerwowy jestem. A poza tym związany przysięgą z klasztorem.

Bernard nakazał nam tropić heretyków. Krucjata przecież idzie na wschód. A krzyżem odstępców wiary i pogan nie zawojujesz.

Przeclaw uśmiechnął się pod nosem. Robak, zwykły robak, który nie miał

pojęcia, co się wokół niego dzieje. Czego szuka Bernard wraz ze swoimi krzyżowcami.

- Dobrze zapłacę - prosił Bonifacy. Tym razem spojrzeli na niego.

- Nawet nie wiecie, jak dochodowa może być sprzedaż relikwii. - Poderwał się z wozu. - Sami tego nie zrobicie. Do tego trzeba mieć talent. Stąd do Brenny niedaleko.

To i prawda. Jeżeli się pośpieszymy, przed zmrokiem będziemy w grodzie. Ale czasy ciężkie i powody dobre trzeba mieć, aby wjechać do grodu. A tam chrześcijany, chętnie przyjmą mnichów. - Spojrzął wymownie na Przeclawa. - Bo dziś nie każdy, kto w habicie, to mnich. Niektórzy, goląc sobie tonsurę, uciekają przed sądem świeckim.

Tu, pod wschodniej stronie Łaby, ludzie bardziej są nerwowi, szybciej sięgają po miecz.

- Do Brenny niedaleko, to prawda. - Jaksza się zamyślił.

Przeclaw zaczął z powrotem przywiązywać szkapę do wozu.

- Ale po przekroczeniu bramy i gdy sprzedamy towar, nasze drogi się rozejdą -

przestrzegł. - I dzielimy się po równo.

- Moja strata. - Bonifacy przełknął ślinę.

- A co z twoją przysięgą złożoną klasztorowi? - dociekał Przeclaw. - Nie będziesz chciał mnie ponownie posłać do nieba?

Bonifacy spojrział na posępnego teraz mnicha. Przeclaw cierpliwie czekał na deklarację posłuszeństwa.

- Pomodłę się za ciebie. - Bonifacy wznosił oczy ku niebu. - To na razie musi wystarczyć. Może kiedyś zapłonie pod tobą stos i uwolni twoją heretycką duszę.

- Gryzie - zauważył z przekąsem Jaksy.

Dobrze się bawił niemocą mnicha.

- Ale jak zaszczute szczenię. - Przeclaw się zaśmiał.

Nie zamierzał odbierać Bonifacemu resztki godności.

\*

Magda wyszła z wody. Czuła, że jest piękna.

Chociaż... Przystanąła nad brzegiem. Zanuciła pod nosem:

- *Czy aby nie jestem za stara.*

Pogładziła nieistniejące zmarszczki na twarzy,

- *Albo zbyt gruba.*

Wygładziła suknię i pogłaskała sflaczałą skórę na brzuchu.

- *Jestem piękna, bo pozbyłam się bękarta.*

Ruszyła wzdłuż rzeki na wschód.

## **ROZDZIAŁ V**

*Wiele jest ziół*

*Na każdy dzień.*

*Daj krowie lilie,*

*Albo szczerć.*

„*O ziołach*”, Przeclaw, *O naturalnych sposobach leczenia*, Kopnik, A.D. 1148

Jaksy zatrzymał się przed kamieniem, gdzie krzyżowały się drogi. Ta na wschód prowadziła do Tolęży i dalej do Kopnika, ta na północ do Brenny.

- Tu się pożegnamy - powiedział. - Jeszcze staję i dojedziecie do celu.

Przeclaw nie wstrzymał konia, również dwukółka powoli, ale nieubłaganie toczyła się dalej.

- Pamiętaj, mnichu. Jesteśmy kwita. - Książę skinął głową i popędził konia wschodnim gościńcem, byle dalej od Brenny, do Kopnika.

- Też mi wdzięczność - prychnął Bonifacy, który zdążył odjechać nieco, ale skąpe słowa pożegnania jeszcze dosłyszał.

- - Nie twoja sprawa, cystersie - zachnął się Przeclaw.

Wraz z odjazdem księcia zrobiło mu się jakby mniej duszno.

Gdy las zrzędł, ukazała im się Brenna.

Gród przypominał królestwo wodnika. Pośród moczarów na wyspie wznosiło się ponure grodzisko. Olśniewało wielkością, a także murowanymi gdzieniegdzie domami, które wyrastały ponad palisadę. Na podgrodziu wrzało jak w ulu. Kowale kuli w warsztatach żelazo, szewcy przycinali skórę na łapcie, szczytnicy obrabiali tarcze, a kupcy przekrzykiwali się nawzajem. Wszędzie przez gwar przebiegał się ciężki szwargot Niemców.

Minęli szereg piętrowych chałup i wjechali na kamienny most prowadzący do grodu. Wóz zaklekotał jakoś szybciej, konie nerwowo parsknęły. Drogę zagroził im strażnik grodowy Stępota. Towarzyszyło mu kilku przerośniętych pacholków. W

rękach dzierżyli pałki. Bonifacy zszedł z wozu i przymilnie pobłogosławił wszystkim jednak. Przeclaw zszedł z konia i pośpiesznie zaczął czynić to samo, ale strażnik powstrzymał dalsze błogosławieństwa machnięciem ręki. Wypatrywał kogoś na drodze, za ich plecami. Z lasu wybiegł młody chłopak. Stał zziębnięty na moście, zaczął pluć i charkać.

- Gadaj! - Stępota zdzielił chudzielca przez łeb niedźwiedzią łapą.

Nie grzeszył delikatnością. Był pijany.

- Szli, panie, szli i szli.

- Węszyli?

- Nie węszyli. Towarzyszył im jakiś jeździec, ale odjechał.

- W którą stronę?

- W stronę Tolęży, panie.

- To mnich. Z Kamienia. Jechał z nami od Dobina. Czasy niebezpieczne. W

grupie raźniej - wmieszał się w rozmowę Przeclaw. Wolał uniknąć kłopotów.

- Nie wyglądał na mnicha! - wtrącił młodzik.

- Siedź cicho, otroku! Ilu żeś mnichów widział na oczy? - skarcił go jeden z parobków.

- Co tam macie na wozie? - Stępota podszedł do dwukółki i zaczął w niej grzebać.

- Dwa złote kielichy z Tournus, którą ten zacny mnich uratował przed spalaniem, monstrancję z Saint-Philibert, gdzie wybuchła zaraza, głowę świętego Maurycego... - wyliczał z przekąsem Przeclaw.

- I dwie głowy świętego Teofila - pochwalił się Bonifacy i z powrotem wlaźł na dwukółkę.

- Dwie? - zdziwił się Stępota, cofając z odrazą rękę. Widocznie natrafił na coś miękkiego.

- Dwie - powtórzył Bonifacy. - Ale świętego Jerzego.

- Aaa, to zmienia postać rzeczy. - Strażnik zarechotał.

Przyjrzał się uważniej przyjezdnym. Jeden mnich w źle przyciętej tonsurze, z twarzą przygłupa, i grubas, który nerwowo wiercił się na wozie.

Widząc niepokój strażnika, Bonifacy mruknął coś niezrozumiale pod nosem.

Oblał się rumieńcem jak dzierlatka, wbił wzrok w ziemię.

- Przepraszam, nie usłyszałem. - Stępota nadstawił ucha.

Cieszyło go, że może utrzyć nosa mnichowi. Bonifacy znowu chrząknął pod nosem.

- Że niby co? - Strażnik nie ustępował.

- Hemoroidy - wyjaśnił.

- A, to rozumiem. - Parsknął śmiechem.

Pachołkowie opuścili nieznacznie kusze. Widocznie znali swego pana na wskroś.

- Takie towarzystwo nie może budzić mojego niepokoju. Ale pamiętajcie, będę miał was na oku. A ty? - Złapał za ramię Przeclawa. - Znasz się na czymś?

- Leczę duszę i ciało jako wzięty medyk - odpowiedział z powagą mnich.

- Pełno wśród was szalbierzy.

- Ale ja jestem uczony w księgach. Jeżeli mógłbym jakoś przysłużyć się księciu, służyć dobrą radą. - Przeclaw uklonił się szyderczo. - Albrecht Niedźwiedź nie pożałował.

Stępota zrozumiał. Skinął porozumiewawczo głową i przysunął się nieco bliżej, by wyszeptać:

- Udaj się do tawerny Zbytki. Tam czekaj na wezwanie księżnej.



Pożegnali strażnika pośpiesznym błogosławieństwem i ruszyli przez most. Na podgrodziu Brenny gdzieniegdzie tylko stały murowane domy. Przeważały jednoizbowe chaty ciasno poupychane ściana przy ścianie, skonstruowane z belek łączonych na zrąb, niekiedy z plecionki. Przez otwory w dachach uciekał dym z domowych palenisk.

Daleko Brennie do miast zachodnich, daleko nawet do Lubeki, zamyślił się Przeclaw, ale tu na Połabiu, stodorański gród wybudowano największy ze wszystkich.

\*

Jaksa pędził wąską groblą z Brenny do oddalonego o dzień drogi Kopnika.

Ledwie przejeżdżną, bo grząską drogę skrywał przed słońcem cień wysokich drzew. Gdy mijał Kole od północy, a Tetłów od południa, poznawał już stare dęby i szumiące strumyki. Na ziemi Tolężan zwierzyna płoszyła się jakby mniej, ptaki śpiewały spokojnie, niedźwiedź nie chował się w ciemnym borze. Jaksa wiedział, że nad Sprewą las poznawał swego.

Grobla prowadziła prosto nad rzekę, a potem skręcała na południe. Tu zwolnił, bo tam, gdzie wylała woda, droga stała się całkowicie nieprzejezdna. Zszedł z konia, by poprowadzić go na wodzy i przedrzeć się przez nierówne ostępy drzew i wykroty.

Zwierzę się niepokoiło, czując grząski grunt pod kopytami, toteż musiał przystawać co chwila. Jaksa uspokajał je, poruszając nieco wędzidłem i przemawiając spokojnym głosem. Mimo to nie tracił nadziei, że jeszcze przed zmrokiem dotrze do grodu. I nie mylił się.

Kopnik przywitał go milczeniem. Kilkanaście chałup skrytych za palisadą na niewielkiej wyspie, okolonej zewsząd rwącą rzeką, prócz tłącego się gdzieniegdzie dymu nie zdradzało oznak życia.

Podgrodzie jak zwykle przypominało cmentarz. Wymarło zupełnie. Kowal, szewc, sieciarz - spali zapewne na polepie w swych wyściełanych słomą domach, Żyd w gospodzie jeszcze rachował, matki już dawno odłożyły do kołysek dziatwę. Wieś.

Zapadła wieś, pomyślał. Gdzie Kopnikowi do Brenny.

Wysoki wał otaczał starszą część grodu, tam gdzie znajdował się dwupiętrowy dworzec księcia. Wokół niego, niczym promienie słońca pobudowano siedziby oddanej mu drużyny i możnych. Po wschodniej stronie wyspy stały cztery tuziny chat, wszystkie kryte słomą i z drewna. W Kopniku żadnego domu nie postawiono z kamienia. Dalej, już poza palisadą, na skraju wyspy mieszkali rybacy.

Jaksa wkroczył na most łączący podgrodzie z najstarszą częścią grodu. Gdy tylko strażnicy usłyszeli jego wołanie, otwarli bramy. Oddał im pod opiekę umęczonego konia i skierował się prosto do dworu. Tęgomir i Kuśpiej, a także Jeruszko i Stykusz - bracia Kuniczukowie, uprzedzeni o przybyciu Jaksy, właśnie szykowali się do uczyty na jego cześć. Na szerokim stole, między misami i talerzami górował już parujący kopiec kaszy i ociekająca z tłuszczu dziczyna. Służba napełniała dzbany piwem.

Gdy Jaksą wszedł do głównej sali, przywitali go okrzykiem radości. Zasiadł na przystawionej mu ławie, pozwolił, żeby dziewczka zwała mu buty, zdjął płaszcz i kaftan, odłożył na bok miecz i popuścił pasa. Dopiero po chwili przywitał kompanów uśmiechem. Podniesiono dzbany. Księżę łaskawie pozwolił wypić za swoje zdrowie i wkrótce wszyscy obecni zasiedli przy stole. Jaksą rzucił się na kaszę, jak wilk wgryzł

się w mięso. Nikt nie odważył się przeszkadzać księciu w posiłku. Czekali, aż zaspokoi głód i ugasi pragnienie.

Gdy cisnął psom kości i odstawił opróżniony do dna dzban piwa, kazał jednej z pulchniejszych dziewczek siąść mu na kolanach. Po długiej podróży spragniony był

właśnie takiej baby; jej miękkich cycków i dupska wielkiego jak ława. Dziewka okazała się, niestety, nazbyt płochliwa i mało ochotna jak na gust księcia. Trzymał ją jednak mocno, nie pozwalając uciec. Wreszcie omiółł wzrokiem gęby biesiadników.

Przy stole z księciem w Kopniku zasiadali tylko najwierniejsi.

Kuśpiej i Tęgomir - dwa niedźwiedzie - którzy, mimo że zawsze szukali między sobą zwady, kochali się jak bracia. Mędrkowali też razem. Gardzili księciem Brenny, bo ten rozdawał ziemię chrześcijanom, nie ufali kupcom z obcą mową - ci zbyt słono kazali sobie płacić na targach. Wierzyli, że Jaksą zaradzi wszelkim niegodziwościami, że za wierną służbę wynagrodzi ich żyzną ziemią nad Sprewą.

Muściej Cholewnik, o urodzie kobiety, zawsze czysty i schludny, mógł się pochwalić długimi lokami. Prócz miecza kochał pieśni. Gdy śpiewał, nie baczył, że głupcy nie podzielają jego entuzjazmu. Na malkontentów rzucał się, by zabić. Siedział

teraz przy ławie i sposobił się do pieśni, chrząkając i mrużąc coś pod nosem. W izbie brakowało jego młodszego brata, Mieszka. Zapewne został przy gospodarstwie, by pomóc w polu. Jaksą wiedział, że ojciec przestrzegał przed nim synów. Cholewnik dbał o swój ród, od kilku pokoleń zaliczający się do możnych. Rachował, co mu się bardziej opłaci: poprzeć narwanego Jaksę czy w chwili śmierci Przybysława stanąć przy boku Petrysy i pozwolić, by Sasi na dobre osiedlili się nad Hawelą i, jak zapewniała księżna, zapewnili *status quo*. Młodzi, ku uciechu księcia z Kopnika, nie dzielali wątpliwości ojca, przestrzegając go, że jeśli Sasi na dobre rozgospodzą się nad Sprewą i Hawelą to, kto wie, jakie wprowadzą porządki. Zresztą młodzi Cholewnicy kochali nieprzebyte bory i lasy. Niby czemu mieli oddawać je na zatracenie Niemcom i Kościołowi. Pomagali więc Jaksie z ochotą, nie z przymusu czy chęci zysku.

Natomiast Szczerwiowie wcale nie przywitali księcia. Dwaj bracia zapuścili się jak zwykle na długie tygodnie w leśne głusze, by tropić niedźwiedzie. Im za jedno było, kto rządzi nad Hawelą czy w Kopniku, byleby podatkiem nie dusił, ziemi nie skąpił, i dawał wiele okazji do wypraw, by mogli łupami chatę uposażyć albo sprzedać coś na targu. Woleli żyć z oręża, a nie pchać dwukółkę traktem do Lubeki. I właśnie to im Jaksą gwarantował. Wolność.

Przy stole nie zasiadł Chębota, ale z innych względów niż wyprawa do lasu. Już dawno zerwał

przyjaźń z księciem. Niew smak mu był młody pan, który nie boi się kupców po gościńcu łupić, boski i pański porządek mając za nic. Chębota ciężko pracował na swoją pozycję. Wspierał Przybysława radą i orężem. Książę więc nie szczędził mu pochlebstw ani majątku. Teraz, gdy umierał, Chębota przemyślał, jak sięgnąć po władzę. Czy samemu osiąść na brenneńskim stolcu, czy przez córkę -

zeniąc ją z Jaksą. W Petrysie nie widział przeszkody, ale obawiał się Sasów. Stąd te jego dąsy i dlatego też tyle mędrkował, zamiast już dawno stanąć przy boku Jaksy.

Książę troskał się przez chwilę. Dobrze, że mógł przynajmniej ufać Kuniczukom. Nadał im połacziemi nad północną Sprewą, a także nieco dalej na zachód, w sąsiedztwie Cholewników. Przy jego boku Stykusz i Jeruszko czuli się docenieni, mieli szansę na dodatkowe dzierżawy. Chociaż Kuniczuk, kiedy przebywał

wraz z księciem sam na nas, przyznawał zawsze coś jeszcze - że tak naprawdę kocha księcia, bo szanują go stare bogi. To dziwne, śmiał się Jaks, ale Stykusz czasami przypominał mu kapłana. Modlił się najwięcej z całej drużyny, wiedział, do której kąciny prowadzi stara przesieka. Mateczniki w borze nazywał od imion bóstw, które tam widział.

Jaksa westchnął. Wiedział o nich wszystko, o swoich wrogach i przyjaciółach.

Niby nie mógł narzekać. Przecież z ziem nad Tolęzą i Sprewą płacono mu myta targowe. Do książęcego skarbczyka wpływały taksy z tawern, opłaty sądowe, renta w naturze. Na dowód swej władzy książę bił monetę. Jednakże Kopnik to nie Brenna, a Sprewa to nie Hawela. Poza tym Przybysław, jako ojciec chrzestny syna Albrechta, oddał mu z tej okazji Ziemię Suchą, która sąsiadowała z władztwem Sprewianina. Wuj uszczuplił w ten sposób jego dziedzictwo.

Piwo, które mu podstawiono, przestało nagle smakować, dziewczka spowszedniała; odepchnął ją od siebie ze wstrętem.

- Gadaj, książę - wreszcie Stykusz odezwał się jako pierwszy.

- Mów. Wierzyliśmy, że żyjesz. - Tęgomir skinął głową. On wraz z Kuśpiejem jako jedyni przeżyli najazd na Lubekę. - Szukaliśmy cię po bitwie. Nie odpłynęliśmy.

Dopiero kiedy saska dziewczka powiedziała nam, że widziała wielką babę taszczącą jakiegoś woja na plecach, który nie wiecie czemu przypominał wilka, odetchnęliśmy z ulgą. - Zaśmiał się. - Musiałeś pewnie dostać od kogoś nieźle w łeb.

- Jak widzicie jestem cały i zdrowy.

- Chwała. - Stykusz poderwał się z miejsca.

- Chwała!!! - ryknęli wszyscy.

- Zaśpiewam - zaproponował z ochotą Muściej.

- Nie teraz, zaczekaj - powstrzymał go z uśmiechem gospodarz.

Po radosnych gębach swojej drużyny domyślił się, jak bardzo im się cniło bez niego. Aż się palili do walki z Sasami. Machnięciem ręki nakazał milczenie. Pochylił

się nad stołem i jednym ruchem zrzucił z niego talerze i miski. Zostawił tylko gotowaną kaszę, marchew i kilka dzbanków.

- To tutaj to nasza ziemia. - Gotowaną marchwią zaznaczył na stole ziemię Sprewian i Stodoran. - A to nasze grody. - Z hukiem postawił dwa dzbany. - Brenna i Kopnik.

- Przecież Brenna nie nasza - zauważył Tęgomir.

- Nie w naszych rękach. Ale nasza - sprostował. - A to Sasi. - Rozrzucił kaszę na wschód i południe od Brenny. - Nawet tu. - Puknął palcem w stół.

- To Ziemia Sucha? - upewnił się Kuśpiej.

- A owszem.

Wszyscy wiedzieli, do kogo teraz należy.

- I zapewniam was, że jak tak dalej pójdzie, to i Brennę trzeba będzie oddać, a potem także Kopnik.

Czekali na to, co powie. Na ich gębach malowało się zniecierpliwienie.

Domagali się, żeby basior poprowadził stado.

- Może zaśpiewam? - Muściej poderwał się niespodziewanie.

Piwo uderzyło mu do głowy. Już tak dawno nie śpiewał dla księcia.

Jeruszko pociągnął go za rękaw, by usiadł.

- Henryk Lew na dobre utknął pod Dobinem. Sam widziałem - kontynuował

książę. - Albrecht Niedźwiedź kieruje się na wschód. Na pewno zawita do Brenny.

- A nas nie odwiedzi?

- Obawia się Mieszka.

- Więc popędzi na Szczecin albo Kamień. A Brenna dla nas stracona?

- Nie. Dopóki żyje Przybysław, Albrecht nie zajmie Brenny. Ale nie mamy zbyt wiele czasu, bo książę zachorzał. Petrysa tylko czeka na jego śmierć. Musimy się więc przygotować. Przekonamy możnych znad Haweli, że książę z Kopnika zadba właściwie o ich interesy, chłopów zastraszymy, Niemców usuniemy.

- A handel? - Stykusz był rycerzem, ale rachować też potrafił. - Koń potrzebuje rzędu, a na jego zakup stać dopiero po sprzedaniu plonów.

- Handlem zajmą się miejscowi kupcy i Żydzi. Nie potrzebujemy nad Sprewą ani Hawelą Sasów czy Bawarów.

- Dobrze byłoby przekonać Chębotę. Trzęsą się przed nim panowie znad Haweli, liczy się z nim stary książę. - I dodatkowo, o czym Stykusz nie wspomniał, jego ziemie sąsiadowały z Kuniczukami. Od lat prowadzili spory o piędź ziemi, wyrąb lasów.

- Co zamierzasz, książę? - spytał Tęgomir.

- Brać się do roboty. Za dwa dni wyruszamy. Nie oddamy Niemcom Brenny.

Nigdy! - krzyknął.

- Po naszym trupie! - zawtórowali mu kompani.

- I moim. - Książę się uśmiechnął.

Muściej raz jeszcze wstał. Rozejrzył się po twarzach obecnych.

- No to teraz wreszcie zaśpiewam - poinformował wszystkich.

Nie było sprzeciwów.

*- Śpiewam, gdy ochotę mam,*

*I każdemu w mordę dam.*

*A kto psioczy na mą pieśń,*

*Temu w zęby wbiję pięść.*

*Ziewać tutaj nie wypada,*

*Bo zębiska się postrada.*

*Zamiast śpiewu leci jucha,*

*Gdy kto nie nadstawia ucha.*

*Rana długo się zasklepia...*

- Może coś bardziej... hm... - Książę chrząknął niepewnie.

Muściej przerwał gwałtownie, niezadowolony. Ale pokiwał szybko głową, że rozumie, w czym rzecz, i ponownie zaśpiewał.

Pod powałę uleciał jego głos, niby szept, jakby to nie on, a jakaś panna nuciła pieśń. Wojowie, znużeni pićciem i gadką, przymknęli oczy, by dać się jej ponieść.

*- Trakt dla Sasów jatką,*

*Sasi naszą zwierzyną,*

*Nie uрони żadna panna łzy nad ich padliną.*

*Żadna panna nie uрони łzy nad ich padliną.*

*Nasze pieśni jak wiatr*

*Trwać będą przez wieki.*

*Więc się w nie wsluchaj,*

*Wnet zamknij powieki.*

*W pieśń więc się wsluchaj, zamknij powieki.*

*W pieśń więc się wsluchaj, a wszystek strach z ciebie uleci...*

\*

Sprzedaż relikwii nie szła im wcale. Moźni brenneńscy okazali się mało gorliwymi chrześcijanami albo po prostu nie mieli aż tylu funduszy na świątobliwy zakup. Dobrze sprzedawały się jedynie zioła - pokrzywa, która chroniła przed uczuciem strachu; lilie, które podrzucone krowie sąsiada powodowały, że ta przestawała dawać mleko; jaskólcze ziele, które mówiło, czy choroba jest śmiertelna; szczęć, by pomnożyć hodowlę; a także jemioła, werbena albo szalwia - wszystkie magiczne i wielce pomocne, by bardziej kochać lub nienawidzić bliźniego swego.

Jednakże tylko dzięki sprzedaży pierścienia Konrada Przeclaw zapewnił sobie i Bonifacemu wikt i opierunek na najbliższe sześć niedziel. W kosztą wliczył obsługę dziewczek nie tylko przy stole.

Zamieszkali na Pardwinie. Podgrodzie było hałaśliwe, wybór lokum ograniczony. Wybrali tawernę Zbytki, tak jak przykazał Przeclawowi Stępota. Mimo że przybytek nie zachęcał ani wyglądem, ani zapachem, cieszył się niezgorszym powodzeniem. Przez Zbytki przewijali się codziennie rybacy i rzeźnicy, Bawarzy i Sasi, i Żydzi; każdy bez wyjątku wychodził z tawerny pijany. Prócz podłego piwa sprowadzały ich do Zbytków akrobatyczne zdolności tutejszych dziewczek i - jak mówiła plotka głoszona po mieście - tanich i solidnych w robocie.

Goście jednako cisnęli się na wąskich ławach. U gospodarza nie było podziału na rybaków i kowali, pogan i chrześcijan, Niemców i Pomorzan. Wszyscy przecież mało się od siebie różnili, na co zwracał uwagę właściciel, mocno pociągając nosem, bo przybysze i miejscowi jednaki żywili wstręt do higieny.

Siedząc przy stole w towarzystwie Bonifacego, Przeclaw rozmyślał o Ostrowie Tumskim. Zaciągnął w tawernie języka i stąd się dowiedział, że Przybysław nadal jest chory. Klerycy mieszkający w grodzie szeptali, że stary książę para się magią, stąd jego pożółkła skóra i zapadnięte oczy. Natomiast przychylni mu grodzianie daliby sobie rękę odciąć, że za chorobę księcia odpowiada jego żona. To ją przede wszystkim oskarżali o czary. Gdy Przeclaw stawiał na stole dzbanek, rozwijały im się języki.

Opowiadali o nocnych jękach dochodzących z komnaty księcia na Ostrowie Tumskim i o Petrysie, która modliła się o śmierć swojego męża przed każdą wspólną wieczerzą.

Przeclaw dawał wiarę raczej pogłoskom o skłonności księcia do magii, choć nie przeczył, że księżna faktycznie truła męża. Zniecierpliwiony czekał na jej wezwanie już od kilku dni.

Skoczna melodyjka wyrwała go z zamyślenia; wygrywana przez karła przebijała się przez gwar śmiechów, wyzwisk i zapewnień o dozgonnej przyjaźni. W rytm melodii tańczyła skąpo odziana dziewczyna. Za jej partnera służyła grubo ciosana belka, podpora stropu, w sam raz odpowiednia do ćwiczeń, jakimi pannica raczyła swych gości.

- Jest najlepsza. Jedyna w swoim rodzaju - przyznał Przeclaw, z otwartą gębą przyglądający się jej niezwykłym popisom.

W Chartres śmiano się z niego, że Bóg po to uczynił go swoim sługą, by zwodził

baby. Nigdy zresztą nie ukrywał, że cieszył się z takiej opinii. Niestety, nie zawsze zgodnej z prawdą.

Tancerka chwyciła się oburącz belki i podskoczyła, podciągając wysoko pośladki. Ścisnęła silnymi udami drewnianego partnera i zwolniła uścisk dłoni, pozwalając, żeby jej tułów i głowa niczym w omdleniu odchyliły się do tyłu, aż wreszcie jej długie czarne loki sięgnęły podłogi. Sukienka zsunęła się na brzuch, odsłaniając zmierzwiony, czarny jak smoła kobiecy skarb.

- A na ból zęba? - spytał Bonifacy.

Przeclaw niechętnie spojrział na cystersa.

- Słucham?

- Na ból zęba? - powtórzył cierpliwie.

Dopiero teraz Przeclaw zdał sobie sprawę, że od dłuższego czasu jego kompan coś do niego mówi. W ciągu tygodnia Bonifacy pokochał Przeclawa jak brata; światowiec, obeznany z łaciną, nie szczędził mu trunków ani dobrej rady: na zaparcia

- *puliacarię*, na robaki - post i mleko...

- Najlepiej wyrwać. - Przeclaw znów spojrział na dziewczkę.

Tancerka klepnęła się w pupę.

- Co tak gały wytrzeszczasz? - Bonifacy naigrywał się z kompana. Sam bez wstydu ugniatał swojego członka. - To nie złoto! Za grosze można ją mieć.

- A gdzie się podziało twoje poczucie smaku? - odciął się Przeclaw.

- Ma dupsko, przyznaję.

Tancerka porzuciła na chwilę drewnianą belkę, by zawędrować między stoły.

Tawerna zahuczała, zamruczała, jęknęła. Tancerka cierpliwie znosiła dotyk włochatych łap na pośladkach, udach i piersiach. Posyłała gościom całusy.

Błogosławiła świat swą nagością. Gdy pot zrosił jej ciało, ukloniła się nisko, spięła pośladki i znikła za szynkwasmem.

Włochate łapy kilku cieśli z powrotem powędrowały do obwisłych piersi nachalnych dziewczek. Dwóch mnichów z rozmarzonymi gębami postanowiło przysnąć na ławach. Muzyka w Zbytkach ucichła. Karzeł przygrywający wcześniej tancerce uraczył się dzbanem piwa. Zrobiło się jakoś markotno.

Przeclaw zrezygnował po chwili z drzemki. Od niechcienia przełknął kawałek baraniny. Wypluł źle przeżute mięso, ręce splótł na brzuchu i pozwolił, by gazy opuściły jego trzewia.

- Niech tylko zemrze księżę Przybysław, Sasi na dobre zadowolą się w grodzie. - Ziewnął.

- Księżna grodem trzęsie - dodał Bonifacy. On też zasięgnął języka.

- Ale nam niedługo będzie wszystko jedno. - Przeclaw niecierpliwił się przydługim oczekiwaniem. - Jak tak dalej pójdzie, zdechnę z głodu. Pierścień przepiliśmy i przejedliśmy. Dobrze, że za nocleg zapłaciłem z góry za trzy niedziele.

- Najmij się na strażnika grodowego - poradził Bonifacy, kiwając na kilku kupców, którzy śpiewali obraźliwie pieśni pod adresem straży grodowej i jej dowódcy.

- Gdyby usłyszał to Stępota, kazałby się im wykąpać na bagnach.

- Sam idź, jakżeś taki mądry. Strażnicy na pewno grzeszą, więc potrzebują spowiedzi.

- Mam zajęcie - pochwalił się.

- Ale nie zapominaj, że mam w tym udział. Jak na razie nie sprzedałeś żadnej relikwii.

- Ciężkie czasy. Wiara marna. - Bonifacy rozłożył ręce.

Na pogan nawet on nie znał rady.

- Gdyby nie moje usługi, zdechłbyś marnie. Nie tak, to miało wyglądać.



- Pół miasta już leczysz. Sprowadzisz na nas nieszczęście. Jestem wyrozumiała, wybaczam ci twoją znajomość z diabłem, ale nie licz na wyrozumiałość gminu.

Do tawerny weszło czterech nowych gości, z ubioru wojów. Mieli wełniane tuniki, przesywanice, pasy z mieczami. Po wystraszonych, tylko z pozoru srogich twarzach Przeclaw domyślił się, że to chłystki. Rozsiedli się przy ławie najbliższej szynkwasu i poprosili o piwo. Gospodarz obsłużył ich szybko, ale niechętnie. Dopiero po chwili wtoczył się za nimi strażnik grodowy Stępota. Odrzucił na plecy skrywający mu twarz kaptur.

Wesoła kompania, która śpiewała obraźliwe pieśni, ucichła wraz z jego przybyciem.

- Mówiłem wam, żebyście tak nie pędzili. Za co wam płacę? - wysapał do czterech gości, którzy przyszli przed chwilą, i przysiadł się do nich.

Pachołkowie zrobili mu miejsce, ale na ich twarzach odmalowała się niechęć.

Stępota zawsze był gwałtowny, kiedy wypił za dużo.

- A panny nie ma, gospodarzu? - spytał.

- Nie ma - uciał szybko właściciel Zbytków.

- Panien im się zachciewa - szepnął cysters w drugim końcu sali. - Jakby im jeszcze było mało...

Przeclaw przyjrzał się Stępocie. Strażnik obficie raczył się miodem i w milczeniu przysłuchiwał się kompanom, którzy rechotali głupawo i opowiadali marne dowcipy.

- Ta hołota wokół niego to plebs, biedota. Jedzą mu z ręki. Wystarczy, że na nich skinie - ciągnął Bonifacy, widząc zainteresowanie mnicha. - Zawiazali rodzaj bractwa. Włóczą się, gęby objijają, dziewczki gwałcą, a i zacnym paniom nie popuszczają.

Mówią o nich, że to nie chrześcijany! Ponoć żeby się do nich wkupić, musisz zhańbić jakąś białogłową.

- Przeclaw! - krzyknął nagle ktoś z sali. - Pokaż nam czary!

- Twoja sława cię wyprzedza, mnichu - zakpił Bonifacy, odsuwając się od niego na wszelki wypadek. Nie zamierzał przed strażą grodową przyznawać się do znajomości z czarownikiem. - Idź, pokaż im swoje sztuczki.

- Dzięki nim masz co pić - warknął.

- Przeclaw! Nie poskąpimy grosza! - nalegał ten sam głos.

Zachęta była wystarczająca, pomimo że Przeclaw czuł, że tymi tanimi sztuczkami robi przed gawiedzią za błażna.

Wstał od stołu i stanął tam, gdzie jeszcze przed chwilą wyginała się tancerka.

Pogmerał pod habitem, by zaraz wyciągnąć na wierzch lśniące jabłko. Odepchnął od pobliskiej ławy kilku gapiów, każąc im wcześniej posprzątać ze stołu. Położył na nim owoc i przytrzymał go delikatnie dłońmi. Wokół niego, ale w bezpiecznej odległości, stłoczyła się niemal cała tawerna. Nawet karzeł wstał - nienaturalna cisza, jaka zaległa w Zbytkach, wyrwała go z drzemki.

Przeclaw puścił jabłko. Ovoc potoczył się po stole, by już po chwili się zatrzymać. Mnich wymamrotał coś pod nosem i jabłko poturlało się dalej. Głupia dziewczka siedząca na kolanach rybaka chciała go dotknąć, ale mężczyzna trzasnął ją po łapach.

- Nie dla dziewczek czary - przestrzegł ją.

- To nie czary, jeno sztuczka! - krzyknął Stępota.

Wszyscy odwrócili się do niego. Siedział rozparty na krześle i śmiał się.

- Ale nie skąpcie grosza dla mnicha, panowie. Jaka sztuczka, taka zapłata! -

prowokował strażnik.

Cniło mu się zawsze bez zwady. A żeby dodać sobie troszeczkę odwagi, krzepił

się piwem. Nie baczył na uwagi Petrysy, że pijanego łatwiej utopić w Haweli. Nie wierzył, że ktoś mógłby się na to odważyć. Przecież był postrachem Brenny.

Przeclaw poczuł na sobie jego wzrok.

- Pokażcie, jak się bawią chrześcijany! - kpił dalej strażnik grodowy.

- Taki mądry, bo się nie przyglądał - parsknęła ciekawska dziewczka.

- Widziałem już takie czary w Gdańsku i Szczecinie.

Jabłko spadło na ziemię. Przeclaw szybko odepchnął karła, który chciał po nie sięgnąć, i sam je pochwycił. Przez chwilę, nie wiadomo dlaczego, szamotał się z habitem.

- Jakżeś taki mądry, to sam pokaż nam czary. - Dziewka wydeła usta.

- Pokażę ci czary, jak cię w rzyć ruchnę.

Tawerna gruchnęła śmiechem. Dziewka spłasowała. Stępota wstał, dopadł mnicha i chwycił go za rękę.

- Pokaż jabłko! - warknął.

Przeclaw wyciągnął rękę przed siebie.

- Co tam jest w środku? - Strażnik potrząsnął nim jak piórkiem.

- Nic. - Mnich uśmiechnął się czarująco.

- A może chrabąszcz? Wydłubałeś dziurkę i wsadziłeś go do środka, by potem zalepić.

Przeclaw, nie przestając się uśmiechać, ugryzł jabłko i zaczął przeżuwać.

Powoli. Ze smakiem.

Po chwili pokazał wszystkim dookoła nadgryziony owoc. W środku nie było chrabąszcza.

- I mogę jeszcze sprawić, żeby znikło - to mówiąc, połknął całe jabłko.

Dziewka parsknęła pierwsza. Z zemsty. Po chwili wtórowała jej cała sala.

Brenneński ludek odreagował za lata kąpieli w Haweli, tłuczenia pałkami i wycieczek na bagna, z których wracali tylko nieliczni.

Stępota milczał. Jeden z pachołków stanął obok niego, kładąc dłoń na rękojeści miecza, ale strażnik pokręcił głową. Dziwne, pomyślał Przeclaw, woj nie wyglądał na przejętego, a przecież został okpiony. Raczej ważył coś w myślach.

Mnich wrócił do stołu, pokłonił się jeszcze raz szacownej publiczności i kazał

sobie przynieść zebrane przez jedną z dziewczek drobniaki. Dwoma miedziakami podziękował jej za współpracę i poprosił o dzban piwa. Dziewka, licząc na dodatkowy datek, usłuchała skwapliwie. Ale gdy wróciła, dostała od Przeclawa jedynie klapsa w tyłek i błogosławieństwo. Niezadowolona prychnęła i odeszła w odległy kąt gospody szukać szczęścia u rybaków.

Stępota posłał swoich oprychów do diabła, a sam podszedł do stołu Przeclawa.

- Zagramy? - Po ławie potoczyły się kości do gry.

- Nie mamy grosza przy duszy. - Bonifacy odsunął kości.

- Ale macie relikwie. - Przysiadł się do stołu i nachylił do mnicha. - Księżna prosi jutro na Ostrów. Tobie już relikwie nie będą potrzebne.

Przeclaw zrozumiał. Bonifacy nie bardzo.

- A ty co masz do zaoferowania? - spytał strażnika.

Stępota wyjął za pasa sakiewkę i wyrzucił jej zawartość na stół. Monety potoczyły się z brzękiem po blacie.

- To uczciwy zakład - przytaknął Bonifacy i w tej samej chwili podskoczył, bo jego kompan kopnął

go pod stołem.

Przeclaw nie ukrywał złości na mnicha. Głupiec połasił się na lichy zarobek, ale okupiony niechęcią strażnika. A z nim wolał nie zadzierać, bo zbyt ochoczo rwał się do bitki. Postanowił jakoś zaradzić tej sytuacji.

Stępota zatarł dłonie. Myślał dokładnie o tym samym.

- Tylko bez żadnych magicznych sztuczek. Diabła wyczuwam z daleka.

Przeclaw potarł bransoletkę z paproci zerwanej w południe w wigilię świętego Jana. Zawsze przezornie trzymał ją przy sobie przed wejściem do tawerny. Zrobiona w kształcie liter H.U.T.Y, tak jak nakazywał *Enchiridion* papieża Leona. Nie zawsze jednak okazywała się skuteczna.

Bonifacy wymieszał w pulchnych dłoniach kości i rozrzucił je po ławie.

- Co tam trzymasz? - Stępota zainteresował się bransoletką, którą czule głaskał

Przeclaw.

- Magiczną bransoletkę, dzięki której błyskawicznie cię oskubię. - Uśmiechnął się.

- Lepiej nie żartuj - parsknął strażnik.

W pierwszej kolejce Przeclaw wyrzucił mniej niż strażnik. Następnym razem pójdzie mu lepiej - zawierzył swój los magii.

Stępota chuchał i pluł, zanim wyrzucił swoje szczęśliwe liczby. Los mu sprzyjał jeszcze tylko przez jedną kolejkę. Kolejne sześć wygrał Przeclaw.

- Przestań pieścić tę cholerną bransoletkę! - Strażnik grodowy nerwowo pociągał piwo z kufła.

- Chyba nie myślisz, że przegrywasz z bransoletką - zakpił mnich.

- Tym gorzej dla ciebie, jeśli przegram.

- Panowie, a gdzie przyjaźń, miłość braterska? - Bonifacy rozłożył ręce w pojednawczym geście. Przyglądał się tylko, ale hazard bardzo mu się spodobał. - Nie pozwólmy, żeby marny grosz, jakim tu obracamy, zatrął nasze serca.

- O co teraz gramy? Może o kielichy z Tournus albo głowę świętego Piotra? -

zakpił Stępota, patrząc, jak mnisi pożądliwie zgarniają z blatu część jego śliczniutkich miedziaków. - Ale tym razem nie dam się ograć za pomocą jego diabelskich sztuczek.

Teraz ty będziesz rzucał. - Wskazał Bonifacego.

- Przecież nie oszukiwałbym przyjaciół, prawda? - Przeclaw wyrzucił w górę ręce w udawanym geście rozpaczy. - Jeżeli chcesz, to proszę bardzo, weź. - Chciał

wręczyć strażnikowi bransoletkę, ale ten gwałtownie odepchnął ją od siebie.

- Nie chcę tej zieleniny. Jeszcze mnie jakieś diabelstwo pochłonie.

Przeclaw wzruszył ramionami. Bonifacy stanął w szranki ze Stępotą. Strażnik przegrał kolejne sześć partii.

- Bóg jest po mojej stronie! - Bonifacy wyszczerzył zęby w najbardziej parszywym uśmiechu, na jaki było go stać. - Z twoich barków zdjąłem ciężkie brzemię, strażniku.

- Szczęśliwi czasu nie liczą. Wy, braciszku, zacznijcie odmierzać dni, które wam zostały. - Stępota wstał od stołu i zataczając się, opuścił gospodę.

- Kielichy z Tournus, monstrancje z Saint-Philibert, drzazgi z krzyża świętego, cierń z korony Chrystusa. Wszystko mógł szlag trafić. - Bonifacy zaczął liczyć wygraną. - A tu, proszę, trafił się prawdziwy skarbczyk! Chociaż nie wystarczyłoby tego nawet na jeden kielich z Tournus.

- Więc dlaczego zaryzykowałeś? - spytał Przeclaw.

- A mieliśmy wyjście? Wściekłby się, gdybyśmy odmówili.

- I co? Teraz jest spokojny?

- Nie wszystko zdołamy tak szybko przewidzieć, jakbyśmy chcieli. Dobrze, że miałeś bransoletkę.

Przeclaw obrócił ją kilka razy wokół nadgarstka.

- Od wielu lat chyba nie działa.

- Przecież ją pocierałeś.

- To z nerwów.

Przeclaw najchętniej rozszarpałby mnicha na strzępy. Przez niego stracił zaufanie psa Petrysy.

\*

Petrysa układała plan dnia wedle reguł życia w klasztorze. Wstawiała o świcie.

Po porannej toalecie udawała się do kaplicy, by wysłuchać kazania Bodzanty. Po primie modliła się długo i wytrwale, wieńcząc chwilę rozmowy z bogiem głośnym czytaniem ewangelii z jej kapelanem.

Bodzanta, o czym dobrze wiedziała, nie umiał

czytać; recytował z pamięci, a że jego repertuar był bardzo ograniczony, Petrysa musiała zadowolić się tylko skąpyimi fragmentami. Stała wyprostowana z uniesionymi rękami w cieniu ołtarza, a duchowny, siedząc przy niej, trzymał na kolanach opasy wolumin, udając, że czyta. Po tercji księżna oddawała się ręcznym robótkom w zaciszu południowej komnaty, w ten sposób zwalczała nudę. W południe, po sekście spożywała pierwszy posiłek, by potem chwilę odpocząć w swej sypialni. Wtedy marzyła, że mieszka z dala od bagien, że nie słyszy przywołujących ją z dna rzeki mamun i boginek albo że udaje się z pielgrzymką do Ziemi Świętej. Po nonie ponownie oddawała się pracy, by dać dobry przykład leniwej służbie. Pielila w ogrodzie, popędzała kucharki, przeganiała snujących się po dziedzińcu pacholków.

Praca ustalała jej cały porządek dnia, pozwalała skupić się na tym co ważne, całkowicie zapanować nad emocjami. W najtrudniejszych chwilach oddawała się modlitwie. Aż do nieszporów. Przed pójściem na spoczynek księżna raczyła się kolacją wyłącznie w towarzystwie męża. Troskliwie układała mu wtedy głowę na swoich udach i cierpliwie go karmiła.

Tego wieczoru książę jednak usiadł przy stole. Wpatrywali się w siebie, przeżuając dziczyznę, popijali ją winem. Petrysa miała włosy skromnie spięte w gruby warkocz, pierś i talię obcisła obszyta srebrną nicią suknia. Z trudem maskowała niechęć rozkosznym uśmiechem. Przybysław okręcił się bydlęcymi skórami, sam podniósł łyżkę z kaszą do ust, jakby jeszcze przed chwilą nie leżał na wpół przytomny na łożu.

- Nie martw się - skomentował troskę na twarzy żony. - Na kilka chwil przed śmiercią każdy czuje się lepiej.

Ze złości zacisnęła pięści. Minęło wiele dni, odkąd do Brenny dotarły wieści o spalonej Lubece, nieudanym oblężeniu Dobina i o wojskach Albrechta Niedźwiedzia zbliżających się do ziemi Stodoran. Wiedziała także, że w grodzie jest już wysłannik Albrechta. Musiała się jednak upewnić przez posłańca, że to naprawdę on.

- Jaksą kazał zabić Lesia, by przejąć jego ziemie - podjęła temat siostrzeńca księcia.

- Nie wierzę w to. - Przybysław mocniej otulił się skórami.

Petrysa już niemal widziała obejmującą go kostuchę. Zapadnięte policzki, pożółkła cera... I oczy... Te świeciły blaskiem pełnym jakby oczekiwania.

- Nie wystarczy mu już grabienie kupców na trakcie - ciągnęła Petrysa. - Chowa się po lasach ze swoją sforą jak wilk. Czy tak zachowuje się prawdziwy książę?

- Krew ma gorącą po matce. - Przybysław zaśmiał się na wspomnienie swojej siostry.

Jaksza odziedziczył po niej białe włosy i bladą cerę. Ale nie dzikość. Przybysława była jak sarna, jej syn przypominał wilka. Stary książę posmutniał na chwilę; zbyt długo nie widział siostrzeńca.

- Więc trzeba mu trochę tej krwi upuścić - warknęła Petrysa.

- Marzy ci się polowanie, kochana?
- Jeszcze tego pożałujesz. Jaksza nie będzie miał dla ciebie miłosierdzia.
- Nie masz racji. - Książę machnął ręką, choć oboje dobrze wiedzieli, że kłamał.

Przybysław nie słuchał już rad żony, a ona odpłacała mu pogardą. Kiedyś dzielił się z nią wszystkimi swoimi wątpliwościami. Ale od czasu, kiedy przystał na chrzest i zachorzał na dobre, zmienił się bardzo.

Wierzył, że to przez wodę święconą zapadł na zdrowiu. Przestał jej ufać.

Jeszcze bardziej tajemniczy zrobił się od czasu, gdy złupił na trakcie cystersów podróżujących daleko zza Łaby.

Wyrznął ich od razu, bo pogańskie miał wtedy serce. Jednego tylko zostawił

przy życiu. Najstarszy z nich, znający mowę Słowian, ubłagał księcia o litość. W

zamian za życie przyobiegał coś księciu szeptem. Ponoć Przybysław długo się zastanawiał, stojąc z obnażonym mieczem nad starcem. W tym czasie woje księcia przetrząsali wóz w poszukiwaniu cennych rzeczy i rozrzucali na ziemię jego zawartość.

Gdy u stóp księcia uderzyła o ziemię gruba księga, starzec wskazał na nią drżącym palcem, mówiąc, że to jest prawdziwy skarb. Woje rechotali ze śmiechu, jeden chciał

nawet wyrećzyć księcia i przerwać starczy bełkot, ale Przybysław nachylił się nad starcem i pozwolił mu mówić. Wszystko to widział i opowiedział Petrysie Stępota.

Od tego czasu książę zamykał się w komnacie z ocalonym mnichem, by nauczył

go czytać. Starzec zdążył, zanim zmarł na suchoty.

- To nie zabawa, książę - przestrzegła go Petrysa. Obawiała się, że jej mąż stracił

poczucie rzeczywistości. Zramolał na starość. - Choroba ci łeb uszkodziła. Nie można stosować półśrodków. Przyjąłeś chrzest. Teraz wszyscy Stodorianie muszą pójść w twoje ślady. Jaksza staje nam na przeszkodzie.

Przybysław zakaszlał, jakby na potwierdzenie jej słów.

- Może masz rację. Ale nie chcę mieć krwi siostrzeńca na rękach.

- Jak będziesz zwlekał, to on będzie miał twoją. Zdolny jest do wszystkiego.

Jego banda napadła na gościńcu kupców - Smolnego i Kartocho. Powyrzynali wszystkich, a towar

zabrali.

- Smolnego, powiadasz? - Książę dobrze znał i lubił Smolnego, kupca z Brenny.

Pochodził z Wagrii, a dzięki swojemu talentowi do zabawiania księcia był częstym gościem podczas wydawanych przez niego uczt. - I Kartocha? - posmutniał. - A skąd wiesz, że to Jaksa?

- Bo puścili jednego dla zabawy.

- Albo dla chwały. - Przybysław wciąż nie mógł wyzbyć się sentymentu wobec siostrzeńca.

- Żadna mi to chwała, bezbronnych kupców ze skóry obdzierać.

- Żadna - przyznał jej rację.

- Nie rób tego! - huknęła nagle.

- Czego? - obruszył się.

- Nic tylko mi potakujesz. Jaksa upomni się o swoje. Gdy zemrzesz. - Tupnęła nogą pod stołem.

- Ale ja nie umieram - odparł z uśmiechem.

Wyraz twarzy Petrysy zdradzał, że żona nie podziela jego zadowolenia.

- A zresztą Jaksa ma prawo po swojej matce Przybysławie do stodorańskiego stolca. - Także i jemu nie było to w smak, ale nie chciał się do tego przyznawać, wołał

ją zdenerwować.

Książę dawał wiarę szeptom na dworze, że tylko obawa przed Jaksą powstrzymuje Petrycę przed zamordowaniem męża. Niektóre cięte języki twierdziły, że zrobi to na pewno, gdy tylko przekona moźnych, żeby oddali władzę jej synowi, albo gdy Albrecht Niedźwiedź stanie pod Brenną.

- Nie zapominaj, że masz syna. - Spojrzała na niego wymownie.

Westchnął tylko.

- Książę von Arnstein żalił mi się, że Jaksa ostrzy pazury na ziemię, która mu się należy.

- Bo wdówkę podszczypuje w dupę.

- Nie wdówkę, tylko jej córkę. I prawnie chce podszczypować. Przecież zamierza się żenić. A Jaksie nic do tego. Ziemia nasza. Mamy prawo darować ją komu chcemy.

W gospodzie wierni mu ludzie pobili Chębotę. Na targu w Cisielu brenneński ludek ponoć drwił z Jaksy. - Upiła łyk wina i nieco się uspokoiła. - Gdyby nie straż grodowa, targ zmieniłby się w jatkę.



- Biedny Jaksa - mruknął książe. - Jest jak wilk. Zbyt porywczy na dobrego księcia.

- Biedni kupcy cisielscy - sprostowała. - Dzień później gnali do Brenny na targ.

Niczemu nie byli przecież winni, ale Jaksa napadł na nich jak wściekły. Ograbił z futerek i błyskotek, a ich samych ze skóry odarł.

- W ten sposób zniechęci do siebie wszystkich Stodoran.

- Albo w końcu zmusi do posłuchu. A wtedy... - Petrysa nie dokończyła.

Groziła.

Machnięciem ręki natychmiast kazał jej opuścić komnatę. Wyszła posłusznie -

tylko władzy jeszcze miał nad nią - ale nie omieszkała trzasnąć za sobą drzwiami. Po chwili jednak wróciła. Zbyt była wściekła, zbyt butna.

Skrzypnęły zawiasy. Petrysa stanęła w progu, brwi miała ściągnięte, a oczy zmrużone. „Głupi starzec z głupim uśmiechem na twarzy”, mówiło jej spojrzenie.

Książe chciał wstać, pokazać, że jeszcze rządzi, ale kości aż strzyknęły, a grymas bólu wykrzywił mu usta. Mruknął tylko coś pod nosem. Pewnie do kostuchy, pomyślała.

Może już ją widzi, ale nie chce podać jej ręki.

- Jeżeli ty czegoś nie zrobisz, ja zrobię to za ciebie - oznajmiła, siląc się, by głos jej nie drżał ze zdenerwowania.

Drzwi huknęły ponownie.

## **ROZDZIAŁ VI**

*Złakniony był ludek, gdy książe Jaksa pogańskie prawa na powrót wprowadzał.*

*Kronika Słowian, Księga I, Wojna, autor nieznany Dzielni rycerze się śmiali,*

*Gdy za rączki się brali.*

Fragment poematu rycerskiego z XII wieku, autor nieznany Od tygodnia wojowie Jaksy najeżdżali na ziemię Stodoran.

Palili przysiółki niemieckich osadników, puszczały z dymem całe wsie. Tych, którzy zdołali uciec w leśne ostępy, ścigali jak dziką zwierzynę. Ze spalonych wsi uprowadzali bydło i dawali tym, którym Jaksa narzucił swe zwierzchnictwo. Jedni okrzyknęli go wybawcą, inni utrapieniem.

Sascy kupcy również nie czuli się bezpiecznie na gościńcu. Ich dwukółki przyśpieszały nerwowo na

wyboistej drodze, gdy zza zakrętu wysypywali się Sprewianie. Chwilę potem błagalny szwargot mieszał się ze szczękiem żelaza, krew szybko wsiąkała w ziemię, a nad lasem unosiła się bełkotliwa pieśń:

*- Sasi naszą zwierzyną,*

*Trakt nam jatką,*

*a żadna panna nie uрони łzy nad padliną!!!*

Woje znad Sprewy dokonywali swych napadów z obozu na niewielkim wzgórzu, tuż przy granicy włości Kuniczków i Chęboty, tam gdzie czuli się bezpiecznie, bo naturalną zaporę przed intruzami stanowiły łągi, rozlewiska i bagna.

Gdy wracali z traktu, w obozie zawsze wrzało jak w ulu. Kobiety przygotowywały stawę: gotowały warzywa, znosiły z lasu zioła, na wolnym ogniu skwierczała dziczyzna. Wokół stołów obozowej kuchni biegały dzieci, czekające, aż ktoś rzuci im pęcherze ryb, które potem z trzaskiem rozdeptywały na ubitej ziemi. W

koszach lśniły świeże rybki i owoce.

Jaksa, siedząc w namiocie, ustawionym na skraju lasu, niecierpliwie wyczekiwał powrotu drużyny. Spoglądał na znaki szczepowe - wetknięte w ziemię i oparte o drewniany stojak przy wejściu - które lekko unosiły się na wietrze; zielony kolor Kuniczków, żółte i czerwone wstążki Cholewników, nie zabrakło też czerwieni Tęgomira i Kuśpieja. Wciąż jednak brakowało oznak szczepowych Chęboty i wielu możliwych Sprewian.

Sam nie wyruszył na trakt, powierzając dowodzenie Jeruszcze Kuniczkowi, bo jego starszy brat Stykusz pognął do Brenny. Książę czuł się zbyt zmęczony po kilku ostatnich wypadach, gdzie rąbał toporem nie gorzej niż rzeźnik w jatce.

Książę uderzył w tonsurę pochylonego nad stołem kapelana Petrysy, którego pochwycił wczoraj wieczorem na trakcie. Klecha siedział grzecznie, bacząc, by ani zbędnymi ruchami, ani zbędnym słowem nie niepokoić księcia.

Zresztą Jaksa wędrował myślami gdzie indziej. Przypomniawszy sobie Aradne, jej ciepłe, gładkie ciało. Wspominał wieczory, kiedy leżała przy nim na trawie. Była jak piec, który potrafił rozgrzać ich oboje do czerwoności. Lubił wtykać swoje grube palce w zakamarki jej ciała, patrzeć, jak ugina się pod jego ciężarem, jak nie może oddychać, jak prosi o jeszcze, gdy ją ścisną i tłucze na zmianę. Takiej zabawy nie oferowały nawet tutejsze dorodne dziewczki. Dawno już jej nie widział - odkąd ojciec zamknął ją w klasztorze. A dla Jaksy to, co nieosiągalne, jawiło się jeszcze piękniejsze.

Zastanawiał się czasami, czy z władzą będzie tak samo jak z kobietami. Czy gdy już zasiądzie na brenneńskim stolcu, będzie usatysfakcjonowany, czy też znudzi się prędko tym, co zdoła zdobyć.

Niestety, nad Hawelą nic już nie wyglądało tak jak dawniej. Dzielni niegdyś woje zamienili miecze na sakiewki. Porzucili wyprawy po łupy, by kupczyć skórą na saskich i pomorskich targach. Ostali

się najlepsi, ale nawet ci nie podlegali już władzy księcia jak niegdyś. Stali się zbyt majętni i potężni, a księciu brakło charakteru, by mieczem przywrócić nieco posłuchu. Siła ich oręża równała się wielkości książęcej drużyny.

Jaksa zamierzał przywrócić czasy, w których na pochlebstwa władcy zasługiwało się dzięki wsparciu mieczem, a nie sakiewką. Autorytet możnego kupca winien gasnąć jak płomień zdmuchniętego łuczywa, gdy książę zetnie mu głowę, ba!

wyrznie ród cały - a jedynym wyjaśnieniem powodu kaźni będą słowa, które wyrzeknie wtedy władca na wiecu: „*Jestem księciem*”. Tak rządził swoim włościami z Kopnika, i takie prawo wprowadzi, gdy zasiądzie w Brennie.

Nie przez przypadek wspierał tych, którzy wcześniej nie mieli nic bądź

posiadali za mało, by móc się wywyżżyć ponad pospolitych wojów czy nawet zwykłych wieśniaków. Kuniczukowie, Szczerwiowie, Tęgomir, Kuśpiej jeszcze niedawno machali radłem, nie mieczem, a pod chorągwią Jaksa z Kopnika stali się majętni. Dlatego też nie lubiły go stare rody ostałe przy księciu Przybysławie i jego małżonce, strzegły swego miejsca przy korycie władzy.

Książę uniósł głowę, kiedy strażnik oznajmił przybycie Stykusza. Rycerz wpadł

zaraz zziajany do namiotu, z wdzięcznością pochwycił wręczony mu dzban piwa.

Wypił łąpczywie i otarł rękawem usta. Dopiero teraz Jaksa zauważył, że wokół nich miał pełno zaschniętej krwi.

- Co się stało? - spytał. - Zagryzłeś sarnę?

Stykusz skrzywił się na ten żart. Ściągnął z pleców pochwę i wręczył księciu.

- Masz, pomacaj. - Uśmiechnął się zadowolony. - To miecz strażnika grodowego Stępoty.

- Dziwne. - Jaksa z namaszczeniem przejechał dłonią po obciążonej skórą pochwie.

Wyciągnął broń. Przeraził go widok krwi zakrzepłej na ostrzu.

- A cóż to znaczy? Zarżnąłeś go?

- Nie, panie, to nie to, o czym myślisz. Wygrałem go w kości od Tęgomira, a on od Stępoty. Ale tym mieczem pozdrowiłem ludzi Chęboty.

- Jak to? Mów prędko. - Zniecierpliwił się, gdy Stykusz zbyt długo żłopał piwo.

- Ano było tak. - Woj ponownie otarł dłonią brodę i odstawił na ziemię dzban. -

Gnałem z Brenny tak szybko jak tylko mogłem. Gdy stałem już przed Chruściskami, zajechałem do tawerny U Matki. Cholewniki ograbili na trakcie kupców i korzystali z uciech życia. Kaczuszki,

kureczaczki, kapusta, wino, palce lizać. Zjechała się cała Krustynia, bo tam Cholewników najwięcej. Wszyscy kuzyni, wujowie. Stary Cholewnik pił dużo to i jęzor miał długi. Chwalił się, że napadli na saskich kupców.

Gdy ich Cholewniki zarzynali, to się mendi odgrażały, że Niemiec ich pomści. Stary Cholewnik nazbyt chyba pohulał, bo puścił jednego wolno, żeby wspomniał Sasom, komu winni są zemstę za te kilka wozów. A że pijany, to i szczerzy. Bo na trzeźwo saskie dupy liże.

Jaksa chodził poirytowany po namiocie. By nieco ulżyć złości, trzepnął przez łeb Bodzantę.

- Głupi Cholewnik! Gdy pijany, jest ze mną. A kiedy trzeźwy, przestrzega przede mną synów. W otwartą wojnę chce się z Niemcami bawić? Z takimi jak on nie mamy szans. Mówiłem, żeby się powstrzymali przed mordobiciem. Jeszcze dam im okazję się wyszumieć.

- Toteż wszystko układało się dobrze; pili, gwarzyli, ale do gospody zajechał

Chębota.

- Lisek wystawił nosek z norki - zaciekawiał się księżę.

- Cholewnikowi krwi było chyba za mało, bo strasznie palił się do bitki. Drwił z Chęboty, z jego matki, nawet z córek.

Jaksa nieco odetchnął. Przynajmniej dwóch największych możliwych drze ze sobą skórę. Oczyma wyobraźni widział, jak skaczą sobie do gardeł w tawernie.

Cholewnik obawiał się, że Chębota ożeni córkę z Jaksą, i w ten sposób znajdzie się bliżej brenneńskiego stolca. A przecież w niczym sobie nie ustępowali - najmożniejsi z panów - ani w sile pachółków, ani w morgach. Kłaniali im się w pas sascy rycerze, schodzili im z drogi pospolici woje. We wszystkim byli równi niemal księżętom.

- Wiadomo, że brać chciał wszystkie trzy, ale żadna mu nie dała, to i złość w nim większa - przypomniał Jaksą.

- Ano właśnie w gospodzie się dowiedziałem, że najstarsza ponoć dała.

- Dała? - Jaksą czekał na wyjaśnienia.

Stykusz zerknął na Bodzantę, głos ściszył, pochylił się.

- Stary Cholewnik - rzekł po chwili - wziął najstarszą Chęboty gwałtem na trakcie, gdy do najmłodszej do klasztoru jechała. Stary dobrze więc zrobił, chowając młodszą córkę w klasztornych murach.

- Stąd więc wizyta Chęboty w tawernie. Ale skąd ten cap Cholewnik miał tyle sił? - Jaksą się zaśmiał.

Siostra Aradne była szpetna i głupia, więc żal mniejszy. Zresztą jej ojciec, wierząc, że ta nigdy z powodu garba i szpetoty nie wyjdzie za mąż, nie dbał o córkę.

- Właśnie, sęk w tym, że Chębota przyszedł po starego Cholewnika. Żeby się mścić. Przed gospodą miał tuzin parobków. Jatka się zrobiła, że ho, ho! Cholewników cztery głowy spadły, parobków Chęboty krajano na podwórku nawet po tym, jak wyzdychali. Piwo mocne U Matki, więc i walka krwawa.

- A czyja to krew na mieczu? - Wskazał swój prezent.

- Chęboty.

- Nie! - Księżę złapał się za głowę.

- Tak. Mój połamałem, więc prezent od Tęgomira uratował mi życie.

- Aj, głupiś! - Jaksza zerwał się ze stołka. - Wolałbym twoją głowę luźną widzieć niż Chęboty. Co teraz będzie? Jego stronnicy, możni stodorańscy, widząc, jaki gwałt czynię, odwrócą się ode mnie. Mówiłem, żeby mnie słuchać! - ryknął. - Żeby nie marnotrawić sił na sąsiedzkie waśnie i spory. Mówiłem, że mam sposób na starego.

Na jego córkę! Najwyżej trzeba było go pojmać. Załagodziłbym spór.

- Ale on żyje! Dał nogi za pas, gdy jakoś omdlałem - rzekł woj gotowy na wybuch księcia, który po tych słowach tylko wciągnął głęboko do płuc powietrze i głośno westchnął.

- Za to Lesik padł - dodał cicho Stykusz.

- A co on tam robił?

- No pił przecież, jak każdy w tawernie.

Jaksza się zamyślił. Lesik, jako książeccy dziedzic, miał prawo do ziemi, którą uprawiał. Liczyli się z nim wszyscy, bo miał majątku na dwa radła i dwie nadobne córki, które tylko patrzeć, jak wyjdą za mąż. Oddawał Przybysławowi to, co się podług prawa księciu należało, i słał parobczaków na dwór, na posługę, bo jak każdy podlegał

prawu. I jego ziemia także.

- Problem będzie - rzekł. - Lesik syna nie miał, tylko córki. Ziemia na zgubę pójdzie.

- Znaczy, nie dla ciebie. O to postarała się już Petrysa. Kazała Przybysławowi najstarszą z córek z Arnsteinem chybikiem wyswatać. A nasz dziedzic ledwie ostygł

przecież.

- Pośpieszyła się suka. - Jaksza pokiwał z podziwem głową.

- Ziemia Lesika pójdzie dla Niemca. Musisz się z tym pogodzić. Święte prawo.

Chyba że weźmiesz sobie wdówkę, panie. - Stykusz zachichotał.

- Jest jeszcze moje prawo. - Jaksza odwrócił się do Bodzanty. - A moje prawo to

- zamachnął się i trzasnął go na odlew - bić mieczem, nie chować się za tarczą. Jeżeli nie zagryziesz pierwszy, to ciebie zagryzą.

Kapelan Petrysy padł zemdłony. Krew sączyła mu się z nosa.

- A stary Cholewnik? - spytał księżę na Kopniku.

- Ten pije.

- Mam nadzieję, że kiedyś jemu sam łeb utnę.

\*

Wieśniacy cisnęli się do dworku. Każdy chciał zobaczyć Lesika na marach.

Zarżnięty przez Stykusza, teraz leżał na ławie z wykrzywionymi ustami. Gębę miał

całą porytą, więc obecni nie mogli się zdecydować, czy to efekt przerażenia, czy głupawy uśmiech. Płaczki skamlały, drapały podłogowe deski. Zbyt mocno. Wdowa po Lesiku zwróciła im uwagę, że jeśli przesadzą, nie zapłaci im za fatygę. Karczmarz, który był świadkiem śmierci gospodarza, opowiadał ciekawskim chłopom, jak ich pan umierał. A umierał długo i głośno.

- Kwilił ponoć jak świnia - szeptał - tak go urządził Stykusz z Kuniczuków.

Wieśniacy słuchali z rozdziawionymi gębami, wspominając dobre imię pana i życząc mu dobrego miejsca w Nawii.

Arnstein wyprosił gapiów z dworku. Gdy wyszli, przyklęknął na chwilę, by się pomodlić przy zwłokach. Podziękował losowi, że Lesik, choć nie stronił od mocnych trunków, żył skromnie i dzięki temu zachował majątek. Prócz córki Rudolf miał

odziedziczyć całe Chruściska z przyległymi do nich włościami, lasem i łąką. Wedle prawa, bo Lesik dalszej rodziny nie miał, ziemia przechodziła na córki. A jedna z córeczek była już von Arnstein, pomyślał z dumą. Wedle zwyczaju zaplanował

chybikiem zaorać i nową żonę, i ziemię, żeby obie dały obfite plony. Przyjdzie taki czas, że von Arnsteinowie nie zliczą morgów na palcach całej swej rodziny. Rozpleni się ród w tej żyznej krainie. Modlił się o to gorliwie, szepcząc po cichu zdrowaśki.

Wyklepał ich tyle, co nigdy w życiu. Ale nie tylko o potencję się modlił - prosił Boga, by ten rozwiązał jeszcze inny problem.

Na Ziemi Suchej i we włościach nad Hawelą Sasi czuli się krzyżowcami, zbrojnym ramieniem Chrystusa i jego nowego sługi Przybysława. Tutaj, na północy, w Chruściskach, jego majątek sąsiadował z ziemią Sprewian. Mocniej zacisnął pięści w modlitwie, by Bóg \ mu błogosławił. Czy ze strachu tak ścisnął palce, czy z gorliwości -

tego nie wiedział. Liczył, że von Plotho, którego zostawił w Stożkach, przybędzie na czas, bo obawiał się reakcji Jaksy, ale młodzik się spóźnił...

Dwa dni temu Arnstein przybył na złamanie karku do Chruścisk, by podług woli księżnej przyjąć córkę i ziemię. Wiele ryzykował, śpiesząc się tak bardzo, bo jego świta liczyła zaledwie pół tuzina pacholków. Wystarczyło na zbójów włóczących się po gościńcach, ale nie na drużynę Jaksową. A von Plotho się spóźnił...

Pogrążony w rozmyślaniach wystraszył się, gdy żona położyła mu rękę na ramieniu.

- Wyjdź na zewnątrz. - Uśmiechnęła się do niego jakoś dziwnie.

Wyszedł przed dworek i stanął w lekkim rozkroku. Ręce splótł na plecach.

Uniósł wysoko głowę. Zapatrzył się gdzieś przed siebie. Niech w Chruściskach widzą go takim jakim jest: postawnym i dumnym saskim rycerzem.

Wieśniacy stłoczyli się na drodze między dworkiem a mostem. Po jego drugiej stronie stał rycerz. Twarz skrywał pod kapturem, na kolczugę narzucił białą tunikę.

Nie przypominał jednak krzyżowca, ale tutejszego woja. Stał tak jak Arnstein: w lekkim rozkroku, unosząc głowę, najwyraźniej naigrywając się z pana na Chruściskach. Troskę Sasa wzbudził jednak obnażony miecz intruza i połyskujące ostrze.

- Panie - do Arnsteina przypadł jeden z chłopów - znasz tego na moście? Prawy to rycerz? Czy może lepiej, jak przeczekamy waszą rozmowę w chałupach.

- Może przyszedł na stypę? - zażartował Arnstein i zszedł na drogę.

Nie zamierzał okazać strachu. Przecież mógł liczyć na swoich pacholków -

kiwnięciem ręki dał im znak, żeby czuwali nad jego bezpieczeństwem. Żałował jednak, że nie ma z nim von Plotho.

- W zbroi na stypę? - zdziwił się wieśniak, postępując za swym nowym panem.

- Chłopy! - krzyknął woj na moście. - Wracajcie do swoich zajęć.

- Oj niedobrze, oj źle, panie - wyjęczał chłop do ucha Arnsteina.

Sas skinął na karczmarza.

- Czego on chce? - spytał.

- Pewnie sam powie. - Karczmarz, choć z gęby najbardziej wśród wieśniaków rozgarnięty, nie wydawał się skory do rozmowy.

Jakby na zawołanie woj krzyknął:

- Chcę się rozmówić z tobą, von Arnstein!

Sas postąpił kilka kroków naprzód.

- To zapraszam pod strzechę.

- Nie, zaczekam na ciebie. - Nieznajomy odwrócił się i zaczął człapać w kierunku wioski.

Pachołkowie nadeszli z dwóch stron, stając za plecami swego pana.

- Co teraz będzie? Złoić mu skórę? - spytał jeden z nich.

- W pół tuzina pałek? - skarcił go. - Może jeszcze każe wieśniakom iść. Nie widzisz, że tamten to rycerz? Sam przecież nie przyszedł. Gdyby chciał mnie ukatrupić, dawno już by zaszedł nas chybcikiem. Pójdę więc wywiedzieć się, czego chce ode mnie. Lepsze to niż czekanie. - Arnstein bardziej mówił do siebie niż do pachołków.

Domyślał się, z kim mu przyjdzie rozmawiać za mostem. Przełknął ślinę i ruszył

przed siebie. Gdzie jest von Plotho, czyżby i jego dostali?

Wieśniacy rozstąpili się przed Rudolfem jak tafla wody, którą łamie łódź; kilku pachołków uzbrojonych w pałki i kamienie podążyło, bez jego rozkazu, za swym panem.

Przekroczyli most, weszli na krętą drogę, minęli kilka chałup i stanęli przed największą we wsi chatą. W drzwiach czekał już Jaks. Gdy zagwizdał, zza pobliskich chałup wyskoczył tuzin wojów, konni, na dachach pokazało się kilku łuczników i dwóch strzelców z samostrzałami. Bez ostrzeżenia zwolnili dźwignie spustowe, zgrzytnęły sprężyny. W powietrzu świsnęły bełty. Dwóch pachołków złapało się za gardła. Reszta próbowała uciec. Strzelcy puścili cięciwy. Wszyscy ludzie Rudolfa padli jeszcze przed mostem.

Von Arnstein stał nieporuszony. Nie był głupcem. Domyślał się, że Bóg wystawił go na ciężką próbę. Zbyt trudną jednak, bo poczuł, jak mocz spływa mu po udzie. Spoglądał na groźnie taksujących go wzrokiem wojów.

\*

Jaks nie poruszył się od momentu wypuszczenia pierwszej strzały.



Jacyś głupcy pobiegli pachołkom na ratunek. W powietrzu śmignęło jeszcze kilka strzał.

Książę skinął głową na konnych. Pognali galopem, by po chwili wrócić z łupem: dwiema piszczącymi dziewczkami. Jedna nazywała się von Arnstein, druga była jej siostrą. Zrzucili dziewczki na ziemię, a Jaksą pozwolił, by Tęgomir i Kuśpiej zabrali je za chałupę.

Przez chwilę dobiegały stamtąd piski przerażonych sióstr i przekleństwa wojów.

Po chwili Sprewianin uśmiechnął się do Arnsteina i również czmychnął za chatę.

Konni znikli, ale z dachów wciąż połyskiwały samostrzały. Sas więc stał pokornie.

Po niespełna modlitwie znowu pojawił się książę. Przypominał sytego wilka.

Nie zdążył podciągnąć jeszcze dobrze gaci, kiedy już próbował dopiąć pasa. Ryj miał poharatany do krwi, ale zadowolony. Uśmiechał się od ucha do ucha.

- Niecierpliwisz się, Sasie? - spytał.

- Skądże. - Rudolf pokręcił nerwowo głową. Jaksą zbliżył się do niego o krok.

- To dobrze. Bo, widzisz, dobrze cię oceniałem. Wiedziałem, że nie jesteś baranim łbem i że przyjdiesz się pożegnać. No, ale będziesz musiał mi zapłacić głów szczyzną. Przez ciebie musiałem zabić kilku wieśniaków. Moich wieśniaków.

Sas zdawał sobie sprawę ze znaczenia niespodziewanej wizyty. Teraz interesowało go tylko to, czy zachowa życie. A von Plotho wciąż nie nadchodził...

- Prawnie ziemia mi się należy. Książę mi ją nadał. - Głos mu drżał.

- Nie mów mi o prawie. I nie licz na swojego rycerzyka. Wpadł na gościńcu w pułapkę. - Sprewianin spojrzął za siebie.

Zza chaty wyszła jedna ze zgwałconych dziewczek. Tylko jedna. Zabrakło pani von Arnstein.

- Musiałem dać jej w pysk, bo drapała jak kotka. Ty byś tego nie potrafił. Nie z babą, prawda? - Jaksą podszedł do Sasa. - Śmierdzisz. - Obwąchał go. - Śmierdzisz tchórzem.

Jaksą wydał rozkaz konnym, by przyprowadzili chłopów, którzy tłoczyli się za mostem. Po chwili wszyscy stanęli przed Jaksą, także wdowa po Lesiku.

- Od tej chwili ja jestem waszym panem. - Jaksą się uśmiechnął.

Wieśniacy milczeli. Jaksą spoglądał na ich twarze chytre i bezwzględne, doprawione teraz mieszanką

strachu i podziwu. Z takimi trzeba krótko.

- Jakieś wątpliwości? - spytał.

- Tobie służymy, panie, jak nakazałeś - odezwał się jeden z wieśniaków, który miał do stracenia najwięcej: prawie pół tuzina morgi i kawał łąki. - Ale powiedz, jak podołamy płacić dwóm panom.

Mądry ludek, musiał przyznać Jaksą. Kalkulują, a to oznacza, że długo pożyją.

Myśleli o księciu Przybysławie i Petrysie, że ich to ziemia, a Sprewianin gwałtem ją bierze. Wiedzieli jednak, że nie ominie ich wojna. I zwyczajowo nie uratują skóry, chowając się w ostępach leśnych. Nie przed księciem, którego szanują wokół lasy i bory, który zna niejednego matecznik i wszystkie knieje.

- Tak więc nie uchodźcie w las, nie zostawiajcie bydła na zatracenie. Włos wam z głowy nie spadnie. Wedle prawa książęcego mnie winniście płacić daniny, posługę mi świadczyć i mojemu prawu od dziś podlegacie. Tak jak wiele innych wsi wzdłuż Sprewy.

Wieśniacy spojrzeli z powątpiewaniem na swych sąsiadów, którzy leżeli w kurzu drogi z przestrzelonymi gardłami i koszulami oszpeconymi juchą.

- Prawo moje jest srogie, nie przeczę - dodał Jaksą. - Ale książęce.

- To rozbój - wtrącił niepewnie von Arnstein.

Książę spojrział na niego z pogardą. Nie pierwsza to wieś, którą nachodzi, i nie pierwszy Niemiec, którego nie zostawi przy życiu.

- Oni wszyscy moi. - Wskazał na nieruchome pobrużdżone twarze. - I dam tobie radę, saski psie. Gdy tylko skończy się jego pacierz - skinął na jednego z wieśniaków, a ten zaraz zaczął się modlić po swojemu - konni wyruszą za tobą w pogoń.

Arnstein spojrział na łąkę za wsią, która dzieliła go od ściany drzew, za którą mógł czuć się bezpiecznie. Nie czekał dłużej. Zaczął biec, zostawiając za sobą Chruściski i martwą żonę. Gdzieś przed nim majaczyło życie.

- A co z nami? - Wdowa po Lesiku, którą przed chwilą przyprowadzono, zapłakała i przytuliła młodszą córkę.

- Ty, kmieciu, wyglądasz mi na bogatego. - Jaksą spojrział na tego, na którym najlepiej leżała koszula, bieluśka, niepomięta.

Wieśniak skinął głową.

- Weźmiesz córkę Lesika za żonę. - Podszedł i pogładził ją po policzku. - A ty -

zwrócił się do wdowy - pójdiesz do klasztoru.

- Ale panie, wiano należy się najstarszej - zaoponowała lekliwie, w ukłonie dziękując za okazaną łaskę i wyczekująco spoglądając na chatę.

- Już nie. Odeszła z Arnsteinem.

Wdowa spojrzała w stronę biegnącego polem w stronę lasu Rudolfa. Ale swojej córki nie mogła dostrzec. Chciała coś jeszcze rzec, lecz zamilczała, gdy Jaksza pogroził

jej palcem.

Wieśniak z ulgą przestał się modlić.

- A właśnie. - Książę skinął na łuczników, by naciągnęli cięciwy.

Po chwili pół tuzina strzał przecięło powietrze.

\*

Rudolf widział przed sobą ścianę drzew; zbliżała się niemiłosiernie powoli.

Jeszcze przed chwilą biegł niemal galopem, potykając się o wykroty, ale teraz, gdy nie mógł już nabrać w płuca powietrza, przeszedł w stępa.

Jedna ze strzał przeleciała mu nad głową, druga obok ucha, trzecia utkwiała...

\*

- Dostał w dupę! - Jaksza patrzył jeszcze przez chwilę, jak Arnstein męczy się ze śmiercią, jak wierzga, by wreszcie zemrzeć w polu. - Od dzisiaj gramy otwarcie. Tych, co mieliśmy nastraszyć, już nastraszyliśmy.

- Wskazał wieśniaków. - Z Niemcami będzie gorzej. Ale niech wiedzą, że jeżeli wobec swoich jestem okrutny, to i dla nich nie będę miał litości.

- Upewnię się, że nieżyw. - Tęgomir ruszył w pole w stronę postrzelonego Sasa, ale w tej chwili drogą nadjechał Muściej Cholewnik.

Jego koń wzbił tumany kurzu, a gdy stanął przy księciu, parsknął nerwowo.

- Panie, drogą Sasi jadą. Siła ich. Nie stawimy im czoła. - Muściej ścigał wódze, próbując uspokoić konia.

- Von Plotho - domyślił się Jaksza. - Pewnie umknął z pułapki.

Jaksza kazał Kuniczukom zasadzić się przy Starej Kniei na rycerzyka, który szedł

w sukurs von Arnsteinowi. W ten sposób chciał ugotować dwa gołąbki na jednym ogniu, zanim

ptaszynki połączą swe siły.

- Musieli cosik napierniczyć. - Tęgomir zrezygnował ze spacerku po łączce. -

Czas się zwijać.

- Gotujemy się do drogi! - nakazał Jaksa. - Ale prędko!

\*

Arnstein otworzył oczy. Nad nim pochylał się von Ploho.

- Musiałeś mocno oberwać, bo wierzgałeś jak zarzynana świnia. Widzieliśmy cię z drogi.

Rudolf uniósł się na łokciu.

- To dla zmyłki. Ledwie drasnęli mi tyłek.

\*

Mamuna Jurga robiła przepierkę nad rzeką. Podśpiewywała cicho pod nosem, cierpliwie oczekując jakiegoś zbłądzonego wędrowca. Może trafi się piękniś uciekający od żony albo bogaty kupiec. Przyjrzała się w lustrze wody swojemu odbiciu. Odkąd utopiła się w rzece, nie postarzała się nawet o chwilę. Ale skóra wydawała się jej zbyt blada, piersi - widoczne przez mokrą przylegającą do ciała koszulę - obwisłe. Oczy zapadnięte. Niejednego mogłaby jeszcze zadowolić, oblizła usta, napawając się ich miękkością. Nagle usłyszała dudnienie, które niosło się drogą biegnącą wzdłuż rzeki.

Pierwsze dwa uderzenia, trzecie - słyszała wszystko jak w zwolnionym tempie - i przez moment cisza. Potem znowu dwa pierwsze, błyskawicznie następujące po sobie, i trzecie. Chwila przerwy i znowu to samo, ale coraz głośniej. Aż w końcu stało się to dla niej nieznośne. Koń w galopie, poznała. A koni nie lubiła najbardziej. Miały lepszy węch niż ludzie i wyczuwały ją z dala, ściągając na nią zainteresowanie jeźdźca.

Z chlupotem wskoczyła z powrotem do wody.

\*

Zmierzchało już, a czerwone słońce stało się tylko małym ciastkiem na horyzoncie. Po drugiej stronie Haweli majaczyły zabudowania podgrodzia.

Petrysa przystanąła przy zakolu rzeki. Koń zaczął rzeć niespokojnie. Może spłoszyła go duża ryba? Spojrzała na okrąg, który rozchodził się na wodzie.

Zeskoczyła na ziemię.

Po pacierzu wymknęła się konno z Ostrowa Tumskiego niezauważona, skrywając twarz pod

kapturem. Uwielbiała te ulotne chwile z dala od dworu i chorego męża.

Inaczej wyglądały teraz dni na dworze. Książę marniał z dnia na dzień. Nawet przy wieczerzach przysypiał. W świetle łuczywa dostrzegała wtedy, jak cierpi. Ale nie litowała się nad jego losem. Musiała przecież ocalić syna przed zgubą, a jedynym wyjściem było zapewnić mu władzę. I choć nie zauroczyły jej nieprzebyte puszcze ani stęchłe rozlewiska i bagna, niewątpliwie znacznie lepiej się poczuje na Połabiu, gdy mąż zemrze, a syn zasiądzie na książęcym stolcu. Do tego jednak potrzebowała Sasów.

I tych znaczących, jak Albrecht Niedźwiedź, i takie kreatury, jak Rudolf von Arnstein i Arnold von Plotho. Dzięki nim potajemnie, bez zgody rady, mogła rozstrzygać o wrażliwych problemach.

- Kiedy grot strzały uwiera w dupie, źle się siedzi nawet na najlepszym koniu -

usłyszała czyjś głos.

Drogą nadjechali Niemcy. Zeszli z koni, przytrzymując wodze w rękach.

- Pani. - Przywitali się skinieniem głowy.

Księżna pozwoliła, by jej siwek, który już się nieco uspokoił, zanurzył pysk w nurcie rzeki, i bez zbędnych wstępów przystąpiła do targów.

- Ani Niedźwiedź, ani nawet sam cesarz nie zagwarantują wam ziemi. Marchia Północna przestała istnieć. Biskupi tytułują się panami ziemi nad Pianą i Hawelą. A widziałeś tu, Arnstein, chociaż jednego? - Stała bliżej brzegu, odwrócona do nich plecami.

Musiała chwilkę czekać, zanim coś powiedzą.

- Przyjdą. To tylko kwestia czasu. - Arnstein postąpił kilka kroków, by stanąć przy księżnej.

- Ale nie na długo zostaną. - Petrysa chciała dać jasno do zrozumienia Sasom, ile jej zawdzięczają.

- Ziemia Morzyczan między Łabą a Hawelą w sąsiedztwie ziemi Stodoran należy do biskupa niemieckiego - przypomniał.

- Nie ma go w Brennie, Arnstein! Siedzi w Magdeburgu.

- Ale niedługo Askańczyk dotrze do Brenny. A za nim biskupi. Także biskup brenneński. Książę Przybysław na pewno to rozumie.

Petrysa ciężko westchnęła. Sasi nie pozwolili jej zapomnieć, że woleliby rozmawiać z księciem, a nie z jego żoną. Przyklęła, by lepiej poczuć chłód rzeki, wciągnęła w nozdrza jej zapach. Od ciężkiej niebieskawej toni odbijały się cienie pochylonych nad wodą drzew. Postanowiła pozbawić ich złudzeń.

- Mój mąż - szepnęła - od kiedy zdrowieje, coraz bardziej jest wam niechętny.

Mówi, że skoro przyjął chrzest, może się zwać *rex* i nie musi już oglądać żadnego Niemca.

Sas również przykucnął.

Petrysa zerknęła na von Plothę stojącego za ich plecami. Nie odzywał się wcale, wyskubywał coś z nosa, toczył w palcach kulkę, a potem zjadał ze smakiem. Cały czas jednak przysłuchiwał się rozmowie, udając tylko, że go mało obchodzi. Młody był, ale nie głupi. Za Rudolfem gotów pójść w ogień, to wiedziała na pewno. A reszty -

przez jej twarz przemknął ledwie zauważalny uśmiezek - reszty się tylko domyślała.

- Albrecht Niedźwiedź nie będzie zadowolony, kiedy znów zajedzie do Brenny.

A jest z nim potęga. - Rudolf von Arnstein rzucił kamień w wodę.

- Już ja o to zadbam, żeby mój mąż wtedy uśmiechał się od ucha do ucha albo zachorzał na dobre.

Wyprostowała się nagle. Sas i tym razem poszedł w jej ślady.

- Najważniejsze, że stary książe ochrzczony - rzekł.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Petrysa przyglądała się cienkim, zaciśniętym ustom Arnsteina, które zdradzały napięcie. Rudolf tymczasem obserwował jej piersi nierówno unoszące się pod suknią.

- Mężowi można pomóc - powiedział w końcu bardziej dobitnie.

- Nie wróżę mu długiego żywota. - Spojrzała na niego ponuro.

- Pożycie się nie układa - skwitował tylko.

- Ty mi do łóżka nie włącz!

- Za żadne skarby. - Arnstein odchylił się do tyłu i zasłonił rękami w obronnym geście.

Kpili z niej. Wiedzieli, że im nie wybaczy, a jednak kpili. Zbyt pewnie się czuli nad Hawelą, a przecież to dzięki niej zyskali ziemię.

- Nie zapominajcie, z kim macie do czynienia - przestrzegła.

Arnstein rozłożył bezradnie ręce. Plothę przyjął pozę pokrzywdzonego dziecka.

Księżna podjęła decyzję. Już i tak zbyt dużo zostało powiedziane. Musiała im zaufać.

- Nie podzielam miłości mego męża do jego siostrzeńca. Straciłam cierpliwość do księcia z Kopnika. - Ze świstem wypuściła ustami powietrze. Tyle trosk, tyle trudnych decyzji. Wszystko na jej głowie. Gdyby nie mąż nieudacznik, nie musiałaby się zwracać o pomoc do tych dwóch kreatur. - Nie

jest również tajemnicą, że i wam, szanowni panowie, Jaksą dał się we znaki.

- Oj tak, oj tak. - Arnstein stęknął jakoś dziwnie i złapał się mimochodem za tyłek.

- Jeżeli Jaksą nadal zamierza hulać po gościńcach, za kilka niedziel opustoszeje brenneński targ, a kupcy zaczną z daleka omijać nasz gród. Wtedy Jaksą osiągnie swój cel. Przecież nie wszyscy wierzą, że to on łamie prawo po gościńcach, pobożnych mnichów skraca o głowy, a kupców rujnuje. Można zwrócić się przeciwko Przybysławowi. Przeciwko słabemu księciu.

- I przeciwko tobie, pani - zauważył Arnstein.

- Zatem trzeba skrócić go o głowę.

Arnstein skrzyżował ręce na piersi.

- Więc będziesz nam wiele zawdzięczać.

Właśnie przystąpiono do targów. A to księżna lubiła najbardziej. Nawet von Plotho przestał udawać, że nie słucha. Postąpił kilka kroków naprzód, by się zrównać z kompanem. Księżna stała więc naprzeciwko dwóch pazernych Sasów.

- Dużo zapłacę - oznajmiła.

Mieli ją za jędzę, wiedziała o tym, ale konkretną. Cena za głowę księcia z Kopnika, którą usłyszeli po chwili, bardzo ich usatysfakcjonowała.

- I nie proście o więcej - dodała, jak gdyby czytała w ich myślach.

- Nie zamierzałem - powiedział Arnstein.

Księżna doskonale wiedziała, że skłamał. Podeszła do konia.

- Macie to zrobić jak najszybciej. Po cichu. - Wcisnęła stopę w strzemię i podskoczyła, by przełożyć drugą nogę przez koński grzbiet.

Po chwili już z góry patrzyła na Sasów.

- Ale jak? - zastanawiał się Rudolf.

- Znacie Aradne? - Ściągnęła wodze. - Córkę Chęboty. Siedzi w zakonie w Lehninie, niecały dzień drogi stąd.

Petrysa nigdy jej nie widziała, ale ludzie mówili, że dziewczka była piękna.

- Można dotrzeć tam szybciej - wtrącił Plotho.

- Ojciec zamknął ją u cystersów - wyjaśniała dalej. - Boi się, żeby jego skarb nie stracił na wartości

przed zamążpójściem. A wielu jest takich, co chcieliby mieć Chębotę za teścia.

- Jaksza? - zdziwił się Arnstein.

- Ożenek z nią zapewni mu wsparcie jednego z największych brenneńskich możnych. Ale pamiętajcie, Jaksza to wilk. Nie myśli jak władca. Wykorzystajcie to.

Jaksza zajeżdża czasami na schadzki do Lehnina. Wykorzystajcie to. Schadzki są o różnych porach. Ale zawsze pod klasztorem.

Niech porwą Jaknę, ona nie będzie za to odpowiedzialna przed możnymi. Zyska może i sprzymierzeńca, bo jak dotychczas Chębota nie jest zdecydowany, kogo wesprzeć.

Pogłaskała delikatnie konia, zebrała wodze i ruszyła na Ostrów Tumski, pozostawiając Sasów samych.

\*

Mamuna Jurga powoli wyszła na brzeg. Nie słyszała całej rozmowy, ale zrozumiała, o czym była. Zmartwiła się bardzo.

\*

Pomimo że zmierzchało, jechali bardzo powoli. Zostali sam na sam z wizją szybkiego, ale wcale niełatwego zarobku.

- Nie mogłaby sama? - westchnął Plotho. Nie lubił podchodów, wolał otwartą walkę. - I dlaczego się zgodziłeś? Przecież to ohydne babsko.

- Właśnie dlatego. Oj, Plotho, ty nic nie rozumiesz. - Arnstein udawał

zatroskanego, rad był jednak, że może przed młodzikiem zgrywać obeznanego z wielką polityką.

Uśmiechnął się szyderczo, nie bacząc, że Plotho jak zwykle spąsował.

- Może powinienes zostać przy ziemi, w polu. - Zaśmiał się. - Widzisz, na razie rządzi Przybysław, a raczej ta suka Petrysa. Kiedy tylko Askańczyk zadomowi się w stodorańskiej ziemi, prędzej czy później Niemiec zasiądzie na książęcym stolcu i będzie rozdawał dzierżawy. - Potrząsnął niespodziewanie młodym Sasem, pochylając się na koniu. - Ale my byliśmy tu pierwsi! Dlatego też nam należy się najwięcej, ale musimy odpowiednio wcześniej się ustawić. Usuwając Jaknę, usuwamy potencjalne zagrożenia. A przysługując się Petrysie, uspimy zmięć. Zobacz, jak urządził mnie Jaksza w Chruściskach. Petrysa nie zagwarantowała mi swoim prawem bezpieczeństwa. A wiesz dlaczego? Dlatego, że nad Hawelą nie ma prawa. I powiem, z czego to wynika: bo Brenną rządzi baba!

Arnstein miał świadomość, że walczy o piękną, żyzną ziemię, która nie tylko uczyni go bogatym, ale i pozwoli kiedyś wystąpić w jednym szeregu z bogatymi książętami niemieckimi, którzy prędzej czy



później osiadą nad Hawelą.

- A księżę? - Von Plotho wiercił się niespokojnie w siodle.

Wierzył swojemu opiekunowi. Przyuczył go, jak oswoić konia, jak ustrzelić zwierzynę w lesie, jak machać toporem, by zawsze trafiać. W zamian za to służył mu dzielnie w domu i na polu walki. Wieczorami zaś, tuląc się do jego szerokiej piersi, nabierał rycerskiej ogłady.

Rudolf zwolnił.

- Jeżeli mnie intuicja nie myli, niedługo pożyje. Sam słyszałeś. Księżę stoi nad grobem. A ta żmija mu w tym pomaga. Zresztą jej prośba przysłała w samą porę. Już dawno chciałem wziąć się do tego chłystka. Pomysł z przetrąceniem mu kilku kości i żeber, zanim przysypię go piachem, bardzo mi się podoba. Nie będę patrzył, jak mi ludzie idą na zatracenie. Chłopy uciekają do lasu. Roboty u nas im nie w smak. Ze strachu przed Jaksą wolą Petrysowe chomąto.

- Prawda to, w księżęcych majątkach bezpieczniej. Jaksy mijają na razie z daleka.

- Odkąd najechał na Chruściski, mamy już z nim prywatne porachunki. Teraz zrobił się zbyt pewny siebie.

Arnstein podrapał szorstką brodę. Nerwowo się zrobił ostatnio jak diabli.

- Zajmę się nim. - Plotho przejechał kantem dłoni po gardle.

- Głupiś! Złapiemy go, ale nie zarżniemy.

- A co? - zdziwił się von Plotho i aż wstrzymał konia.

- Sprzedamy jak wieprzka! - Von Arnstein się zaśmiał.

Jego rehot poniósł się gościńcem.

Plotho nie miał się za mądrego, ale głupi też nie był. Za Arnsteinem jednak nie nadążał. A gdzie honor, gdzie wierność danemu słowu? Przecież tego wszystkiego zawsze go uczono.

- Porwać dla okupu? - Zrównał swojego konia z Rudolfem.

- I aby bronić świętego Kościoła przed poganinem - wyjaśnił rzeczowo opiekun.

- Sprzedamy go, a księżna o niczym się nie dowie. Już moja w tym głowa, żeby kupiec się znalazł. Zresztą Petrysa sama podsunęła mi pomysł.

Arnold zawdzięczał Arnsteinowi to, na czym siedział - koń był silny, choć nieco narwany - i czym walczył. Pogładził topór. Nie miał więc serca zaoponować. W jego głowie mnożyły się jednak wątpliwości.

- Jak się dowiedzą przychylni mu wieśniacy, kto go porwał, przez rok nie będziemy mogli wyściubić nosa za palisadę, bo nas zarzną na trakcie. Lepiej ukatrupić bydlaka, zakopać i cicho sza.

Arnstein pogładził konia po grzbiecie.

- Ach, ta słowiańska dusza. Szczekają na siebie jak psy, ale kiedy obcy wybiega między ich sforę, jego pierwszego zagryzą. Nie mogą znieść naszej obecności, ale to my niesiemy im krzyż, murowane zamki i kościoły. Nienawidzą obcych, a siebie ledwie tolerują. - Poklepał się po łysej czaszce. - Capniemy księcia tak, że się nie dowiedzą.

- A komu go sprzedamy? - zapytał Plotho. Cieszył się, że nie siedzi teraz w polu, na zachodzie

Grzeszy, lecz knuje z prawdziwym rycerzem, który posiadał wszystkie cnoty. Z

innymi rycerzami zresztą nie miał do czynienia.

- Dowiesz się w swoim czasie. - Jego kompan zaśmiał się, uradowany, że chłopak wreszcie zaczyna mu ufać. - Idzie wojna i sami musimy zadbać o nasze interesy. Nie zadba o nie cesarz ani Albrecht Niedźwiedź. Pozostaje nam tylko najtrudniejsze. Jak porwać księcia z Kopanika, żeby nie naciąć mu zbyt skóry i żeby nikt się nie dowiedział? I żeby Petrysa niczego się nie domyśliła.

Plotho się zamyślił.

- Jest pewien sposób - rzekł po chwili.

- Tak?

- Ta Aradne, o której mówiła księżna. Znam ją.

- Plotho spłoszył.

- Jak bardzo?

- Nie jest taka cnotliwa, jakby chciał ją widzieć jej ojciec - przyznał młody.

Zrozumieli się w jednej chwili. A więc plan był gotowy.

Arnstein przyjrzał mu się uważnie. Przyjdzie czas, by młodemu wybić miłostki z głowy. Na razie mu wybaczy. Podjechał do niego bliżej i zmierzwił włosy jak szczeniakowi. Wiedział, że Plotho bardziej jest czuły w ciemnościach, ale do nocy jeszcze daleko, a poza tym lubił patrzeć na jego spłoszone policzki.

- Chodź ze mną, rycerzu. - Zszedł z konia i zaczął mościć trawę przy drodze. -

Kiedys napiszą o nas poemat.

Zaśmiali się obaj.

## ROZDZIAŁ VII

*Ludek słowiański zdradliwy jest i podstępny.*

*Kronika Słowian, Księga II, O Słowianach słów kilka, autor nieznan*

Brat furtian w klasztorze w Lehninie mocno pocierał podbródek. Miał o czym myśleć.

Nigdy nie posiadał tak pełnej sakiewki. Przyznawał w duchu, że grzeszna chęć zysku kierowała nim, gdy postanowił pomóc dwóm przystojnym rycerzom. Miał jednak nadzieję, modląc się dziś nadzwyczaj gorliwie, że Bóg go zrozumie i przebaczy, nie pośle do piekła. Zatem kiedy córka Chęboty przekraczała klasztorną bramę, żeby się udać na spacer, postanowił wykorzysta chwilę, by dziś nieco dłuższą zmówić modlitwę. Zwrócił oczy ku niebu.

\*

Dobrze być młodą i bogatą. Gorzej, że z dala od świata. Korytarze klasztoru śmierdziały stęchlizną, dlatego Aradne wyszła przed mury na łączkę, ale tak, by nie zniknąć z oczu bratu furtianowi. Tatko dużo zapłacił: za klasztorną opiekę.

Dziewczyna miała przeczekać tu trudne czasy krucjaty. Kto wie, co mogło się wydarzyć, gdyby Sasi dopadli ją we wsi albo zniecka na trakcie. Choć miała wielki krzyż, zawieszony na szyi dla ochrony przed demonami, jej piersi urosły zbyt bujne, by ukryć je przed wojami. A ojciec wiedział coś o tym, bo nieraz wyruszał na wyprawę.

Łączkę okalał od zachodu strumyczek, który zwijał się jak szal i nikał za wzgórzem. Przypatrzyła się swojemu odbiciu w pomarszczonym lustrze wody i ujrzała długie jasne warkocze spoczywające na piersi, kolorowe wstążki wplecione we włosy, duże ciekawe świata oczy i wydęte lekko usta. Akceptowała swoją urodę, ale - tu pogłaskała się po pupie - biodra oceniała jako zbyt obszerne. Jakska chwalił jednak, że dobre do rodzenia dzieci, dlatego pozwalała mu je mocno ścisnąć. Ale co by na to powiedział ojciec? Albo Pan Chrystus?

Mocniej ścisnęła krzyż z ponurą podobizną. Pomyślała o Jaksie. O jego nerwowych ruchach, kiedy leżał przy niej; tak rzadko miewał okazję, by ją pościć.

Westchnęła rozmarzona. Przypomniała sobie jego czule szept, obietnice, zapewnienia o miłości. Skarciła się zaraz szybko za grzeszne myśli. Musi wrócić do klasztoru i poprosić o karę. Znow potarła pupę. Po wczorajszym laniu został jeszcze bolesny ślad.

Idąc ścieżką wzdłuż wysokich topoli i starych dębów, usłyszała szept.

- *Frauuu.* - Ktoś odchrząknął.

Ocknęła się i spojrzała w stronę krzaków, z których dochodził głos.

Plotho! On też ją czasami odwiedzał, taki nieśmiały. Czerwony Plotho.

Nazywała go tak, bo przez cały czas się rumienił. Podeszła do niego, bacząc, by nie zniknąć z pola widzenia furtiana. Ale ten pogrzyżył się w modlitwie i nie zwracał na nią uwagi. Arnold zaś przeciwnie, bardzo się starał, żeby nie dojrzano go z klasztoru.

- Czego chcesz? - spytała.

Sas przymilał się do niej od jakiegoś czasu. Młody, barczysty, o błyszczących oczkach, taki delikatny - rycerz jak z bajki. Choć trochę mało wygadany. Jednej nocy oddałaby wszystko, by móc się do niego przytulać, poczuć się bezpieczna, kiedy indziej jednak pamiętała, że Jaksza obiecywał jej książęcy stolec.

Gdy wyciągnął do niej rękę, wpadła w jego silne ramiona. Wciągnął ją między krzaki.

- Aj! - Cofnęła się złęknona. - To ty!

- A kogo się spodziewałaś? - Jaksza przyjrzał się dziewczynie uważnie.

Wyglądała, jakby zobaczyła diabła.

- Czerwony na buzi jesteś. Nie poznałam. I dlaczego szepczesz po niemiecku?

Potał poranioną twarz. Rozbój po gościńcach dawał mu się we znaki. Kupcy stali się bardziej czujni - pachółków do ochrony towaru wynajmowali, a i Niemcy, próbując uniknąć odarcia ze skóry, walczyli bardzo zajadle.

- Wojna to ciężki chleb - wyjaśnił i nie czekając, aż dziewczka zbliży się do niego, złapał ją wpół i przyciągnął ku sobie.

- Książę. - Próbowała się wyrwać, jednak niezbyt gorliwie.

Jaksza przycisnął swoje usta do jej ust. Gryzł namiętnie. Musiał przyznać sam przed sobą, że panna zawróciła mu w głowie. Piękne lica, wydatna pupa, duże cycki.

Miała wszystko, co powinna mieć księżna.

Wyrwała się. Starła ślinę z pogryzionych ust.

- To grzech! - wyznała.

- Klesze brednie. - Zaśmiał się, widząc jej zadowoloną minę.

- Tatko nie pozwala.

- Prędzej czy później pozwoli.

Lubiła tę jego pewność siebie. Wolała jednak, by nie poczuł się zbyt pewny.

- Od miesięcy gadasz, że zrobisz ze mnie księżną. - Wydęła usta.

- Powolutku, maleńka, wszystkiego się doczekasz.

Objął ją, ale nie nalegał. Jak zawsze, kiedy byli w cieniu klasztornych murów.

Droczył się tylko, flirtował.

- Muszę już iść. - Odstąpił ją dopiero, gdy nasycił się pieszczotami.

- Tak prędko? - zasmuciła się.

- Las wzywa. No, chyba że dzisiaj pozwolisz mi na coś więcej...

- Nie tu, nie teraz - odrzekła z rumieńcem. Skinął głową, acz niechętnie.

W istocie ma w sobie coś z wilka, pomyślała, zagryzając wargi.

Patrzała, jak pochyłony skrada się w krzakach, by nieco dalej dosiąść konia.

Poczekwała, aż tętent kopyt ucichnie, wstała z ziemi i otrzepała się z liści. Ruszyła w stronę klasztoru.

Jednak po chwili przystanęła. Wydawało się jej, że usłyszała nerwowe parsknięcie konia.

Czyżby księżę wrócił? Czyżby nie dość mu było gibkości jej ciała? Uśmiechnęła się. Zanim zdążyła się odwrócić - brat furtian spoglądał właśnie w niebo, nie na nią -

silne ręce pochwyciły ją i upadła twarzą do ziemi. Czyjeś kolano wbiło się w jej plecy, ciężka dłoń nie pozwoliła oderwać ust od wilgotnej trawy. Nie mogła krzyknąć.

Napastnik podciągnął jej suknię, wysoko, tak że poczuła na pośladkach chłód lipcowego wieczoru. To, co się stało potem, było brutalne i nieprzyjemne, a gdy się skończyło, usłyszała szept. Znajomy zresztą.

- Zanim cię puszczę, musisz mi jedno obiecać. Znała ten głos.

Próbowała zebrać myśli, by sobie przypomnieć, do kogo należał.

- Opowiesz swojemu ojcu o tym, co się dzisiaj stało. Z najdrobniejszymi szczegółami - powiedział tajemniczo.

Rozdziawiła usta, by coś rzec, ale napastnik tylko mocniej zaorał jej nosem łąkę.

- Obiecujesz? - Już nie szeptał. Syczał.

- Obiecuję. - Pokiwała głową, gdy rozluźnił uścisk.

Ktoś mnie pokochał zbyt mocno, pomyślała, gdy znikł, a ona została sama na skraju polany, słysząc

ciche nawoływania brata furtiana.

\*

Przybysław wyszedł przed skromne progi swojego dworca w asyście żony.

Petrysa żałowała, że nie ma z nią kapelana, który pobłogosławiłby przybyłym do Brenny Sasom. Na dziedzińcu tłoczyło się trzydziestu konnych i kilku pieszych. Książę wysilił się na uśmiech, by nie urazić gości. Wygłosił pobożną formułkę o rodzinie chrześcijańskiej i zaprosił rycerzy w swe skromne progi, wydając wcześniej dyspozycję pachołkom, aby zadbali o konie przyjezdnych. Wraz z margrabią Albrechtem Niedźwiedziem przybył biskup hoboliński, legat papieski arcybiskup magdeburski, biskup monasterski i wielu innych książąt, margrabiów oraz hrabiów. Zabrakło Dietmara, który struł się od jagód ze zwierzynieckich mokradeł.

Książę burgundzki Konrad z Zahringen od czasu walki na moście pod Dobinem stał się milczący, zamknięty w sobie i zapadł na zdrowiu. Widać połabskie bagna nie służyły mu wcale. Krucjacie dodawał kolorytu odziany w zielony płaszcz trubadur z Langwedocji. Kilka dni temu do świty Albrechta dołączył także Bernard z Clairvaux.

- Zapewne jesteście znużeni. - Przybysław z całych sił starał się przywitać gości tak, jak nakazywał obyczaj. Z otwartymi ramionami i z uśmiechem na ustach.

Kotłująca się na dziedzińcu ruchliwa masa biskupów i rycerzy, szelest ich płaszczy, dzwonienie saskich kolczug, błysk mieczy, niespokojne parskanie koni -

wszystko to jednak przyprawiało go o mdłości. Ostatnio nie czuł się najlepiej i tylko usilne nalegania Petrysy przekonały go, żeby osobiście przywitał Albrechta.

Konrad z Zahringen kiwnął nieznacznie głową i siląc się na uśmiech, równie niedbale odpowiedział na książęce przywitanie:

- Bardzo jesteśmy strudzeni drogą. Wybacz, książę, zaskoczenie, ale pragnęliśmy złożyć ci nieco bardziej bezpośrednią wizytę, by dotrzymać ci towarzystwa w tych trudnych czasach.

Choć Askańczyk raczej wyglądał na wątlego, z jego postawy biła pewność siebie.

Cienki płaszcz zarzucił na lekką kolczugę, przy biodrze zwisał miecz przypięty do szerokiego, zdobionego bursztynem pasa. Miał młodą twarz, jasne ściągnięte brwi, długi prosty nos i wąskie usta. Urodzony mówca, nie wojownik, pomyślał gospodarz, a na głos odpowiedział:

- Ostatnio zbrojni Sasi zjawili się tu parę lat temu.

- I co? - spytał Albrecht Niedźwiedź, schodząc z konia.

- Spalili kilka wsi - wyjaśnił rzeczowo Przybysław.

- Ale nie chrześcijańskich - wtrąciła się szybko Petrysa. - A teraz wszystko chrześcijańskie. Brenna i

cały las wokół.

- Po borach bożki dobrych chrześcijan straszą. - Konrad z Zahringen pozwolił, by pachołkowie pomogli mu zejść z konia, i poczekał na arcybiskupa magdeburgskiego Fryderyka, by służyć mu ramieniem.

Fryderyk nie ukrywał, że wiek i trudy drogi dały mu się we znaki. Jego wypielęgnowana ruda broda bardziej pasowała do wojownika niż pobożnego biskupa.

Bernard z Clairvaux stanął przed gospodarzem jako ostatni.

- Przyszło nam teraz żyć w jednej chrześcijańskiej rodzinie. - Przywitał się z Przybysławem i księżną, omiatając ze źle ukrywanym zdziwieniem posępny, ale murowany dworzec. - Bóg wszechmogący widzi wszystko. Nasze dobre uczynki i piękne dwory.

- Bóg widzi, z jakim poświęceniem szerzymy wiarę na wschód od Łaby, i nam błogosławi. - Konrad również spojrział na książęcy dworzec, jakby oceniał jego wartość.

Petrysa nakazała pachołkom, by rozsiodłali konie gości i oporzadzili je troskliwie, a dworkom, by odebrały rycerzom broń.

Na plac wbiegł pachoł. Koszulę miał rozchełstaną, kłak na łbie zmierzwiony, mordę zapluta.

- Sasi! Biją, plądrują, gwałcą...

Jeden z Sasów dobył miecza, chcąc bronić honoru swych panów.

- Ale nie mordują - dodał szybko pachołek, widząc błysk saskiego żelaza. -

Niech będzie pochwalony - przywitał się szybko, prawie tak ładnie, jak go uczono.

- To głuptak - wyjaśniła Petrysa.

Pachołek wycofał się rakiem i pognał gdzieś przed siebie.

- Gwałtu nie czynimy na ziemi Stodoran. - Albrecht kazał rycerzowi schować miecz. - Nie godzi się chrześcijan mordować.

- I księciu polskiemu Mieszkowi Staremu w paradę wchodzić - prychnął

Przybysław.

Petrysa spojrzała na reakcję Albrechta, ale z kamiennej twarzy Askańczyka nie dało się nic wyczytać.

- Jeżeli jednak gwałt został zadany, sprawcy zostaną ukarani. Nie nasz to był

rozkaz - wyjaśnił niedbale Konrad, spoglądając ukradkiem na Bernarda.

Cysters tylko się uśmiechnął. Kazał oczyścić nie tylko słowiańskie wsie, ale i chrześcijańskie klasztory. Jeśli jego sfóra dopatrzyła się gdzieś śladu herezji, niszczyła księgi, paliła klasztory, puszczała z dymem całe wsie, wszędzie jednako wzbudzając strach. Nie tylko przed Panem Bogiem.

Petrysie nie trzeba było nic tłumaczyć. Nawet gdyby Sasi dopuścili się gwałtów, należało zadbać o to, o co zadbać jeszcze można. Przede wszystkim o gród i swoje skołatane nerwy. Spalone kuźnie, młyny, chaty oraz klasztory odbuduje się w odpowiednim czasie.

- Kiedy człowiek zasiądzie przy jednym stole i naje się do syta, to i potrzeba czynienia gwałtu zaraz znika. - Albrecht pozwolił księżnej, by zaprowadziła gości w głąb dworu, do głównej sali.

Książąt i biskupów rozsadzono przy wysokim stole, pośledniejsze rycerstwo przy niższym. Po prawicy gospodarza usiadł Albrecht Niedźwiedź, zaraz za nim Bernard i możni niemieccy wedle godności i starszeństwa. Petrysa zajęła miejsce obok męża.

Przyniesiono misy do mycia rąk, nie załując gościom wody. A już po chwili wszyscy raczyli się winem z kubków, niektórzy wespół pili z czaszy.

Napalono w kominku ustawionym pośrodku sali. Dym ze smolnego łuczywa zawieszono na ścianach uciekał przez wąskie okna, które wpuszczały do wnętrza sali światło zachodzącego słońca.

Gospodarz przyglądał się bacznie przybyszom; przepoceni, pokryci kurzem, głodni, ale z iskrami w oczach. Uśmiechy na ich twarzach wydawały się wymuszone.

Odprężyli się dopiero wtedy, gdy ogień w kominku syczał już donośnie i pierwsze szczapy drewna pękły pod wpływem żaru, a na stole wylądowały ciepłe zakąski -

słonina, pieczona wieprzowina i gotowane ryby.

Albrecht pochylał się nad talerzem tak bardzo, jakby się bał, że ktoś mu odbierze jadło. Rwał mięso zębami jak wygłodniały wilk.

- Wy, książę, chcielibyście swoją politykę prowadzić. Daleko od Sasa i daleko od Piasta - rzekł, przeżuając.

- Przywileje sami sobie nadajemy - odciął się Przybysław, przysuwając do ust kubek z winem. - Odkąd tytułujecie mnie *rex*, mam do tego prawo, czyż nie?

Krąbrna odpowiedź księcia nie zadowoliła margrabiego. Skrzywił się z niesmakiem niby od cierpkiego wina, bo właśnie łapczywie opróżnił kielich.

- Ale Niemców nie brakuje w Brennie - próbowała załagodzić Petrysa - a i dalej na wschód, w słowiańskich grodach coraz więcej Sasów i Bawarów zajmuje się handlem.

Pachołkowie uwijali się przy gościach, dbając, by niczego im nie zabrakło.

Szczęk mis i dzbanów, popiskiwanie wygłodniałych psów łaszących się pod stołem, rozmowy -



wszystko to już za chwilę stanie się nieistotne, pójdzie w zapomnienie, rozmyślała Petrysa, przyglądając się Sasom, bawiącym się tak, jakby wokół nie toczyła się wojna. Przyzwyczajeni są zapewne do zapachu krwi i wina, modlą się do krzyża, ale bluźnią, gdy los im nie sprzyja. Ona zaś właśnie im zawierzyła swój, a nie modlitwie...

Czyjś głos wyrwał ją o odrętwienia.

- A jak wam się żyje pod jednym dachem z Chrystusem? - Bernard nie ukrywał

pogardy do wszystkiego, co słowiańskie.

- Boże, błogosław ten dzień, kiedy mój mąż przyjął chrzest. - Petrysa przypawiła swe wyznanie nutką wdzięczności, skierowaną wyraźnie w stronę margrabiego.

Przybysław jednak milczał.

Bernard wzruszył ramionami. Odpoczął już po ciężkiej drodze, wino też smakowało mu wybornie, więc uśmiechnął się łaskawie. Rozparł się zatem wygodnie na twardym krześle, z którego przewodniczył radzie, i przemówił:

- Chrześcijaństwo na zachodzie kwitnie. I wam, książę i księżno, trzeba zasiać ziarno jak najszybciej. Ale nie wystarczy tylko pielic swój ogródek. - Rozejrzył się po sali. - Trzeba wam wyciąć stare drzewa w łącinach. Na ich miejscu niech wyrosną nowe. Trzeba wam z misją posyłać mnichów do Tolęży, nad Pianę, do ziemi Sprewian.

- Cysters wstrzymał oddech.

- Ostatnie wypadki przeczą tobie, panie - Przybysław nie zamierzał zgodzić się z mnichem. - Wasza gorliwa wiara nie zachęca pogan do przyjęcia chrztu.

Opór księcia nie zraził mnicha. Wręcz przeciwnie, widać było, że wierzy w swoje słowa, a księcia traktuje jak ślepego, któremu musi wskazać drogę.

- I tu się mylisz! Niekiedy miecz musi wesprzeć wiarę. Miecz i stos!

- Stos?!

- Tak. Wiele setek lat temu Kościół zezwolił traktować śmiercią heretyków.

- Ale z miłosierdzia - upewniła się Petrysa.

- Tak. To nie tylko oddzielanie plew od ziarna. Ogień oczyszcza heretyckie dusze.

- Bernard z Clairvaux pomny doświadczeń z Langwedocji wie, jak bardzo heretycy potrafią być niewdzięczni i głusi na wołanie boże - oznajmił Albrecht, ciesząc się, że ma takiego sojusznika.

- W Langwedocji ludek jest bardzo pobożny - wtrącił nagle trubadur Rudel, drobny szlachcic z

Blaye, który większość swego artystycznego żywota spędził na dworze hrabiego Tuluzy.

Siedział wraz z pośledniejszymi rycerzami przy niższym stole, z łapami w talerzu z rybą. Stronił od tłustego jedzenia, głuchy na przytyki kompanów, którzy ze smakiem rozdierali zębami ociekające z tłuszczu i sosów mięsiwo. Gdy przemówił, a głos miał donośny, wydawał się wszystkim większy niż w rzeczywistości.

Bernard skrzywił, się spoglądając w jego stronę, jakby patrzył na padlinę.

- Heretyckie brednie. Cała Francja jest zepsuta. Nawet na wschód od Paryża aresztowano dwóch wieśniaków. Zjedli posiłek z prochów zmarłych dzieci. Diabelski poczęstunek! Także w całej Prowansji pod wodzą niejakiego Pierre'a, przeszło tuzin lat temu, lud palił krucyfiksy, ołtarze, atakowano nawet księży i mnichów.

- Co się z nim stało? - zaciekawiła się księżna.

- Pierre spłonął na ołtarzu, który sam podpalił. Podniecony tłum wepchnął go tam, ale w ten sposób durny heretyk miał szczęście. To tak jakby poszedł na stos i oczyścił swą duszę.

- Lud w Langwedocji chętniej wysłuchałby pieśni niż pogrózek - wtrącił trubadur.

- Wiele stworzyłeś melodii, ale marne mają słowa - odciął się cysters.

Rudel jeszcze bardziej się skurczył, a mnich kontynuował:

- Aby nie zejść ze ścieżki Pana, trzeba o wiarę zabiegać. Pielęgnować jak ogród, chwasty zaś wrywać; większe wyda wtedy plony. Gdy zapłoną stosy, niektórzy ze strachu zamilkną. A krzykliwych zaprzańców pošlemy do piekła.

Trubadur aż zacisnął pięści ze złości.

- Niektórzy rycerze noszą tuniki, mają miecze i tarcze. Ale reszta to hołota. Na piersiach wiszą im drewniane krzyże, a w rękach dzierżą drewniane pałki.

Wagabundy, dziwki i złodzieje - wyszeptał.

- Jeżeli nie przestaniesz warczeć, błaznie, to naślę ich na ciebie! - Bernard huknął pięścią w stół. A potem zwrócił się do księżęcej pary, ale patrzył jedynie na Petrycę: - Pomyślcie tylko. Możecie być orędownikami nowej wiary. Nowego porządku. Tu, na Połabiu.

Księżna milczała. Żałowała, że nie ma przy niej kapelana. Mogłaby wesprzeć się jego radą. Spojrzała na męża, szukając pomocy. Przybysław jednak tylko taksował

wzrokiem Bernarda, wszystkich biskupów i całą germańską sforę, nie ukrywając pogardy.

- Myśl o nagrodzie w niebie, księżno. - Cysters nie spuszczał z niej oczu. -

Wtedy nie będziesz się wahała. Będziesz cnotliwa.

- Więc cnota bez nadziei na zysk nie jest możliwa? - spytał Rudel.

Tym razem Bernard nawet na niego nie spojrział.

- Mówisz jak twój hrabia. Za długo wyleś na jego dworze. Gdyby nie to, że niektórzy z nas nie mają tu gustu i zależy im na twoich pieśniach i życiu, już dawno spaliłbym cię na stosie - rzekł z lekceważeniem.

Jednakże nikt znający Bernarda nie uwierzył, że przebaczy trubadurovi zniewagę. Tym razem Rudel miał szczęście, z opatem bowiem nie było Przeclawa, który trutką uciszał tych, którzy szczekali zbyt głośno na jego pana.

- Dla mnie to nazbyt skomplikowane. - Albrecht odetchnął z ulgą.

Najwidoczniej cieszył się, że tylko tak to się skończyło. - A poza tym nie nudźmy naszego miłościwego gospodarza.

- Teraz my tu jesteśmy gospodarze. - Biskup merseburski się zaśmiał, bynajmniej nieskrępowany tym, że obraził księżęcą parę.

Spojrzał wyzywająco na Przybysława, ale księżę tylko głęboko odetchnął.

- Smakuje? - spytał usłużnie i nakazał pachołkom przynieść zapasy z piwniczki.

Po długiej, przeciągającej się w nieskończoność chwili na stole ponownie wylądowały gorące misy z wieprzowiną, sery i pieczywo, a do tego łakocie z miodu i mięszu owocowego. Gdy Sasi nasycili głód, na ich twarze wróciła dawna wojenna troska.

- Nie miejcie, księżę, nam za złe, ale gościna nasza zbyt się przedłużyła -

zakpił Askańczyk. Widać było, że dzięki kolejnym dzbanom wina krew znów krąży mu w żyłach. - O świcie ruszamy dalej.

Wstał i jednym zamachem ręki strącił ze stołu wszystko przed sobą. Jak bańki prasnęły kryształowe kielichy, posypały się srebrne i posrebrzane sztucce, wino zmieszało się z resztkami wieprzowiny i sosów. Wszyscy umilkli, trochę ciszej przełykali wino, powstrzymali się od beknięć.

- Henryk Lew pewnikiem do końca krucjaty będzie tkwił pod Dobinem. A my pójdziemy na Szczecin i Kamień.

- Tam też już są chrześcijany - zauważył Przybysław.

- Ale po borach stare bogi wyznają. - Margrabia postukał palcami po stole. - A ty, księżę, przecież

jesteś nam coś winien. Doszły mnie słuchy, że masz problemy ze swoim siostrzeńcem. Stał się tak buńczuczny, że najechał Ziemię Suchą.

- Twoja to ziemia.

- Ale w darze od ciebie. Radzę ci dobrze, uporaj się z Jaksą szybko.

Księżę wyzywająco spojrział na margrabięgo.

- Czy to groźba?

- Skądże znowu, *rex*. - Askańczyk parsknął. - Chciałem tylko się upewnić, że jesteś panem na swoich ziemiach.

Przybysław zagryzł wargi.

Petrysa uśmiechnęła się, zadowolona.

Albrecht usiadł z powrotem na ławie. Uczta znów potoczyła się swoim torem.

Biskupi, książęta i margrabiowie przepijali do siebie, niedbale rozlewając wino po stole.

- A teraz, drogi księżę, chcielibyśmy się naradzić. - Albrecht podniósł się z ławy.

- Sami - dodał po chwili, widząc, że Przybysław wciąż siedzi sztywno, choć już mniej pewnie.

- I tak mieliśmy zamiar zacząć przygotowania do mszy wieczornej. - Petrysa wstała od stołu, dając tym samym przykład mężowi.

Księżę pożegnał niedbale siedzących, po czym, życząc owocnej narady i szurając nogami, opuścił salę.

- Ja też czcigodnych panów opuszczę. - Trubadur wstał od stołu. - Może wpatrując się w okoliczne lasy, znajdę natchnienie dla mych nowych pieśni.

\*

Petrysa stała na wałach, by podziwiać rozciągający się przed nią krajobraz: jak na szachownicy cień lasu mieszał się z lustrem mokradeł, w dole srebrzyła się rzeka.

Gdzieś ze wschodu nadchodziła burza, groźnie pomrukując.

- Langwedocja to piękny kraj, choć daleko jej do reszty Francji - usłyszała nagle za sobą niski głos trubadura.

Gdy stanął obok niej, sięgał jej do ramion. Aż dziw, że taki karzeł potrafi śpiewać, pomyślała, mierząc go wzrokiem. Usta miał wydatne, nos szeroki, oczy jak szparki. Rozglądał się niespokojnie.

Zapewne trafi go jakiś wewnętrzny niepokój, pomyślała, albo po prostu w tę niespokojną noc szuka natchnienia.

- W miastach mieszkają baronowie i hrabiowie - kontynuował. - Żyją w zgodzie z kupcami i Żydami. Wszyscy czują się odpowiedzialni za sprawy miasta, ale też wszyscy mają upodobanie do luksusu i do dobrego smaku - westchnął rozmarzony. -

Nie uswiadczysz tam, pani, chamów jak w Cesarstwie czy na północy Francji. Tam na wszystkie choroby lekarstwem jest muzyka i pieśni.

- Twoje? - Poczowała bijące od niego ciepło. Ciepło mężczyzny.

- Tak, pani. Jestem szlachcicem, więc wrota najlepszych zamków stały dla mnie otworem. Pochodzę z Blaye. Służyłem na dworze hrabiego Tuluzy. Alphonso Jourdain to piękny człowiek, ale strasznie narwany.

Zamilkł, wpatrując się w odległy las.

- Opowiedz mi, jak znalazłeś się tutaj? - Delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu.

Tak dawno nikogo nie dotykała czule. Nagle zrobiło się jej bardzo ciepło.

Zaczerpnęła chłodnego powietrze, by nieco ochłonać. Spojrzała w jego oczy.

Błyszczały w ciemnościach.

Trubadur westchnął, aż nazbyt ciężko. Milczał jeszcze przez chwilę, po czym zaczął opowiadać cichym, lekko drżącym ze zdenerwowania głosem.

- Hrabia Alphonso miał kochankę - córkę młynarza, zbyt piękną, by ktokolwiek mógł przejść obok niej obojętnie. Na swoje nieszczęście została brzemienią. Z moim panem oczywiście, nie ze mną. - Uśmiechnął się ponuro. - Gdy hrabia się dowiedział, że i ja darzę ją względami, kazał mi się z nią żenić. W zamian obiecywał złote góry.

Problem tkwił w tym, że hrabia postanowił, że po ślubie zamieszkamy na jego dworze.

Ja miałem śpiewać, a moja żona...

Petrysa spojrzała na niego wyczekująco.

- I nie zgodziłeś się?

- Bóg mi świadkiem, że poszedłbym za nią do piekła. - Przeżegnał się. - Ale jestem jak ptak. Nie dla mnie złota klatka. Uciekłem więc na północ, tam gdzie Anglicy werbowali rycerzy na krucjatę. Jednak natknąłem się tam na brata hrabiego Alphonso. Nie mogłem ryzykować, dlatego też przyłączyłem się do Flamandów, którzy wyruszali na Połabie, aż w końcu trafiłem na Albrechta Niedźwiedzia. Już nie ma dla mnie drogi powrotu. Żegnaj, Langwedocjo! Żegnaj, Francjo. - Machnął

melancholijnie ręką.

- Dlaczego nie zostaniesz tutaj? - spytała nagle, sama dziwiąc się swoim słowom.

Doskwierająca jej samotność i chęć bliskości zatręły jej umysł. Szatan kusił, to pewne, bo przez chwilę wyobrażała sobie, jak oddaje się karłowi. *Fin'amors!* W jednej chwili zamarzyła, by wepchnął jej między uda swą miłość dworską. Zapragnęła wyzwolić w sobie namiętność niszczącą i dziką. Przysunęła się nieco bliżej do Rudela.

Trubadur spojrział gdzieś przed siebie. Mina mu stężała, mocno ściągnął brwi.

- Langwedocja to kraina wysepek. - Nadal szeptał. - Każda tonie w morzu wzajemnej pogardy, spisków i podejrzeń, zazdrości i zemsty. Hrabiowie nastają na cześć pięknych panien, a potem płacą ich ojcom za milczenie. Stuletnią staruchę obnosi się po mieście, jako dowód, że dzieją się cuda. Zatrzuwa się studnie karczmarza, by w ten sposób zmusić go do sprzedawania lepszego piwa. Trudno znaleźć tam natchnienie do pięknych pieśni.

- Każda kraina ma swoje blaski i cienie. - Księżna nieco oprzytomniała. Czowała jego żal i rozumiała. Tak samo myślała o Połabiu. - W Kościele trzeba pokładać nadzieje.

- Kościół stał się wrogiem samego siebie - mruknął. - Biskupi posiadają własne armie, noszą brody jak rycerze; żarłocznicy i chciwi zasługują na pogardę, a nie szacunek. Szydzą ze swoich wiernych. Kościelne urzędy obejmują niepiśmienni chłopcy. Mnisi pokumani z diabłem knują po klasztorach.

- Więc i nas to czeka? - zdziwiła się.

Uśmiechnął się do niej znacząco.

- Bernard proponuje radykalne rozwiązanie. Chce wypłenić chwasty. A poza tym szuka czegoś tutaj na Połabiu. Nieprzypadkowo skierował krucjatę na wschód od Łaby.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Czego można było szukać nad Hawelą, Pianą, Tolężą prócz bagien i lasów?

- Po prostu podsłuchałem jedną z rozmów Albrechta i Bernarda - wyjaśnił, uprzedzając jej pytanie.

- Dużo wiesz.

- Ale za mało, żeby napisać o tym pieśń. - Zaśmiał się. - W sferze Albrechta mało kto lubi moje pieśni, oprócz samego księcia, oczywiście. I choć nie dla mnie życie za grosze przy boku niemieckich panów, to jednak cały czas żyję. W Langwedocji zaś byłbym już trupem.

- Pewnie też polubiłabym twoje pieśni.

- Och, więc ich nie znasz.

- Nie, ale chętnie posłucham.

\*

Całą noc w zaciszu jej komnaty Rudel roztaczał przed nią wdzięki *fin'amors*.

Rozłożył się u jej stóp, a ona, siedząc na krawędzi łoża, z głową wspartą na dłoniach, przeniosła się wraz z jego pieśniami na południe Francji. Zauroczyli ją gotowi do poświęceń rycerze, którzy zostali skazani na rozłąkę z wybrankami ich serc.

Kochanków dzieliło pochodzenie albo szerokie morze, bądź lasy i bory nie do przebycia. W pieśniach trubadura miłość to nie wyłącznie *luxuria*, nie szaleństwo, lecz mądrość, ta, po którą każdy winien wyciągać ręce, sprawdzić się w niej, a dopiero potem oszacować straty i wylizać rany, by móc się wznieść ponad przeciętność.

Bohaterom tkliwych pieśni nieobce było wszystko to, czego już dawno wyzbyła się Petrysa, kiedy wyszła za mąż - pragnienie dotykania drugiego człowieka i marzenie o tym, by być dotykana. By cierpieć, ale nie z braku miłości, tylko z pożądania. Czasami tylko dla niego.

Gdy Rudel dokończył ostatnią pieśń, wiedziała, że zamilkł dla niej już na zawsze. Zbyt grzeszny świat jej pokazał. Taki, w którym można żyć i nie cierpieć.

Mocniej ścisnęła krzyż zawieszony na szyi.

Wskazała karłowi drzwi.

Postanowiła, jak zawsze, trwać w modlitwie, dopóki dom w końcu nie pograży się we śnie.

\*

O poranku żegnano na wałach niemieckie bractwo udające się na Dymin i Kamień, i do Szczecina. Petrysa, przyglądająca się świecie Albrechta Niedźwiedzia, śpieszącej do oczekującego go wojska, ucieszyła się, ujrzawszy na przodzie kolumny zielony strój karła. Czuła się tak, jakby wyzbyła się nagle nieczystego sumienia.

\*

Jaksa zatrzymał konia na szczycie niewielkiego wzgórza. Od zielonej toni jeziora dzielił go piaszczysty brzeg. Omiótł wzrokiem ścianę drzew po jednej i po drugiej stronie zbocza.

Nic.

Tylko świergot ptaków.

Chębota stał nad samą wodą, Aradne tuż obok. Niby spokojnie przyglądali się dwóm siwkom brodzącym w jeziorze, ale księżę nie do końca ufał staremu. Spojrzał za siebie, tam gdzie czaiły się dwa tuziny wojów pod wodzą Stykusza, gotowych stanąć w jego obronie, po czym podjechał stępą do oczekującej go pary.

Aradne nawet się nie odwróciła, by go przywitać, za to jej ojciec, widząc księcia, nieznacznie skinął głową.

- Jesteś wreszcie.

- Chciałeś się spotkać. - Jaksza zeskoczył z konia.

- Przyda nam się szczerza rozmowa. Trzeba się zastanowić, po której stanąć stronie. - Chębota zacisnął prawą dłoń na rękojeści miecza.

Jaksza rozejrzał się dookoła.

- Po swojej - rzekł wymownie.

Chębota nerwowo startł rękawem pot z czoła.

- Ty, księżę, nawet jeśli przegrasz, schowasz się w Kopniku. Ja, prócz ziemi nad Hawelą, nic nie posiadam.

- Rozległe to jednak dzierżawy, więc nie narzekaj. - Jaksza dziwił się, że Aradne nadal interesują bardziej konie niż jej wybranek.

- Nie w tym rzecz. Gdy stanę po twojej stronie, a ty przegrasz, saskie psy mnie zagryzą. Zagryzie mnie Petrysa.

Jaksza nie spodziewał się wiele po starym Chębocie, gdy przez posłańca ustalali porę i miejsce spotkania. Miał jednak nadzieję, że na jakiś czas ucichną między nimi waśnie i spory.

Podejrzewał, że pachołkowie starego czają się w lesie. Miał jednak pewność, że nic mu z ich strony nie grozi. Chębota nie zaryzykowałby zemsty Kuniczków. Na to wydawał się jeszcze za słaby. Zresztą część możnych rodów kręciła nosem - tak jak i on - po której stanąć stronie: Petrysy czy Jaksy.

Aradne odwróciła się nagle, wprawiając księcia w zdumienie. Jej twarz przypominała stłuczoną śliwę. Spojrzał w jej zapłakane, nabiegłe krwią oczy. Uniknęła jego wzroku, chowając twarz w ramionach ojca.

To zaniepokoiło Jaksę.

- Moja córuś rzecze, że to twoja sprawka. - Chębota gładził córkę po włosach.

- Zdarzyło mi się nieraz obić babę, nawet kijem, ale coś takiego? To nie ja - zaprzeczył.

- Złamałeś umowę. Nie jesteś sam. - Chębota spojrział na las za plecami księcia.



Jaksa podążył za jego wzrokiem. Na szczycie wzgórza ustawił się w szeregu tuzin wojów. Stykasz niecierpliwie coś im wyjaśniał, gestykulując przy tym gwałtownie. Pewnie nie posłuchali i wyszli zza drzew, domyślił się Jaksa.

- Myślisz, że jestem aż tak głupi? - Sprewianin czuł, że coś się szykuje, coś bardzo niedobrego.

Nie mylił się.

Chębota dał komuś znak machnięciem ręki. Cztery tuziny wojów wysypały się z lasu.

Jaksa chwycił rękojęć miecza. Nie było już czasu, by wyjaśnić nieporozumienia.

- Za późno - mruknął stary, jednocześnie robiąc krok w tył i ciągnąc za sobą córkę.

- *Ave, Maria...* - Aradne zaczęła się modlić.

W jednej chwili wzgórzem wstrząsnął wrzask wydarty z kilku tuzinów gardeł.

Pałki łamały szczęki, topory dziurawiły czerepy, oszczepy przebijały serca.

- *...gratia plena...* - Chębota z córką gramolili się pośpiesznie na konia, byle dalej od księcia.

Jaksa zastanawiał się jeszcze, co począć.

W jego stronę ruszyło kilkunastu wojów. Księżę nie miał wyjścia. Stał w lekkim rozkroku, pochylony, z mieczem w dłoni, gotowy do walki.

- *...Dominus tecum...* - Usłyszał jeszcze, albo tylko mu się zdawało.

Napastnicy otoczyli Jakse kołem. Dźgali weń kijami jak w dzikie zwierzę, próbowali powalić na ziemię, zadając ciosy w nogi.

- Brać psa żywcem! - krzyknął jeden z napastników. - Żywcem go brać!

Księżę zamachnął się na tego, który stał najbliżej, przetrącił mu rękę, drugiemu rozwalił czerep. Jucha kamratów tylko ożywiła resztę. Zebrali się w kupę i napaarli na niego. Księżę uległ pod ich naporem, pozwalając, by przewrócili go na ziemię. Tłukli po żebrach, brzuchu, po głowie, dopóki krew nie zalała mu gęby.

- Amen - wyszeptał.

- Dość! - Usłyszał głos Chęboty. - Bo pies nam tu zdechnie!

Odstąpili.

Prawie omdlał, gdy krępowali mu sznurem ręce. Kazali klęczeć.

Spojrzał w stronę wzgórza. Tam odgłosy walki umilkły. Woje Chęboty dobijali swoje ofiary.

Arnstein i Plotho szli ku niemu uśmiechnięci od ucha do ucha.

- Zdrajca! - Jaksa splunął krwią w stronę ojca Aradne, który bezpiecznie siedział na koniu.

- Naprawdę myślałeś, że zaprosiłem cię tu na pogadankę?

- Pomszczą mnie.

- Ci, z którymi przyszedłeś, już nie żyją. - Stary wskazał na wzgórze. - Wątpię, by ktokolwiek się dowiedział, kto jest sprawcą tej jatki. Zresztą nie wiem jeszcze co z tobą zrobię.

Arnstein podszedł do Jaksy i dźgnął go ostrzem miecza.

- Mogłeś mnie zabić od razu w Chruściskach, a nie kazać ganiać po polu. Teraz byłbyś cały.

Jaksa nie odpowiedział. Oszczędzał siły.

Chębota podjechał nieco bliżej, ale córce rozkazał się oddalić.

- Chyba nie myślałeś, że oddam los naszej ziemi w twoje ręce. - Minę miał

niemal zatroskaną. - Mój ród mieszka tu od dziesiątków lat. Ród Przybysława niedługo wygaśnie. Petrysa i jej bękart nie są dla mnie przeszkodą.

- Jestem siostrzeńcem Przybysława. Księciem na Kopniku. To również moja ziemia. - Jaksa z trudem podniósł się na klęczki.

- Właśnie dlatego pójdziesz do piachu. Brenna potrzebuje silnego księcia na trudne czasy. Nie zabezpieczysz naszych dzierżaw, bo sam je łupisz, nie staniesz do walki z Albrechtem, bo jesteś zbyt słaby. Nam trzeba pokoju, a nie band, które łupią kupców po gościńcach i palą klasztory. Nie popieram warcholstwa. I nie chodzi tu o wiarę ani twoją, ani Sasów. Za jedno mi, w czyim imieniu narzuci się chomąto: Trzygława czy Chrystusa. Rozchodzi mi się o spokój. A spokój to prawo. Nie rozumie tego Petrysa, i ty również. A Przybysław, ujmę to tak, zachorzał.

- Więc sam zamierzasz zostać księciem?

- Nie wiem, na jakiego konia postawić, przyznaję, bo każdy utyka. Jakie czasy, taka polityka.

Jaksa z trudem utrzymywał równowagę. Krew sączyła się z ran, wsiąkała w ziemię.

- Targować się chcesz? - Jaksa zrozumiał, że jego położenie nie jest znowu takie najgorsze.

- Targować, powiadasz. Nie zapominaj, że jesteś moim więźniem. Wpierw wyjaśnimy sprawę mojej córki. Mogłeś trzymać od niej ręce precz.

- Pozwolisz, żeby Sasi myśleli za ciebie. - Jaksa nie wierzył, że stary jest taki głupi. - Myślisz, że cię wesprą?

Chębota spojrział na Arnsteina i Plotho, którzy uważnie przysłuchiwali się rozmowie. Rudolf przez cały czas ważył miecz w dłoni, gotowy użyć go przeciwko Jaksie.

- Sam widzisz, że wybór mam trudny - westchnął Chębota. - Ale wiesz, co mnie kusi? Ponoć stary Cholewnik myśli o brenneńskim stolcu. A w czym on lepszy ode mnie? Więc pomyślałem sobie tak: szczęśliwa i małżonka podtruwa księcia, ty już prawie nie żyjesz...

- Zaśmiał się. - A co do mojej córki, to za przyjemność trzeba zapłacić. Choćby własną juchą.

Jaksa próbował wyrwać się z więzów, ale silne ręce oprawców były jak z żelaza.

Nie zamierzał jednak błagać głupca o litość.

- Prędzej czy później staniesz się dla Sasów tylko padliną. A twoja córka to zwykła...

Poczuł, jak grube palce von Plotho zaciskają się na jego gardle.

- Ku... w... waaa!!!! - wychrypiał. Poczuł kij na zębach.

- I szmaaaa... taaaaaa!

- Dość tego! - Chębota zawrócił konia i skinął na Sasów. - Zostawiam wam księcia, ale potem, pod osłoną nocy, przyprowadźcie go na mój dwór.

Chębota z córką odjechali w las. Jaksa został sam na sam z Sasami.

- To wasza sprawka. Z Aradne, prawda? - Uniósł się nieco.

Jęknął z bólu. Przy każdym ruchu dawały o sobie znać siniaki.

- Moja - pochwalił się Plotho.

Arnstein schował miecz do pochwy,

- Nie mogliśmy dopuścić, żeby taki możny pan jak Chębota skumał się z dobrze rokującym księciem z Kopnika. Oj, wyrosłaby nam opozycja, wyrosła.

- Dobrze, że chociaż wy mnie doceniacie. - Jaksa wypluł kilka zębów.

- Trzeba podsycać ogień sąsiedzkiej nienawiści, póki gorący. - Arnstein się zaśmiał.

Ich szczerłość świadczyła o tym, że już mają go za martwego. Postanowił to wykorzystać, więc spytał:

- Przecież chyba wiedziała, kto ją tak wygrzmocił?

- I dlatego go pokochała. - Rudolf, rechocząc, poklepał Plotho. - Prawdziwy z niego kogucik, nie to co ty. I zna się na babach. Może niedługo zostanie zięciem Chęboty.

- Łatwo dała się przekonać, że nie zostaniesz księciem. Że niedługo inna, nasza epoka nadejdzie. - Plotho uniósł dumnie głowę. - A poza tym to chrześcijanka.

Przekonaliśmy ją, że nie weźmiesz z nią ślubu przed Bogiem.

- Głupiutka jest jak diabli - wtrącił starszy Sas. - Pewnie gdybyś teraz ty miał

okazję z nią pogadać, też byś ją przekonał.

- Powinieneś być nam wdzięczny. Baba nie jest dla ciebie.

Zgodnie zarechotali.

Kilku Sasów zeszło ze wzgórza, ciągnąc za sobą skrępowanego Stykusza. Gdy rzucili go obok Jaksy, księżę zauważył, że Kuniczuk jest nieprzytomny.

Arnstein skinął na Plotho.

- Bez urazy, ale dla nas jest bezwartościowy - oznajmił Rudolf.

Gdy młody Sas tłukł Kuniczuka pałką, miał tępy wyraz twarzy. Nie lubił myśleć przy robocie. Wolał, jeżeli to jego robota daje do myślenia innym.

Stykusz oprzytomniał na chwilę, ale tylko skulił się pod miażdżącymi ciosami.

Plotho celował w głowę, w brzuch, bił, dopóki nie zobaczył na ziemi krwawej miazgi.

Gdy skończył, rzekł z uznaniem:

- Wił się jak diabeł pod święconą wodą, ale nawet nie jęknął.

Jaksa przełknął ślinę. Dwóch Sasów z pałkami przysłoniło mu słońce.

Postanowił, że on również nie jęknie. Żał mu było Stykusza, kochał go jak brata, ale w tej chwili myślał tylko o sobie. Za chwilę on również będzie przypominał kupę gówna.

Inaczej wyobrażał sobie własną śmierć. Zerknął na drzewa, jakby czegoś oczekując.

Ale las milczał. Jaksa poczuł ogromny zawód.

- Nie dla ciebie pałki. - Plotho upuścił kij. Upewnił się, że więzy na dłoniach więźnia nie ustąpią, podniósł go z ziemi i przerzucił przez koński grzbiet. -

Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Na szyję narzucili mu powróż, na głowę worek. Koń ruszył. Księciem trochę trzęsło, ale szybko stracił przytomność.

\*

- Za późno. Przybyliśmy za późno.

- Głupiaś!

- Ty głupia!

Księżyc stał wysoko, bogowie upstrzyli niebo gwiazdami, ale i bez tego mamuny radziły sobie w ciemnościach doskonale. Obeszły zwłoki. Powąchały.

- Głupiaś, mówię ci! Zostaw - zaskrzeczała pierwsza, stając nieco dalej.

- Powąchaj. On żyje. - Ta stojąca bliżej obniuchała całe ciało.

Stykusz jęknął.

- A nie mówiłam. - Wyszczrzyła zęby.

- Więc go weźkaj. Weźkaj, no.

- Nie on to. Nie on.

- Głupiaś. Powąchaj.

Powąchała.

- Weźkaj go - zgodziła się po chwili.

Pochyliła się i poczekała, aż towarzyszka podniesie z ziemi ciało, by zarzucić jej na plecy. Nie takie bagaże w życiu dźwigała, oj, nie takie, nie ugięła się pod ciężarem woja ani odrobinę.

- On nasz. Nie mógł przecie, ot tak, zemrzeć - powiedziała zadowolona.

Druga przytaknęła. Pokuśtykały w ciemny las.

## ROZDZIAŁ VIII

*Nie tłumcie ich!*

*„O podnietach cielesnych”, Przecław,*

*O naturalnych sposobach leczenia, Kopnik, A.D. 1148*

*Nasienie mężczyzny zamkniesz w naczyniu. Końskie łajno utrzymuje ciepłość ciała, żelazo daje życie. W ten sposób użyżni się z najwyższą putrefakcją, aż stanie się żywym, nie krócej niż za dni czterdzieści. Stworzenie będzie podobne do człowieka, choć, jak woda, przezroczyste. Gdy jednak podasz krew ludzką, nie krócej niż za dni czterdzieści będzie gotowy. Pamiętaj jednak, byś go w*

*cieple trzymał, równym ciepłu brzucha kobyły. Gdy dorośnie, będzie olbrzymem bądź karłem. Służyć ci będzie, ale pamiętaj, że wiedzę tajemną będzie posiadał większą niż zwykły śmiertelnik.*

„Aneks”, Przeclaw,

*O naturalnych sposobach leczenia, Kopnik A.D. 1148*

Pomimo starej jak świat maksymy - gość w dom, Bóg w dom - ból głowy i późna już noc spowodowały, że gospodarz Zbytków niechętnie wstał, by wysłuchać dochodzących z ulicy inwektyw i grózb, które miały go skłonić do otwarcia tawerny.

Sprawdził zawiasy, poprawił rygle. Ale swego królestwa przed wykrzykującą hołotą nie otworzył.

Zbrojni wdarli się więc do środka siłą. Pod naporem silnych barków deski drzwi trzasnęły z hukiem. Stępota przekroczył próg jako pierwszy i w świetle trzymany przez parobków pochodni ocenił, że nawet najzagorzalsi degustatorzy trunków opuścili przybytek.

- Gdzie ta łajza w habicie? - zwrócił się do wystraszonego gospodarza, który się domyślał, o kogo chodzi.

Na poddaszu pokój wynajmował mnich.

- Jest na górze. Egzorcyzmuje.

Stępota dzięki diecie, którą już od tygodnia stosował - rybki, kaszka, warzywa -

nie zważając na mebelki, przeleciał pół gospody i doskoczył do schodów.

Błyskawicznie znalazł się na pięterku.

Parobczaki, by nie oberwać po gębach za zwłokę, rzuciły się za nim.

Strażnik stanął pod drzwiami Nasłuchiwał chwilę. Z wnętrza pokoju dochodziły rozkoszne *achy* i pełne wysiłku *uchy*. Chwycił za klamkę, nacisnął, niemal pchnął

drzwi, ale w tej samej chwili poczuł na policzku zapach cebuli.

Uścisk na klamce zelżał.

- Czego? - warknął w stronę gospodarza, który ciężko sapał.

- Panie, wybac. Ale wolę śmierć od miecza niż od czarostwa.

Pachołkowie dopiero teraz z trudem osiągnęli szczyt schodów.

- Oj, ludek w Brennie ciemny jest i głupi. - Stępota odepchnął gospodarza. - Ja nie dla prywaty tutaj jestem, tylko z obowiązku. - Skinął na oczekujących w napięciu parobków.

To skinienie niejeden znał w grodzie złodziej i sodomita, nawet dziewczka.

Gospodarz poczuł na plecach siłę brenneńskich pałek.

Strażnik kopniakiem wyważył drzwi.

Pokój jaśniał światłem tuzina dogasających świec rozstawionych na podłodze.

W pościeli, czystej i powleczonej, co przeczyło standardowi tawerny, gził się w najlepsze Przeclaw. Rozkoszował się usłużną mu na wszystkie sposoby młodą, jasnowłosą dziewczką. Stępota wyczytał z jej lica, że była nadzwyczaj ochotna, po krzywym uśmiechu, że przygłupia, a po cyckach - albo raczej ich braku - że bardzo nieletnia.

- To w taki sposób wydajesz moją wygraną? - warknął.

Przeclaw jednym ruchem zrzucił z siebie dziewczynę. Padła i nie podniosła się już z podłogi, nie wiedział czemu. Wyskoczył z łoża i szybko narzucił na siebie habit, który jeszcze przed dłuższą chwilę sterczał bojowo w kroku.

- Świat tak został urządzony, że jeden leczy duszę, a inny obija ciało. Jeden zostaje rzeźnikiem, żeby ktoś inny mógł być medykiem.

Stępota podszedł do mnicha i walnął go na odlew pięścią.

- Medyk? - Splunął na podłogę. - Tym ją leczysz? - zadrwił, wskazując krocze Przeclawa.

Pachołkowie weszli do izby. Mlaskając, przyglądali się nagiej dziewczce, leżącej bez ruchu.

- Co tu tak brzydko pachnie? - zauważył jeden.

W powietrzu czuło się stęchliznę, a może końskie łajno. Z każdą chwilą smród się wzmacniał. Stępota pobladł na gębę, a jego kompania zzieleniała dla odmiany.

Człowieczek, który wyskoczył zza łoża, sięgał obecnym do kolan. Stał w gotowości bojowej: w lekkim rozkroku, z dłońmi wspartymi o biodra. Usłyszeli przeciągły świst, bo napiął się cały i siłą płuc wypluł w ich stronę to, co miał do wyplucia.

Gównno nie przeleciało nawet pół łokcia.

- Wszelki duch Pana Boga chwali. - Stępota się przeżegnał.

Pachołkowie zrobili w tył zwrot.

- Cug jak z piekielnej stajni. - Jeden złapał się za nos. Drugi nie wytrzymał.

Zwymiotował.

Kaszka, rybka, gotowane warzywa opuściły również żołądek Stępoty.

- To homunkulus - wyjaśnił Przeclaw, masując policzek. Hołota nie miała żadnego szacunku dla nauki. - Mało żywotny jest, jak mucha. Ale pracuję nad tym.

Ponownie usłyszeli przeciągły świst i homunkulus wystrzelił raz jeszcze. I tym razem pocisk zafajdał tylko cień jego właściciela.

- A to gównu. - Stępota opanował drżenie rąk i chwycił za miecz.

Widząc, że mały potwór podejmuje beznadziejne próby odstraszania ich, postąpił krok do przodu. Odczekał chwilę i upewniwszy się, że ma czym oddychać, ciął mieczem. Gówno rozbryzgało się na wszystkie strony.

- Pewnikiem jakieś czary. - Dowódca straży próbował się otrzepać. - Taki mały, a tyle tego... - Otarł miecz z ekskrementów i schował go do pochwy. - Dobry oręż wszelkiemu plugastwu zaradzi, kiedy ręka wprawna.

Spojrzał na Przeclawa, który został umazany równie pięknie.

- Dla ciebie szkoda stosu. - Pogroził mu palcem przed nosem.

Gospodarz złapał się za głowę. Izba do remontu. Spojrzał na łożo i rzucił się w stronę dziewczki. Wziął jej wątłe ciało w objęcia.

- Nie dycha. Martwa. Zabił mi ją. - Wskazał na mnicha. - Zabił mi córę!

Zawył jak wilk do księżyca.

- Jeszcze wieczorem zwałś ją kurwą, a teraz to córka? - Przeclaw nie ukrywał

odrazy. - Pewnie wystraszyła się bidula waszych gąb i serce jej pękło. - Spojrzał na Stępotę wymownie, ale swoje wiedział.

Z boku głowy dziewczyny sączyła się krew. Musiała uderzyć się w kant łoża, gdy ją zrzucił z siebie. Dowódca straży wzruszył ramionami.

- Raczej padła od smrodu. Dziewka mnie nie interesuje. - Wyznaczył dwóch parobków i wskazał na gospodarza. - Objście mu jeszcze mordę, ale tak, żeby przez tydzień nie wstał. Może to go czegoś nauczy.

- Przecie płacę do książecego skarbcu, solidny jestem - zaskrzeczał gospodarz. -

Zresztą jeszcze przed chwilą mnie bili. - Zęby miał wyłamane i z niesmakiem połykał

krew.



- Więc teraz poczujesz, że twój grosz nie idzie na marne. Wytoczymy z ciebie juchę, a potem sobie jeszcze za to policzymy.

Bardzo szybko dokonała się sprawiedliwość. A że parobcy okazali się nadgorliwi, to nie tylko gospodarz stracił córkę, ale i tawerna właściciela.

- Gdyby to ode mnie zależało, także z ciebie wytoczyłbym krew. - Stępota zacisnął pięści przed nosem Przeclawa. - Ale władza mnie tu przysłała, więc pewnie jeszcze trochę pożyjesz.

- Służba nie druźba. - Przeclaw spróbował się wysilić na dowcip.

\*

- Długo, pani, kazałaś na siebie czekać. - Przeclaw wszedł do komnaty na Ostrowie Tumskim.

Księżna splotła ręce jak do modlitwy. Przywitała go lekkim ukłonem.

Przyjrzał się jej uważnie i pozytywnie ocenił, ale nie przez pryzmat jej politycznych talentów, o których tyle słyszał, ale przez to, jak wyglądała. Wyraźna kibić, przyciężkawe piersi. Wszystko to, co skrywała pod grubą suknią, działało na wyobraźnię. Jednakże ciemna karnacja i te ciemne oczy, włosy i usta... Musiał

przyznać, że zawsze przedkładał ładną buźkę nad piękną duszę.

- Nie zawsze wszystko układa się po naszej myśli - odparła po chwili.

Odeszła od okna, wskazała mu skrzynię. Przeclaw przysiadł.

- Domyślam się, że twój pies, pani - wymierzył palec w drzwi, za którymi, jak się domyślał, rozmowie przysłuchiwał się Stępota - nie kwapił się z poinformowaniem, że jestem w grodzie. Cóż, własne ambicje są niekiedy złym doradcą.

- Kiedy tylko stracisz moje zaufanie, to bez względu na to, kto cię wspiera, stracisz też życie. - Również popatrzyła w stronę drzwi, z uroczym uśmiechem.

A więc zaczęli grać; mnich spojrzał na gospodynię spode łba. Petrysa pierwsza wyciągnęła karty. Nielicze zresztą. W grodzie musiał zdać się na jej łaskę, albo lepiej -

zasłużyć sobie na jej zaufanie.

- Już mi to obiecał, szczekał niczym pies - rzekł tylko.

- Jak każdy pies, który ma jajca - przyznała. - Zyskałeś w nim wroga.

- Ale mój protektor go przerasta. - Skinął w jej stronę głową.

Nie przestawała się uśmiechać.

- Co mi więc rzekniesz?

Wstając powoli ze skrzyni, podparł się na dłoni, niczym starzec. Podeszedł do okna.

- A cóż, pani, chcesz wiedzieć? Może to, że słowiańskie gościńce są w złej kondycji, no i mało przejezdne. Może, kiedy zdobędziesz już niedługo władzę, zadbasz i o to, za pozwoleniem. - Przeclaw również się uśmiechnął.

Przypomniał księżnej, że i on ma w ręku niezłe karty.

\*

W ciągu kilku następnych dni zapragnęła, by mnich towarzyszył jej w modlitwie i w codziennych pracach. Szybko jednak poznała, że *ora et labora* nie jest mu w smak. Unikał wszystkiego, co ważyło więcej, niż mógł zjeść, i często zapominał o modlitwie. Interesował się za to ogrodnictwem. Służył jej pomocą przy pieleniu, dzielił się wiedzą na temat ziół. Nie pozwalał jednak trzymać się długo przy grządkach. Pod byle pozorem znikał gdzieś na całe godziny, czasami aż do niesporów. Domyślała się, że włóczył się po grodzie. Gdy potem zasiadali do wieczerzy, opowiadał o opacie z Clairvaux, o tym co widział na północy Francji i które z dzwonów w Cesarstwie brzmią najpiękniej. O wszystkim jednak opowiadał

beznamiętnie. Głos zmieniał się mu tylko wtedy, gdy zaczynał rozprawiać o jakiejś jerozolimskiej księdze. Tracił wtedy panowanie nad sobą, ulatywał z niego cały ten sztuczny spokój, uformowany przez klasztorne życie. Gdy spostrzegał na twarzy księżnej zatroskanie bądź zdziwienie, przerywał opowieść w pół słowa.

Całą resztą jednak Przeclaw się najwyraźniej nie przejmował, nawet gdy szedł, by doglądać księcia. Przemykał wtedy dziedzińcem, wśród snującej się ciżby i ujadających psów, a ona patrzyła z wysokiego okna, jak znika w infirmerii - tak księżna przywykła zwać komnatę męża, w której umierał. Odmawiała wówczas pacierz, nie za duszę Przybysława, ale dla świętego spokoju.

I czekała niecierpliwie.

Kiedy mnich wracał, machał jej z dołu ręką, jakby właśnie uzdrowił jej męża, a przecież szedł tam, by tylko przytrzymać go przy życiu do czasu, gdy znów przybędą Sasi. Zapewniał ją, że Przybysław już więcej nie pokrzyżuje jej planów, tak jak zrobił

to ostatnio, kiedy cudownie ozdrowiał podczas wizyty Albrechta Niedźwiedzia.

Zatem pozostała jej tylko modlitwa.

Obserwując zarówno nawyki, jak i wyraz twarzy Przeclawa, w którym nigdy nie dostrzegła pokory, księżna musiała przyznać, że jej nowy towarzysz był zaprzeczeniem mnicha. Gdy się modlił, nigdy nie widziała, by robił to zbyt gorliwie. Przy stole nie stronił od wina i mięsa. Podczas wypadów na podgrodzie ponoć gził się w najlepsze.

Donoszono jej także, że handlował relikwiami. Zresztą Przeclaw twierdził, choć nie rozumiała tego,

że co z niego za mnich, skoro nigdy nie widział Boga. Choć zgadzał

się, że wszystko to, co jest wokół, musiał stworzyć palec boży, pytał, czy Bóg pozwalałby mu grzeszyć, choćby i w słusznej sprawie. A kiedy pytała o piekło, odpowiadał, że nie ma piekła, chyba że tu na ziemi. Może igrał z nią tylko, ale bała się wysłuchiwać tych bluźnierstw.

Mimo to pokochała go niemal jak brata. Znosił jej humory, starając się odkryć ich przyczynę, przepisywał recepty, leczył jej duszę. Nakazywał spacerować po nonie i w nieszpory, niekiedy nawet zamiast modlitwy. Gdy mu odmawiała, śmiał się, że Bóg jej nie ucieknie, a on - wprost przeciwnie - może zniknąć w każdej chwili.

Przy tym wszystkim pozostał nieodgadniony. Nie rozumiała, czego mógł chcieć od życia. Mnich, który nie szukał spokoju w modlitwie, bez wytchnienia oddawał się rozpuście.

Ale z jego opowieści odgadła przynajmniej jedno. Że nigdy nic nie chciał

wyłącznie dla siebie. Może właśnie tego szukał w Brennie, zastanawiała się.

\*

Siedzieli przy wschodniej ścianie dworu osłonięci od chłodnego wiatru znad mokradeł. Po nieszporach przestało padać, ale dziedziniec poprzecinały wartkie strumyki i żółte kałuże. Pod sklepieniem przeciekającego dachu krużganka zbierały się krople. Nadymały się i drżały, by się urywać pod własnym ciężarem. Z pluskiem powiększały nowe kałuże.

Petrysa mocniej nasunęła koc na kolana. Spojrzała na mnicha.

- Stary książę Przybysław ma zdechnąć, ale nie za szybko. Musisz utrzymać go przy życiu do czasu, aż skończy się krucjata. To już niewątpliwie wiesz. - Poglądziła dłonią ciepłe nakrycie. - Niklot, który pewnie zapomniał, że chrzest przyjął, wypuści swe psy nad Hawelę. Albrecht Niedźwiedź przybędzie z powrotem do Brenny. Jaksza ma prawa do brenneńskiego stolca. I nie chce tu ani mnie, ani tym bardziej Niemców.

Po śmierci męża nie mam się dokąd udać. W Dyminie możni chrześcijańscy mnie zaszczują. Każdy pamięta mojego ojca Warcisława. Za bardzo przypominam zamordowanego księcia. Nie ma dla mnie miejsca na żadnym z dworów. Ani w Dyminie, ani w Kamieniu czy Szczecinie. W Brennie. Albrecht Niedźwiedź nie ufa w moje siły. Dlatego tu jesteś. - Przyglądziła nerwowo włosy.

- Tak, także dlatego - przyznał jej rację.

Przyglądała mu się przez chwilę, szukając w jego oczach czegoś, co bardzo chciała tam znaleźć. Może się myliła, ale wydawało jej się, że dostrzegła to w wyrazie jego twarzy. Szacunek.

Nachyliła się i pocałowała go w czoło, poniżej zaniedbanej tonsury.

- Nie spytasz, dlaczego?

- Dlaczego co? - Stał z czoła mokry ślad.

- Dlaczego nie chcę trzymać się z dala od spisków i władzy, mając tak nikłe szanse na przeżycie na bagnach, kiedy wszyscy czekają na śmierć Przybysława, by się na mnie rzucić?

- W tawernie mówią, że wiele cech odziedziczyłaś po ojcu.

Dzisiaj nadeszła ta chwila, pomyślała, kiedy i ona mogła podzielić się z nim prawdą o sobie. Spojrzała gdzieś przed siebie. Ale nie zobaczyła przyszłości, tylko przeszłość.

- Wyobraź sobie dwie małe dziewczynki bawiące się w lesie z ojcem jednej z nich - wyszeptwała. - Starsza miała duże ciekawe światła oczy, druga długi czarny warkocz. Starsza na znak pokuty za grzechy pogaństwa swego ojca miała nosić prosty stój chłopki. Szarą suknię, drewniane spinki. Młodsza, tylko ją nazywano księżniczką, była okryta czerwonym suknem, w jej włoskach połyskiwały srebrne spinki. Obie miały drewniane mieczyki. Były wpatrzone w księcia Warcisława, dla obu był jak ojciec. Silny i opiekuńczy. Nawet kiedy go nie było, czuły jego obecność. Spędzał z nimi wiele czasu. Różnił je nie tylko wiek, ale i to, że jedna z nich nie miała już dojrzeć. Rosła, ale jej umysł należał do dziecka. Dla niej wszystko było zabawne. Jedni mówili, że została naznaczona przez Boga, inni, że przez Szatana. Warcisław przyjął

chrzest także ze względu na jej chorobę. Miał nadzieję, że żarliwa modlitwa do nowego Boga uzdrowi jego córkę. Mylił się, ale nie przestał wierzyć w nowego Boga. I mimo to, kiedy świat wydawał się jakby dla nich stworzony, dla ojca i jego dwóch ukochanych córek...

Ukryła twarz w dłoniach. Dotąd trzymała prawdę ukrytą, gdzieś głęboko, pozwalając, by napęczniała jak kropla deszczu. Teraz oderwała się od powąły jej duszy pod własnym ciężarem.

- Do tej pory czuję zapach trawy, rosę na stopach, słyszę szelest liści. Zaszli nas od tyłu. Trzech zbrojnych. Warcisława zasztyletowano. Sikał na brzozę. Godne księcia, tak bez miecza w ręku... - mruknęła wstydliwie. - Księżniczkę zerznęli przy trupie Warcisława jak oślicę. Wszyscy trzej. Potem ją zabito.

Na chwilę przerwała. Pozwoliła ustom oddychać.

- Przed tym, jak przyszli - ciągnęła dalej - dziewczynki zamieniły się ubraniami.

Jedna choć przez chwilę chciała być księżniczką. Dostała bursztynowy naszyjnik, skórzany pasek, białą koszulę, srebrne spinki, czerwony płaszczyk. Wszystko! Druga musiał zadowolić się szarą suknią i drewnianymi spinkami.

- Kim byli? - spytał.

- Wuj Racibór zarznął księcia jak świniaka. Mój brat Bogusław dobrze o tym wiedział. Gdyby znalazł się wtedy na polanie, pewnie i mnie by zarznięto. Na szczęście Racibór widywał mnie bardzo rzadko i nie poznał w przebraniu. Dlaczego zabili mi ojca, nie uwierzysz. Bo rzekomo chciał wrócić do starej wiary! - Złapała się za włosy. -

Moja matka dla ochrony wywiozła mnie do Kamienia, tam dorastałam, i...

zmądrzałam. Mnisi tłumaczyli, że to dzięki Bogu. Kłamstwo zagwarantowało mi bezpieczeństwo. Niebawem, już po śmierci mojego męża, przypomniał sobie o mnie i bracia, i wuj.

Wstała, on również się podniósł, by potowarzyszyć jej w spacerze wzdłuż krużganka.

- Mój mąż jest podziwiany przez swoich wojów, ale w sprawach wiary okazał się niezdecydowany. Gra na zwłokę. Jest zdania, że nie można uśmiercać niedawnych braci, tylko ze względu na to, że nie przyjęli chrztu. Po tym, jak w Lesce przyjął

chrzest, złożył księciu Albrechtowi liczne obietnice. Mało której jednak dotrzymał.

Jest zbyt wyrozumiały dla swojego siostrzeńca. Jaksza zagraża wszystkim misjom chrześcijańskim, które przybyły nad Hawelę. Gdy mój mąż umrze, wszystko się zmieni. Będę miała poparcie Askańczyka. Albrecht Niedźwiedź wydaje się gwarantem mojego bezpieczeństwa. Jest silny, wspomógł mnie swym orężem. Brenneńscy możni nie są niebezpieczni. Muszą mieć tylko pewność, że nic nie stanie im na przeszkodzie w bogaceniu się.

- Wszystko przemyślałaś, pani. - Zachwycił się.

- Owszem. Największą przeszkodę stanowi Jaksza. Boję się, że mnie ubiegnie.

Przybysławowi serce mięknie na starość. Coraz przychylniej patrzy na księcia z Kopnika. Mimo uszu puszcza uwagi na jego temat.

- Bo ty, pani, jesteś zbyt blisko Sasów. Niektórzy zwą cię nawet saską dziwką.

- A ty skąd o tym wiesz? - Zmierzyła go przenikliwie wzrokiem.

W jego ustach zabrzmiało to wyjątkowo gorzko.

- Złe wieści rozchodzą się szybko. - Wzruszył ramionami.

\*

- Pomóż, mnichu. Mój milutki. - Mewa od dwóch pacierzy czepiała się jego rękawa.

Kwiliła jak świnka, tłumaczyć coś chciała, ale płacz uwiązał jej w gardle.

Przeclaw z tuzin razy próbował ją przegonić. Błogosławił na drogę, odpychał od siebie, ale dziewczka wracała jak echo. Musiał przyznać, że buźkę miała niewinną, mógłby nawet rzec, że w jego guście: okrągłe policzki, zadarty nosek, dwoje niebieskich oczu, teraz załzawionych. Jednakże jej suknię pokrywała w kroczu zaschnięta brunatna plama.

Wracał z polany, na której zebrał potrzebne mu zioła. Swój skarb schował do skórzanego woreczka i mocno przywiązał do pasa, by nie zgubić na zatłoczonym podgrodziu Brenny. Przecisnął się między

spoconą praczką a traczem, który ukarał

przepychającego się mnicha kuksańcem. Dalej było jeszcze gorzej, chaty stały ledwie kilka kroków od siebie, ludziska tłoczyli się, jak to w dzień targowy. Przeclaw krztusił

się od zapachu potu i ryb, i tym, co wiatr przyniósł z bagien.

Gdy wszedł na prowadzący do grodu most, Mewa niespodziewanie chwyciła go za rękę. Odepchnął ją, ku uciesze gawiedzi. Chwilę później musiał kopać dziewczkę, bo przyklęła, czepiając się jego habitu.

Przecisnął się przez ciżbę zalegającą bramę i wszedł do grodu. Szybkim krokiem skierował się do tawerny. Mewa dotrzymywała mu kroku.

Gdy weszli do Zbytków, odszukał wzrokiem Bonifacego i się do niego przysiadł.

Dziewka, nieproszona, umościła sobie dupskiem miejsce tuż przy nich.

- Widzę, żeś nie próżnował. - Bonifacy przyglądał się ciekawie przybyłej parze, ale piwo i coś na ząb zamówił, ponaglając gestem nowego gospodarza.

Poczekali, aż na stole wylądują dwa talerze kaszy i dzban piwa.

- Mewa. Tak cię wołają, prawda? Jedyne to zrozumiałem z twego bełkotu -

zagadnął wreszcie Przeclaw.

Patrzyła na nich jak zbity pies. Trzęsła się cała, ale nie wiedział, czy z wściekłości, czy z głodu. Podsunął jej pod nos piwo.

Gdy upiła kilka łyków, a piana pociekła jej po brodzie, z trzaskiem odstawiła naczynie na stół.

- Tak - przyznała, ocierając dłonią wilgotne usta. - Zwą mnie Mewa.

- Jeżeli chcesz, żebym ci pomógł, musisz powtórzyć wszystko od początku. I przestań beczeć - przestrzegł, bo łzy nabiegły jej nagle do oczu.

Powstrzymała płacz. Spojrzała na mnichów jakoś ufniej i westchnęła z ulgą.

- Do Brenny przybyłam w dzień świętego Pawła - zaczęła swoją opowieść. -

Wcześniej szłam z niemieckimi kupcami. Chodziliśmy od grodu do grodu, z targu na targ. Brali mnie i moją siostrę we dwóch, a nawet i trzech.

- Więc uprawiałaś *fornicano* - zauważył Bonifacy, posilając się kaszą.

- Tak. Jestem *meterix*, *ženka svobodna*, *przypolotnica*.

Przeclaw spojrzal na dziewczke pytajaco.

- Zwiedziło się trochę świata - wyjaśniła, a zaraz potem dodała: - I sądów na pohańbienie, bo prawo jest dla bogatych, a biednym uwłacza.

Urocz. Przeclaw westchnął.

- Dwie niedziele temu - kontynuowała - w jakimś grodzie kupcy popili.

Przeegrali nas w karty z miejscowymi. Ci nieźle nas zwyobracali. A gdy wrócili do stołu, zagrali o nas, nie tylko o nasze tyłki.

- I miejscowi wygrali? - domyślił się.

- Prawdopodobnie tak, ale ja nie czekałam końca. Uciekłam.

Zagwizdał. Mewa nieoczekiwanie zabiła popołudniową nudę.

- Włóczyłam się, ale nie za długo. Dotarłam do Brenny. Z ulgą odetchnęłam, gdy przygarnęła mnie stara Charkowa. Nie ukrywała, że jest rajfurką, ale dobrze patrzyło jej z oczu.

Przeclaw uśmiechnął się pod nosem. Miał okazję poznać babę, korzystając z jej lupanaru, a nawet - gdy trzosik świecił pusty - z usług samej Charkowej. Nigdy jednak nie zajrzał jej w oczy.

Dziewka ściszyła głos do szeptu.

- Obiecała mi dach nad głową. Zanim się jednak spostrzegłam, zamknęła w komórce.

- Jeść chociaż dała?

- Tak. Przyszła dopiero, gdy nieco podjadłam, ale nie sama. Złapała mnie za nogi, a ten młody, co z nią przyszedł, wziął mnie. Gdy skończył, zostawili mnie uwięzioną w komórce. Znowu nakarmili, nie powiem, wcale nieźle. W kolejny wieczór przyszedł następny: gruby i śmierdzący. Potem przychodzili inni...

Przeclaw ziewnął. Dziewka zaczynała nudzić. Spojrzała na niego z wyrzutem. Do swojej opowieści wróciła dopiero po chwili.

- Zanim wyostałam się z komórki, minęły chyba ze dwie niedziele. Do kolejnej niedzieli włóczyłam się po grodzie. Straciłam poczucie czasu. Ale ich smrodu nie zapomnę nigdy. I twarzy. Chociaż było ciemno.

- I chcesz się za to mścić? - prychnął. - Stręczycielstwo to typowo babska działalność. Opierająca się panna to jak dziewica. Rozkosz miłsza, ale i zapłata większa. Masz szczęście, że żyjesz.

- Ta kurwa brała za to pieniądze, mnie nie dając nic za robotę.

- Oj, zaraz tam kurwa. Kobieta czynu - zakpił.

- Ale nie na niej chcę pomsty.

Mnisi spojrzeli po sobie.

- Więc na kim? - zdziwił się Bonifacy.

- Na kimś, kto przyszedł zaraz po tym grubasie.

Łzy miała w oczach. Piękne, bo szczere, pomyślał Przeclaw.

- Obiecał, że będzie kochał aż do śmierci. - Łzy polały się jak rzeka. - Przysiągł, że zmieni moje życie jak czarodziej. Oj, jak ja mu ufałam. Zgadałam się na tę jego gimnastykę. Weź go głębiej, daj się związać, dotknij mnie tu, dotknij tam... pocałuj, pogłaszcz... Niby diabeł jaki. Na koniec mówił zawsze, że kocha. Obiecał, że kiedyś mnie ze sobą zabierze. Uwierzyłam. Po raz pierwszy w życiu miałam nadzieję.

- I nie zabrał? - Przeclaw nie mógł ukryć rozbawienia.

Zacisnęła zęby. Mocno, by nie powiedzieć czegoś obraźliwego. Widać bardzo liczyła na pomoc mnicha.

- Mówią, że ludzi trujesz - wypaliła.

- Oj, powolutku, panienko - skarcił ją.

Pochwyił dzban piwa. Upił kilka łyków. Dopiero teraz sobie przypomniał, że tak go dziewczka opowieścią ujęła, że od przyjścia do tawerny jeszcze gardła nie przepłukał.

Pochylił się nad stołem, żeby Mewa dobrze go usłyszała, bo na belce jakaś panna zaczęła wyczyniać harce i gwaro się wokół zrobiło.

- Truć nie truję. - Rzekł to niemal jak przykazanie. - Powiedzmy, że mam moc spełniania dość brutalnych zachcianek.

- Nazywaj to jak chcesz. - Wzruszyła ramionami. - Pomożesz?

- Sama doświadczyłaś, że w życiu nie ma nic za darmo. Masz czym zapłacić?

Uśmiechnęła się znacząco.

- Wybacz, ale nie biorę w naturze.

Mewa posmutniała.

- A więc nie masz - westchnął, jak gdyby z ulgą. - Więc odejdz.



Musiał przyznać, że była dumna. Nie błagała. Zamierzała wstać.

- Ale mogę ci coś poradzić. - Przytrzymał jej dłoń zaciśniętą na krawędzi stołu.

- Tak? - Spojrzała na niego.

- Jeżeli naprawdę chcesz się zemścić, weź to. - Rzucił jej swój nóż. - Wyjdzie taniej, a efekt ten sam.

Zamyśliła się, gładząc ostrze.

- Spodziewałam się czegoś więcej - westchnęła po chwili. - Ale i za to jestem wdzięczna. - Podziękowała uśmiechem. - Jeszcze dzisiaj poderżnę mu gardło.

Przeclaw był zauroczony.

- To bardzo rozropne, że dałeś jej swój nóż - zakpił Bonifacy, gdy Mewa znikła w tłumie gości.

Przeclaw tylko machnął ręką.

- Kobiety rzadko wybaczą. - Uśmiechnął się.

\*

Dziewka wszeteczna biegała po uliczkach podgrodzia, próbując zaczepiać ludzi wszelakich, bez względu na ich stan i majątność, a nawet - Boże uchoj, skrzywiły się praczki z Pardwina - wiek i płeć. Zatańczyła podskakiwańca z dziewczynką o rudych warkoczach, potem uczepliła się grubej baby, by na nieco dłużej ucapić mnicha, który drżącymi palcami mocno wpił się w jej aksamitną skórę. Dwaj świniarze na chwilę zapomnieli o swej trzódce pędzonej na targ. Próbowali przyciągnąć do siebie skaczącą przy nich młódkę. Zrezygnowali dopiero, gdy wszetecznicą, niczym spłoszony gołąb, odfrunęła w stronę rosnącego osiłka, który po sprzęcie, jaki targał na plecach, wyglądał na tracza. Zabawiła się jego wąsem, musnęła grube opalone ramiona, a na pożegnanie posłała w powietrze całusa. Zarówno chłopcy i rzemieślnicy, którzy przybyli do grodu na dzień targowy z okolicznych wólek i przysiółków, jak i miejscowi kupcy, rzadko mieli okazję oglądać takie cudo.

Dziewucha naga, nagusieńka wyginała się przy gawiedzi, tak jak ją pan Bóg stworzył.

- Chcesz zobaczyć więcej, pomacać, zapomnieć o gderliwej żonce, wstąp do mnie. Obsługa dzień i noc - szeptała i chłopom, i babom do uszka.

- To diabelskie harce - przestrzegł jakiś mnich, ale dość niemrawo.

Dziewka znikła w ciasnej uliczce. Odprowadziły ją wyzwiska przekupek.

- Wszetecznicą!

- Kurestwo diabelskie!

W jednej chwili rozpoczęły wiec, gadając jedna przez drugą.

- Odkąd ktoś poderznął gardło starej Charkowej, to jej dziwki zaraz jak te wszy porozłaziły się po całym grodzie.

- Każda szuka zarobku na własną rękę.

- Ale ponoć mają już tę, która posłała rajfurkę do piekła. Zginęła podczas pracy, zresztą ten, co leżał pod nią, też.

- Jak nasze chłopcy mogą tam chadzać? Przecież ta wymiona miała, nie cyce! -

Najgrubsza z przekupek chrząknęła. W jej głosie zagrała nutka zazdrości.

- Boga w sercu nie ma - westchnął rozmarzony pacholek, ale bez wyrzutu w głosie.

Przystanął przy babach, przysłuchując się ich piskliwym narzekaniom.

- One wszystkie to czarownice. - Jedna z bab, szczerbata, zacisnęła dłonie. -

Pewno razem z diabłem też spółkują. I nawet mnichy tam urzędują. - Przeżegnała się pośpiesznie.

- Tylko bez szczegółów, bo mam bujną wyobraźnię. - Ta przy kości splunęła, spoglądając z pogardą na przechodzącego obok Przeclawa.

- Mnich, według mnie - ciągnęła, odprowadzając go wzrokiem i mówiąc, jak gdyby do niego - może zachędożyć się na śmierć. Byłe nasze chłopcy swoich kutasów do zamtuza na spacer nie wyprowadzały.

- Mój nie ma czego - zauważyła jedna z bab. Szczerbata skrzyżowała ręce na ciężkich piersiach.

- Dziwne to wszystko, tak z gołą dupą po ulicy latać. Chciałaby, żeby ktoś jej skosztował, czy jak? - zakpiła. - Żreć to ja mogę rybkę, kaszkę albo udko, ot co, ale nie bladą dupę jakiejś wszetecznicy. Choć całkiem zgrabną, trzeba przyznać.

- Oj, tak, tak. - Tym razem żadna nie ukrywała zazdrości.

- Ach, gdzie jej do Charkowej? Stara rajfurka przynajmniej fason miała -

zauważyła gruba, pewnie w myśl zasady, że o umarłych wypada mówić tylko dobrze.

Przeclaw uśmiechnął się nad wyraz uprzejmie i precyzyjnie przycisnął między babami.

Mocniej nasunął kaptur na twarz. Nie obnosił się ze swoją gębą po grodzie z obawy przed Stępotą. Strażnik grodowy węszył jak pies. Na trzeźwo posłuszny Petrysie, ale gdy pił, zrywał się ze smyczy i pałał chęcią zemsty za przegraną w gospodzie. A że ostatnio nie trzeźwiał wcale, więc Przeclaw stał się bardziej ostrożny. Choć z drugiej strony od kilku dni strażnik nie pokazywał się ani na targu, ani

w tawernie... jakby zapadł się w czeluści piekielne.

Skierował się ku rzece, gdzie kowal Piotr Koenig miał swoją pracownię - lichą chałupę krytą słomą. Rzadko kto tam zachodził, toteż mogli w spokoju porozmawiać i wypić. Trafił w samą porę. Mistrz, jak zwykle, nie wydawał się zapracowany, więc uraczył gościa piwem. Zasiedli przed warsztatem, tak aby skorzystać z cienia i by mieć widok na idącą na targ ciżbę.

Piotr wyglądał jak na kowala przystało - muskularny, śniady i zawsze spocony, ale bynajmniej nie od pracy. Posyłał uśmiechy przechodniom, życząc miłego dnia tym, którzy go witali.

Po chwili przysiadł się Bartłomiej Mischke. Garncarz. Pojawiał się zawsze wtedy, gdy brakowało mu funduszy na osuszenie gardła. Jego dziewczęca uroda zwiódła już niejednego. Gdy się bił, wraść w ziemię jak drzewo. Łapał przeciwnika za gardło i dusił. Zawsze do końca. Pazury miał czarne, dwa palce prawej ręki ucięte, jedno oko przykryte bielmem. W Brennie nazywano go Przystojniaczkiem, bo tak kazał na siebie mówić każdej z dziwek, kiedy je brał. Oczywiście za odpowiednią dopłatą. Ale wśród wielu garncarskich warsztatów na podgrodziu, to właśnie u niego wyrabiano najlepsze garnki, bo, jak go chwalili klienci, wieczne.

Piotr i Bartłomiej, Sasi, obaj pochodzili z Łaby, toteż łatwo Przeclaw znalazł z nimi wspólny język, wpierw w tawernie podczas hałaśliwych popijaw, potem u Koeniga w warsztacie.

- Kowal z ciebie, że ho, hu... - Bartłomiej Mischke zaśmiał się, spoglądając na zaniedbaną pracownię.

Również Przeclaw obejrzał się za siebie. Zorientował się, że dopiero pierwszy raz tak naprawdę zagląda do środka. We wnętrzu warsztatu, prócz kilku zgrabnych małych tygielków walały się odpadki, żelazne sztabki, druty, sierpy, części końskich uprzęży, dłuta, pilniki, haczyki, nity, okucia...

- Szkoda, że wiele z tych rzeczy już nigdy nie odnajdzie swego właściciela - rzekł mnich.

Odwrócił się z powrotem i przytknął do ust dzban z piwem.

- Może nie ma dla ciebie miejsca w Brennie. - Bartłomiej poklepał kompana po plecach. - Zawsze możesz otworzyć warsztat garncarski.

- Co to, to nie. Nie dla mnie to poślednie zajęcie. - Piotr spojrzał na kompana z ukosa.

- Nie bocz się. Ale dupa z ciebie, nie kowal. Może konkurencja za duża.

Najzaciejsi zamawiają - a to okucia drzwi, a to skobelek do skrzyni, a wszystko pięknie wykonane. Tylko nikt u ciebie.

- Te skobelki, co to je przybito przy domu Tilemana, a i owszem, piękne - przyznał kowal.

Bartłomiej mrugnął porozumiewawczo do Przeclawa. Dziś bawili się kosztem Koeniga. Uwielbiali nawzajem dopiec sobie do żywego podczas popijawy.

- Do kapliczki Petrysy wykonał piękne kraty na okna - kontynuował garncarz.

- A ja niby co? Gorszy od nich? Po moje cudeńka przyjeżdżają aż z Krakowa. -

Koenig też miał się czym pochwalić.

Mischke zaśmiał się kompanowi prosto w gębę, aż ten poczuł na policzkach lepką ślinę.

- Znaczy się przyjechał raz, jeden - sprostował Bartłomiej.

- A tam, pies mu mordę lizał - skwitował tylko Przeclaw.

Sprzyskrzyło mu się to gadanie. Sasi dziwnie się dziś zachowywali. Normalnie już okładaliby się po pyskach, nie czekając na kolejne opróżnione dzbany. A dziś jakby oszczędzali siły.

Na podgrodzie wkradł się lekki, ciepły wietrzyk. Zaraz za nim przyszyły ciemne chmury.

- Źle się dzieje nad Hawelą. Oj, źle - westchnął Bartłomiej, przerywając milczenie. - Pewna chora kobieta odkryła w jamie pod progiem swojego domu padło trzech małych czarnych zwierzątek, coś jakby myszy zawinięte w szmatę. I coraz więcej na trakcie mnichów. Jakby się do czegoś zjeżdżali. - Spojrzeli na Przeclawa, ale ten wzruszył ramionami. - Tych, co wiary chrystusowej nie przyjęli, pewnie nawracać zechcą - ciągnął. - A za Sasami ponoć idą koboldy, krasnale. Ich szwargot miesza się z jękami mamun, topielic. Mówię wam, w lesie też toczy się wojna. Nikt nie może czuć się bezpieczny. Nawet mnichów po traktach i gościńcach zarzynają.

Przeclaw tylko machnął ręką. Garncarz niby mówił, niby narzekał, ale patrzył

gdzieś w tłum na podgrodziu, jakby czegoś wyczekując.

- Myślcie sobie, co chcecie, ale ja wam mówię, że źle idzie - skwitował.

- Oj, idzie. - Kowal nieznacznie skinął głową.

Podążyli za jego wzrokiem. Zza jednej z chałup wytoczyła się żona Mischkego.

Ruszyła w stronę warsztatu. Niczym taran, wyrzucała w tłum zaciśnięte pięści. Nie oszczędzała nikogo. Przekupki musiały mocniej przytrzymać chybotliwe stragany, matki poderwały spłoszone dzieci.

Po chwili kobieta stanęła nad nimi. Jej cień przysłonił im słońce.

- A ty szlajasz się z tymi łązęgami! - Spojrzała im w oczy.

Żaden z kompanów nie dał po sobie poznać, że poczuł się urażony.

- Ptaszyno, wstydu oszczędź - jęknął Mischke.

- Wstyd to masz ukryty. Wy tu sobie siedzicie, pijecie, nie wiadomo zresztą za jakie pieniądze, a tam ludzie umierają.

\*

Poderwali się z ławy i popędzili za garnarczową. Pomimo tuszy zwinnie pokonywała zakręty, na skrzyżowaniach torując im ciałem drogę. Zbiegli w dół w stronę Haweli. Z trudem przeciskali się między chatami. Przeclawowi wydawało się, że przebiegli już staje. Ledwo dorównywał im kroku. Gdy się zatrzymali, nieomal wpadł do rzeki. Przed sobą miał stromy brzeg, dwie chaty po prawej, kilka chat po lewej, a od podgrodzia dzieliła ich niewielka ściana drzew.

- Zaciszne miejsce? A gdzie tu mordują? - Rozejrzał się wokoło.

Ptaszyna uśmiechnęła się tajemniczo.

Z pobliskiej chaty wygramoliło się dwóch parobków. Na ich barkach zwiślał

Bonifacy. Poprowadzili go kilka kroków do przodu. Zwiotczał nieco od spotkania z nimi, kolana włożył po ziemi, ciężko oddychał.

Przeclaw chciał przystąpić do niego, by mu pomóc, ale Sasi zagrodzili mu drogę.

- Dobrze to załatwiłaś. - Bartłomiej delikatnie pogłaskał żonę po policzku. -

Kultura jak się patrzy. Nareszcie jakaś rozrywka, a nie tylko chłanie.

- Po co to wszystko? - Przeclaw musiał zrozumieć, dlaczego Bonifacy umiera na jego oczach.

- Jajeczko, kurka, dzban dobrego piwa. Wszystko przecież więcej warte niż jakaś łza Marii Dziewicy czy drzazga z drzewa Chrystusowego. - Kowal podszedł do Bonifacego i zdzielił go przez głowę. - Ale nie chciał nam sprzedać, jak Żyd jakiś, więc sami se wzięliśmy.

- A monstrancja, kielichy? Toż to czyste złoto. - Przeclaw się sprzeciwił. - Za dzban piwa chcieliście się wymienić? - nie dowierzał. - Dla zysku go zabijecie?

Ptaszyna uśmiechnęła się rozpromieniona.

- Nie tylko jego.

Mnich przełknął ślinę.

- Stępota obiecał mi, że od jutra będę jedynym kowalem w grodzie. - Koenig uklonił się dworsko. - Moja konkurencja, tak jak ty, skończy w Haweli.

- No, i te świętości, co to ich na targu sprzedać nie możecie, naszej zacnej księżnej zapewne się

spodobają - wtrącił garncarz.

- Zaczyna to prezencik od Stępoty dla Petrysy. - Mnich w jednej chwili wszystko pojął.

Musiał ratować swą skórę. Szanse Bonifacego ocenił jednak marnie. Jego kompan już ledwie dychał. Pachołkowie porzucili go na ziemi i zaczęli zachodzić Przeclawa z prawej. Piotr stał na wyciągnięcie ręki.

Ziemia zadrżała.

Nacierają Ptaszyna.

Dłużej nie czekał. Wykonał lekki obrót, dał dwa kroki do przodu i skoczył do rzeki.

\*

Kąpiel w Haweli kosztowała Przeclawa kaszelek, chrypkę, ból w lędźwiach, utratę poczucia czasu i wiary w przyjaciół. Na dwa dni go zmogło. Dopiero gdy Petrysa, korzystając z jego własnych recept, postawiła mnicha na nogi, znowu zaczął

doglądać jej męża i towarzyszyć księżnej w modlitwie i spacerach.

Po niesporach Przeclaw jak zwykle udał się do księcia w jej towarzystwie.

Przybysław od kilku dni jakby zdrowiał. Nabrał apetytu i stał się bardziej rozmowny.

„A jeszcze nie tak dawno”, Petrysa żaliła się mnichowi, „książę ledwie utrzymywał się na nogach dzięki jego specyfikom”. Uspokajał ją jednak z uśmiechem, że każdy czuje się lepiej na kilka dni przed śmiercią. Brzmiało to niemal jak drwina, bo już to kiedyś słyszała, tylko że z ust Przybysława.

Gdy weszli do przestronnej sali, chory trzął się cały, majaczył i przewracał na boki w wielkim łożu wyściełanym futrami. Przez okna wpadało gorące letnie słońce, oświetlając jego wątłą postać. Od kiedy zachorzał, stracił na urodzie. Siwy włos miał

zawsze splątany i mokry od potu. Jego nos przypominał wielką bulwę na zapadniętej twarzy. Usta, niegdyś pełne i władcze, teraz były spierzchnięte.

Księżna odprawiła gestem ręki naradzających się przy łożu medyków i podeszła do męża. Położyła mu rękę na czole, przyglądała włosy.

Przeclaw nie zamierzał czekać na lepszą okazję.

- Obawiam się, że jeśli nie skrócisz smyczy swojemu psu, to nie będziesz miała ze mnie pożytku. - Stał nad nią.

Uniosła brew.

- Mówię o Stępocie - wyjaśnił.

- Przecież sam obdarowałeś Mewę nożykiem - zaśmiała się cichutko - by posłała mojego najlepszego strażnika na tamten świat. Wyśpiewała moim pacholkom wszystko, jak na spowiedzi. Wpierw utłukła tę starą ladacnicę, potem Stępotę, który pod nią leżał.

Przećław się zastanowił.

- A więc to on dał się poznać Mewie jako ten od wiązania albo „dotknij mnie tu, ach, dotknij mnie tam”. - Tym razem Przećław wybuchnął szczerym śmiechem.

- Nie miałem pojęcia, pani, na kogo ta dziewczka się szykuje. A co z nią?

- Dałam jej pracę.

- Naprawdę?

- Tak. Karmi ryby w rzece.

Mnich skinął głową, choć w duchu musiał przyznać, że żał mu dziewczki.

- Jak już skończysz z moim mężem, proszę cię, żebyś zjadł ze mną wieczerzę.

Musnęła dłonią książęcy policzek i odeszła. Został sam na sam z Przybysławem.

Pochylił się nad starym księciem i szepnął mu do ucha.

- Chyba najwyższy czas porozmawiać. Od kilku dni, książę, nie mogłem cię truć, bo zachorzałem. Powiedzmy więc, że pozwoliłem, by zręczni medycy przywrócili ci trochę życia. Dzięki temu masz zapewne siły na rozmowę ze mną.

Książę otworzył oczy. Nie spał. Spojrzał na mnicha.

- Do dnia dzisiejszego tylko cię słyszałem i czułem. Ale muszę przyznać, że twój głos pasuje do ciebie. - Westchnął ciężko.

Przećław usiadł na skraju łóżka. Milczał.

- Więc jesteś moim koszmarem. - Chory z trudem uniósł się na łokciu i wsparł o oparcie łoża.

- Nie, książę. Ja właśnie sprawiam, że twój koszmar się kończy.

- A wiesz, że masz rację. - Naciągnął mocniej koc pod brodę. - Ludzie pragną wierzyć w istnienie ładu i porządku i jednocześnie chcą wydrzeć tajemnicę naturze.

Jestem głupcem.

- Co masz na myśli, książę?

Starzec oblizał językiem spierzchnięte wargi.

- Przecież obaj wiemy, dlaczego tu jesteś. - Wysilił się na uśmiech. - Trzeba być odpowiedzialnym za swoje czyny, za to, co się wie i komu powierza największą z tajemnic.

- To znaczy? - Przeclaw podał mu kubek z wodą.

- Widzisz, moja żona skazuje mnie na śmierć. - Stary zwilżył usta. - Ale jednocześnie głaszcze i pielęgnuje. Przychodziła czasami do mnie i mówiła, nie zgadniesz, ale właśnie o tobie. O wspólnych rozmowach przy wieczerzy. - Chory z szyderyczym uśmiechem nakreślił w powietrzu znak krzyża. - Nie wszyscy wśród was są tymi, za których się podają.

- Nie jestem heretykiem, książę, jeżeli właśnie o tym myślisz.

- Ale jesteś cysterszem. Wiesz, czego Bernard z Clairvaux szuka na Połabiu. -

Oddał mnichowi kubek.

O mądrości starego księcia Przeclaw słyszał dużo od Petrysy, mimo pogardy, jaką księżna żywiła wobec męża. Teraz mnich mógł się sam o tym przekonać.

Przybysław już dawno pogodził się z wyznaczonym mu losem.

Książę oddychał ciężko, ale spokojnie.

- Strach Kościoła przed herezją jest tak potężny, że papież pobłogosławił nawet krucjacie na Połabie - odkaszlnął. - Bernard nakazał swojej sforcie, by odsiała ziarno od plew. Albrecht Niedźwiedź, Henryk Lew, Konrad, biskupi to tylko pionki. Opat z Clairvaux w Langwedocji doszedł prawdy. Wielu z heretyków znalazło schronienie na Połabiu. Wydawało się im, że to jest świat zapomniany przez Boga. Mylili się jednak.

- A ty dałeś im schronienie, książę.

- Tak. Dziwnym trafem zostawiłem przy życiu jednego ze złapanych na trakcie mnichów. Zaintrygował mnie swoimi obietnicami. Dzięki niemu w niedługim czasie stałem się innym człowiekiem. I nie z miłości do Chrystusa, nie ze strachu przez Albrechtem przyjąłem chrzest, tylko by uchronił mnie przed siepaczami Bernarda i podległych mu biskupów. By odsunąć podejrzenia, nie dawać pretekstu. Ale Niklot jest nieokrzesanym głupcem. Spowodował, że za Łabę ruszyła krucjata. Moja żona pokumała się z Albrechtem, tego nie przewidziałem, przyznaję. Zresztą to i tak nie ma znaczenia, bo właśnie wtedy wszystko zrozumiałem.

- I poddałeś się.

Przeclaw pomógł choremu wygodniej usiąść na łóżku, pod plecy podłożył mu poduszki. Wszelki ruch sprawiał księciu trudności. Począł, aż jego oddech, przerywany od wysiłku, wyrówna się, po czym przemówił cichym głosem:



- Zwią się różnie z racji miejsca i czasu: bogomilcami, paternami albo katarami.

Kościół określa ich jednako: heretykami. Ale są wszędzie. Wśród krzyżowców na Wschodzie, wśród pomorskich książąt. - Uśmiechnął się. - Wyznawcy proroka i pradawnych kultów. Wszyscy mają wspólny cel. Wiedzę tajemną, która ma ich przybliżyć do Boga, ale bez pośrednictwa Kościoła. Jednak przez podziały są zbyt słabi, by to osiągnąć.

- Kamień filozoficzny! - Przeclaw splótł dłonie jak do modlitwy.

- Tak. Dla każdego znaczy on coś innego. Tutaj na Połabiu wydawało się to osiągalne, tak mówił mi mnich, którego złapałem na trakcie, i ci, którzy przychodzili po nim. Pogańska to ziemia od Łaby do Odry, ale na granicy wielkiego chrześcijańskiego świata. Jawiła się im jako bezpieczna oaza, miotana jedynie wewnętrznymi konfliktami ułomnych książątek. Nic nie zapowiadało zmiany.

- Do czasu, gdy papież skierował na słowiańskie ziemie krucjatę. - Przeclaw wszedł mu w zdanie.

- Tak. Bernard okazał się zbyt silnym przeciwnikiem. Choć nie wiedział do końca, czego tak naprawdę szuka, namówił papieża do wyprawy krzyżowej.

Przeclaw wstał z krawędzi łoża, przeszedł się po pokoju. Stał u progu wielkiej tajemnicy, a jej skarbiec był pozółkłym starym worem na gnijące trzewia i szybko więdnący umysł. Mnich zastanawiał się, jakiego użyć klucza.

Chory wodził za nim wzrokiem.

- Z całym szacunkiem, książę, ale żaden medyk już cię nie uratuje. - Mnich przypadł nagle do łoża, odcinając chorego od słońca. - Nie żałuję w życiu niczego, także tego, że cię trułem. Taka przypadła mi rola, taki twój los. Ale nie zabieraj tajemnicy do grobu. - Przeclaw zacisnął pięści nad twarzą umierającego. - Proszę!

- A jednak wbrew temu, co mówiła księżna, na czymś ci zależy. - Starzec się uśmiechnął. - Tym bardziej jest to dziwne, że nie wiesz nawet, o co prosisz. Zresztą to chyba umierający ma przywilej do ostatniej przysługi, a nie kat.

Książę, pomimo że drwił, kiwnął na truciciela palcem, by się nad nim pochylił.

Przeclaw, cały napięty, przybliżył ucho do ust Przybysława. Czuł jego kwaśny oddech, znak tego, że trucizna już długo działa.

- Powiem ci, jak mi przysięgniesz, że nie zrobisz nic więcej ani dla Bernarda, ani dla Albrechta. Nawet Petrysy - szepnął książę.

- Wiązesz mi w ten sposób ręce.

- Nie nalegam. Pamiętaj, że to ty mnie prosisz.

- A jakie masz gwarancje, że dotrzymam słowa?

- Wierz mi, że dotrzymasz. - Pan Brenny odsłonił zęby w najszczerzym uśmiechu, na jaki było go stać wobec oprawcy. - Dobrze cię znam. Tacy jak ty przez całe życie babrają się w diabelskich sztuczkach, nie pytając diabła o zdanie. Nawet nie wiesz, czy masz jego pozwolenie. Może nawet ci to wynagrodzi. - Książę zaśmiał się ponuro. - Dla mnie jesteś tylko zdolnym kuglarzem. Mamisz ludzi, zwodzisz ich i na dodatek każesz sobie za to słono płacić. Słyszałem o tobie od medyków, zanim się dostałeś na Ostrów.

Kazał mu się odsunąć.

- Dzisiaj każdy może mieć się za mistrza - ciągnął. - Pełno po gościńcach i na targach medyków gotowych puścić krew, sprzedać truciznę albo pouczać jak leczyć się moczem. Na targach znajdziesz spisy ziół, ba! nawet czarów. Jeżeli chcesz, możesz zostać czarnoksiężnikiem lub medykiem w jednej chwili. Wybór należy do ciebie.

Wystarczy przecież obserwować naturę i czerpać z niej garściami - zakpił. - Ale to, co ja ci dam, odmieni twoje życie. Zatem wiem, że nie podzielisz się tym z nikim, kto nie jest tego wart.

Przeclaw ponownie przysiadł na łóżku. Jeszcze przed chwilą myślał, że starzec z niego kpi, ale zrozumiał, że go poucza.

- Obrażasz mnie, książę. - Postanowił nieco przekonać księcia do siebie. -

Próbuję po prostu przeżyć trudne czasy. Wiem, że wiedza jest ukryta w prawdziwych księgach, ale nie tych, którymi kupczą na jarmarkach. Zresztą weźmy choćby dla przykładu traktat brata Randolfa. Naucza on, żeby pomagać chorym, ubogim, którzy sami, z powodu braku wiedzy, pomóc sobie w mękach nie mogą. A pisząc swe dzieło, czerpał przecież ze źródeł, które ty uważasz dzisiaj za banialuki. Tak samo jak ja, chodził po lasach, wsiach jarmarkach, mając oczy szeroko otwarte.

- I pustą sakiewkę.

Przeclaw puścił uwagę mimo uszu.

- Po prostu nie ograniczam się wyłącznie do bibliotek. Siła leży w naturze.

- Młody jesteś i sam musisz doświadczyć olśnienia. Bóg ci wybaczy twoją pychę

- szepnął.

- Cieszę się, że mówisz jak chrześcijanin.

- Mój chrzest napawa dumą chyba tylko Albrechta.

- I niech tak zostanie. Połasiłeś się na coś innego.

Książę opadł na łożo.

- Idź do biblioteki. Tam znajdziesz prawdziwego Boga, a nie - tak jak naucza Bernard - w lasach i

rzekach. Księga jest oprawiona w czerwoną skórę. Ale jedno od razu ci zdradzę. Pamiętaj o tym. Każdy wyczyta w niej to, skąd przybywa.

Przeclaw zrozumiał, że skarbiec został otwarty. Żal mu się zrobiło staruszka.

- Obawiam się, że to już jedno z naszych ostatnich spotkań, książe - wyznał szeptem.

Umierający skinął głową.

- Mam zatem jeszcze jedną prośbę. Truciciel nadstawił ucha.

- Czy będę umierał w męczarniach? Czy tak działa twoja trucizna? - zapytał książe.

Smutek przysłonił mu twarz, ale w jego głosie Przeclaw wyczuł ulgę. Starzec cieszył się, że już niedługo skończą się jego męki.

- Tak. Przykro mi. - Nie ukrywał prawdy.

- To oszczędź mi tego.

- Dobrze, książe. Obiecuję. A teraz śpij spokojnie.

## **ROZDZIAŁ IX**

*Dla obrony swojej duszy roztropny książe Przybysław chrzest przyjął.*

*Gdy na dobre zachorzał, szczerą modlitwą i troskliwą opieką jego żona Petrysa chciała mu zdrowie przywrócić.*

*Kronika Słowian, Księga III, Brenna, autor nieznany Stykusz oniemiał, bynajmniej nie z zachwyty. Mamunę, która pochylała się nad nim, szpecił haczykowaty nos, zapadnięte policzki i bąble na całej gębie. Gardło zapewne płukała w gnojówce. Przy każdym jej oddechu chciało mu się wymiotować. Tłuste włosy, z tyłu splecione w gruby warkocz, przylegały jej do skroni.*

Odepchnął babę i poderwał się z siana, by rozejrzeć się za drogą ucieczki.

Wokoło stała ściana drzew, lita jak kamień. Nad głową wisiało sklepienie z gałęzi i listowia. Pod nim gniła trawa, która już dawno nie oglądała słońca. Wilgoć kusiła komary. Mamuny zaciągnęły go w jakieś ostępy leśne - w jednej chwili zwątpił w swe siły. Z powrotem opadł na leże.

- Kochaniutki jesteś, mój chłopcze. - Grucha starła pot z czoła Stykuszowi.

Najwyraźniej nie gniewała się, że jeszcze przed chwilą gwałtownie ją odepchnął. -

Prawda, że jest? - zwróciła się do swojej towarzyszki.

Woj spojrzał na tę drugą. Przypiekała coś w rondlu, zawieszonym nad ledwie tłącym się ogniem. Wydawała się mniej osobliwa, bo nie była brzydka. Miała gładką skórę, którą dojrzał na odsłoniętych ramionach, blade lico i duże, ciekawe oczy, to zauważył, gdy się odwróciła, oblizując wargi.

- Pokrzepi się, naje, sił nabierze. - Puknęła łyżką w rondel. - Wolę świeżutkie, a nie rozgotowane. Ale trudno.

Stykusz wolał nie wiedzieć, co też tam upichciła.

- Patrzaj, jakie ma śliczne oczka. - Grucha nie przestała go głaskać.

Jurga spojrzała na niego z podziwem.

- Jak mogliśmy się pomylić - mruknęła.

- Nie narzekaj. - Stara nie przestawała się zachwycać. - Patrz jaki śliczny.

- I tego się właśnie boję. - Młoda mamuna ciężko westchnęła.

- I pachnie jak on. Zupełnie jak on.

- Stąd ta pomyłka. - Odwróciła się z powrotem do ogniska i nie zważając na wrzątek, wyjęła coś z rondla. Oblizwała kawałek białego mięsa i mlasnęła z zachwytem.

- Możemy jeść, już dawno przestało wierzgać.

Odłamała kawałek małej nogi i wręczyła starej.

- Masz, nakarm go. - Sama usiadła nieco dalej, na kamieniu, ogryzając kości upolowanego zwierzęcia.

Kuniczuk ze wstrętem przyjął od mamuny mięso, ale gdy powąchał i ugryzł

kawałek, musiał przyznać, że danie smakowało wyśmienicie.

- Oczka ma piękne, przyznaję. - Jurga przyglądała się człowiekowi. - I pachnie jak on. Najstarsza mówi, że teraz mamy po lasach szukać tego prawdziwego. Że niby za karę. Dopiero wtedy wybaczą nam pomyłkę. Ale mnie tu dobrze z nim. - Wzruszyła ramionami.

Stykusz omal się nie udławił mięsem. Z trudem wytrzymał wzrok mamuny na swojej twarzy.

- Mamy co jeść, nie musimy się nim z nikim dzielić - gadała, jakby do siebie - a Najstarsza przynajmniej nie patrzy nam na ręce.

- Głupia jesteś. - Stara popukała się w głowę. - To zesłanie. Zestarzejesz się jak ja, to zrozumiesz. Bez stada nie przeżyjemy. Tym bardziej że teraz cała siła Złego nadciąga z zachodu. Niedługo te lasy i bory przestaną do nas należeć.

- Gadanie - nie przejęła się Jurga. - Najstarsza ukarała nas, że on to nie on. Ale przecież nasz pięknooki jest mu bratem. Kazali ozdrowić go, wykarmić jak swego, więc w czym rzecz?

- A w tym, że bez pytania wprowadziliśmy go między stado. Człowieka!

- No, ale przecież pachniał jak on. Każda mogła się pomylić.

Stykusz przysłuchiwał się dyskusji z coraz większym niepokojem. Nie bardzo rozumiał, o kim mowa, nie wiedział, czy się cieszyć, czy płakać, że go wyratowały.

Grucha podała mu dzbanek miodu.

- Masz tu, pij.

Przyjął trunek z wdzięcznością.

- Chłępta, jakby miał mu kto zabrać. - Jurga się zaśmiała.

Podeszła bliżej. Też chciała pogłaskać woja po głowie. Kuniczuk się nie uchylił.

Dłoń miała ciepłą, przyjemną w dotyku.

- Jaki on śliczny. - Spróbowała go przytulić do piersi, ale się wyrwał.

- Niegrzeczniutki jest mój kochaniutki. - Z całych sił wymierzyła mu policzek.

W jednej chwili jej oczy zmieniły barwę. Stały się czarne.

- Uważaj z nią. - Stara się zaśmiała. - Nie skosztowała jeszcze ani ludzkiego mięsa, ani ludzkiej miłości. A na to ostatnie jest bardzo ochotna.

Jurga spłonęła rumieńcem. Zatrzepotała długimi rzęsami.

- Może go skosztuję. - Oblizwała wyzywająco popękane usta.

Stykusz powstrzymał wymioty.

- Jak to mówią, coś za coś. - Wetknęła mu kolejny kawał mięsa do ust.

Przełknął. Miód łagodził smak. Boleśnie odczuł ucisk jej dłoni na swoim kroczu.

Dzięki temu jednak odzyskał świadomość.

- Właśnie. Coś za coś! Chcecie przecież Jaksy.

- Chcemy, ptaszku, chcemy, ale najpierw mnie pokochasz - westchnęła Jurga.

No cóż, pomyślał Stykusz, gdy rzuciła go na plecy i przygniotła mu biodra ciężkim dupskiem. Czas na pewno wyleczy wszystkie rany.

\*

Nad dolną Hawelą rozciągał się ponury krajobraz. Między pasmem drzew a rzeką dominowały rozlewiska i bagna. Pośród nich, na niewielkim wzgórzu Chębota kazał zbudować fort - otoczony grubym wałem, wzmocniony wewnątrz palisadą, z dwupiętrową wieżą. Wchodziło się do niej po stromych schodkach, ponieważ wąskie drzwi umieszczono wysoko nad ziemią. Zbudowana z belek, mogła wytrzymać napór poddanych, którzy zwątpili w słusność władzy swego pana, ale nie Sasów.

Jaksa rozejrzał się po swoim więzieniu. Sala znajdowała się na drugim piętrze.

Przez otwory strzelnicze, a naliczył ich cztery, ledwo pies by się przecisnął. Zejścia na niższe piętro - spojrzał na solidną, bo ukutą kłapę - strzegło dwóch strażników. Księżę ciężko westchnął. Właśnie wykluczył możliwość ucieczki.

Prócz gospodarza przy stole siedzieli Rudolf von Arnstein i Arnold von Plotho.

Młody spał z głową na blacie, powalony mocnym piwem. Na deskach wały się resztki mięsa, kaszy i ryby. Jaksa nic nie skosztował. Nadal miał skrępowane ręce, potłuczone żebra, sińce na całym ciele i ciężko oddychał.

- Nie będzie wesela. - Stary Sas odsunął z czoła mokre włosy, rozwiązał nieco troczki u koszuli.

Duchota w wieży dawała mu się we znaki.

- Tak się zastanawiam, kto tu jest gospodarzem. - Sprewianin spojrzał

wyzywająco na Chębotę.

Ojciec Aradne nie odpowiedział. Albo zniewagi nie słyszał, albo ważył coś w myślach, bo mocno zmarszczył brwi.

- Kiedy osiedlimy się już nad Hawelą i Sprewą, na dobre wybudujemy piękne zamki - rzekł dumnie Arnstein. - Znikną wtedy te wasze lepianki i drewniane budy.

Kocham te dziewicze ziemie. Tyle tu do zrobienia - rozmarzył się. - Szkoda, że nie ma miejsca dla nas wszystkich. Sasów i Słowian - przyznał, widocznie zbyt pijany, by się krępować nieszczerością.

Jaksa obserwował Chębotę. Stary chyba liczył palce, bo wpatrywał się w nie usilnie, prostując i zginając na zmianę. Szczękę miał mocno zaciśniętą, na czole pokazały się pierwsze żyłki.

Ku uciesze księcia, Rudolf jakby nie dostrzegał znaczących przemian na twarzy gospodarza, dlatego też paplał dalej.

- Znałem kiedyś takiego czarownika, który czytał w myślach. - Pochylił się nad stołem, by nalać sobie piwa. Wzniósł toast za cesarza i upił nieco z dzbana. - Pewien książę wynajął go, żeby pochodził wśród rycerstwa i wywiedziało się, kto dmucha mu księżną. I wiecie, co się stało? Wyszło na to, że nikt. Że nawet książę o tym zapomniał.

Jaksa z trudem powstrzymał się od śmiechu. Bardzo bolała go gęba. Zresztą nie zamierzał robić przyjemności Sasowi. Chębota również milczał.

- Nie bawi was to? - zdziwił się Arnstein. - Wy, Słowianie, nie macie poczucia humoru.

Z dworu dobiegły ich donośne wołania.

Chębota poderwał się od stołu i przypadł do okna. Musiało go przerazić to, co zobaczył. Cały pobił na gębie.

Nerwowo kiwnął na Jakse.

Książę, pomimo bólu, wstał i podszedł do niego. Zerknął tam, gdzie mu stary wskazał. Przez mokradła, od słońca nieco wyschnięte, przedzierał się tuzin wojów. Szli ławą w stronę fortu, niedręczeni strzałami ani żadnym innym atakiem. Parę kroków od nich, nieco na wschód, jak zaczarowani szli sznurem w stronę lasu ludzie Chęboty.

Jaksa nie był pewien, ale chyba dosłyszał śpiew.

- Co jest? - Arnstein spojrzał gospodarzowi przez ramię. - Dlaczego twoi idą jak na rzeź? Nie atakują tamtych.

- Słyszysz śpiew? Jeżeli tak, to zatkaj uszy. Licho z lasu ich przywołuje. -

Chębota zmartwiał na gębie.

Arnstein przeżegnał się pośpiesznie.

- To twoja sprawka! - napadł na Jakse, ale stary go powstrzymał.

- Bacz, że pod moim dachem jesteś!

Na wszelki wypadek Jaksa odsunął się nieco i zaczął wyliczać:

- To Tęgomir i Kuśpiej. Słyszę, jak ryczą. Są pewnie i bracia Kuniczukowie, Kuleją. Cholewnicy.

Chębota wskazał na strażników.

- Wy dwaj do okien. Ale włóżcie sobie jakieś zatyczki do uszu. Reszta - krzyknął

na tych z pierwszego piętra - ostrzelajcie mi tych zasrańców!

Na dole odpowiedziała mu cisza.

Chębota w jednej chwili pojął, że forteca została pozbawiona wszelkiej obrony.

Rzucił się do klapy i zaryglował.

Arnstein przykląkł na jedno kolano, przysunął ucho do podłogi.

- Już tu są! - Szybko wytrzeźwiał.

Po chwili na dole rozpoczął się rwetes. Padały przekleństwa.

- Pertraktować przyszliśmy! - usłyszeli głos z poniższego piętra.

Chębota spoglądał - to na Jakcę, to na Sasów. Von Plotho dalej kimał na stole.

- Pertraktacje albo spalimy żywcem!!! - przestrzegł ktoś bełkotliwie.

- Przypominam, że jest z nami Jaks - ryknął Chębota do klapy.

- Jego też spalimy!!! - odpowiedział mu zuchwale ten sam głos.

- Zamknij się, Jeruszko, jesteś pijany. - Dobięł ich łomot łamanego drzewa i krzyk pełen bólu.

Po chwili znowu usłyszeli:

- Chcemy dowodu, że nasz księżę jeszcze żyje!

Jaks poznął głos Stykusza.

Chębota skinął na Jakcę.

- Powiedz coś.

Księżę tylko się uśmiechnął.

- Mów! - warknął Arnstein.

Podskoczył do księcia i wymierzył mu policzek.

- Oszczędź, głupcze. Dostał za swoje - przestrzegł go gospodarz.

- Juchy nigdy dość.

Chębota odepchnął go mocno.

- Ja jestem tu gospodarzem. A ty - zwrócił się do Jaksy - powiedź coś do swoich, inaczej spalą nas wszystkich.



Jaksa milczał.

- Mów! - nalegał stary.

- Podpalamy! - usłyszeli rozkaz Stykusza. - Nasz księżę nieżywy!

- Oszalałeś? - Chębota przyklęknął przy młodym księciu. - Miej litość. Życie ci niemiłe? Czego chcesz?

- Wpuść ich tu, to mnie zobaczą - szepnął Sprewianin.

- Ale mnie ukatrupią, o to ci chodzi.

- Powstrzymam ich.

- Nie zdążysz.

Arnstein niecierpliwie szwargotał coś do Plotho. Wymierzył mu kilka policzków. Dopiero wtedy młody Sas zaczął nieco trzeźwieć.

Z dołu dobiegały pośpiesznie stawiane kroki. Woje Jaksy zapewne nanieśli już chrustu na pięterko.

- Zaraz zrobi się wam gorąco!

Stary nadal klęczał przy Jaksie. Wsłuchiwał się w każdy odgłos na dole.

- Wpuść tylko Stykusza. - Księżę nie ustępował.

- Dawać mi tu Stykusza! - Ojciec Aradne nagle poderwał się z klęczek.

Jaksa odetchnął z ulgą. On już też niemal czuł, jak ci wariaci przypalają mu tyłek.

Chębota podszedł do klapy i ją odryglował.

- Zapraszamy! - krzyknął Jaksza.

Strażnicy stanęli w gotowości bojowej, mocno ściskając w dłoniach topory. Na piętro wgramolił się Stykusz. Podszedł do Jaksy i mocno go uściskał. Łzy napłynęły mu do oczu.

- Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. - Jaksza wzruszył się nie na żarty.

- To nie to. Nawet nie wiesz, co ja musiałem przeżyć. - Jeruszko tylko machnął

ręką.

Jaksza dopiero teraz poczuł bijący od niego zapach. Śmierdział bagnami.

Arnstein i Plotho stali gotowi do skoku. Choć Kuniczuk był bez broni, miał siłę niedźwiedzia i w

każdej chwili mógł się rzucić na Niemców.

- Więc pertraktujmy. - Spojrzał w ich stronę.

Chębota wskazał stół. Rozciął więzy, krępujące więźnia. Jaksza z ulgą rozcierał nadgarstki. Wszyscy zasiedli do rozmów. Na dole zaległa pełna oczekiwania cisza.

- Proponuję zarżnąć Sasów i sprawa załatwiona - zaproponował Stykusz.

Niemcy złapali za broń.

- Zarżnijmy Jaksę!

- Zerżnijcie, ale siebie nawzajem. - Gospodarz uderzył w stół. A potem spojrzał

na Kuniczuka. - Bez względu na to, ilu masz wojów na dole, nadal ja tu rządzę. Zresztą

- przyznał po chwili - poderżnąłbym gardła Sasom i tobie, książę. - Uśmiechał się do Jaksy. - Ale teraz to już niemożliwe. Nie wiem, jak to zorganizowaliście, lecz teraz już wszyscy wiedzą, od Haweli do Tolęży, że pod moją strzechą gości książę z Kopnika.

Nie mogę go tak zwyczajnie ubić.

Jaksie chciało się śmiać. Stary zachowywał się tak, jak gdyby to on rozrzucał

kości. Książę zdawał sobie jednak sprawę z tego, że lepiej będzie dla wszystkich, gdy pozwoli mu na zachowanie twarzy. Arnstein i Plotho natomiast siedzieli jak sparaliżowani. Wyczekiwali z niepokojem skutków rozmowy. Ich głos mało się teraz liczył.

Kuniczuk skrzyżował ręce na piersi.

- Książę - zwrócił się do Jaksy - czy już czujesz się tutaj jak gość, czy nadal jak więzień?

- Nie więziłbym cię, książę, gdybyś tak bardzo gwałtownie nie pokochał mojej córki - wyjaśnił Chębota porozumiewawczo.

- To brednie - jęknął Jaksza.

Mało już go teraz obchodziło, czy mu stary uwierzy, czy nie.

- Trudno własnej córce nie wierzyć i saskim rycerzom. - Gospodarz odzyskał

nico animuszu. Rozstawił puchary, rozlał piwo, które choć podłe, wszystkim bardzo posmakowało. - Mam propozycję - rzekł. - Wiele waśni i zwad między nami. Zbyt dużo juchy już się rozlało. Dzielimy ziemię, kłócimy się o plony. Do tego doszła sprawa mojej córki. Niech naszą zwadę rozsądzi książę w Brennie.

- Przecież Przybysław ledwie żyw - przypomniał Jaksę. - Zresztą nie pozwolimy, żeby baba nas sądziła. To ona tam rządzi. Jest inne wyjście. - Rozparł się na ławie, jakby już wszystko uradzono. - Będzie ożenek, nie będzie zwady. Ty, Chębotę, zyskasz zięcia, a ja żonę.

- Którą wcześniej zbałamuciłeś - wtrącił Plotho.

- Zawrzyj gębę, Sasie - warknął Chębotę. - Pod moim dachem krzywdy ci nie zrobią, ale milcz, kiedy Słowianie mówią. Zresztą nie o zbałamucenie tu chodzi, jeno o obity pysk.

Jaksę się uśmiechnął. Przez przypadek Sasi przyczynili się do realizacji jego planów. Księżę zyska największego sojusznika nad Hawelą.

- No to jak będzie?

Chębotę oparł łokcie o blat, brodę o splecione dłonie. Zmarszczył czoło i wybałuszył oczy. Myślał, ważył coś we łbie, nawet odmówił cicho pacierz.

- Nie tak prędko - wypalił nagle. - Chrzest przyjąłem. Moja córka też. Z

poganinem ślubu nie weźmie.

- Pogroził palcem. - Ochrzczą cię, księżę, w Darguniu u cystersów albo u benedyktynów. Niech w księgach zapiszą, żeś chrześcijanin. Dopiero wtedy na ślub z Aradne zezwolę.

Stykusz zajął się dzbanem piwa. Sasi rozparli się wygodniej przy stole.

Ale Jaksę długo się nie zastanawiał.

- Dobrze - zgodził się.

Sasi oniemieli.

- Eeee, yyyyy... - wydusił z siebie Kuniczuk.

- Chrzest przyjmę - kontynuował Jaksę - ale w Darguniu, bo lepsze jadlo tam mają. Masz moje słowo. W zamian oczekuję brenneńskiego stolca. Wesprzesz mnie, nie Petryse, gdy księżę zemrze.

- Opłacę w grodzie kogo trzeba, wystawię najlepszych wojów. - Chębotę zastanawiał się przez chwilę.

- Ale w zamian oddasz mi dzierżawy Kuniczuków.

Stykusz zdążył poderwać się od stołu i rzucić na Chębotę.

Jaksę syknął.

Stykusz opadł z powrotem na ławę, jak raniony strzałem. Nie miał zamiaru sprzeciwić się księciu.

Ale spojrzął na niego jakoś inaczej, bardziej niechętnie.

- Jest jeszcze coś. - Jaksa spojrzął spode łba na Sasów.

- Włos im z głowy nie spadnie. Nie w mojej gościnie - przestrzegł Chębota. - Nie godzi się. To przecież chrześcijan. - Rozpostarł ręce w geście przyjaźni. - Niedługo my wszyscy chrześcijany!

- Zbyt dużo wiedzą - nastawał Jaksa.

- Tym lepiej. Księżna rozsądnie oceni swoje szanse, gdy się dowie, że cię wesprę.

Zarówno Słowianie, jak i Sasi zdawali sobie sprawę, że krew musi się polać.

- To daj chociaż rączki im uciąć - syknął Jaksa. - Pomsty mi trzeba.

- Ale po jednej...? - Chębota spojrzął wyczekująco na Arnsteina. Ten miał głowę do interesów. - I jednemu, znaczy. - Wskazał na Plothę.

Rudolf delikatnie skinął staremu głową w podzięcie.

- Zgódź się, bo zaraz całkiem się wykrwawisz i twoja jucha, a nie saska spaskudzi podłogę. - Stykusz ponaglił Jakse, widząc, jak z księcia uchodzą siły.

- Więc zgoda. Stykusz, bierz się do roboty.

Arnold von Plotho dopiero teraz zrozumiał, co się święci. Nie zdążył

zareagować, kiedy dwóch pachołków, na skinienie Chęboty złapało go pod rękę.

Wyrywał się, ale Rudolf czule przytulił jego głowę do piersi.

- Zrób to dla nas, bądź dzielny, chłopcze - szepnął.

Młody Sas, pogodzony z losem, posłusznie wystawił rękę. Stykusz podszedł i opuścił miecz.

- Saska jucha przypieczętowała naszą umowę, Chęboto. Niedobry to znak, niedobry.

Rycerz von Plotho zemdłał.

\*

Kapliczka pod wezwaniem św. Jerzego, zbudowana na Pardwinie, dach miała przykryty trzcina, ściany z plecionki, nawę główną z belek. Książę kazał przy wschodniej stronie dobudować małe pomieszczenie, w którym teraz znajdowała się biblioteka. W środku mieścił się szeroki stół i ława. Przy ścianach pozamykano w szafkach książki. Przed kradzieżą chroniły je specjalne przekleństwa, które miały pozbawić śmiałka wzroku, słuchu bądź mowy. Dodatkowo grube łańcuchy zabezpieczały drogocenne zbiory na wypadek, gdyby magia jednak nie zadziałała.

Przeclaw oniemiał. Zaczął nerwowo wodzić palcem po opasłych grzbietach.

Gościł w największych bibliotekach na zachód od Łaby, ale w żadnej nie widział takich cudów. Nie rozpoznawał tytułów, nawet nie słyszał o tych autorach. Ale wypukłe litery na grzbietach jakby tętniły pod dotykiem jego palców, zmieniały kolor. Szybko zrozumiał, że nie w ilości tkwiła tajemnica księgozbioru - bo liczył zaledwie dwa tuziny tomów - ale w tytułach: *Człowiek i natura*, Tomasza z Tournai, *O rzeczach niezbędnych, gdy nie ma Boga*, Stefana z Chartres, *Stwórca i tylko stwórca*, Szymona Anonima, i kilka innych.

W zaciszu małej kapliczki, gdzieś na Połabiu, Przybysław skrył przed światem prawdziwe heretyckie skarby.

Błyskawicznie pokonał drogę wzdłuż półki, jeszcze raz odnajdując obłożoną w czerwoną skórę księgę.

Usłyszał, jak ktoś wchodzi do środka, ale nawet się nie odwrócił, zbyt pochłonięty odkryciem.

- Czuję się tutaj jakoś dziwnie - rzekł, gdy niemal bezszelestnie zaszła go od tyłu.

Poczuł jej ciepły oddech na szyi. Odwrócił się ku księżnej, nie tracąc jednak z oczu półek.

Przysiadła na stole.

- Mojemu mężowi zamarzyła się biblioteka - zaczęła, domyślając się, że Przeclaw oczekuje wyjaśnień. - Po ograbieniu tych mnichów na gościńcu, kiedy zagarnął ich majątek, w ciągu miesięcy zdobył jeszcze kilka manuskryptów. Nie wiem skąd, nie pytaj. Ale wiem, że płacił za nie z książęcego skarbcza. Sowiec wynagradzał

nawet tego mnicha, którego oszczędził podczas napadu. Spędzał z nim w bibliotece całe dni. Czasami spał między półkami.

- Co się stało z tym mnichem? - spytał.

- Któregoś dnia o coś się pokłócili i ksiązę go zarznął.

Przeclaw spojrział na księgi. Dla nich warto zabijać, pomyślał. Gdy się im tak przyglądał, czuł się jak barbarzyńca w ogrodzie pełnym kwiatów. Nie rozpoznawał

wszystkich gatunków, ale namiętnie chłonał ich zapach. Wciągnął mocno powietrze: woń starych zakurzonych woluminów pomieszana z wilgocią.

Sięgnął po czerwoną księgę.

Może przesadzał, może oddał się chwili, ale czuł się tak, jakby to on dzierzył

klucze do największych na świecie skarbów.

Położył z namaszczeniem opasły tom na stole i otworzył.

- To jest to, czego szukasz? - Petrysa zaciekała się, widząc jego zachwyty.

Pokiwał głową.

Spis rzeczy wskazywał, że autor - Sas z pochodzenia - miał jasno sprecyzowany cel. Zestawić wszystkie informacje o mamunach, topielcach, utopcach, wszelkiej maści duchach Połabia. Nerwowo zaczął przerzucać poźółkłe stronicę: na wymarłym trakcie mieszkały boginki Plejucha i Śmiecha, na wschód od Złotego Drzewa występowały ubożęta i inkluzy, dalej na południe od Haweli zmory i nocnice. Autor wskazywał miejsca, w których zachowały się pradawne kąciny i mateczniki. Dalej wymieniał, ile krów i koni najlepiej zatopić, żeby wodniki nie porywały ludzi w lato i na wiosnę.

Prócz nazw miejsc i leśnych duchów, znalazły się tam także przestrogi dla kupców podróżujących traktem i gościńcami, dla myśliwych w lesie i rybaków. I informacje, gdzie najlepiej zostawić porzucone dziecię, by nie zmarło z zimna, zanim przygarnie je mamuna. Nieco miejsca autor poświęcił także historii Słowian...

Jak to możliwe, że księga, która rzekomo pochodzi z Jerozolimy, rozpisuje się o połabskich bogach...

Wertował kartki, aż dotarł do ostatniego rozdziału. Różnił się od reszty treścią i rodzajem pisma. Na samym jego końcu dopisano kursywą aneks. Przeclaw pochylił

głowę, by lepiej rozczytać niewyraźne pismo. Widniał tam spis imion.

- Przybysław, ksiązę z Brenny - przeczytał Przeclaw, wskazując palcem na środek gęsto zapisanej strony.

Petrysa spojrzała mu przez ramię. Nie umiała czytać.

- Zaraz przed nim widnieje imię Jaksy z Kopnika. A pod nim Albrechta Niedźwiedzia. Potem już tylko saskie imiona - dodał.

Zadrżała na całym ciele.

- Co to za heretyckie brednie? - wystraszyła się. - Co to wszystko oznacza?

- Może to, że niektórym z nas wyznaczono już w życiu miejsce - odparł.

- Znaczy Bóg...

Pogładził księgę. Nerwowo dotykał palcami wypukłych czerwonych liter.

Czyżby to miała być krew Chrystusa? - pomyślał z niedowierzaniem.

- Tego nie wiem. Nie wiem już nawet, czym jest Bóg albo czy w ogóle istnieje.

- Błędzisz! A co z innymi, których tutaj nie ma? Ze mną na przykład. To znaczy, że Bóg nie uwzględnia mnie w swoich planach.

- Tego nie wiem. Może... Zresztą przecież tyle się modlisz. Ale bacz, by Albrecht nie pominął cię w swoich planach. - Popukał palcem w księgę.

Potrząsnęła głową, zatykając uszy. Nie mogła dłużej słuchać tych błędzństw.

- Nie chcę. Nie! - krzyknęła. - Niech tylko Przybysław zemrze. To wystarczy.

Przeszła do kaplicy pod ołtarz, żeby się pomodlić. Przez chwilę słyszał jej głos, który niósł się po ścianach, a potem doszło go stąpanie stóp po drewnianej podłodze, trzask drzwi. Księżna Petrysa udała się na spoczynek.

Przeclaw ponownie pochylił się nad księgą. Skupił się na tajemniczym rozdziale.

\*

Czytał go wiele razy, aż świt dopadł go w bibliotece.

- I na co to wszystko? - W końcu poderwał się z ławy. - Na co tyle krwi zatrąłem? I czy tylko dlatego Bernard tyle juchy każe po gościńcach rozlewać? W imię czego?

Rzucił księgą o posadzkę i zdeptał, aż posypały się kartki. Zaczął je nerwowo zbierać.

Czym prędzej powinien umykać z Brenny. Musiał się upewnić, że księga nie kłamie i że dobrze rozumiał litery z krwi Chrystusa.

Nadszedł czas, by przestać służyć swym panom.

\*

W komnacie księcia Przybysława panował półmrok. Petrysa stała u wezłowania łoża księcia i głaskała jego rozpalone czoło.

- Wyraźnie zachorzał - pochwaliła Przeclawą, który stał zamyślony przy oknie.

- Ale wciąż żyje - odparł. - Czy nie o to ci chodzi?

- Jaksą dogadał się z Chębotą. Za bardzo wysoką cenę - mruknęła. - Boję się, że teraz już nie zaczeka na śmierć Przybysława.

- Saskie psy już cię więc poinformowały? Nie można im ufać.

- Arnstein i Plotho próbowali ubić własny interes. Zamiast ubić księcia, oddali go Chębocie. Wszystko przez to zepsuli. Ale mam nadzieję, że więcej nie zaryzykują.

Przyrzekli służyć mi wiernie.

Zaśmiał się.

- Też mi pociecha. I co teraz?

- Nie wiem. Myślałam, że zemrze jeszcze przed przybyciem Albrechta. A Niemcy dawno może w Kamieniu, albo nawet w Szczecinie, a mój mąż nadal dycha. -

Nie przestawała czule głaskać głowy Przybysława. - Zbyt późno przybyłeś, by go podtruć tak, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Teraz to już chyba wszystko jedno, jak umrze.

Przeclaw spoglądał na osnute mgłą podgrodzie. Na las. Na niebo. Daleko, gdzieś przed siebie. Postanowił pomóc jej po raz ostatni. Zresztą upiecze dwie pieczenie przy jednym ogniu.



\*

Tęgosław wypełniał swoje obowiązki, pilnując dziedzińca.

Od zeszłej zimy służył księżnej. Teraz gdy strażnik grodowy Stępota nie żył, a książę umierał, wróżył sobie karierę. Zawsze najlepiej dogadywał się z babami, a to dzięki matce, która nauczyła go szacunku do wszystkich kobiet, bez względu, jaką mają gębulę i jak szczupła jest ich kibić. Choć Petrysa nie lubiła. Ale może przekona się do niej, gdy księżna pozna się na jej synu...

\*

Przeclaw podszedł do łoża. Wziął poduszkę i przycisnął do twarzy księcia.

Przylgnął do niej całym ciałem.

Starzec ocknął się z letargu i próbował złapać oddech. Szarpał się, chcąc zrzucić z siebie napastnika. Bezskutecznie.

Petrysa rzuciła się, by wspomóc mnicha. Mocniej przycisnęła poduszkę.

Księżna okazała się bardzo silna. I bardzo cierpliwa. Pacierz, dwa pacierze... Przeclaw zepchnął ją z męża.

- Książę zmarł. - Szturchnął trupa. Przytrzymał jego rękę. Opadła bezwładna.

Księżna, wyczerpana, przysiadła w rogu łoża. Musiała odsapnąć.

- Nie myśl za dużo, tylko pomóż - zirytował się Przeclaw.

Szybko oprzytomniała.

Mnich złapał trupa za nogi i pociągnął. Trup ześlizgnął się z posłania. Jego głowa uderzyła z głuchym łomotem o posadzkę. Przeclaw ponaglił księżną, by mu pomogła. Podciągnęli trupa pod okno i posadzili w nim. Przeclaw skinął, a Petrysa wypchnęła męża na zewnątrz.

Wyjrzeli.

Upadek z wieży zrobił ze starego księcia miazgę.

- Musiałem mieć pewność. - Przeclaw westchnął, ocierając pot z czoła. - Uwierz mi. Rozkaż przynieść go z powrotem. Niech wystawią strażę przed komnatą. Każ także wznosić modły za zdrowie księcia. Do przybycia Sasów nie może wyjść na jaw, że książę zmarł.

\*

Rozmyślania Tęgosława przerwał huk, tak głośny, jakby sam Bóg chciał

obwieścić mu koniec świata.

Spojrzał na poskręcane ciało księcia. Brunatna plama, która powiększała się z każdą chwilą, tworzyła aureolę wokół jego roztrzaskanej czaszki. Spojrzał w górę. W

oknie dostrzegł twarz uśmiechniętego mnicha, który pomachał do niego przyjaźnie, a potem przyłożył wskazujący palec do ust w nakazie milczenia.

Tęgostaw dedukował szybko. Pomimo swej żarliwej wiary mnichów nie znosił.

Ale ten wychylał się z komnaty księżnej pani. Więc musiała mu ufać. Zresztą, oświeciło go nagle, że nieraz leczył mu matkę. Często Tęgostawa do tawerny posyłała, by przysłał jej medyka. Potem zostawiał ich samych, ale domyślał się, że zabiegi musiały być bolesne, bo gdy tylko za próg wychodził, matula kochana zawsze głośno jęczała.

Odwzajemnił więc uśmiech i pomachał równie przyjaźnie, po czym jakby nigdy nic zaczął patrolować dziedziniec.

Kto wie, może dziś jego kariera na Pardwinie nabierze tempa.

Musi wszystko ze szczegółami opowiedzieć matce.

\*

- A strażnik? Wszystko widział. - Petrysa ukradkiem zerkała przez okno.

- Każ mu księcia z powrotem złożyć w łożnicy, wynagrodź stanowiskiem. -

Przeclaw błyskawicznie - zdecydował o karierze Tęgostawa. Zresztą miał słabość do chłopaka. Jego matka nie żałowała mu przecież czułości.

Księżna otrząsnęła się z pierwszego szoku.

- Za wszystko odpłacę ci w swoim czasie. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Ale teraz pojedziesz do Kamienia, na Szczecin. Moi pachołkowie poprowadzą cię skrótem.

Dodam ci Sasów, których zostawił mi Albrecht. Tylko go odnajdź i ponaglij do przyjazdu. Zdradź mu, że księżę nie żyje.

Przeclaw skinął głową. Ale na pożegnanie. Nie czuł, że cokolwiek jest jej winien.

Zbyt dużo wyczytał w bibliotece, by nadal służyć Bernardowi z Clairvaux i jego sojusznikom.

## ROZDZIAŁ X

*Nie podchodźcie pod bramy miasta. Nie narażajcie się na niebezpieczeństwa. Zostańcie w swoich namiotach, gdzie nieprzyjaciół nie dosięgnie was swoimi strzałami - tak mówi Ewangelia Św.*

*Mateusza, tak też Jaksą poganin uczynił.*

*Gdzie Jaksą chrzest przyjął, nie wiadomo. Dziwnym trafem oba klasztory spalono.*

*Kronika Słowian, Księga III, O zdobyciu Brenny, autor nieznanym*

*Fundatorem nowych klasztorów w Darugniu i Trzebutwie był książę Racibór niedaleko w czas po krucjacie na ziemi Połabian.*

Podane za kroniką klasztorną, Darguń,

rok świętej krucjaty dziecięcej

Werbownicy podchodzili pod majątki nocą. Parobczaków kusili dobrą wyżerką i klasztornymi dziewczkami. Tych bardziej opornych tłukli na zaś, tych silnych, którzy nie chcieli przyłączyć się do księcia Jaksy, bili na amen. Możnych synalków zachęcali przygodą.

Kuśpiej z Tęgomirem na zmianę szkolili nowy narybek. Zając może być niebezpieczny, przestrzegali, bo polecą za nim kolumna wojska, gdy jest głodna. Tak więc - tutaj palec Kuśpieja zawsze zamierał w powietrzu przed nosami żółtodziobów -

zawsze trzeba zadbać o wyżywienie, powtarzał. I klasztorów nie palić, tylko rozsądnie ograbić, a mnichów nastraszyć, zbyt dobrze przecież gotują. A na wojnie kuchnia to podstawa. Instruowali dalej, że kiedy woj idzie do wychodka, gówno należy przydeptać, by nie zostawiać śladu dla wroga. Wyliczali, czego w lesie nie tykać, a co przydać się może. Opornym wobec ich nauk wróżyli, że rychło śmierć im na gościńcu pisana, bo Sas bitny, a kupiec chciwy i po prośbie ani życia, ani majątku obaj nie oddadzą.

Więc w niedługim czasie w lasach huczało od gwałtów, rabunków i śpiewów:

*- Chcesz do bitki i wypitki,*

*Wrzyć ruchać kobitki,*

*Mordować, łupić, kraść.*

*Przyłącz się do nas!*

I tak dalej, i tak dalej...

\*

- Wdarłeś się tu siłą! - krzyknął Cholewnik.

- Nie wdarłem się, tylko przeskoczyłem palisadę. Straże popite - wyjaśnił

Stykusz.

Siedziba Cholewnika składała się z kilku chat otoczonych palisadą. Wysoka na chłopa, chroniła przed zwierzyną, ale nie przed niespodziewanym najściem.

- Nikt cię tu nie zapraszał. - Gospodarz podniósł się z ławy. Nie mógł pozwolić, by intruzowi chamstwo uszło na sucho.

- Jakska każe ci się stawić wraz ze zbrojnymi i ciżbą - rzekł spokojnie Kuniczuk, taksując wzrokiem wnętrze chaty.

Dwóch ponurych parobków przy oknie i Sasi, jacyś markotni, siedzący przy ławie pod ścianą. Nawet się nie poruszyli.

- Witam jednorękiego von Plothą i ciebie, von Arnsteinie. - Ukłonił się nisko.

Sasi dopiero teraz gotowali się do skoku. Nawet kaleki Arnold zaczął

gorączkowo macać topór.

Cholewnik powstrzymał ich na razie, potrząsając głową. Odwrócił się do intruza.

- Mnie starego werbować? Margrabiego? Może mnie w rzyć pocałować. -

Zarechotał i przeniósł wzrok na Niemców. - Nie takich gości się spodziewałeś. A wiedz, że oni mają mi co zaproponować. Nie to co twój książę.

- Z Sasami się układasz? - Popukał się w głowę. - Własną ziemię dzielisz?

- Wolę taką, która nie jest zależna od Jaksowych kaprysów. Zostanę margrabią w Cesarstwie, a nie sługą księcia bez stolca.

Sasi wstawali z miejsc.

Kuniczuk stanął w lekkim rozkroku, gotów wziąć nogi za pas.

- Książę z Kopnika miał nadzieję, że właśnie ty pomożesz mu zdobyć brenneński stolec - wyjaśnił.

- Niech się z Chębotą układa. - Cholewnik spojrzał wymownie na Sasów. - Ja tam im za parobczaka robić nie zamierzam.

- A jak tam nasz książę? Ozdrowiał? - spytał Arnstein, stojąc już z obnażonym mieczem. - Utłukliśmy przecież twojego wilczka nie gorzej niż w jatce.

- Dzięki wstawiennictwu Najświętszej Panienki ma się dobrze - zakpił Stukasz i spojrzał na Plothę. - A jak tam rączka, rycerzu, oczywiście ta, której nie masz?

- Nie bluźnij! - przestrzegł go Cholewnik.

- Nie bluźni, śmieje się nam w twarz. Książę chrzest przeciw przyjmie. No i ożenek planuje. Może po družbę cię tu przysyła? - Arnstein postąpił kilka kroków naprzód. - Wiedz, że nie skorzystamy z zaproszenia.

Podpity Cholewnik chwiał się na grubych nogach. Dzban w dłoni mocno jednak trzymał. Mierzył nim w niechcianego gościa.

- Nie będziesz mi pod strzechę zaglądał i wymawiał, z kim przestaję. Synów mi na zatracenie sprowadzał. Nie oddam ich.

- Już oddałeś.

Cholewnik rzucił dzbanem. Nie trafił, pocisk rozbił się o podłogę.

- Kiedy trupa Jaksy powłóczą gościńcem - gospodarz rozglądał się za innym pociskiem - wróć młode Cholewniki i zawiąż tak, jak cała sfora. Godnie i po chrześcijańsku.

- Twoja sfora w saskich szczytach! - odciął się Stykusz.

Cholewnik skinął na dwóch parobków, by zaszli intruza z dwóch stron, a Sasi ruszyli im w sukurs.

- Ile warte są twoje usługi? - spytał Cholewnik, sam pozostając z tyłu.

- Jeżeli zdradziłbym Jakse, czy mógłbyś mi zaufać? Przecież kiedyś mógłbym zdradzić i ciebie. - Stykusz wycofywał się do wyjścia. Powoli, ale pewnie.

- Masz rację. Nie można ci ufać. Brać go! - wrzasnął Cholewnik.

Stykusz odwrócił się na pięcie i runął przez najbliższe okno, zaskakując w ten sposób przeciwników, którzy chcieli zastawić mu wyjście.

Próbowali go gonić między chatami, przez pole, ale gdy przeskoczył palisadę i schował się w ciemnościach między drzewami, poczuł się bezpieczny. W lesie przycupnął, by nabrać tchu.

Z cienia wyszły dwie postacie.

- Zrobiłem to tylko dla was. - Stykusz łąpczywie pochwycił bukłak wody od jednego z młodych Cholewników. - Wasz ojciec miał szansę. Ale woli on margrabią się zwać niż waszym tatką - prychnął.

Muściej i Mieszko zacisnęli pięści, poleciały łzy.

- Nie wasza to wina. - Stykusz mocno objął dwóch odrostków. - Nie gardźcie nim. Pomiłuj trochę Sasów zapewne, ale wiercie mi, prędko ta miłość wygaśnie.

- Jednak w sercu nam zadra zostanie, tak czy inaczej - jęknął Muściej.

Młodszy był i bardziej tkliwy, toteż Mieszko patrzył na niego trochę z urazą.

- Tylko mi tu nie bez jak baba. Tatko przecież swój rozum ma.

- A my swojego księcia, prawda? - Młodszy spojrzął na Stykusa.

- Tak, my mamy swojego księcia. - Kuniczuk przytaknął.

Ale jakby niepewnie.

\*

Jaksowa drużyna popasała z obozem nieopodal Białej Kniei, przy gościńcu prowadzącym do Brenny. Polankę ze wszystkich stron otaczał gęsty las. Świerszcze grały, ćwierkały ptaszki, a letni wietrzyk niósł ze sobą wilgoć z pobliskich mokradeł.

Trzy tuziny chłopca wylegiwały się na słońcu. Jednak wszystkim się cknęło.

Wraz ze świtaniem, jak zapewniał Stykusz, od strony Pardwina mieli nadejść Sasi. Nikt jednak, prócz czterech mnichów, których zresztą dla zasady zamordowali, drogą nie przyjechał. W poprzek gościńca ustawiono dwukółkę z połamanym dyszlem, wystawiono na przynętę beczki z miodem, który Cholewnicy w ostatnią niedzielę zrabowali na trakcie. Towar złupili swojemu ojcu. Przy wozie, na czatach, kazano zostać dwóm wojom przebranym za kupczyków.

- Nie przyjadą. - Jaks siedział na pniu ściętego drzewa.

Dłubał trawą w zębach, miał zielsko w dłoniach, piętą rył ziemię, aż wykopał

mały dołek. Kuniczuk zrozumiał, że księżę bardzo się niecierpliwi.

- Przyjadą - zapewnił go Kuniczuk. - Do tego czasu może uszczkniemy nieco z wozu. Jedna beczka historii nie zmieni, a naszym ludziom humor zapewne poprawi.

- Zgoda - przytaknął. - Samemu mi w gardle zaschło.

Stykusz skinął na dwóch pachołków, którzy przykucnęli niecierpliwie za krzakiem, najwyraźniej czekając na wynik rozmowy. Widząc uśmiechniętą gębę Kuniczuka, pognali na drogę, by wrócić po chwili, taszcząc ze sobą upragnioną beczkę. Wytoczyli ją na środek polany i kazali reszcie ustawić się w kolejce.

- Dawajcie jeszcze jedną - rozkazał niespodziewanie Jaks, ku uciesze drużyny.

Na polanie zapanował gwar. Muściej Cholewnik zaczął wyć rzewne pieśni o rycerzach i ich jebliwych damach, o chętnych wdowach i wypalonych smokach.

Kuśpiej i Tęgomir ścięli się na miecze. Nie na żarty bynajmniej, bo Kuśpiej obraził

matkę Tęgomira. A matka to rzecz święta, zawsze o niego dbała. Pozostali, opróżniwszy beczkę, wchodzili do środka i kazali turlać się po polanie. Nie wszystkim jednak zabawa przypadła do gustu. Wielu zwróciło naturze to, co do południa zjedli i wypili.

Jaksa zwiesił smutno głowę. Nic tylko sromota i klęska go czekała. Fortel z beczkami miodu na drodze obmyślił znakomicie. Ale co z tego, skoro Sasi nie przybyli.

Stykuszek wywiedział się, że niedługo Petrysa pośle gońców do Albrechta. Ponoć matka jakiegoś Tęgosława, niezadowolona, że jej syn na służbę do chrześcijańskiej księżnej poszedł, kazała sobie opowiadać wszyściuteńko, co tam na Ostrowie posłyszał. A że pachol matkę szanował, więc opowiedział jej także to, co tam widział, bo mu spokoju przy gotowanej kaszce i rybce nie dawała. Przyznał ponoć także, że jakowyś mnich kazał mu wszystko matce wyjawić. Ale czy można temu ufać, księżę zatroskał się nieco. Zbyt dużo nadziei musiał pokładać w ludziach. Żałował, że nie mógł samemu wszystkiego zrobić. Ale najważniejsze, by się wywiedzieć w planach cioteczki.

Obleganie grodu to pewna śmierć. Brenna mogła się bronić tygodniami, a w tym czasie Sasi rychło przysliby Petrysie na pomoc.

Kazał wojom otworzyć kolejne beczki.

Śpiew, który się rozniósł po polanie, stał się donośniejszy. Śpiewał Muściej, fałszowali pogodzeni bratnim uściskiem Kuśpiej i Tęgomir, wył w niebo Sykuszek, a w końcu i Jaksa.

Na śpiewie i opróżnianiu kolejnych beczek minęło wojom całe południe.

Zaczynało zmierzchać.

\*

Znacznie później, kiedy sen zmorzył już drużynę na dobre, gdzieś na gościńcu rozległ się śpiew. Równy i basowy.

Splószone ptactwo zerwało się do lotu.

Jaksa ocknął się gotowy do boju.

- Sasi - domyślił się. A potem szybko dodał: - Cisza.

Ktoś się podniósł, ale tylko na chwilę. Głowa zbyt mu ciążyła. Jedyne Stykuszek, zbudzony, zerwał się na nogi. Podchodził do śpiących i kopał gdzie popadło, lecz bez odzewu. Przed Jaksą na rozkaz zjawiał się tylko tuzin chłopów. Kuśpiej i Tęgomir pomimo dokuczliwego bólu głowy twardo stali na nogach. Muściej mniej pił, bo śpiewał. Tuż za jego plecami stanął jego brat Mieszko, bracia Szczerwiowie i kilku ostatnich wojów. Reszta drużyny spała.

- Kto jest na drodze przy wozach? - spytał Jaksa.

- Nikt.

- To wy lećcie! - wskazał na Tęgomira i Kuśpieja.

- Przecież poznają, że nie kupiec. - Kuśpiej poklepał się po kolczudze.

- Zmierzcha już. Nie poznają - uspokoił go książę. A do reszty zwrócił się z powagą: - Panowie, na tej drodze rozegra się historia. Bogowie tak chcieli, że to wy, a nie oni - wskazał na bandę chrapiącą na polanie - staniecie do tej historycznej walki.

Kuniczuk beknął i jakoś tak dziwnie spojrzął na księcia. Jaksa poznał już to spojrzenie. Wtedy, gdy oddał jego dzierżawy Chębocie.

Jaksa splunął. Na razie jeszcze pod swoje nogi.

- Obsadzacie krzaki wzdłuż drogi - rozkazał reszcie. - Wyskakujecie na mój sygnał. Ile jest samostrzałów?

- Trzy - poinformował jeden z braci Cholewników, chyba młodszy. Jaksa zastanawiał się nad tym przez chwilę, bo podobni wyrosli jak dwie krople wody.

- Biegaj po polanie i budź tyłu, ilu zdołasz - wskazał na Mieszka. - A wy -

zwrócił się do braci Szczerwiów - na drzewa, prędko!

Pobiegli w las, by przycziąć się przy drodze. Wpadli między krzewy i przyłgnęli do ziemi. Stąd mogli obserwować gościniec w świetle gwiazd i księżyca.

- Śpiewają - zdziwił się Stykusz. Musiał się poprawić, bo upadł na topór. -

Pobudzą mamuny.

- Chcą dodać sobie odwagi - szepnął Jaksa. Czuł pijacki oddech kamrata na swoim policzku.

Cieszył się, że ma przy sobie takiego zabijakę, ale ostatnio mniej mu ufał.

Sasi zblizali się ze śpiewem na ustach. Gdy tylko ujrzeni przeszkodę, zatrzymali się przezornie kilka kroków od dwukółki. Na tle gwieździstego nieba Jaksa dostrzegł

blade, przerażone gęby Tęgomira i Kuśpieja. Musiał z ulgą przyznać, że okazali się bardziej zapobiegliwi niż on. Zdażyli narzucić na kolczugi kupieckie płaszcze.

- Czego tam? - odezwał się jeden z Niemców.

- To kupcy - stwierdził drugi, pochylając się w kulbace.

Na ich tunikach widniały czerwone krzyże.

- Dobrzy panowie - Tęgomir złożył ręce jak do modlitwy - my chrześcijanie.



Zbóje nas napadli podstępnie. Parobków wytlukli, wozy pobrali. Tylko my się ostaliśmy. Kiedy chryja się zaczęła, czmychnęliśmy do lasu, a gdy wróciliśmy ten jeden wóz ocalały zobaczyliśmy. Czekamy na ratunek.

- I słusznie zrobiliście. - Sas spojrział porozumiewawczo na tych, co zrównali z nim konie. - A co tam wieźliście?

- Ostał się jeno miód, panie, który na stół księcia Przybysława miał trafić -

odpowiedział Kuśpiej, a po chwili dodał już innym głosem: - Bośmy go wyłopali, oczekując na was. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu i zagwizdał krótko, ale donośnie.

Z lasu odpowiedział mu wrzask. Pierwsi wybiegli Jaksza i Stykusz. Cholewnicy i Szczerwiowie rzucili się na saskie tyły.

Poleciały bełty.

Dwa bełty.

Posypały się strzały.

Tych jednak było niewiele.

Sprewianie liczyli trzy razy mniej chłopów niż ich przeciwnicy. Jednakże noc, krzyk i odwaga stanęły po ich stronie.

Włóczykami zaatakowali saskie konie, by zrzucić z ich grzbietów jeźdźców. Ci, którzy przeżyli upadek, stanęli do walki. Tańczyły miecze i topory, cięły, trafiały obuchem.

Sasi porykiwali: *du Schweine!*, a Jaksowi, że mają ich w dupie.

Jaksza stanął w rozkroku, by strącić jednego z uciekających, ale w powietrzu śmignęła strzała i trup padł na gościniec.

Kilku Niemcom udało się zbiec.

Nagle spomiędzy drzew dobiegł skowyt. Las zaśmiał się i zapłakał. Zaszleściły krzewy, trzasnęły łamane gałęzie. Coś przecięło gościniec, zbliżając się pośpiesznie w ich stronę. Na drogę wyskoczyły mamuny. W świetle księżycy Jaksza dostrzegł ich pochylone nagie sylwetki. Ciała na grzbiecie miały okryte lekkim meszkiem, piersi jak wymiona - płaskie i wyciągnięte, dłonie nienaturalnie wykrzywione, rozczapierzone długie palce. Biodra szerokie, srom włochaty, nogi grube i silne. Ich skowyt unieruchomił Sasów. Stanęli uwiązani strachem. Jaksza widział, jak leśne potwory rzucają się na nich i szarpiają im twarze. Kilku próbowało się bronić, wyrzucali w powietrze ciężkie miecze, ale żaden nie dosięgnął celu. Mamuny wciągały powalonych Niemców w krzaki, by szybko zaspokoić pragnienie krwi swego potomstwa, którego płacz dobiegał z lasu. Między drzewa wciągnęły także jednego z braci Szczerwiów, zasieczono saskim mieczem. Droga nagle opustoszała.

Kilku Sasom udało się zbiec, Jaksowa drużyna schowała się do lasu.

Jaksa stał otępiały pośrodku gościńca i spoglądał na jedną z mamun. Nieulekła, przykucnęła nieco dalej.

Podobno potrafią mamić ludzi śpiewem, pomyślał. Gdy zbłąkany wędrowiec szuka drogi wyjścia z nieprzeniknionego lasu, dostrzega w gęstwinie dwa jasne płomiennie. Wydaje mu się, że to ognisko. Idąc za światłem, już po chwili nie może uwierzyć, że wsysa go gęste bagno. Teraz Jaksa też widział dwa ogniki zamiast oczu i domyślał się, do kogo należą. Tak jak śpiew, który usłyszał po chwili. Zarówno oczy, jak i głos mogły należeć do jego matki. Zobaczył, jak mamuna lekko się kołysze w rytm melodii i ledwie otwiera usta. Nie rozumiał słów, ale mógłby przysiąc, że nieraz już je słyszał.

Pieśń urwała się nagle. Mamuna jednym skokiem ukryła się w ciemnościach.

Las ponownie się zakołysał, zapłakał, a potem zaśmiał dziecięcym głosem. A po chwili wszystko ucichło.

- Uciekamy! - Jaksa ocknął się, gdy usłyszał głos Stykusza.

- Chodź, dopóki nie jest za późno. - Kuniczuk pociągnął go za sobą.

Wrócili na polanę. Drużyna już rozpałała ogniska dla bezpieczeństwa przed leśnym lichem i by się ogrzać.

Jaksa usiadł na jednym z powalonych drzew na skraju lasu, daleko od przerażonych wojów. Kuniczuk przysiadł się do niego, ale twarzą do lasu.

- Wolę widzieć, jak coś będzie wyciągało po mnie ręce. - Zaśmiał się.

Jaksa pokiwał ze zrozumieniem głową, chociaż jemu się przed chwilą nic nie stało.

- Może jeszcze tu wrócą. - Stykusz wskazał na nieprzeniknioną gęstwinę drzew i krzewów. - To ty je wezwałeś?

Jaksa zaprzeczył, kręcąc głową.

- Ja też nie. Widziałem, jak na ich pomoc reagują woje, kiedy cię odbijaliśmy Chębocie. Niechętni są takiej pomocy. Boją się.

- Wiesz, ona śpiewała dla mnie, tak samo jak... - Jaksie jeszcze długo huczała w głowie jej pieśń.

- Jak kto?

Książę nie odpowiedział. Zamyślił się.

- Ale jeden ze Szczerwiów nie wrócił - zauważył Kuniczuk.

- To nie one go zabiły. Widziałem. Wzięły tylko jego ścierwo. Nic nie może się zmarnować - powiedział z przekonaniem.

Kuniczuk przyznał mu rację.

- A co z naszym planem? - zapytał.

- Wątpię, by ci, którzy uciekli, przedarli się przez wilcze doły za zakrętem. Jeżeli nie połamali się doszczętnie i nie zabrały ich mamuny, to do rana powyzdychają.

Z drogi dobiegło wołanie o pomoc.

- Pewnikiem jakiś Sas się ostał i woli nas od tego, co może wyjść z lasu. -

Zaśmiali się i zaciekawieni podreptali na gościniec.

Przy wozie leżał mnich. Utyłany błotem i juchą, przywalony martwym koniem.

\*

Przeclaw gadał jak na spowiedzi. Otoczony przez grupkę wojów mógłby każdemu z osobna wyznać miłość, byleby go puścili. Uśmiechem okazał wdzięczność za dobre uczynki - zdjęli mu z żeber konia, by nieco oprzytomniał, nie skąpili mocnego trunku. Aż mu w głowie zaszumiało i świat w jednej chwili stał się lepszy.

Tak leciuchno mu się na duszy zrobiło, że aż zaśpiewał:

- *Panny cnotliwe,*

*Panowie zacni,*

*Mnisi bez grzechu,*

*Nasz Kościół łacny.*

Uderzenie w policzek spowodowało, że szybko utracił wiarę w ludzkość.

Jaksa zaczął wypytywać mnicha o szczegóły: ilu księżna ma wojów, kto w grodzie jest jej stronnikiem, a kto się waha, by ją wesprzeć. Czy księżę Przybysław dycha jeszcze. Zmarł? Nie? Więc jak? Złapany próbował coś ukryć, łgał zapewne, ale w końcu przyznał, że księżę nie żyje.

Jaksa po namyśle zawierzył jego wyznaniom. Potwierdzały przecież słowa Tęgosława.

- Zostaw - warknął na Kuniczuka, który już zaczął unosić swój topór nad głową mnicha. - Nasze drogi ponownie się krzyżują. - Pomógł Przeclawowi podnieść się z ziemi. Poczekał, aż ten otrzepie habit z kurzu. - Ciesz się, że postanowiłeś mi pomóc. I że mogę ci ufać.

Przeclaw odetchnął z ulgą. Żył przecież. A jeszcze przed chwilą mógł paść od strzały albo topora. Teraz zaś wszystko ułożyło się po jego myśli. Tęgosław, bacząc na swoją karierę na dworze, wyznał wszystko - tak jak mu medyk przykazał - matce, a ta powtórzyła Jaksowym szpiegom w Brennie.

- Jestem także rad, że każdy z nas ma swoje sposoby udoskonalania świata, nieprawdaż? - Jaksza pozwolił, by mnich wsparł się na jego ramieniu.

- Zdradz mi więc, książę, jak ty go udoskonalasz? - Uśmiechnął się, bo przypomniał sobie, co wyczytał w czerwonej księdze, którą trzymał w worku narzuconym na plecy.

- Upiększam świat dzięki swoim talentom. A talenty oczywiście pielęgnuję.

- Podaj przykład. - Przeclaw, korzystając z pomocy księcia, pozwolił się poprowadzić w stronę polany, nie bacząc na zdziwione miny pozostałych wojów.

- Mam talent do władzy. Ale muszę wpierw chrzest przyjąć, a potem ślub wziąć.

I ty mi w tym pomożesz.

Stykusz podążył za nimi.

- Na co ci ten mnich? - spytał księcia.

- Teraz do Darugnia po chrzest, do cystersów, tam musimy jechać. Tak prawił

Chębota. Formalności musi stać się zadość. W klasztornych dokumentach ma stać, że jestem chrześcijaninem. Dobrze więc. Niech tak będzie. Ale kiedyś klasztor spalę, ślubu się wyprę. A ten tu - potrząsnął mnichem - napisze moją kronikę. Taką, która jedną prawdę powie.

- Taką twoją, książę. - Przeclaw w lot pojął zamysł księcia.

Jaksza uśmiechnął się chytrze.

\*

Wyruszyli o świcie, zostawiając za sobą zaspany Kopnik. Przeclaw z ulgą opuszczał zatęchły gród. Parę dni w ciasnocie sprawiło, że ucieszył się, że kilka kolejnych spędzi w drodze. Zateśknił za przestrzenią. Z trudem też znosił ciągłą nieufność Stykusza, który wszędzie za nim chodził i przy byle okazji przesuwał rękę po gardle, przestrzegając go przed zdradą. Ale Przeclaw nie myślał o żadnej zdradzie, za to kiedy tylko mógł, wertował czerwoną księgę.

Gdy wyjechali na groble, obwarowania grodu znikły im z oczu.

- Drogę znasz? - Przeclaw zrównał łeb swojego konia z koniem Jaksy.

- Znam. - Książę z powątpiewaniem spojrział na niego. - Klasztor cystersów w Darguniu leży w ziemi Czrezipienian, choć władza książąt pomorskich raczej tak daleko nie sięga. Zbyt ciasne gościńce

mają, ciemne lasy. - Zaśmiał się. - Tam właśnie jedziemy. Można by iść na Trzebutów, do benedyktynów. Ponoć są bardziej gościnni.

Ale droga, choć łatwiejsza, jest bardziej uczęszczana i zbyt niebezpieczna.

Dalej jechali w milczeniu. Każdy ważył coś w myślach. Jaksza wyobrażał sobie siebie na brenneńskim stolcu, Przeclaw uśmiechnął się na myśl, że kiedyś zamierzał

otruć księcia. Tylko Stykusz zajął się bardziej przyziemnymi rzeczami - wiercił się w siodle i puszczał wiatry.

Umykały staje, las rzedł i gęstniał na zmianę. Błogosławili cień i przeklinali słońce.

- Ciekawe, co za licho się tam skrywa? - mruknął Przeclaw niezadowolony, spoglądając w stronę drzew.

Zaraz jednak tego pożałował, napotkał bowiem tryumfalny uśmiech Kuniczuka.

- Nie boję się - wyjaśnił szybko, ale mówił raczej do księcia, a nie do jego kompana. - Chodzi mi tylko o to, że swoje widzenie świata ograniczamy do tego, co widzi oko. A ile leśna głusza kryje przed nami tajemnic, tego nie wiemy. Czy świat jest dla nas, czy my dla świata? No bo jeżeli są zwierzęta, których ludzkie oko nie ujrzalo, to dla kogo zostały stworzone? Dla Boga? Bóg nie tworzy sam dla siebie. Dzieli się z nami swoim dziełem.

- Bory i knieje. To właśnie tam mieszkają bogowie, rusalki, mamuny -

chrząknął niepewnie. - W strumyku, który gasi pragnienie, i w rybie, której środka nie zobaczycie.

- Znaczy to? - zainteresował się Przeclaw.

- Znaczy to, że nie musisz być tak próżny, człowieku, żeby myśleć, że wszystko, co stworzyli bogowie, jest dla ciebie. Czyż strumyk, w którym płynie ryba, nie wpada do morza?

- Oj, jakaż mądra z tego płynie nauka - skwitował Przeclaw. - I pięknie słońce w główkę grzeje. - Zsiadł z konia. - Jeżeli pozwolisz, spoczniemy na tej polanie. Może nie została stworzona dla nas, ale Bóg się nie obrazi, jeżeli zatrzymamy się tu na popas.

Zieloną polankę przecinał cienki strumyk, wypływający gdzieś z głębi lasu.

Pozwolili koniom ugasić pragnienie, sami zaś rozsiedli się pod świerkami.

Zebrali trochę chrustu i drewna, by rozpalić ognisko. Słońce nie miało litości dla podróżnych, ale musiało ustąpić przed zapadającym zmierzchem. Zrobiło się parno i zbierało się na deszcz.

Stykusz sięgnął do swojego worka i poczęstował wszystkich strawą. Jaksza zadowolił się tylko kromką suchego chleba.

- A ty co? - Przeclaw się zdziwił.

Jednym z przywilejów książęcego stanu było pochłanianie mięsa.

- Uzmysłowiłeś mi, że muszę zacząć dbać o siebie. - Jaksa przegryzł kawałek.

- He? - Stykusz spojrział na mnicha, szukając w jego twarzy wyjaśnienia.

Ale nic prócz podkrążonych oczu i żółtawej cery nie dojrzał.

- Mówiłeś, że złe wody nie są wynikiem choroby duszy, ale ciała - wyjaśnił

książę. - Leczyłeś Konrada, Magdę, nawet Bonifacego. Uleczyłeś mnie z wielu ran. Nie możesz być głupcem.

- Oj, masz ty dziś filozoficzne zacięcie. Nie myślałem, że jak zobaczysz koper w dupie, to stworzysz nową teogonię. - Przeclaw wcale nie kpił.

Po prostu dobrze się bawił. Pieczeń przecież smakowała wybornie, miód dało się przełknąć, a książę połykał suchy chleb. Świat zwariował i nawet ptaki, latające nerwowo nad polaną, nie mogły pochwalić się celnością.

Jaksa przełknął pieczywo i spytał:

- A co byś zaproponował na to? - Splunął żółto-zieloną flegmą. - Przecież to od jadła.

- Zwą to eskwincja. Ale według mnie to po prostu gówno w gardle.

Stykusz przysunął się bliżej. Nie mógł już dłużej ukrywać zainteresowania rozmową.

- Że co? - spytał, nie wstydząc się swojej niewiedzy.

- A to. - Mnich również splunął flegmą, doprawioną brązowymi plamami. -

Wielu na to cierpi, bez względu na porę roku. Starty kamień jaskółczego ziela najlepiej ugotować w winie, popłukać tym gardło. Osusza przełyk i odświeża głowę.

- Jeżeli sam na to cierpisz, to dlaczego się nie ulecysz? - Stykusz zrobił się nagle czujny.

- Bo nie mam dostępu do jaskółczego ziela. - Wzruszył ramionami.

Stykusz podrapał się łbie, po zakolach.

- A na włosy coś masz? Znaczą ich brak.

- Ugotuj liście dębu i korę. Wywarem przemywaj włosy przez dwie niedziele.

- A na miłość, żeby zakochała się we mnie kobieta? - wypalił nagle.

- A jest taka? - zaciekawiał się mnich.

- Jest. - Stykusz złagodniał na twarzy, Przeclaw mógłby przysiąc, że spąsował.

- Pewnie jakaś praczka z Brenny. - Jaksa zaczął miętosić niewidoczne ciało, naigrywając się z Kuniczuka.

Stykuszowi nie spodobał się żart, bo zaraz spochmurniał.

Przeclaw musiał odpowiadać jeszcze na wiele pytań, nie szczędził kompanom wiedzy. Kuniczuk coraz mniej marszczył brwi, patrząc na niego. Nie minie dzień, a zaufa mu jak Jaksie; mnich się uśmiechnął.

- Diabelskie nasienie. - Stykusz starł z ramienia ptasi pocisk. - Z każdą chwilą stają się bardziej celne.

- Sił natury nie okiełznasz, ale możesz je wykorzystać. Zbierz ptasie gówno i sprzedaj na targu - zarechotał Przeclaw. Pomacał przez chwilę pod tuniką, by wyjąć ziele. Niepozorne, bladozielone i kruche. - To są siły natury. - Zwinął roślinę i zapalił.

Po polanie rozniósł się nieznany im dotąd zapach. - Al-Karh-Sarit - jęknął z zachwytem, wypuszczając przez nos siwy dym.

- Co to oznacza? - Jaksa się zainteresował.

- Po prostu Al-Karh-Sarit. - Mnich podał mu ziele. - Nauczyłem się tego od pewnego templariusza. Spotkałem go w Langwedocji. Spieszył na turniej, by się pojedynekować z Chrystusem. Trzymałem to na specjalną okazję, ale tyle już ich miałem.

Jaksa zaciągnął się mocno i poczęstował Stykusza.

- Al-Karh-Sarit - westchnęli po chwili zgodnie.

Po jednej zdrowaśce, którą przeznaczyci na wypalenie ziela, czas przestał być liczony od narodzin Chrystusa. Nie baczyli także na chłód, opadający wraz z mgłą na ziemię. Każdy z nich miał gębę wykrzywioną uśmiechem, a myśli, choć mętne, pełne były tkliwych, radosnych scen. Do Jaksy przyszedł sam Chrystus, Stykusz zadowolili

się dwiema praczkami, Przeclaw poczuł tylko błogie ciepło.

\*

Mieli za sobą cztery dni drogi. Tuż przed Darguniem Stykusz popędził konia przodem.

- Niedługo będziemy na miejscu. I nie liczcie na cysterską kolację, tylko na dach nad głową. - Zaśmiał się. - Przed nami poganami wszystko co lepsze chowają do piwniczki.

- Ale chyba nie przed sługą Chrystusa. - oburzył się Przeclaw, ruszając galopem.

Po chwili ich oczom ukazał się klasztor; chroniony wysokim murem i skrywający przed podróżnymi to, co ma do zaoferowania. Stanęli przed wysoką bramą. Konie parsknęły, schylając pobożnie głowy.

- Dla nich myśmy wszyscy poganie, bez względu na to, czy chrzczeni, czy nie -

podsumował Jaksą. - Z wielkim trudem mówią naszym językiem. Pozamykali się tylko w klasztorach i wyczekują książących beneficjów.

Z nieba spadł deszcz.

- Może ich aniołowie w niebiosach urządzają pranie - zakpił Kuniczuk, wdychając powietrze przesycone zapachem trawy.

- Chyba brudnej bielizny. - Przeclaw spoglądał na piętrzące się na niebie czarne węże, głowy smoków, pegazy i wszystko, co mu w tej chwili podpowiadała wyobraźnia.

Kiedy minęło pół pacierza i nie doczekali się otwarcia bramy, Przeclaw krzyknął:

- Bożej pomocy oczekujemy! W imię Chrystusa Zbawiciela.

Cisza.

Jaksą uśmiechnął się pod nosem. Wszyscy mnisi, kiedy chcą, potrafią oddawać się pobożności.

- Prosimy o gościnę, opacie Mikołaju! - wsparł Przeclawa.

Nie miał zamiaru wystawać pod klasztorem przez całą noc.

Klasztor pozostał milczący. Chmury skłębiły się w postać czarnego smoka, który wyrzucał z pyska błyskawice.

- Mogliśmy jechać na Trzebutów. Benedyktyni bardziej gościnni - jęknął mnich.

- Siedzą pewnie teraz przy stole, popijając miodek, żrąc wieprzowinę. A my, zamiast z nimi łamać regułę klasztorną, stoimy pod klasztorem cystersów.

- Szukasz dziury w całym. - Jaksą machnął ręką. - Znam ich. Może nie są zbyt gościnni, ale wpuszczą nas, zapewniam.

- He?

- Nieraz już misję przepędziłem. Podpałką straszylem. Jak się tylko zorientują, kto pod bramą stoi, otworzą. Pewnie obserwują nas z cienia, zapasy chowają.

Czarny smok znowu zagrzemiał na niebie.



Jaksa podjechał bliżej bramy. W tej samej chwili zgrzytnął zamek, zahuczała odsuwana belka. Drzwi uchyliły się lekko. W szparze ukazał się gruby bulwiasty nos.

- Książę Jaksy z Kopnika? - upewnił się właściciel nosa.

- Mikołaju? - Jaksy zeskoczył zwinnie z konia, dopadł drzwi i na wszelki wypadek wcisnął swą niemałą stopę między wrota. - Co tu się wyprawia?

Opat otworzył drzwi szerzej, choć przez moment wydawało się, że zmiążdży księciu stopę.

- Ciężkie czasy. - Mikołaj niechętnym gestem zaprosił gości do środka i szybko zamknął za nimi wrota. - W ciemności wszystkie twarze pobladły, a wasze głosy zmyły się z deszczem.

Zostawili konie na dziedzińcu, pod opieką brata furtiana i udali się w głąb budynku. Klasztor okazał się wymarły. Pomieszczenia ziały pustką, co, jak wyjaśnił

opat, nie miało nic wspólnego z praktykowaniem ascezy.

- Psy Bernarda szczekają na wszystko - rzekł, prowadząc gości do refektarza. - A to, co według nich może obrazić boski majestat, zabierają ze sobą.

- Więc gdzie pozostali mnisi? - zaciekał się książę.

- Ci, którzy przeżyli ostatnią ich wizytę, puciekali. Z całym naszym dobytkiem

- dodał po chwili. - Ręce mi skrępowali, twarz obili. - Przystanął przy szerokich drzwiach, by pokazać im posiniaczony policzek i otarcia na nadgarstkach. - Koniec świata rychło nadejdzie. Koniec świata - lamentował.

Weszli do długiego, niskiego pomieszczenia, którego sklepienie podparto zdobionymi filarami i zasiedli przy długim stole na twardych ławach.

- Czasy zawsze są ciężkie. Mogliśmy do Trzebutowa. - Jak przewidywał Stykusz, nic prócz kaszy, warzyw i wody nie podano.

- Tamten klasztor ponoć spalono. - Mikołaj chociaż wody nie szczędził.

Baczył, żeby wszyscy mieli zawsze jej po brzegi w kubkach.

- Ktoś więc mnie ubiegł - rzekł ze śmiechem Jaksy.

- Bernard z Clairvaux zasadzkę na pogan urządza. Zapowiada, że święty krzyż wbije w każdą pogańską piędź ziemi. Zła godzina nadeszła. Wasze kąciny wytną, a ty, książę, w akcie zemsty i desperacji najedziesz mój klasztor.

- Nie marudź, braciszku - burknął Jaksy, ale w duchu przyznał opatowi rację.

Przeclaw przyjrzał się opatowi. W jego ruchach - drżących dłoniach, drapaniu się po głowie, pocieraniu podbródka - wyczuł strach.

- Czego się boisz, opacie? - spytał mnich.

- Strach mnie bierze, przyznaję. O siebie. - Nerwowo zacisnął wargi.

Ksiązę spojrział z zazdrością na kamienne mury refektarza.

- Zamknęliście się jak w jakiejś twierdzy.

- Pewnie z obawy przed leśnymi duchami - zakpił Stykusz.

- Przed człowiekiem bramy zwieramy. Przed człowiekiem... - Opat spojrział

gdzieś przed siebie. Wzrok miał mętny, bynajmniej nie od piwa. - Wokół nas poganie.

Pogański Dobin, pogańska Brenna i Dymin, choć ochrzczone, długo jeszcze pozostaną grodami Trzygława. Połabie to zakątek zapomniany przez Boga.

- Ale w sam raz na spotkanie z Bogiem - mruknął Przeclaw.

- Jeżeli chciałeś mi się, opacie, przypodobać, to zamiast tej gadki mogłeś godniej stół zastawić.

- Puste piwniczki, ksiązę. Niech mi Bóg świadkiem. Stąd ta cała gadka...

Wolałbym, żebyś o nas zapomniał, gdy przyjdą złe czasy. Żebyś ominął nas klasztor, karząc cystersa z Clairvaux.

- Właściwie to jesteśmy tu nie przez przypadek - wtrącił Przeclaw.

Opat przełknął ślinę.

\*

- Wyglądam inaczej? - zaciekawił się ksiązę, gdy we trójkę jechali gościńcem z powrotem do Kopnika.

- Nie - odpowiedzieli zgodnie.

- To dobrze. - Chyba musiał niepokoić się nieco, bo na jego twarzy dostrzegli wyraźną ulgę.

Odkąd opat, mamrocząc modlitwy, przyjął go do chrześcijańskiej rodziny, ścisnęło księcia coś w dołku. Mikołaj musiał przysięgać, że zwykłą wodą go obmywał, nie zaczarowaną. Ból kiedyś przeminie, pocieszał się ksiązę, przecież musi...

\*

We dworze Chęboty odbył się ślub Aradne i Jaksy. Bez rozgłosu.

- Al-Karh-Sarit - westchnął po ceremonii Przeclaw.

- Al-Karh-Sarit - rzekł Jaksy. Ostatnio bardzo przypadli sobie do gustu.

\*

Jaksy wziął żonę w noc zaślubin, tak jak zwyczaj nakazuje. Po chrześcijańsku i pod pierzyną.

\*

Spotkali się w starym domku myśliwskim niedaleko włości Chęboty. Chata waliła się już, z dawna nieużywana. Kiedyś stała w środku lasu, teraz straszyla między kikutami przetrzebionych drzew.

Gospodarz kazał pachołkom rozświetlić izbę łuczywem, stół zrobili z dwóch desek, przystawili ławy.

- Tak bez popitki, gospodarzu.

Jaksy siedział z rozchełstaną koszulą. Drapał się po porośniętym białymi włosami torsie.

- Dość już wypieś - mlasnął stary. - Ufasz im? - Skinął na prawo od księcia, gdzie siedzieli Przeclaw i Stykusz.

- Kuniczukowi jak bratu, a co do mnicha... - Książę się zaśmiał. - Tylko w Bogu można pokładać nadzieję, że nas nie zawiedzie.

Stary omiótł nieprzyjazne mu gęby wzrokiem.

- Nie bluźnij. Mleko masz pod nosem, a nie wodę święconą.

- Teraz naprawdę czuję się, jakbyś mnie usynowił, tatusiu. - Książę niby żartował, ale zęby wyszczerzył jakoś tak nienaturalnie.

Chębota westchnął.

- Dobrze więc. Radzić tu przyszliśmy, a nie pomyje wylewać. Wybacz mi.

- Wybaczamy - rzekł Przeclaw, nieproszony. Zrobił w powietrzu znak krzyża.

- Co ty wyprawiasz? - zdziwił się Stykusz.

- Waszej radzie błogosławię. Tak na wszelki wypadek.

Chębota pokiwał ze zrozumieniem głową. Jaksy tylko mruknął coś niezadowolony pod nosem.

Przysunęli się bliżej środka stołu, głowy zwiesili niżej, przyciszyli głosy. Stary pochwalił się, kogo

to w Brennie przekupi, komu w rzyć dadzą jego pacholki i ilu zacnych panów potopi się w rzece. Zapewniał, że po stronie młodego księcia stanie kupiec Tileman, łasy na wyłączność handlu saskimi trunkami, dzierżawy w Ziemi Suchej i monstrancję z klasztoru w Darguniu, która ponoć bardzo przypadła mu do gustu. Resztę możliwych przekupi się dzierżawami nad Tolężą, Sprewą i Hawelą. Kilku ważniejszych panów zwolni się z opłat sądowych, daruje się im renty w pieniądzu i w naturze. Wszyscy zostaną poinformowani na czas. Chwalił się, że rozesłał już wici od Haweli po Sprewę.

Jaksa słuchał uważnie, raczej nieufny wobec zapewnień starego. Zerkał czasami na swoich kompanów, śledził ich miny.

Chębota zakończył wyliczanie obietnic. Usiadł wyprostowany i położył dłonie na blacie.

- Nie ufasz mi - pokręcił głową - i niezbyt uważnie mnie słuchałeś. A ja nie mam nic do ukrycia. Swoją córkę wydałem za ciebie, pamiętasz jeszcze.

- Pamiętam. - Jaksa wstał od stołu. Przeszedł się wzdłuż ściany. - Wiem, że to nie zaloty i nie pora teraz na wątpliwości, ale to wszystko nie uda się, gdy nie usuniesz z grodu Petrysy. A nie rzekłeś o niej ani słowa.

Gospodarz spojrział na księcia spode łba.

- Gdy się rozeznaj w sytuacji, sama odejdziesz. Już Tileman o to zadba, zapewniam cię, książę.

- Nie bądź głupcem. Obiecał, że księżna mi się nie wymknie.

Chębota pokiwał głową, ale mało skwapliwie, jak na gust księcia.

Pożegnali się w milczeniu i opuścili chatę.

- Nie ufam mu - Przecław podzielił się swoimi wątpliwościami, gdy odprowadzali wzrokiem Chębotę i jego konnych.

Czekali, aż przysłoni ich kurz i jeźdźcy rozmyją się w szarościach nocy.

- Stara się zabezpieczyć od wszystkich stron. - Jaksa właściwie to rozumiał.

- Jak to mówią, z gówna bata nie uwijesz - rzekł z uśmiechem Stykusz.

- Że niby Chębota to mój bat. - Książę się zamyślił. - Jeśli zawiedzie, własnoręcznie poderżnę mu gardło. Teraz mamy inny problem. Musimy sprawdzić, komu nie możemy ufać we własnych szeregach. Rozesłałeś gońców?

- Wszyscy są poinformowani od kilku dni. Nawet Chębota.

- Od razu lżej mi na sercu - westchnął Jaksa, ale jakoś ciężko. - No to ruszaj w drogę.

Kuniczuk skinął głową, wdrapał się na konia i odjechał.

\*

Dla bezpieczeństwa spotkanie wyznaczono z dala od Kopnika i Brenny.

Jaksa z Przecławem wymknęli się z dworu Chęboty tuż przed świtem. Cały dzień zmarnowali w drodze.

- Tfu, wilki, psiamać. - Przecław splunął, gdy mijali rozerwaną przy krzakach padlinę.

- Przynajmniej syte. - Jaksa jakoś dziwnie spojrzał na mnicha.

Wjechali w niewielką dolinę, popędzili konie galopem. Staje dalej gościniec znowu powiódł ich w las, a tuż za pierwszym zakrętem ich oczom ukazała się całkiem spora tawerna. Jaksa, mruczając coś pod nosem, wskazał dziury w dachu i nieco przypalone ściennie bele.

- Miejsce niegodne księcia? - zadrwił Przecław, ale księżę nawet nie zaszczycił

go spojrzeniem.

Rozglądał się wokół. Zmierzył wzrokiem szeroką polanę, na której stała tawerna, i niewielkie wzgórze nieopodal.

Nikt nie wyszedł im na spotkanie, więc sami oporządzili konie i weszli do środka. Przywitał ich niedźwiedzich rozmiarów gospodarz. Miał długie smoliste wąsy, na łysinie połyskiwały mu kropelki potu. Chwilę potem ich oczom ukazała się jasnowłosa piękność. Dziewka przekrzywiła nieco główkę, spozierając na gości spod długich rzęs. Długopalczysta rączka gładziła grubo warkocz, którego koniec spoczywał

na unoszącym się i opadającym dekolcie.

- To przybłęda, niemota. Ale kocham ją jak córkę. - Gospodarz ofuknął

dziewkę, żeby szybko obsłużyła gości. - Zaraz zmierzch, a panowie głodni i spragnieni.

Skinęli głowami i pozwolili posadzić się przy jedynej niepołamanej ławie.

Chwilę później dziewczyna obstarwiła ich suszonymi rybami i podłym, cierpkim miodem.

- Dobry trunek, gospodarzu - skłamał Jaksa, wodząc wzrokiem za krzątającą się przy szynkwasiu dziewczyną.

- Nie kłamcie, panie. - Gospodarz się zaśmiał. - To zwykła bzdęga, wiem o tym dobrze. Sam rzadko te siki piję, ale, niestety, nie mam już nic innego, czym mógłbym was uraczyć.

- Lepsze to niż nic. Bywało w życiu, że gorsze trunki piłem - pocieszył go księżę i mrugnął porozumiewawczo do dziewczyny, ale tak, żeby gospodarz nie widział, bo pannie coś chyba w dekolt się stało - głaskała się i drapała po cycach na zmianę.

- A was jak wołają? - zagadał Przeclaw.

- Śmierdzibroda, syn Śmierdziwasa. Tfu - splunął.

- Staruch zostawił mi w spadku tawernę. Sami widzicie, że marny to interes.

Ledwo koniec z końcem wiązę, a na dodatek ochrony żadnej, zbóje łupią po gościńcu.

Zresztą nawet nie ma komu go uszykować, poszerzyć choć troszeczkę, bo teraz ledwie wóz przejedzie. Radno mi tu przyjdzie zdechnąć.

- Nastaną jeszcze lepsze czasy - zapewnił go Jaksa.

- Nadzieja nie jest moją matką. Co to za spadek?

- Zatoczył niedźwiedzią łapą po wnętrzu tawerny. - Gównno, nie spadek. Nawet dziur nie ma po co łątać. Do dna, panowie!

Goście ledwo przełknęli świństwo i krzywiąc się, odstawili dzbany. Na dnie została żółtawa obrzydliwa zawiesina.

Gospodarz natomiast westchnął z ulgą, zadowolony, że ugasił pragnienie.

Siedzieli w milczeniu. Śmierdzibroda wsparł brodę na splecionych dłoniach i zamyślił się, spoglądając przez okno. Najwidoczniej wyczekiwał lepszych czasów.

Goście przyglądali się, jak dziewczka trzodzi się i wygina przy pracy. Weszła na stołek, wyprężona jak struna, z ledwością wsunęła mały dzbanuszek na najwyższą z półek.

Gdy zeszła, długo szukała czegoś na podłodze, wypinając w ich stronę tyłek. Co jakiś czas upijała łyček z kubeczka, nie wszystka woda jednak trafiała między jej usta, część ściekała po brodzie i szyi, by zniknąć w dekolcie.

Gospodarz wreszcie ocknął się i wznosił toast za księcia Przybysława.

Jaksa szybko wylał resztki trunku przez ramię na podłogę.

- Dla leśnych duchów - wyjaśnił szybko, bo gospodarz zmrużył oczy, ściągnął brwi i groźnie zmierzył go wzrokiem.

Śmierdzibroda zastanawiał się nad czymś przez chwilę, ale w końcu ziewnął tylko i powiedział:

- Jutro ciężki dzień zapewne macie przed sobą.

Przeclaw skinął pośpiesznie głową, poklepał kompana po plecach.

- To prawda, zmęczeni jesteście jak diabli, prześpijcie się i z rana dalej w drogę.

- Zerknął w stronę dziewczyny, która przyglądała się nerwowo włosy i wydawało mu się, że mrugnęła do niego, po czym znikła za szynkwasem.

Noc była już w pełni, więc nie zwlekali dłużej. Przespali się na zydłu i z samego rana, nim Śmierdzibroda upomniał się o zapłatę, opuścili tawernę.

- Nie mieliśmy czekać w środku? - spytał Przeclaw, gdy oporzędzali konie.

- A czy ty myślisz, że ja jestem taki głupi, żeby na śmierć czekać? A bo ja wiem, kto przyjedzie nieproszony? Przyczaimy się do wieczora i zobaczymy.

\*

Znaleźli niewielkie zadrzewione wzgórze, leżące w bezpiecznej odległości od tawerny. Wymościli sobie legowisko w trawie i ułożyli się tak, żeby ogarnąć wzrokiem okolicę.

- Nie była już pierwszej młodości - westchnął po chwili Jaksa, bo czuł na sobie jeszcze zapach dziewczyny z tawerny.

- Ano nie była. - Przeclaw przytaknął.

Książkę poderwał się z ziemi.

- Tyś też ją miał?! - burknął. - Jakim prawem dzielisz ze mną kobietę?

Przeclaw przysiadł, oparł plecy o drzewo.

- A takim, że od tygodni nic na ruszcie nie miałem, a potrzeba duża. - Walnął

się w pierś. - A że ja dzielę z tobą kobietę, to tylko dobrze o niej świadczy.

Jaksa zarechotał. Nie wierzył w to, co usłyszał, ale był pełen uznania zarówno dla pychy, jak i szczerości mnicha.

- Więc dobrze - mruknął. - Znaj łaskę księcia. Raz ci ją darowałem.

Mnich zaczął się śmiać.

- Trzy razy - sprostował po chwili.

- Co trzy?

- Trzy razy, książkę, mi ją darowałeś. - Przeclaw nie ukrywał kpiny.

- Psia twoja mać! - Jaksa przytupnął, patrząc z niedowierzaniem na mnicha. -

Przede mną ją miałeś? Trzy razy? Co za sromota. Pewnie czarami ją omamiłeś.

- Wypraszam sobie. - Przeclaw splótł ręce na brzuchu. - Moja magia ogranicza się do tego, co mam w kroczu. Zresztą, wybacz, książe, ale kobieta jest niegodna psuć naszej przyjaźni.

Książe przyklęknął przy mnichu.

- Kpisz, mnichu, ze mnie. - Wyszczrzył groźnie zęby.

- Nie kpię. Ale ty jeszcze o tym nie wiesz, że prawdę o przyjaźni rzekłem.

- Co prawisz? Nie rozumiem. - Jaksza pokręcił głową.

- Wszystko w swoim czasie, książe z Kopnika.

Jaksza odszedł nieco dalej. Niezadowolony. Wyciągnął się na trawie i skupił na obserwacji.

\*

- Jeszcze dwa, trzy pacierze i zacznie zmierzchać. - Przeclaw podczołgał się do księcia.

Przed tawernę zaczęli zjeżdżać pierwsi goście. Z punktu obserwacyjnego rozpoznawali braci Kuniczków, którzy po zejściu z koni gestykulowali gwałtownie, z pewnością tradycyjnie wyrzekając coś sobie nawzajem. Wraz z nimi przyjechali także bracia Cholewnikowie: Mieszko i Muściej. Nie omieszkał przybyć Kuśpiej wraz z Tęgomirem i ostatni z braci Szczerwiów. Wszyscy gwarzyli coś przed tawerną przez chwilę, po czym znikli w środku.

Jaksza z Przeclawem odczekali kilka pacierzy i zjechali ze wzgórza. Gdy weszli do środka, Śmierdzibroda właśnie obsługiwał gości, a widząc, kto znowu do niego zawitał, skierował się w stronę opartej przy szynkwasię pałki.

- Nie radzę, gospodarzu - przestrzegł go Jaksza, rozsiadając się wygodnie na ławie między swoją kompanią.

Gospodarz zatrzymał się w pół kroku.

- Co podać? - spytał usłużnie.

- To co zwykle. - Książe wyszczrzył zęby w uśmiechu i spojrzał znacząco na mnicha.

Przeclaw rozejrzał się za dziewczką, ale jej nie dostrzegł. Pewnie gospodarz schował ją przed oczami gości, by niepotrzebnie nie kusić losu.

Śmierdzibroda szybko zabrał się do gotowania kaszy, krojenia warzyw i nalewania bzdęgi.

- Witaj, książe. - Stykusz uśmiechnął się tajemniczo. - W takim towarzystwie spotykamy się w Kopniku. Może niepotrzebnie tyle drogi nadrobiliśmy?



Na gościńcu usłyszeli tętent koni.

- Może ktoś jeszcze zajechał? - Przeclaw wstał, by spojrzeć przez okno.

Ciemno zrobiło się na zewnątrz, ale dostrzegł przed gospodą sylwetki jeźdźców na koniach.

- Odejdź, bo może ktoś ci bełtem głowę przestrzelić - powiedział spokojnie Jaksa.

Przeclaw spojrział na obecnych w tawernie wojów. Żaden nie ruszył się od stołu.

Siedzieli spokojnie i spoglądali po sobie. A każdy ważył coś w myślach.

- Nikogo już tu nie prosiłem. Chyba że Chębotę. - Jaksa spojrział pytająco na mnicha.

Przeclaw wyjrzał jeszcze raz w ciemność, by się upewnić, że nie dostrzega znaków Chęboty ani jego wojów.

- Nie on to. - Odszedł od okna.

- Ktoś więc nas zdradził - oznajmił spokojnie Stykusz. - Miałeś rację, książę, żeby się upewnić, zanim podejmiemy pod Brennę.

Jaksa uśmiechnął się do mnicha.

- To chrześcijański pomysł, żeby nawet najbliższemu bliźniemu zbytnio nie ufać i rozeznąć się w jego planach.

Słowa zawisły nad stołem. Przeclaw mógł przysiąc, że powietrze w gospodzie zgęstniało - przez chwilę nie było czym oddychać. Gospodarz, jakby przeczuwając najgorsze, znikł gdzieś.

- Panowie! - usłyszeli głos na zewnątrz. - Macie pół pacierza na dopicie trunków i wyjście. Z tych, co zostaną przy Jaksie, zedrzemy skórę.

- Ktoś zdradził - powtórzył Kuniczuk z naciskiem.

Milczeli wszyscy. Z zewnątrz dochodziły ich pośpiesznie wydawane rozkazy, tupot nóg, parskanie koni.

- Wybaczam temu, kto się przyzna - powiedział w końcu Jaksa.

Czas naglił.

- Niech idzie do swoich - wtrącił Przeclaw.

Nikt nie ruszył się od stołu. Takich rzeczy się nie wybacza.

- Dacie coś powiedzieć? - odezwał się młodszy z Cholewników.

- Gadaj - kiwnął głową Stykusz.

Muściej wpięrowo zaciskał palce na rękojeści miecza, ale zwolnił uścisk, rozwarte dłonie położył na ławie. Bębnił nimi przez chwilę po blacie.

- Ojciec nasz głupi, że nie wsparł księcia Jaksy. - Pociągnął nosem. - Ale wybaczenie, panowie, okazałem się większym głupcem, bo chciałem starego przekonać, by stanął po naszej stronie. Namawiając go, zdradziłem mu nasze plany.

- Ty głupcze! - Starszy Cholewnik rzucił się na brata z pięściami, ale Tęgomir i Kuśpiej powstrzymali go, łapiąc w żelazny uścisk.

Muściej nawet nie zamierzał się bronić. Spojrzał na Jakse.

- Zabij, księżę, ale wybaczenie. - W oczach miał łzy. Tęgomir ze Stykuszem z trudem przytrzymywali brata.

- Wasz czas mija! - ponaglał głos na zewnątrz.

Mieszko szarpał się, a Muściej tylko zwiesił głowę, oczekując wyroku.

Przeclaw przyglądał się Jaksie, jak napina się cały, jak patrzy gdzieś w przestrzeń, a może nasłuchiwał tego, co się dzieje przed tawerną.

- Piję krew - szepnął po chwili namysłu księżę. - Ale wyłącznie wroga. Kto chce, niech wyjdzie. Natychmiast.

Nikt nie ruszył się z miejsca. Mieszko przestał się szarpać, więc Tęgomir z powrotem posadził go na ławie. Muściej wybuchnął płaczem.

- Wybaczenie, bracie.

Mieszko zacisnął usta. Nic nie rzekł.

- Głupotę można wybaczenie, gorzej zdradę. - Jaksza spojrział na niego. -

Wywiedzenie się mieliśmy, kto z nami, kto przeciw nam, nim dopadniemy bram Brenny. Teraz wiemy już wszystko.

- Ale ja jestem z wami! - Młody Cholewnik ścisnął dłoń księcia.

- To dobrze. - Jaksza odwzajemnił uścisk.

Mieszko milczał nadal, choć na napiętą dotąd twarz zawitała ulga.

- I po pacierzu! - To był głos starego Cholewnika.

- Zabiję go. - Muściej wytarł mokre od łez policzki.

Jaksa się roześmiał, rozładowując napięcie.

- Poryczał się jak baba, a teraz ojca chce bić.

- Książę, nie obawiaj się stawać do mnie plecami. - Muściej puścił jego rękę.

Jaksa tylko skinął głową. Niekiedy miał ich wyłącznie za opojów, a oni rwali się, by z miłości do niego zabić własnego ojca.

- Ilu ich jest? - Zerknął na Przeclawa, który ponownie przystąpił do okna.

- Widzę tuzin. Drugie tyle jest pewnie za tawerną. Wszyscy konni.

- Może na wiec przyjechali. - Kuśpiej uśmiechnął się szczerze zadowolony ze swego żartu.

- Co najmniej dwóch na jednego - szybko porachował Stykusz.

Poderwali się od stołu, jakby dopiero teraz przeczuli niebezpieczeństwo. Zgasili łuczywa. W gospodzie zapadła ciemność. Rozbiegli się po izbie. Stykusz z Kuśpiejem przycupnęli za szynkwasem, Tęgomir ze Szczerwiem zabarykadowali ławą drzwi i przyczaili się przy oknach. Cholewniki przysiedli na środku gospody.

- A Chęboty nie ma. - Przeclaw przysunął się do Jaksy.

Książę wiedział już, że został oszukany.

- Cwany pies. Miałeś rację, że ciągle stawia na wygranego. Odplacimy mu się w swoim czasie.

- Jestem ciekaw, czym się będzie tłumaczył.

Na zewnątrz wszystko przycichło złowróźnie.

- Zrób coś - szepnął Jaksza do mnicha.

- Znaczy co? - Przeclaw spojrzał w jego błyszczące w ciemnościach ślepie. - Nie ja tu dowodzę.

- Ale jesteś czarownikiem, trucicielem...

- Przecież nie rozpyłę trucizny w powietrzu.

- A mnie nie stać na walkę. Każdy z moich wojów jest dla mnie zbyt cenny.

Każdy to tuzin pachołków, którzy pójdą wraz z nimi.

Nagle usłyszeli głos Arnsteina:

- Jaksza z Kopnika! Znowu cię mam. Tym razem nie wyjdiesz z potrzasku.

Niedługo wszyscy będziecie robić za żertwy!

- Przekłęci Sasi - syknął książę. - Prawdziwa plaga tej ziemi.

- Sasów tam jest może ze dwóch. Reszta to pacholki saskie i Cholewnika.

Przeclaw wstał nagle i krzyknął przez okno:

- Oszczędź!

- Co robisz? Zabiją cię. - Jaksza rzucił się, by go przyprzeć do ziemi.

- Gram na zwłokę. Tylko to przyszło mi do głowy. - Mnich zepchnął z siebie księcia.

- Nie o głupotę cię prosiłem, tylko o pomoc.

- Nie jestem głupcem.

- Podpalać!!! - usłyszeli.

Usłyszeli świst lecących w stronę tawerny strzał, uderzenie o strzechę i syk ognia. Zanim Przeclaw zdążył zrozumieć, że jest jednak głupcem, w środku zrobiło się nieco zbyt duszno.

\*

- Popalą nas! My nie żertwy! - Muściej prawie skamlał.

W gospodzie nie mieli już czym oddychać. Dym pełzał po ścianach, strzechę trawił ogień, nadpalona powała ugiwała się niebezpiecznie.

Woje siedzieli, kucali, leżeli, ale każdy pozostał na swoim miejscu. Czekali na jakiś sygnał od Jaksy. Czy mają wybiec i rzucić się na Sasów i Cholewnika, czy też spalić się żywcem.

- Decyduj, książę! - błagał Przeclaw. - Habit mi zaraz popali.

Jaksza poderwał się z ziemi.

- Wychodzimy! - ryknął.

- Czym? - spytał ktoś.

- Wyjściem - rzekł tylko.

Wszyscy zrozumieli, że lepiej zginąć od miecza, bełtu czy strzały - a nie jak żertwa.

Ruszyli szturmem przez drzwi i okna. Pierwsi z krzykiem na ustach. Ostatni próbowali tylko złapać

oddech. Na dworze nie czekało na nich nic poza świeżym powietrzem. Nie przywitał ich grad strzał, nie oślepił blask żelaza, nie usłyszeli żadnych obelg.

Przycupnęli, by złapać oddech. Płomienie pożerały gospodę i wydłużyły ich cienie na opustoszałym placu. Nieopodal klęczało dwóch pacholków, płacząc nad jakimś powalonym ciałem.

Jaksa podszedł bliżej. Tęgomir, Kuśpiej, Cholewnicy postąpili za nim. Przeclaw wolał trzymać się na uboczu.

- Co jest? - Głos Muścieja się załamał. - To nasz ojciec.

- Nie dramatyzuj. - Mieszko machnął ręką.

Muściej uklęknął przy ojcu i zapłakał.

- Sasi ubili? - Podniósł głowę i spojrzał na wystraszonych parobków.

- Tak właśnie kazał opowiadać pański ojciec. - Parobek, który się odezwał, miał

jedno oko, po drugim została tylko z dawna zasklepiona rana. - Kazał powtarzać, że zginął od saskiego miecza. Po gościńcach, u dobrych gospodarzy, na Pardwinie, żeby choć dobra legenda po nim została, bo poczciwy to człek przecie, choć z wadami. A wady każdy ma.

Jaksa się roześmiał.

- Widać, że się wypowiadał, zanim ducha wyzionął. Gadaj nam, jak zginął naprawdę.

- Coś go tu mocno złapało. - Parobek uderzył się w mostek, potem w serce. Łza mu się w oku zakręciła, ale nie wiedzieli, czy ze smutku, czy od ognia, który trawił

tawernę. - Mój pan jęczał, że go kłuje. Tchu nie mógł złapać, biedaczek.

Podszedł do nich Przeclaw.

- Najwidoczniej serce odmówiło mu posłuszeństwa.

Jednooki skinął głową.

- Może, panie. Ale parobkowie się wystrachali, że to kara, że z synów chciał

zertwy zrobić. Że z Sasami trzymał. Zresztą coś w tym jest, bo gdy mój pan padł, Sasi -

a było ich dwóch - zebrali swoich parobków i czmychnęli szybciotko. Reszta uszła zaraz za nimi. A wszystko trwało nie dłużej niż spowiedź świętego.

Muściej zakwilił jak niemowlę.

Dostał od brata w gębę i przestał.

- Ruszamy. - Jaksza odzyskał trochę animuszu. - Cholewnikowie - spojrzal na braci - zabezpieczcie swoje włości. Pachołkowie gotowi je rozgrabić, myśląc, że nie przeżyliście. Reszta za mną. Popędzimy gościńcem. Może dorwiemy Sasów.

- A co z gospodarzem? I z tą piękną, he... - Przeclaw wskazał na zgliszcza.

Jaksza się uśmiechnął.

- I tak kiepski miał interes - skwitował tylko.

Zebrawali konie, które biegały luzem wystraszone, i podążyli gościńcem. Kilku saskich pachołków, którzy uciekali pieszo, dopadli tuż za zakrętem. Rzucili się na nich i, jak w jatce, pocięli toporami i mieczami. Tęgomir i Kuśpiej popędzili przodem. Ci, którzy jechali za nimi, co jedno staje liczyli trupy, które walały się po gościńcu, widoczne w świetle księżyca.

Jaksza zatrzymał się i zszedł z konia, pozwalając reszcie gonić dalej. Przeclaw poszedł w jego ślady. Spoglądali na powykręcane zwłoki, pokłute i naznaczone juchą.

- Dwa tuziny - dziwił się książe. - A ujechaliśmy ze trzy staje. Jak to możliwe?

- Dużo ich, fakt. Musiałem źle liczyć. - Mnich wzruszył ramionami.

\*

Z krzaków wyskoczyła barczysta postać, dobrze widoczna w świetle księżyca.

Na fach, którym trudnił się nieznajomy, wskazywał długi błyszczący topór.

Zbójcką głowę przykrywała gruba czapa z futrzanym otokiem, tak że nie mogli dojrzeć jego twarzy. Dopiero gdy się odezwał zachrypniętym od śmierzącego trunku głosem, rozpoznali w nim Śmierzibrodę.

- No i mam was, pany! Chamy! - krzyknął.

Jaksza zrobił niewinną minę.

- Widzę, że za ciepło ci w tawernie, więc wyszedłeś na spacer. Chyba przyjdzie nam zapłacić za kilka suszonych ryb i parę dzbanków wina, ile to będzie? Zapłać mu co do grosza. - Spojrzal na mnicha. - Ja tymczasem popędzę konia przodem. - Zrobił

kilka kroków, ale gospodarz zastąpił mu drogę.

Jaksza stanął w lekkim rozkroku i wetknął palec za pas, blisko miecza.

Śmierzibroda groźnym pomrukiwaniem zniechęcił go jednak do gwałtownych ruchów.

Niedźwiedzia łapa złapała za uzdę obu wierzchowców.

- Nigdzie nie pojedziecie, póki nie zapłacicie. I nie chodzi tu tylko o parę marnych groszy za ryby i wino. - Odepchnął Przeclawa od konia.

Mnich wyjął więc z pochwy miecz, ale gospodarz silnym ciosem wytrącił mu go z ręki.

Jaksa postanowił być cierpliwy. Stał niczym wbity w ziemię.

- Za gospodę nas winić to grzech. - Postanowił rzecz załatwić polubownie.

- Toteż wcale was o to nie winię. - Gospodarz machnął ręką. - Zresztą gościnę zapłacicie. - Poglądził konie.

- Jakże to tak? - Jaksa się zaśmiał. - Wpierw goście podróżnych, a potem ich na gościńcu łupicie?

- A ładnie się z gospody bez zapłaty wymykać? Jak ciarachy jakieś. - Pokiwał

groźnie tłustym paluchem.

- Nie sierzście się już. Zapłacimy. - Przeclaw przed chwilą uszedł śmierci w tawernie, nie chciał więc teraz zginąć z rąk szaleńca, którego umysł zalały złe wody i rozpacz.

- Cena w tej chwili wzrosła. Do dupy! Od dziś będę dorabiał na gościńcach. -

Zarechotał. Widocznie zbójcka robota zaczęła mu się podobać. - Mówiłem wam, że do dupy z takim spadkiem!

Przeclaw zrobił kilka kroków w tył, tak by stanąć za Jaksą.

- Dlaczego nadużywasz słowa „dupa”? - zapytał księżę.

- Dzięki temu jestem bardziej wiarygodny. Wręcz wulgarny. Nieprawdaż?

- Ano prawda - przyznał z uśmiechem Jaksa, ale Przeclaw nie mógł się z nim zgodzić.

- Więc słowo „dupa” wyraża twoje pojęcie o byciu wulgarnym - wtrącił się.

- No, chyba tak, hm, tak właśnie sędzę. - Zbój zastanawiał się przez chwilę, a zaraz potem wybuchnął: - Dlaczego nie jesteście tacy normalni jak moi poprzedni goście? Dwóch saskich rycerzy, pacierz temu, snadnie dało się złupić. O litość nawet błagali, a wy?!

Jaksa zarechotał.

- Ale my nic nie mamy. - Przeclaw wzruszył ramionami, bezskutecznie rozglądając się za swoim mieczem, leżącym gdzieś w trawie.

- Ale macie konie. - Śmierdzibroda wyszczerzył zęby. - Całkiem ładne.

- Tylko nie to. - Jaksę się spał. - Nie mój Siwek! Powiedz wreszcie, bo jeśli nie o tawernę chodzi, to o co?

Śmierdzibroda nie przestawał patrzeć na nich ze złością. Zagwizdał.

Z lasu wyszła ta, którą ponoć kochał jak córkę.

- Po moją rzecz wyciągnęliście łapy, a tak się nie godzi. - Spojrzał na Jaksę. -

Teraz se ją weźcie, ja biorę to. - Pociągnął konie za sobą i znikł w ciemnościach.

Dziewka przyłgnęła całym ciałem do księcia.

- Nie gonimy? - zdziwił się Przeclaw, podrywając miecz z ziemi.

- Z tym? - Próbował zrzucić z siebie pannę, która nie tylko gibka się okazała, ale i silna jak tur. - To może ty leć za nim, a ja tu trochę powietrza złapię - zaproponował.

Przeclaw pomógł oderwać babę od jego piersi. Gdy próbowała jeszcze raz rzucić się ku księciu, zamachnął się na nią mieczem.

- Lepiej wyjmij, co skrywasz pod habitem, jakżeś taki twardy. Na dziewczkę z mieczem - prychnął Jaksę, ale widząc, jak ta gotuje się do skoku, czuł się niepewnie.

- Nie kpij. Życie ci ratuję. - Zataczał mieczem przed jej nosem niewielkie kręgi.

- Jakaś dziwna jest.

- Tego, coś jej w nocy zrobił, widać nie zapomniała. Mnie chce tulić, nie do ciebie się garnie.

- To po co ja ci niby w sukurs przyszedłem. - Mnich chciał już miecz chować, ale Jaksę go powstrzymał:

- Nie! Przegoń ją! Przegoń!

- Przeclaw w końcu przegonił dziewczkę.

Nieco się ociągając, poszła w las.

- Co to za stworzenie? - księżę nie mógł się nadziwić.

Przeclaw rozłożył bezradnie ręce.

- Śmierdzibroda podarował nam babę, która pewnie od pożaru zgłupiała.

Przecież jeszcze w nocy zdrową ją miałem. - Uśmiechnął się. - Konie nam pokradł, a przed sobą mamy parę ładnych staj.



Jaksa pokręcił głową i westchnął. Również nie mógł odżałować koni.

- Tak drogiego chędożenia jeszcze nie miałem.

Ruszyli więc pieszo rozświetlonym przez gwiazdy gościńcem. Gdy uszli kawałek, na drodze pojawili się jeźdźcy Chęboty.

- Pan nasz na gościńcu saskich wojów natłukł. Sam, ranny, od walki musiał odstąpić. Nas wysłał z pomocą.

Jaksa podziękował za konia.

- Trochę za późno - rzekł tylko.

## **ROZDZIAŁ XI**

*Wojna, wojna!*

*Rycerz miecz trzyma,*

*Pani jego ręką kieruje.*

*Wojna, wojna!*

Rudel, *Pieśń XIII*

*Wzorem Gotszalkowica, Niklota, Jaksa chrzest przyjął. I wzorem ich, chrztu się zaparł.*

*Kronika Słowian, Księga IV, O Askańczykach, autor nieznany*

Wjazd na Pardwin przyozdobiono palami z saksońskim truchłem. Na podgrodziu spalono tuzin chałup - w środku upiekło się kilkudziesięciu niemieckich kupców.

Wśród zgliszcz i dymu stanął wilk w ludzkiej postaci.

Stojąc na moście, Jaksa wraz z orszakiem złożonym z jego drużyny napawali się, że bramy Brenny wreszcie stoją przed nimi otworem.

Przeclaw, z pochyloną głową, niby skupiony w modlitwie, nie zdążyłby nawet odmówić *Zdrowaś Maryjo*, a na pardwińskim moście zastukała drewniana laska.

Stary kupiec Tileman przywitał ich niskim ukłonem.

- Pozdrowienia dla księcia, siostrzeńca Przybysława, Jaksy z Kopnika.

- I pana na brenneńskim stolcu - dokończył Stykusz.

Gawiedź cisnęła się przed nimi i za nimi. Każdy chciał obaczyć, jak naprawdę wygląda Sprewianin. Ci, którzy widzieli go po gościach i których łaskawie ksiązę przy życiu ostawił - bo mowa ich po ludzku brzmiała, nie jak szwargot saski - gadali po tawernach, że Jaksza przypomina wilka. Że głodny jest krwi, szybki jak błyskawica, ma szeroki ogon, a policzki sierść mu pokrywa. A teraz, choć nadal groźny, ludzki miał wyraz twarzy, dwie nogi, dwie ręce i piękną jasną grzywę. Widocznie chrzest mu zwyczajny wygląd przywrócił, powtarzano szeptem w tłumie.

Tileman pozwolił, by Chębota, który pojawił się jak cień, wprowadził orszak księcia do grodu, i dalej na Ostrów Tumski, do książecej siedziby.

Książę Jaksza z Kopnika podjechał z wolna pod szerokie wrota niewielkiego, ale solidnego kamiennego dworca. Po dziedzińcu rozbiegła się ciżba, by oporządzić konie.

Broni jednak żaden z wojów nie oddał.

- A Petrysa mnie nie wita? - spytał brenneński władca, schodząc z konia.

- Zbiegła - wyjaśnił zdawkowo Chębota. - A gdzie twoja żona?

- W klasztorze. Niech tam modli się za mą duszę. Do końca życia.

Aradne szybko stała się zbyteczna.

\*

- Każ bić monety!

- Już nakazałem.

- Niech będą z moim wizerunkiem. I podpisem: *Książę Jaksza z Kopnika*.

- Jak sobie życzysz, książę. - Stykusz uklonił się nisko.

Władca Brenny stał przy ołtarzu, na którym jeszcze niedawno odprawiano modły do Trzygława. Tam gdzie palono żertwy. Przeclaw i Stykusz ustawili się po jego prawicy, spoglądając na moźnych Brenny. Tileman Krabe, Jan Nipschke, Chębota i kilku innych pochylali się w milczeniu wokół posągu bóstwa. Wyjście do świątyni zastawili Tęgomir z Kuśpiejem i bracia Cholewnicy.

- Niech wygrawerują pod moją podobizną datę panowania na brenneńskim stolcu - powiedział książę, wskazując palcem Chębotę. - A wiesz, ile lat będę panował?

- spytał.

- Zapewne wystarczająco wiele. - Stary odchrząknął niepewnie.

Przeclaw uśmiechnął się tylko.

- Zapewne. - Jaksą położył dłoń na jego ramieniu. - Zaczynij, mnichu, pisać moją kronikę.

- O Kuniczukach wspomnieć nie zapomnij. - Stykusz nie ukrywał ironii, ale Przeclaw jedynie skinął wyrozumiale głową.

Przeclaw spojrział na Trzygława, ponad głowy możnych, przez światło wejścia na Pardwin i Ostrów Tumski, majaczący nieco dalej w porannej mgle. O to walczył

książę Jaksą? O kilka chat nieco większych niż w Kopniku? O to, co wygrawerują mu na monetach? Czym się różnił od Bernarda, od Albrechta Niedźwiedzia?

- Petrysa uważa się za godną władzy. Siebie i Kościół - zaczął książę, a jego głos rozchodzący się po kaplicy brzmiał złowroźnie, jakby ożywił z dawna wymarłą świątynię. Pod powałą zakotłowało się od ptactwa, które od lata uwiło sobie tam gniazda. - Chrześcijanie, Sasi! - Splunął. - Gdy narzucą Słowianom nad Hawelą i Sprewą chomąto, jedyne co zrobią, to zastąpią moją brutalność swoją brutalnością.

Tylko oni będą mogli dzierżyć miecze i ferować wyroki. Mamią słabych, że ich obronią. W ilu? Niech będzie ich tuzin, trzy tuziny? Nawet stu! Nie będą wszędzie. Nie obronią dziewczki przed zgwałceniem, wsi przed spaleniem. Ani nie złapią winnych. Ich świat to taki, w którym złodziej krowy ginie na palu albo w dybach, a złodzieje dobra publicznego żyją w złocie. Wiem o czym mówię, bo tak jest wśród Piastów. Tak jest w Cesarstwie.

- I tak jest tam, gdzie Trzygław. - Chębotą ryzykował gniew księcia. - Zresztą przyjąłeś chrzest. Słuszną rzeczą jest wprowadzić i u nas saskie prawo.

- Woda do niczego nie zobowiązuje. Chyba że głupców. A nawet biskupi nie są głupcami. - Zaśmiał się.

- Musi zapanować jakieś prawo! Przyjmijmy saskie albo twoje. Ale prawo.

- Tylko słabi i głupi domagają się, żeby ktoś wyręczył ich w wymierzaniu sprawiedliwości. Ja swojej dochodzę sam.

Książę w kilku krokach dopadł Chębotę. Jedną ręką złapał starego za włosy, drugą, uzbrojoną w nóż, wymierzył kilka ciosów w gardło. Nie bacząc na krew ofiary, wiercił tak długo ostrzem, aż stary osunął się na ziemię. Wszyscy milcząco patrzyli, jak z rzężącego Chęboty ulatuje życie.

- Masz swoje prawo! Nie znałeś dnia ani godziny. - Książę przykucnął przy trupie i wytarł ostrze noża o jego koszulę.

Obecni w świątyni zaczęli się instynktownie cofać do wyjścia. Tylko Tileman Krabe pozostał nieporuszony. Choć się wspierał na lasce, wyglądał najdostojniej.

Uśmiechał się, wysoko uniósłszy głowę.

- Książęta przychodzą i odchodzą, książę - mruknął, ryzykując życie.

- A ja wciąż żyję. - Jaksza postanowił darować starcowi śmiałość.

Przeclaw przyjrzał się księciu. Tym razem Jaksza nie przypominał już wilka.

Raczej psa, który ujada. Chębota opłacił Tilemana. Ten opłacił możnych. Obietnica dzierżaw i niskich podatków skłoniła wszystkich do poparcia Jakszy. I wszystko ułożyłoby się po myśli Jakszy i jego nowych popleczników, gdyby Chębota nie pozwolił

Petrysie uciec. Teraz wszyscy zdawali sobie sprawę, że dni księcia na brenneńskim stolcu są już policzone. Jaksza zbyt mało miał czasu, by zorganizować obronę grodu przed Sasami. Chwila tryumfu okazała się więc bardzo ulotna.

Księżę nie zamierzał jednak się poddawać.

- Chrzt to tylko woda, każdy może czcić tylu bogów, ilu zechce. Ale pan na Brennie jest tylko jeden, a pana trzeba słuchać.

Wszyscy skwapliwie przytaknęli - jedni kiwając głowami, inni zwieszając je nisko, bo nie takiej wdzięczności możni oczekiwali od księcia za udzieloną pomoc.

Księżę wymusił na nich posłuszeństwo.

- A co będzie, jeśli ktoś zwątpi w twoją sprawiedliwość? - Nagłe pytanie Przeclawa zawisło pod powalą świątyni niczym błuźnierstwo.

- Niech wyjdzie z mieczem w dłoni. - Jaksza przerwał chwilową ciszę. - Jeżeli ktoś z was nie ma na sumieniu mordy, zawdzięcza to tylko okolicznościom. - Spojrzał

na zwłoki Chęboty, potem przeniósł wzrok na brenneńskich panów.

Milczeli. Nikt nie podjął wyzwania. Księżę przeszedł się wzdłuż nich kilka razy, jak wilk warczący na swoją sforę.

- Każdy z was jest zobowiązany oddać ze swoich majątków po tuzin żertw. A wszystkie niech choć wyglądają młodo i pięknie. Stary zasługuje na to. - Spojrzał na Trzygława.

- A ty - skinął na Przeclawa - wypowiadasz mnie dzisiaj? Zanim Sasi wrócą.

\*

Żona garncarza podrzucała spódnicę wysoko nad kolana, prezentując Bartłomiejowi swoje grube, włochate uda. Przez chwilę próbowała zarzucić mu ręce na szyję, ale się opierał. Nie znosił zapachu jej skóry.

- Weź się do roboty, Ptaszyno - zaproponował niepewnie, wskazując na wysuszone garnki - bo jeszcze diabła sprowadzisz tymi swoimi figlami.

- Diabłu przynajmniej moje figle miłe - odfuknęła i niezadowolona zaczęła odciskać na dzbanach znak Mischków, dwa krzyże.

- Żebyś nie wykrakała. - Spoglądał na piec, w którym suszyły się talerze, misy i kubki. Mischke miał pełne ręce roboty, bo Ostrów Tumski pękał od śpiewów i krzyków. Przy biesiadach wznoszono toasty: a to za dożywotnią władzę księcia Pana -

i trach!, po dzbanie - a to za zdrowie Kuniczuków - pam! - albo złorzeczono: „Śmierć wszystkim Sasom”, a krzyk Jaksy niósł się aż na Pardwin i trach... nowe zamówienie dla mistrza garncarskiego Bartłomieja Mischke spływało na warsztat za pośrednictwem ciurów.

Mało świętobliwy mnich Przeclaw, najbliższy ponoć księciu, wybaczył

garncarzowi i kowalowi śmierć Bonifacego, puszczając przewinę w niepamięć. Życzył

sobie tylko zwrotu relikwii i procentu z miseczek, kubeczków, dzbanuszków, a także tego, co kowal Piotr Koenig na dwór sprzedał.

Do izby wpadł kowal Koenig. Bez pukania. Twarz miał zlaną potem.

- Baba leży - wysapał z trudem.

- Co za baba? - zdziwił się Mischke.

- No zaraz przy waszej chacie, na brzegu. Nad wodą.

- Diabeł dziś dzień naznaczył. - Garncarz splunął.

- Ładna chociaż? - zażartował, ale Ptaszyna skarciła go wzrokiem.

Wyszli na słońce i na letni ciepły deszcz.

- Co się porobiło w tej Brennie, od kiedy Jaksza na stolcu zasiadł? - Mischke spojrzał na tęczę na niebie.

Ześlizgnęli się po stromym zboczu, przeszli wzdłuż brzegu i zatrzymali się tam, gdzie Hawela skręcała. Na łasze naniesionego przez nurt rzeki piachu leżała kobieta.

Postąpili jeszcze kilka kroków, przycupnęli przy ciele niepewnie.

- Topielica, ale jeszcze jak owoc świeża. Nie napuchła. - Garncarz wiele trupów widział, jak to w życiu, i tych zmarłych od ognia, i od wody. Nie tylko od żelaza. Ale ten wydawał mu się jakiś dziwny. - Zbyt świeża jak na mój gust - szepnął po chwili.

Koenig zaśmiał się cicho. Widocznie zabrzmiało to dla niego dwuznacznie.

Mischke westchnął tylko. Topielica nie miała jeszcze dwóch tuzinów lat, miała za to ładną buźkę,

rudy warkocz, zgrabne cyce. Lepsza taka martwa od mojej żywej Ptaszyny, pomyślał.

- Patrz. - Jedną ręką przytrzymał kobiecie głowę, a drugą uderzył lekko w podbródek. Dolna szczęka trzymała się jednak twardo. - Musiała całkiem niedawno zejść z tego świata. Nie zwiotczała zupełnie.

- Może to topielica? Przed wodą święconą ucieka.

Kowal wyciągnął rękę.

- Topielica czy nie, pomacam trochę ciała.

Nie pomacał.

Jego ręka zawisła tuż nad piersią dziewczyny.

\*

Magda otworzyła oczy. Dwie wpatrzone w nią gęby nie wzbudzały zaufania.

Uniosła się na łokciu, rozejrzała wokół, by po chwili spokojnie zacząć im śpiewać.

Poderwali się z ziemi. Mischke wpierw chciał kopnąć dziewczkę, ale Koenig go powstrzymał. Złapał kamrata za koszulę i rzucili się do panicznej ucieczki. Potykając się o własne nogi, zatykali dłońmi uszy, krzyczeli, bo żaden nie chciał zatracić się w pieśni.

Przerwała zwrotkę, pozwalając im uciec.

Wstała.

*Muszę iść.*

Jej stopy odciskały się w mokrej ziemi, woda po chwili sięgnęła kostek, kilka kroków dalej przykryła kolana, potem brzuch.

*Zimna otchłań. Moja otchłań.*

Woda obmywała ciało topielicy wciąż wyżej i wyżej, by w końcu pochłonąć ją całą.

\*

Od dnia świętych Pawła i Piotra wojsko Albrechta Niedźwiedzia znacznie stopniało. Choć Sasi nie wydali żadnej walnej bitwy, to wielu pomarło na bagnach, zwabionych mamunowym śpiewem. Niektórzy odeszli na zawsze wraz z nurtem rzeki, podczas licznych i trudnych przepraw. Topili się podczas beztroskich kąpiei, kiedy rusałki zniecka wciągały ich w zimną toń. Askańczyk nie mógł powstrzymać też licznych dezercji. Niektórzy zginęli w zasadzkach, kiedy to nad gościńcem, którym kroczyli, robiło się ciemno od strzał. Świst, jazgot, skrzek zrywających się z gałęzi ptaków, potem

już tylko jęki umierających i tuziny leżących w kurzu saskich trupów.

Dziesiątki krzyżowców zakończyły również wyprawę w męczarniach, po wypiciu zatrutej przez Słowian wody.

Ci, którzy wytrwali przy Albrechcie do końca, zaszli aż do Szczecina. Żądni krwi i bogatych łupów, nie baczili, że pomorski gród już dawno został ochrzczony.

Przerażeni mieszkańcy wystawili na wały krzyże jako dowód ich wiary. Jednakże nawet wyjście przed bramę szczecińskiego biskupa nie powstrzymało apetytu Niemców. Nie przerwali oblężenia, zapowiadając Słowianom rychłą śmierć.

Dopiero gdy na Pomorze przybyła księżna Petrysa, ubłagała Albrechta o pomoc. Przekonała go, że margrabia musi odstąpić od Szczecina i wracać wraz z armią pod Brennę. „Zanim okaże się za późno”, przestrzegała, „i księżę Jaksę okrzepnie na stolcu, sił nabierze. A kto wie”, szeptała Askańczykowi do ucha, „może i Piastów wezwie na pomoc”.

Na rozkaz Albrechta Sasi, acz niechętnie, wyruszyli w drogę powrotną. Petrysa przyglądała się, jak z głodu, ale i z zemsty, krzyżowcy plądrowali napotkane wsie, jak palili lasy - na poświęconej przecież ziemi Czrezipienian - i ze zgrozy zakrywała twarz dłońmi. Parli naprzód gościńcem. Nie zatrzymywały ich na dłużej nawet zbyt wąskie groble ani szerokie brody; z trupów więźniów budowali pomosty i układali przeprawy.

Z troski jednak o swój los i dziecka odwracała głowę od pożarów i trupów, by nie zapamiętać tego widoku na zawsze. Powstrzymywała się, by nie wciągać w płuca przeżartego spalenizną powietrza.

Księżna wiedziała, choć to niczego nie tłumaczyło, że za upokorzenia krzyżowców, jakich doznali na wschód od Łaby, nie winili Askańczyka, ale gospodarzy tej ziemi, którzy jak dzikie zwierzęta chowali się po lasach i borach. Sasi nie czuli się zwycięzcami, bo ani piędź słowiańskiej ziemi nie przypadła im w łupie.

Gdy minęli Kamień, drogę do Brenny znaczyły kopce. Miejscowi znaczyli nacięciami stare dęby, tak by ani deszcz, ani śnieg nie pogrzebały ludzkiej pamięci.

Czasami zamiast kopca usypano grób - znak, że nie dla wszystkich droga okazała się bezpieczna. Nieobeznani z okolicą kupcy, samotne dziewczki, zwykli hultaje kończyli z błotem w gębie. I tylko pobożna istota, która nie chciała z drogi robić cmentarza, litościwie usypywała potem zmarłym kopczyk.

Rudel wyjechał z lasu. Na widok rzeki kobyła zrobiła się płochliwa. Ścięte pnie drzew, które niegdyś mogły posłużyć za mostek, teraz tylko w połowie połyskiwały znad tafli wody. Karzeł zmusił jednak konia, by zanurzył kopyta w błotnistej ziemi przy brzegu.

- Śpieszysz się gdzieś?

- Jak mi Bóg pozwoli. - Obejrzał się.

Za jego plecami na szkapie równie wymęczonej jak jego uśmiechała się doń Petrysa.

- Nie licz tu na Boga. Poczekaj, aż dojedziemy do Brenny. Choć kiedy widzę, w jakim zmierzasz kierunku, to chyba nie masz ochoty wracać z Albrechtem.

Rudel powstrzymał na chwilę konia przed przejściem przez bród, bądź to koń powstrzymał jego - tego nie wiedziała.

- A ty, księżno, z dala od obozu? Naprawdę nie boisz się tak sama?

Nie odpowiedziała. Spojrzała ponad lasem. Pacierz drogi stąd mordowano tych, którzy pacierza nie znali.

- To najwęższe miejsce w tej rzece, a ta szkapa zachowuje się jak uparty osioł.

- Chyba wiem dlaczego. - Podjechała nieco bliżej i wskazała rzekę. Z mętnej czeluści wody wystawała ręka, jakby wyciągnięta w stronę brzegu.

- Jednego trupa się boi? Tyle ich po drodze Albrecht natopił i upiekł, że powinna się przyzwyczaić. - Próbował popędzić konia, ale kobyła nie ustępowała. -

Marcha. Zaraz ci kopczyk przy drodze usypię. Nawet konia nie mogę zmusić do posłuchu. Za to ty, pani, potrafisz zawrócić całą armię z drogi i wytrzymywać smród stosów trupów.

- A więc to o to chodzi. - Westchnęła. - Dlatego umykasz bez pożegnania.

- Tak, pani. Zbyt ciepło się zrobiło wokół Albrechta. I ty nie lepiej rokujesz. Nie o tym chcę pisać pieśni. Pojadę do Jerozolimy.

- Zapewne Bóg ochroni pokornego sługę. - Przyjrzała mu się. Płaszcz miał

wytarty, naznaczony kurzem, jeden but zzuty. Wyglądał jakby wyszedł w środku biesiady po opróżnieniu zbyt wielu pucharów. Biesiady dawno nikt nie urządzał, ale puchary - owszem - opróżniano przy każdej okazji. - Gardzisz mną?

- A czy to ma jakieś znaczenie?

Mocno spał konia i szkapa ruszyła, by przesadzić rzeczkę. Dno okazało się jednak zbyt muliste, a nurt zbyt silny. Woda wciągnęła i szkapę, i karła.

\*

Jaksa roztoczył opiekę nad swoją nową krainą w iście książęcy sposób. Za swą przychylność kazał płacić wieśniakom od pługą trzy miary pszenicy, możliwym roczną daninę w kilku tuzinach srebrnych monet, stu garncach miodu i w dwóch wozach ryb.

Na zwołanym w Brennie wiecu obiecał sędzić sprawiedliwie od Sprewy do Haweli.



- Jak ścinam głowy, to nie wyjaśniam dlaczego - zapowiedział tym, których nie przekonał co do swojej osoby.

Jaksa rozumiał, że władzę zdobywa się siłą. Że dziś jest księciem, a jutro - jeżeli przeleje dość krwi - zostanie królem. Wiedział, że jako władca potrzebuje wojny, a wojna władcy. Podczas pokoju władzę się kupczy, oddaje nie temu, kto silniejszy, ale bardziej zacny, czyli sprytniejszy i bogatszy.

Ludziom trzeba albo wszystko długo tłumaczyć, albo przekonywać ich siłą. W

lesie wszystko jest o wiele prostsze.

Zszedł z głównej ścieżki, która dalej prowadziła na mokradła, ponoć specjalnie usypana zbłąkanym w lesie podróżnym - na ich zgubę.

- Panie, a dokąd to? - spytał Kuśpiej. Na plecach taszczył trofeum księcia - niewielką sarnę.

Las nie wydawał się dzisiaj Jaksie przychylny. Bitwę można by stoczyć - tyle czasu uganiali się w tuzin woja za zwierzyną po lesie, ale nic oprócz tej sarny nie upolowali.

- Wracamy do Brenny. Niedługo pora na wieczerzę.

- Jaksa ruszył przed siebie.

- Nie tędy droga do grodu - wtrącił Kuniczuk.

- Na szczęście, Jeruszko, nie ty tu jesteś księciem.

- Kazał iść drużynie za sobą.

Przesieka, dąb ze zdartą korą od północy, przesieka, zwalone pnie drzew, i długa wąska droga - szereg nierównych drzewek, tam gdzie państwo Piastów, a od strony Cesarstwa ściana z listowia. Kolejna przesieka...

Jaksa przystanął.

- Gdzie kamień?

Kuniczuk usiadł przy drzewie, by odsapnąć nieco.

- Jaki kamień? - spytał.

- Ten co tu leżał.

- Od kiedy? - zaciekał się Kuśpiej.

- Od zawsze.

- Pogubiłeś drogę, książę.

- Zawrzyj gębę!

Jaksa poszedł dalej.

Drużyna postąpiła zaraz za nim, ale już niezbyt pewnie.

Błądzili krętą przesieką, przecięli nieznane im leśne ostępy. Las ściemniał, zwilgotniał. Stanęli na granicy mokradeł. W powietrzu unosił się smród zgnilizny. Z

dalej dostrzegli ogniki, potem usłyszeli cichy śpiew.

- No, teraz to mi, książę, możesz gębę zamknąć, bo za jedno mi, czy ty to zrobisz, czy topielice. - Kuśpiej zrzucił sarnę na ziemię. Zbyttno mu ciążyła. - Zgubiłeś drogę, panie.

- Nie wierzę. - Jaksa spojrzał na mgłę, która przysłaniała bagna poszarpanym welonem.

- Komu? Sobie czy nam? - Kuniczuk odwrócił się na pięcie i nie czekając na księcia, ruszył w drogę powrotną.

Jaksa wpatrywał się w mgłę, liczył ogniki, próbował zrozumieć pieśń, która z każdą chwilą wydawała mu się bardziej zjadliwa. Odwrócił się, ale drużyna odeszła.

I wtedy zbudził się w gorączce, krzycząc:

- Nie wierzę!

Nad sobą zobaczył powałę sali na Ostrowie Tumskim, pod sobą miał twarde łoże, na którym jeszcze niedawno umierał Przybysław, przy sobie dziewczkę służebną.

Położyła głowę na jego piersi, mocniej przyłgnęła do księcia, by go ogrzać.

- Zlituj się, panie, nad sobą. Wypocznij nieco - szepnęła czule.

- Śniło mi się, że zgubiłem się w lesie, wojów prowadziłem na zatracenie -

wyjęczał.

Pogładziła go po brzuchu.

- Panie mój, jeszcze nie wydobrzałeś. Nie śniłeś wcale, jeno wczoraj z polowania wróciłeś tylko ty, no i Kuniczuk.

Odepchnął służkę. Nie ufał jej. Uniósł się na łokciu. Czyżby polowanie nie było tylko złym snem? Nic nie mógł sobie przypomnieć.

- A co z resztą? - spytał.

- Zapewne potopili się na bagnach.

Jaksa jeszcze niedawno wierzył, że jego *sacrum* to Las. Znał każdą kącinę nad Sprewą, Tolężą, Hawelą, każdy ostęp leśny, przesieki. Od dzieciństwa rozpoznawał

ciepły powiew wiatru znad sprewiańskich mokradeł. Ale teraz, po tym... zaczął trzeć mocno twarz w niedowierzaniu. Cała była obolała. Pocięta przez krzewy i gałęzie, które próbowały zatrzymać go w lesie - nagle sobie wszystko przypomniał.

\*

Cała drużyna przystąpiła do księcia. Żaden woj nie chciał odejść. Nie dowierzali, co mówi, że nie godzi się, że jeszcze nie teraz. Książę tłumaczył, że chrzest w Darguniu przecież przyjął, że świętym nie jest, ale przecież dobry z niego chrześcijanin.

Stykusz syknął, Kuśpiej i Tęgomir kazali reszcie zewrzeć szyki.

Za nic mieli wolę księcia.

Woje rzucili się na schody, drzwi kościoła rozsypały się pod naporem topora. Z

ołtarza wyrwano krzyż, zabrano monstrancję, jakąś księgę, Kuniczukowie powlekli za sobą księdza. Kościół zaraz spalili, klesze dali szansę, by w annałach zapisał się jako święty - toporem pozbawili go żywota.

Jaksa znowu zerwał się z łoża. Podbiegł do okna, skąd miał widok na Pardwin.

Wyjrzał. Zgliszcza kościółka tliły się jeszcze.

- Czy to moja drużyna kościół spaliła? Co się ze mną dzieje? To też nie był sen.

Dziewka podbiegła do okna.

- Żaden kościół jeszcze na Pardwinie nie stał.

- To co, do licha, tam płonie?! - Złapał dziewczuchę za warkocz i wystawił jej głowę przez okno. - Swąd trupa czuć aż tutaj! A ty? Ognia nie widzisz, smrodu nie czujesz?

- Panie. - Złękła się, łzy miała w oczach. - Ja nic nie widzę i nie czuję, prócz twej złości.

Spojrzał jeszcze raz na Pardwin. Ogień i strużka dymu wyglądały jak słup podtrzymujący brunatne sklepienie nieba, nisko zwisające nad Brenna.

- Kpisz ze mnie? - Złapał ją wpół i wyrzucił przez okno.

Wyjrzał na dziedziniec. Dziewka leżała jak na trupa przystało. Ze jej łba bynajmniej nie lało się wino, kości kostucha poprzetrącała tak, jak to przy takich upadkach bywało - ręka tu, noga tam...

- Teraz to nie jest sen. - Książę splunął.

Do trupa podszedł Przeclaw, który wracał z wieczornej przechadzki. Przełknął

łyżeczek piwa, bo z dzbankiem trunku ostatnio zawsze miał po drodze, i zadarł głowę, by spojrzeć na księcia.

- Skądś to znam. - Wyszczrzył zęby w półmroku.

- A wiesz, że kościół na Pardwinie płonie?! - krzyknął w jego stronę Jaksa.

- Książę, na podgrodziu żadnej bożej świątyni nie zbudowano. Jak chcesz coś spalić, to spal kaplicę na Ostrowie. Może wtedy przejdą ci majaki.

Jaksa czuł, że ogarnia go obłęd. Zbyt duszno zrobiło się w Brennie.

\*

Petrysa stała na wzgórzu wraz z Albrechtem Niedźwiedziem. Stąd mieli doskonały widok na Hawelę i Brennę, na wyschłe gdzieniegdzie rozlewiska i mokradła, które nie chroniły już grodu. Popielate chmury kłębiły się nad sklepieniem tej ziemi, jakby również toczyły wojnę o przestrzeń, a przecież - Petrysa zmrużyła oczy od słońca - tyle błękitu jeszcze zostało na niebie. Modliła się, by nie przyniosły ze sobą deszczu. Rzeka zwykle wartka i lodowata, sunęła leniwie korytem, teraz na wpół

wyschniętym. Petrysa nie pamiętała takiego lata, odkąd przybyła na Połabie.

Strzepnęła z płaszcza kurz gościńca. Wzdrygnęła się, gdy na palcach osiadł jej popiół spalonych domów, które naznaczyły marsz krzyżowców spod Szczecina.

I choć gdy po trzech dniach wyczerpującego marszu stanęli pod Brenną, nie mogli budzić już strachu - a czerwone krzyże na ich tunikach dawno wyblakły - złość w nich wezbrała tak wielka, jak trwoga przed tym, że wrócą do domów jako przegrani.

Poprzysięgli Albrechtowi, że nie odejdą spod Brenny z pustymi rękami. Nie zgodzą się też na warunki, które przyjął Henryk Lew, gdy odchodził od Dobina, czyli przyjęcie chrztu przez obleganych. Gród nad Hawelą miał im wynagrodzić trzy miesiące kampanii.

W tej chwili zrozumiała, że dwór na Pardwinie, Biała Sala, świątynia, Ostrów Tumski są jej jedynym skarbem i to bardzo ulotnym. Pojęła, że nie potrzebuje niczego innego dla siebie i dla syna. Ale dlaczego tak jest, że aby zachować chociaż cząstkę tego, co się posiada, trzeba pokazać światu, że ma się jeszcze siłę i odwagę wziąć więcej? Dopiero wtedy świat pozwoli nam żyć w spokoju i może nie wystawi na kolejną ciężką próbę.

Spojrzała na Albrechta Niedźwiedzia. Ten wzdychał ciężko, patrzył na Brennę.

Zmizerniał na twarzy, sposepniał. Nigdy nie pogodził się z porażką, dlatego snuł plany zaciśnięcia więzów między rodem Askańskim a Petryszą. Zaproponował dla jej syna rękę jednej ze swych córek.

Przysłała na ten układ bez chwili wahania. W jednej osobie zyskać miała syna i możnego protektora.

Natomiast opat z Clairvaux nie podzielał ich przyziemnych pragnień. Szukał na Połabiu czegoś cenniejszego niż słowiańskie dzierżawy. I nawet się ucieszyła, że opat nigdy się nie dowie, jak bliski był celu - bo domyśliła się, że szukał tego, co kiedyś na trakcie znalazł jej mąż, a od niedawna posiadał Przeclaw. Jednakże nie podzieliła się z opatem swoimi spostrzeżeniami. Wolała, by trzymał się od Brenny z daleka. Gród należał się przede wszystkim księżnej i jej synowi. A kto wie, co wynikłoby z kolejnej wizyty opata? Dziękowała Bogu, gdy Bernard zapadł na zdrowiu, a papież rzucał na niego gromy za nieudaną krucjatę. W ślad za Eugeniuszem poszli biskupi i książęta.

Szukali winnego. Opat zachorzał wtedy na dobre. Chcąc nie chcąc, wsiadł na statek w Szczecinie i udał się do Francji, by tam zapewne w zaciszu murów klasztoru Clairvaux przetrwać najgorsze.

Księżna mogła więc teraz spokojnie poczekać, aż Albrecht zdobędzie dla ich potomstwa Brennę. Zaufała mu, mimo że zawiodła się na tylu mężach. Przybysław zawarł pakt chyba z samym diabłem, gdy czerwona księga zrujnowała mu życie.

Trubadur, niczym ptak, na chwilę przycupnął na parapecie, pokazał jej blaski Langwedocji, a potem odleciał, zostawiając ją samą na bagnach. Największym rozczarowaniem okazał się jednak Przeclaw, który zdradził ją swym tchórzostwem.

Dowiedziała się, że Jaksza nie tylko wziął ślub w jego asyście, ale i wraz z nim wkroczył do Brenny.

- Nigdy się nie dowiesz, pani, jacy ludzie cię otaczają, dopóki ich nie zabijesz -

usłyszała głos Albrechta.

W pierwszej chwili się przelękała, bo myślała, że odgadł jej myśli. Na szczęście nie patrzył na nią. Wwiercał się wzrokiem w Brennę.

Widziała margrabię kilka razy w życiu i zawsze biła od niego pycha. To ona pchała go do tego, by walczyć, a nie chęć krzewienia wiary czy miłość do Boga. To pycha stała się jego kochanką, która szepcząc mu do ucha, pchnęła go na krucjatę.

Jednak, mimo że księżna zrozumiała, czym Askańczyk kieruje się w życiu, rzekła:

- Dziękuję, książę, dziękuję za wszystko.

Niedźwiedź zdawkowo machnął ręką. Odczuła to jak policzek albo gorzej.

Uderzenie pięścią. Ale z pokorą pokłusowała za dwoma parobkami, którym Askańczyk nakazał odprowadzić ją do namiotu, z dala od pola walki.

\*

Sasi stali pod Brenną trzy dni i trzy noce. Albrecht ustawił lekką jazdę po wschodniej stronie wzgórza, ciężkozbrojnych na samym szczycie, piechotę na zachodzie u jego podnóża. W bezpiecznej odległości od grodu, poza zasięgiem gradu kamieni i strzał, rozstawiano trebuszety, a z pobliskiego lasu zbierano kamienie i wycinano drzewa. Miejsca najbardziej narażone na atak zabezpieczono rowami, a usypane wały wzmocniono wbitymi w ziemię palami.

Gdy zapadł zmierzch, rozpalono wiele ognisk, nawet z dala od wzgórza, tak by w grodzie myślano, że oblegających jest znacznie więcej.

- Trzeba czekać. - Arnold von Plotho siedział przy ognisku i ważył miecz w prawej, jedynej ręce.

- Musimy wypocząć po podróży. - Arnstein kazał odłożyć młodzikowi oręż, skinął na niego, żeby choć jedną ręką rozmasował mu plecy.

Kiedy tylko dowiedzieli się o krzyżowcach, którzy podążali ku Brennie, opuścili swoją ziemię, by wyjść Sasom naprzeciw. Dotąd, z obawy przed Jaksą, zaszczuci w swoich dzierżawach, odpierali ataki słowiańskich band.

Na czas oblężenia wyznaczono im trudne zadanie. Albrecht specjalnie kazał

zostawić lukę w pierścieniu na zachód od grodu, żeby umożliwić jego mieszkańcom ucieczkę. Miał nadzieję, że niechętni Jaksie chrześcijanie, których jeszcze nie zdążył

wyrznać, rzucą się, by ratować skórę, nim Sasi zaatakują. Od wschodu także zostawiono przejście, tam gdzie poziom rzeki obniżył się z powodu suszy, a jej ciemna tafla ledwie skrywała z dawna podtopiony bród. Tam właśnie dwóm dzielnym Sasom wyznaczono strażę.

- To oni powinni się nas bać. - Von Plotho przestał masować bark Rudolfa. - Ale to ja się boję - wyznał szeptem.

Arnstein spojrział na młodzika. Jego wzrok błędził po drzewach.

- Musimy zachować czujność. - Uspokoił go delikatnym głaskaniem po policzku. - Kiedy tylko odezwie się las, zrozumiesz, że nadchodzą. Ptactwo poderwie się wtedy do lotu, zwierzyna się spłoszy, a my będziemy przygotowani na nagły atak, cokolwiek by wyszło z za tych gałęzi.

Ściana drzew, którą mieli za plecami, wyglądała teraz bardziej złowróżbnie niż gród.

- Nie ludzi się boję. Oni wznoszą tylko ku górze żelazo, w powietrze wypuszczają strzały. Ale las... - szepnął von Plotho i zamilkł na chwilę, by się rozejrzeć. - Brzeginie porywają dzieci do swoich jaskiń. Gudełki trują rośliny, południce poruszają łąny, żegacze siadają na piersiach śpiących wojów i duszą... -

wyliczał.

- Przestań - przestrzegł go Arnstein. - Powtarzasz zasłyszane po tawernach opowieści. Zresztą brzeginie czy gudełki, nie można czekać na nie z pustym brzuchem.

- Odciął nożem kawał mięsa, który skwierczał nad ogniem, i wręczył kompanowi.

Przeżuwali przez chwilę w milczeniu.

- Nie martw się. Kiedy tylko Albrecht zdobędzie Brennę, już na zawsze biskup brenneński zasiądzie w należnym mu grodzie. Wtedy nie tylko mieczem, ale i krzyżem wypłenimy każdą gudełkę, brzeginię, południcę i całe to pogaństwo z tych cholernych lasów.

Pewność opuściła ich w chwili, gdy na polanie pojawiła się nocna zmora. Szła zwyczajnie, nawet wydawała się lekko zamyślona, może nawet zagubiona, ale jej ciało spowijała mgła, jakby tańczyła wokół niej. Arnstein złapał za miecz, chciał się poderwać, lecz Plotho ścisnął mocno jego ramię, powstrzymał kamrata, ochronił

przed zgubą.

- Czekaj - szepnął. - Ani drgnij. Wtedy nas nie dojrzy.

Zmora się zbliżała, jej stopy ślizgały się po mokrej trawie, niepewnie stawiała kroki. Raz, dwa, trzy...

Plotho przełknął ślinę. Poznał w dziewczce topielicę. Nie był już pewny, czy dobrze pamiętał, przed kim lepiej nawet nie drgnąć, a przed kim zatkać uszy, dla kogo śpiewać, na jaką kurwę medalion z drzewa w...

Przystanąła na wyciągnięcie ręki. Spojrzała w ich stronę.

Twarz śliczna, Arnold musiał to przyznać. Przez chwilę chciał spojrzeć na Arnsteina, poszukać otuchy, ale się powstrzymał. Miał tylko nadzieję, że jego druh i opiekun ani drgnie, że oka nie zmruży, nie zaczerpnie tchu.

Nie drgnął, nie zmrużył...

Odeszła.

Zaczerpnęli tchu.

\*

Magda przeszła obok nich niezauważona.

*Tak blisko, a nawet mnie nie dojrzeli.*

\*

Mamuny, gudełki i południce wirowały w powietrzu jak opętane. Unosiły się i opadały, by na chwilę zastygnąć w pół skoku. Wyglądały jak upojone tańcem kochanki, które tylko w nim mogą zaznać spełnienia.

Polana drgała od tańca, listowie unosiło się od cichego śpiewu.

- *Kiedyś nadejdzie piękny dzień,*

*Położą Sasi głowy na pień.*

*Wtedy nadejdzie i nasz czas,*

*W którym żertwy wypełnią las.*

Śpiew zamilkł w momencie, gdy ustały wszystkie tańce. Nad polanę wiatr niósł tylko szelest pobliskiego strumyka.

Od północy nadeszła Najstarsza. Siwe włosy splecione w dwa warkocze, spięte spinką z dłoni topielca. Głowę przewiązała opaską, na której przy obu skroniach wisiały wielkie kabłączki z ludzkich palców. Bładość trupiej twarzy skrywała pod makijażem z krwi dziewic i rzeczno mułu. Stała pośrodku polany, rozejrzała się wokół, akceptując w ten sposób wszystkich obecnych, i przysiadła. Pozwoliła, by jej siostry zasiadały wokół niej na trawie.

- Mówcie - nakazała gardłowym głosem.

- Śmierdzi, każdy Sas śmierdzi - oznajmiła jedna z Gudełek.

Jej długie, wiecznie tłuste włosy spoczywały na nagich piersiach.

- Jakska śmierdzi. - Południca, najładniejsza spośród wszystkich sióstr, wiedziała, że jej wyprostowana i dumna postawa wzbudza szacunek i zazdrość wśród reszty zgromadzenia.

Kulawe, garbate, z wymionami na plecach, bagienne siostry wyglądały jak na grzybobraniu, a nie jak na leśnym wiecu.

- A gdzie nasze chłopcy? - Gudełka przycupnęła przy Najstarszej.

Położyła jej głowę na kolanach. Mamuna pogłaskała ją, niczym oswojone zwierzę.

- Chłopa mi tylko do jednego trzeba. - Jedna z południc zarechotała.

- Chłopów już dawno nie ma. Pomarli strachem rażeni - skarciła ją Najstarsza.

- I wodą święconą - dodała smukła Południca.

Najstarsza spojrzała po wykrzywionych trupich twarzach swych sióstr, spomiędzy których z racji wieku została wywyższona. Wciągnęła w nozdrza ich zapach. Odór bagien i mułu. Przeciągnęła się nieco, zrzucając z nóg gudełkę. Od tej wilgoci na bagnach i leśnych przeciągów łupało ją w kościach, czuła nieprzyjemne mrowienie w krzyżu.



- Naradzimy się same - rzekła po chwili. - Bez chłopów. Lecz tym, co ich jeszcze przy sobie mają, to radzę, podzielcie się z nimi naszym planem. Ale tylko wtedy, gdy już zmęczeni będą was zapewniać o swojej miłości po nieprzespanej nocy.

- Więc niektóre z nas dziś w nocy muszą się poświęcić - odparła ze śmiechem jedna z gudełek i zaśpiewała.

Siostry porwały się z ziemi do tańca, tylko Najstarsza nie wstała, więc zawirowały wokół niej.

*- Wasza polityka miluśka*

*Pochędożyć trochę,*

*Pójść z chłopem*

*Do łóżka.*

*Ale jak mu szeptać,*

*Doradzicie, siostry?*

*Jak on nie chce ze mną*

*Spędzać żadnej z nocy.*

Baby zarechotały.

- Cisza - nakazała Najstarsza. - Słuchajcie, co wam powiem.

Leśne panie posłusznie przycupnęły z powrotem na trawie.

Mamuna jednak podniosła się, rozpostarła szeroko ramiona i zacisnęła pięści.

- Zdradził! Siostry, to prawda, chrzest przyjął. Poszedł w ślady wuja.

Po polanie rozeszły się przekleństwa.

- Jaksa śmierdzi!

- Bękart!

- Psi syn!

- Spowiada się, ale pali żertwy!

- Nie o las mu chodzi!

- Spiszmy go na straty!

- Postanowione! - ukróciła Najstarsza, potrząsając głową i zaciśniętą pięścią.

Kablączki z palców zadyndały na skroniach. - Ale co dalej, drogie siostry, powiedzcie, co dalej?

- Petrysa ma bękarta! - zauważyła mamuna Grucha.

Bardzo chciała przypodobać się Najstarszej, odkąd ta wyklęła ją i Jurę za wyratowanie Kuniczuka.

- Bękart, ale z chrześcijańskiego łoża - mlasnęła któraś gudełka.

- Tamtego ukatrupimy, a podłożymy jej naszego. - Grucha wypchnęła przed siebie Jurę.

Młoda mamuna stanęła ze zwieszoną głową i wydętym brzuchem. Ręce splotła na piersiach. Nie wyglądała na zawstydzoną, raczej na nadąsaną. Mruknęła coś do starej przyjaciółki, mając do niej pretensję, że ją tak bezceremonialnie wepchnęła do koła.

Gudełki spojrzały z obrzydzeniem, południce z dystansem. Pozostałe siostry jednak spoglądały na brzemienną z wyrozumiałością.

- Kto jest ojcem? - Najstarsza objęła ją ramieniem, pogładziła po brzuchu.

Jurga nie rozwodziła się nad przymiotami swojego kochanka.

- Poganin - rzekła tylko.

- To już nie wystarczy, by wygrać - westchnęła Najstarsza.

- Nie macie jednak wyjścia, siostry. - Na polanę weszła Magda.

Siostry spojrzały w jej stronę. Uśmiechami zaprosiły do stada. Magda przysiadła, objęły ją ramieniem.

- Długo w drodze? - spytała jedna z południc.

- Zbyt długo. - Magda oparła się plecami o jedną z sióstr, pozwoliła, by rozczesały jej palcami włosy, starły błoto ze stóp. - Nasz świat nad Łabą umiera.

Nawet Jezioro Zwierzynieckie wyschło dla nas, nie ma tam już nic prócz ryb.

Parobkowie chcieli wymacać mnie nad rzeką, podejrzewając, że topielica.

Zestrachali się dopiero, gdy zaczęłam śpiewać. Kiedyś ponoć nie wystarczyło uszu zatkać, by uchronić się przed naszym głosem. Dwóch Sasów na polanie nawet; mnie nie spostrzegło, a stałam tak jak wy, siostry, teraz przy mnie siedzicie. Biada mnie, biada wam.

Najstarsza posłała jej pocałunek.

- Weszłaś między nas jak ciepły letnik wietrzyk, cicho i niespodziewanie, ale przynosisz burzę.

- To nie ja, Najstarsza. To świat. Ja też miałam bękarta. - Spojrzała na Jurę. -

Ale rzuciłam go w otchłań jeziora. Czułam, że zawiodłby mnie, gdy dorośnie, tak jak inni mężczyźni. Jednak teraz żałuję. Bez nadziei jestem tylko pustą wywłoką.

Uderzyła się w brzuch. Wstała i stanęła przy Najstarszej.

- Siostry, nikt nie chce umierać. Jeżeli jedyną naszą szansą jest bękart Jurgi, pozwólcie jej go urodzić, nie odrzucajcie jej. Miejmy nadzieję.

Najstarsza, nie myśląc długo, zdecydowała:

- Przyjęte.

- Zgoda! - zatwierdziły bezmyślnie gudełki.

Południce zwlekały. Widać, że zatroskały się troszeczkę o to, że to mamuna, a nie jedna z nich dostąpi tego przywileju.

- W swoim czasie upomnimy się o niego - oznajmiła Najstarsza.

- Jest jeden warunek - odezwała się nieśmiało Jurga. Bardzo cichutko, niemal szeptem. Wszystkie siostry jednak dosłyszały.

Grucha próbowała powstrzymać swą młodszą przyjaciółkę, ale ta tylko odpychała ją od siebie, nie chcąc słuchać jej porad szeptanych do ucha.

Oczy sióstr zwróciły się ku Najstarszej. Mamuna podeszła do brzemiennej, pogłaskała jej brzuch.

- Proś, o co chcesz. Nosisz ciężkie brzmię. Niełatwo będzie ci rozstać się z dzieckiem. Wiem, o czym mówię, wierz mi - szepnęła.

W oczach miała łzy zmieszane z rozmazaną krwią i mułem.

- Oddam bękarta. Ale chcę mieć chłopca. Proszę, żebyście go przyjęły do siebie.

- Twoja wola.

- Nasza wola! - zgodziły się siostry.

\*

Magda zamknęła oczy.

*Już nie muszę iść. Nie w moich krokach teraz nadzieja.*

Zasnęła.

\*

- Jakoś spokojniej, nie zauważyłeś? - Arnstein wsłuchiwał się w las.

Wydawało mu się, że coś usłyszał, jak gdyby jakieś śpiewy.

Plotho powoli przeżuwał mięso.

- Czuć las. - Przełknął kawałek z niesmakiem.

Arnstein się zastanowił. Faktycznie. Jeszcze przed chwilą wiatr niósł ze sobą wyłącznie woń bagien i zgnilizny. Teraz w powietrzu unosił się zapach świeżych liści.

Po raz pierwszy, odkąd przybyli nad Hawelę.

\*

Jaksa i Przeclaw podziwiali z palisady na Ostrowie Tumskim saskie obozowisko. Wokół Brenny płonęły ogniska, w niektórych miejscach sięgające nawet brzegów Haweli. W granatowe niebo uderzały setki słupów utkanych z dymu.

- Nie będziemy sami. Niechaj drży Albrecht Niedźwiedź. - Księżę spoglądał w stronę świątyni Trzygława, skąd dochodził ich swąd spalonych w południe ciał.

Żertwy.

- Jeszcze się oszukujesz? - zdziwił się Przeclaw. - Myślisz, że tym smrodem przebłagasz kogokolwiek? - Mnichowi na samą myśl o nadobnych dziewczkach spalonych na darmo krajało się serce.

- Lasu nie oszukasz. - Stykusz podzielał wątpliwości mnicha. - Przyjąłeś chrzest.

Leśne duchy nie przybędą, choćbyś poświęcił na ołtarzu całą Brennę.

- Do tego niedługa droga. - Jaksa skinął na Sasów, którzy wyczekiwali w ciemnościach ataku.

W ciągu ostatnich dni księżę kazał oddać w ofierze kilka tuzinów dziewczek, spalił

klasztor w Darguniu, cystersów powsadzał na pale, opata Mikołaja, złapanego na gościńcu, własnoręcznie pokrajał, puścił z dymem klasztor pobudowany przez Sasów w Ziemi Suchej, kazał topić w Haweli niezliczone tuziny mnichów. Jaki Bóg nie dostrzegłby takiego poświęcenia?

- Zresztą, mój księżę - wyrwał go z zamyślenia Kuniczuk - nie przed tym progiem biłeś pokłony.

- Jak to?

- Trzygław odszedł. Mogłeś błagać o wybaczenie gudełki, południce, może mamuny. Sam nie wiem. -

Stykusz pokręcił głową.

Wsparł się na toporze.

- To dopiero pierwsza przegrana bitwa - skwitował Jaksa.

- Nie, książę, to nie bitwa, to wojna. I smutno mi, że trwała tak krótko. Cieszę się jednak, że mogłem w niej uczestniczyć.

Jaksa zwiesił głowę. Niegdyś znajome mu przesieki, kąciny, mateczniki, od kilku dni wydawały się obce. Kuniczuk miał rację, nie przebłagał lasu.

- Wschodnia strona Brenny odsłonięta. - Przeclaw wskazał na majaczący w ciemnościach most.

Nie bacząc na mgłę i zmrok, mieszkańcy grodu uciekali w obawie przed gniewem Jaksy, jak się domyślał, a nie przed tym, co może ich spotkać, kiedy do grodu wejdą Sasi. Od wielu dni nie padało. Cysterny z wodą wysychały, a poziom wody w studniach opadał z dnia na dzień, rzeka znajdowała się w zasięgu saskich strzał. Wszystko to doskonale rozumieli mieszkańcy Brenny. Dlatego uciekali także przed głodem.

Dostrzegali tylko cienką bladą wstążkę uchodźców, która wiła się od zachodniej strony palisady, przez most nad Hawelą, a potem znikiała gdzieś w lesie.

Pardwin opustoszał, Podgrodzie wokół Ostrowa Tumskiego również się wyludniało.

- Z grodu uciekną kobiety i dzieci - zauważył Przeclaw. - Nie będą już przynajmniej stanowić dla nas obciążenia.

- Nie pocieszaj mnie. Przecież doskonale wiem, że uciekają Żydzi, Niemcy, chrześcijanie, poganie... Kto żyw! - przyznał Jaksa.

- Żydom odebrałeś majątki, kupców zniewoliłeś, ojcom zabrałeś córki na spalenie...

- A jak myślisz, dlaczego? - Jaksa złapał go za gardło, ale bynajmniej nie po to, by zadusić, tylko żeby zrozumiał, żeby choć dostrzegł rozpacz w jego oczach.

Ale Stykusz spojrział nań bezmyślnie.

- Jeżeli przestajesz wierzyć w ludzi - książę odepchnął Kuniczuka - to zaczynasz wierzyć bogom, i wtedy wszystko wydaje się łatwiejsze. Nie wszystko mogłem zaplanować. Przyznaję, że nie wszystko, co robiłem, przemyślałem, ale tylko dlatego, że gdybym rozumiał to, co się wokół mnie dzieje, nie miałbym odwagi temu podołać.

Pojmijcie, że czasami tak jest łatwiej. Nie zawsze, gdy widzisz drzewa, wiesz, co się kryje za nimi. Dlatego tam idziesz.

Przeclaw pokiwał głową.

- Wiem, o czym mówisz, książę.

Kuniczuk tylko wzruszył ramionami.

- Nie kupczy się wiarą, jak na jakimś targu.

- A Niklot? - Książę rozłożył bezradnie ręce. - Przecież Obodryta przyobiecał

Henrykowi Lwu, że chrzest przyjmie. W zamian za to margrabia odstąpił od oblężenia. Jak jego ocenić?

- Źle. I on stracił przychylność bogów. Jesteście gotowi pokumać się z każdym dla władzy. Ale nie wzięliście pod uwagę, że las ma serce i duszę, choć głęboko ukryte na bagnach. A Bóg zza Łaby ma tylko mnichów i biskupów. Ich zawsze można wyróżnić. Ty wybrałeś, książę, twoja wola.

Jaksa mocno zacisnął dłonie na palisadzie, która już nie gwarantowała żadnej ochrony. Aż mu pobielały kłykcie.

- Jak myślisz, ile mamy jeszcze czasu? - zwrócił się do Kuniczuka.

- Miną dwa, trzy dni, zanim pobiudują wieże i trebuszety. Wtedy rozpoczną ostrzał.

- No to długo nie porządziłem. Musimy się stąd wydostać. Trzeba to zrobić jak najszybciej. - Westchnął ciężko. - Znajdź jakieś łachy. Reszcie powiedz, co się święci.

Niech każdy ucieka na własną rękę. Tutaj nie przeżyjemy. Najgorsze odczekamy w Kopniku. Nadejdzie dzień, że jeszcze tu wrócę.

\*

O zmroku, gdy tylko mgła okryła białym płaszczem okoliczne bagna, z Brenny wylała się niczym strumień nowa fala uciekinierów.

Jaksa wraz ze Stykuszem i Przecławem opuścili w płóciennych habitach Ostrów Tumski i skierowali się na zachód. Przeszli wymarłym osiedlem, minęli opustoszałą tawernę, targ, spotykając po drodze matki z dziećmi i starców. Jedna z grup przyłączyła się do nich. Nie trwało dłużej niż pół pacierza, gdy stanęli nad brzegiem nieprzeniknionej szarawej toni. Nie zwlekając długo, stoczyli się do rzeki, by przepłynąć ją w pław.

Tam, gdzie nurt okazał się zbyt silny, pomagali sobie, szukając stopami oparcia

- stara grobla z kamieni, od lat pod wodą, dawała im na chwilę wytchnienie i siły do dalszej przeprawy. Tych, którzy jednak ostatecznie tracili dech, topielice wciągały do swojego królestwa.

Na drugim brzegu Jaksa znalazł grząską ścieżkę przez bagna i bezpiecznie doszli do lasu. Przeczekali, aż reszta uciekinierów pójdzie swoją drogą na południe, a sami ruszyli dalej na wschód. Przedzierali się przez chaszczki i krzewy, z czasem poczuli suchy grunt pod stopami. Okrążali Brennę, by się

znaleźć na tyłach krzyżowców. W ciemnościach potykali się, klęli na czym świat stoi. Ich przekleństwa nie usłyszy uwagi dwóch Sasów, którzy obozowali z dala od zgiełku głównego obozu.

Arnstein okazał się niezwykle czujny. Wstał od ogniska, chowając się za kręgiem światła. Skierował miecz w stronę trzech cieni spowitych mgłą, które wyszły z bagien, i warknął:

- Kto idzie?

Jaksa od razu poznał głos znieawidzonego Sasa.

- Swój.

Błyskawicznie wraz ze Stykuszem zwarli szyki. Przecław schował się za ich plecami. Do piersi przyciskał niewielki pakunek.

Niemcy, nie czekając na dalsze wyjaśnienia, rzucili się na intruzów. Atakowali, tnąc, rąbiąc i przeklinając.

Chwilę później od strony wzgórza poleciały bełty i strzały. Okrzyki walki ściągnęły pół tuzina pieszych. We mgle świsnęły miecze, zgrzytnęły topory. Strzały trafiały na oślepie wszystkich jednakowo - i Sasów, i Słowian, zwartych w pojedynku.

Pierwszy padł Plotho.

Zaraz po nim Arnstein. Na ziemię uklękło kilku innych ranionych Sasów.

Stykusz oberwał w bark, Jaksie bełt rozerwał policzek. Nie kusili śmierci. Odstąpili rychło od wroga, by znaleźć schronienie między pobliskimi drzewami. Ze strachu przed mgłą Sasi nie wszczęli pogoni, ale tamci i tak biegli co tchu. Gałęzie smagały im twarze, raniły policzki. Przedarli się na drugą stronę lasu i wtedy Jaksa pojął, że się zgubili, bo zbyt szybko skręcili na zachód, zamiast zmierzać dalej na południe.

Znaleźli się na otwartym polu, z boku wzgórza, na którym prężyli się już w pełnej gotowości Niemcy.

Opadła mgła. Ciemność zbladła. Gwiazdy mocniej zaświeciły na niebie.

W trzeszczących pancerzach, z barwnymi chorągwiami, krzyżowcy wyglądali ponuro, ale i pięknie - skrupowani kolczugami, pokryci błotem i zaschniętą krwią.

Na samym szczycie wzgórza dosiadał konia Albrecht Niedźwiedź. Wokół niego powiewały pstrokate proporce Bawarów, Sasów i Flamandów. Piesi i konni otaczali Albrechta, by strzec swego księcia.

Jaksa nie patrzył jednak w ich stronę zbyt długo.

Zdziwił go drewniany most, po stronie, gdzie biło mu serce.

Most, który nigdy tu nie stał, ale który Jaksa już widział.

Ciągnął się od północy do południa, odcinając struchlałych wojów od niemieckiego rycerstwa. Most wychodził z lasu, a znikał gdzieś we mgle. Wilgotne deski pokrywał rzeczny szlam i wodorosty. Poręcze wiły się jak żywe.

Most zawieszony nad błotnistą ziemią.

Most, którego nigdy tutaj nie było.

\*

A potem las wypuł przekleństwa.

Jaksa padł jak rażony piorunem.

Na czole poczuł juchę, w gębie ziemię i trawę.

Przewierciły go na wylot tysiące istnień. Boginki rwały mu włosy, mamuny dusiły szyję. Gudełki szeptały sprośności, topielice napychały mu usta mułem.

Wszystkie wyrzygały na niego swą złość. Poharatały mu twarz, z nienawiścią, z pogardą, ze wstrętem. Wydłubały oczy, by więcej nie patrzeć. Wyrwały serce, żeby zdechł. Słyszał pisk plugawionych dziewczek, szept nieszczerej modlitwy. Dojrzał cizbę, uginającą się pod skrzyżowanym drzewcem, zaraz potem wymarłe kąciny. Obrazy i dźwięki nachodziły na siebie: galop koni, łoskot wozów i stuk młotów: gościńcem włączono starych kapłanów, drwili z nich sascy kupcy, grubi biskupi wznosili chrześcijańskie świątynie.

I nagle wszystko w głowie ucichło tak szybko, jak przyszło.

Jaksa znów stał na polanie. Z czoła starł krew, wypuł ziemię.

Most znikł.

\*

Sasi ryknęli hurmem.

To już widziałem, pomyślał...

Tylko gdzie jest most?

A las? Las pozostał niemy.

Nie stanął w jego obronie, tak jak pod Dobinem.

Pierwszy zorientował się Przeclaw. Pociągnął oniemiałego Jakcę i Stykusza za sobą, by z powrotem schować się między drzewa. Biegli co sił, tym razem odprowadzały ich strzały. Gdy dopadli lasu, przywarli do ziemi. Usłyszeli, jak Sasi z dzikim okrzykiem na ustach ruszyli na Brennę.



Jaksa nie myślał teraz o niczym. We łbie kotłowało mu się jeszcze od niedawnych wizji. Przytulił twarz do ziemi. Chłód mokrej od rosy trawy nieco go orzeźwił.

- Kochanieńki mój - usłyszeli za sobą głos, niby rechot żaby.

- To Jurga. - Kuniczuk przedstawił ją Jaksie i mnichowi.

Stała spokojna, trochę zamyślona, jakby wokół wcale nie szalała wojna.

Delikatnie gładziła się po wydętym brzuchu.

- Chodź, kochanieńki, przyszedłam po ciebie, by cię ocalić. - Wyciągnęła rękę.

Stykusz poczuł na policzku wilgotną, ale ciepłą dłoń. Objął mamunę wpół, przytulił do szerokiej piersi.

- Zaśpiewaj mi - szepnął czule.

- Już zawsze będę ci śpiewała.

Stykusz wziął wybrankę za rękę.

- Żegnaj - rzekł do Jaksy.

- Co ty, głupcze?! Nie widzisz? Omamiła cię swym śpiewem.

Jurga zanuciła pieśń. Pieśń, na którą nabierali się od lat rybacy, młynarze, parobcy, a nawet piękni rycerze. Inaczej śpiewać nie umiała. Ale odtąd obiecała śpiewać tylko dla swego wybranka. Dla nikogo więcej.

Jaksa złapał Stykusza za bark, chciał go przyciągnąć do siebie, ale zakochani zgodnie odepchnęli go na ziemię.

Oddalili się od nich przecinką między drzewami, ale nie stali się maleńkim punkcikiem, tylko stopili z szarą zielenią drzew.

# EPILOG

*Bóg jest losem*

*„Aneks”, Przecław, O naturalnych sposobach leczenia Kopnik, A.D. 1148*

*Wszystko to*

*To plagi tej ziemi.*

*Wszędzie tam,*

*Gdzie plagi tej ziemi...*

Zasłyszane na zwierzyńskim gościńcu

Siedzieli na wale przy rozwidleniu dróg. Jedna z nich skręcała na południe przez mostek i dalej na wschód do Kopnika, druga prowadziła do państwa Piastów.

Jaksa nie przypominał już wilka, raczej zaszczute zwierzę. Przecław natomiast siedział uśmiechnięty, zadowolony, że ocalał i posiadał prawdziwą wiedzę.

- Nie boisz się wracać nad Sprewę? - spytał.

- Mógłbym znaleźć schronienie u Piastów. Miłościwy to ród, mimo że przyjął

chrzest. Ale wolę umrzeć w swym grodzie, choćby teraz, niż zemrzeć na wygnaniu.

Szkoda jedynie, że kiedy ktoś kiedyś napisze kronikę Brenny, o mnie wspomni tylko dwa słowa.

- Oby tylko dwa. - Przecław się zaśmiał.

- A ty, mnichu? Nawet nie wiem, czego szukałeś na Połabiu. Ale wiedz, że przy moim boku ledwie uniknąłeś śmierci.

Usłyszeli, jak traktem ktoś nadjeżdża.

- Powiem ci, ale nie o tym, czego szukałem, tylko co znalazłem. - Przecław zszedł z wału i poszukał dużego kamienia.

Razem z Jaksą podnieśli go i puścili dopiero za mostkiem na rozwidleniu dróg, tak aby dostrzec go z wału. Wrócili na miejsce i nie czekali nawet ćwierci pacierza, jak ich oczom ukazała się dwukółka zapakowana czterema benedyktynami, co Przecław poznał po kolorze habitów. Jeden ściągnął wodze, by zatrzymać konia. Dwóch wyskoczyło, by przetoczyć kamień z drogi. A że nie przestrzegali klasztornej diety, nie grzeszyli ciężką, tylko tuszą. Nieco chudszy z mnichów zaczął przeklinać grubszego, że ten zbyt mało uwagi poświęca przeszkodzie, że tylko sapie i się nadyma, i że jest wielki osioł. Urażony tłuścioch puścił więc kamień, nie bacząc, że wylądował na stopie chudzielca.

Od dalekich od miłosierdzia pogroźek przeszli do brutalnego rękodzieła. Przez chwilę Przeclawowi wydawało się, że w powietrzu pośpiesznie czynią znaki krzyża, ale kiedy dłoń chudsze­go wylądowała z głuchym plaskiem na obwisłym policzku grubasa, pobożni mnisi zaczęli się szarpać, dusić i kopać. W sukurs przyszli im dwaj pozostali.

Wyskoczyli z wozu i zamiast rozdzielić walczących, sami się posprzecza­li o to, który z bijących się jest winien zaniedbania. Gruby z chudym, w żelaznym uścisku, wtoczyli się tymczasem na mostek, potańczyli trochę, gryząc się przy tym niemało, ale że most stał z kamienia, a z nieba leciuchno się­piło, bruk okazał się nadzwyczaj śliski.

Tłuscioch poślizgnął się i spadł w rzeczne koryto, zabierając ze sobą chudzielca.

Do nieba.

Bo wysokość, choć nieduża, z pomocą boską okazała się dla mnichów śmiertelna.

Śmierć braci szybko pogodziła pozostałych mnichów. Nakreślili nad zmarłymi znak krzyża, pomodlili się cicho. Śpieszyli się jednak gdzieś, bo tylko zdrowaśkę wyklepali, po czym zgodnie znieśli z drogi kamień i ruszyli dalej gościńcem.

Przeclaw z Jaksą przeczekali, aż łoskot dwukółki, już nieco lżejszej, ucichnie, i stanęli na mostku.

Nienaturalnie skręcone ciała mnichów leżały w mule, obmywane przez leniwy nurt rzeczki.

Przeclaw wskazał usunięty z drogi kamień.

- Rzeknę ci, że to nie jest zwykły kamień.
- Zdradź mi więc, jaki on jest - poprosił Jaksę.
- To kamień filozoficzny.

Księżę uniósł brew. Chyba nie do końca zrozumiał. Słyszał to i owo o skarbie wydartym ziemi, o tajemnicy alchemików, ale tego nie pojmował.

- Dla każdego ten kamień znaczy coś innego. Ale wiedz, że nasz żywot jest już zapisany. Może przez mojego Boga, albo twojego. Tego nie wiem. Widziałem jednak twoją godność - Jaksę z Kopnika, zapisaną w księdze, zanim zostałeś księciem Brenny.

Brew Jaksy nie opadła. Podtrzymywała zmarszczki na czole księcia.

- Nie rozumiesz? - Mnich był zniecierpliwiony, ale pokrótce wyjaśnił, co widział. - Gdybyś umiał czytać, przeczytałbyś z każdej księgi dokładnie to samo co ja.
- To chyba rozumiałe. Dlatego składa się literki w uporządkowany rząd.

Przeclaw ciężko westchnął.

- Zgoda. Ale ta księga jest napisana krwią Chrystusa, i nieważne, ile w tym prawdy. Istotne jest to, że w zależności od tego, kto ją czyta i gdzie, w inną treść ułożą się dla niego litery.

- Ale my widzimy to samo. - Jaksza zaczynał rozumieć.

- Właśnie, ponieważ jesteśmy połączeni wspólnym losem.

- A co by było, gdyby wszyscy ludzie mogli ją przeczytać?

- W ten sposób poznaliby wszystko to, co się wydarzy na świecie. - Zamyślił się, po czym dodał cicho: - I że Bóg jest losem.

Księżę podrapał się po głowie.

- Cały świat to dla mnie za dużo. Po co mi o tym wszystkim wiedzieć. Zdradź mi dalsze nazwiska.

- Albrecht Niedźwiedź, Otto Askańczyk...

Jaksza wznosił błagalnie ręce ku niebu.

- Ojciec i syn - jęknął. - Więc nigdy nie miałem zdobyć Brenny na dłużej.

Dlaczego mi tego nie powiedziałaś wcześniej?

- Musiałem sam w to uwierzyć. Postanowiłem cię wesprzeć, aby się przekonać, że faktycznie tylko na krótko obejmiesz we władanie Brennę. Nie musisz się jednak z tym zgadzać. Istnieje przecież kamień filozoficzny. - Przecław wskazał na drogę.

- Teraz rozumiem. - Sprewianin, choć zrezygnowany, wysilił się na uśmiech. -

Czy mogę spróbować?

- Oczywiście.

Ponownie ustawili przeszkodę na drodze, tym razem jednak tak, jak sobie tego życzył Jaksza. Z powrotem przysiedli na wale.

Nie czekali biernie na to, co przyniesie im przyszłość.

\*

Nie minął rok od krucjaty, a Petrysa podrzucała ku niebu swojego syna.

Ostatnimi dniami wydawał się jej nieco mniejszy. Cera mu pociemniała, oczy nabrały innego koloru. Ale należał do niej. I to jemu przypisano brenneński stolec.

**KONIEC**

# GLOSARIUSZ

**ALBRECHT NIEDŹWIEDŹ** (ok. 1100-1170). Margrabia Marchii Północnej.

Prowadził ekspansję na wschód. Jeden z przywódców krucjaty na Połabie. Dotarł aż do Szczecina. Kosztem ziemi słowiańskiej utworzył w 1157 roku Marchię Brandenburską.

**BERNARD Z CLAIRVAUX**, (1090-1153), opat zakonu cystersów. Zwolennik II krucjaty, przyczynił się do propagowania jej idei w całej Europie.

**HENRYK LEW**, (1129-1195), książę Saksonii i Bawarii. Jeden z przywódców wyprawy na Słowian Połabskich w 1147, i w latach 1160-1163, kiedy to ostatecznie podbił ziemie Obodrytów.

**KONRAD Z ZAHRINGEN**, jeden z książąt niemieckich, uczestników wyprawy krzyżowej na ziemie Obodrytów i jej gorący zwolennik.

**ARNOLD VON PLOTHO** i **RUDOLF VON ARNSTEIN**, niemieccy rycerze, w kronikach wymienieni wyłącznie z nazwisk jako osadnicy między rzekami Elde i Rhin.

**HENRYK GOTSZALK**, książę Obodrytów (1093-1127). Jego państwo przetrwało tylko do śmierci Kanuta Lewarda króla duńskiego, który przejął po nim ziemie.

**NIKLOT**, po śmierci synów Henryka Gotszalka i zamordowaniu Kanuta Lewarda, na wiecu został obrany nowym księciem Obodrytów (1131-1160).

Zdecydowany przeciwnik chrześcijaństwa. Wyszedł obronną ręką, utrzymując władzę po wyprawie krzyżowej na jego ziemię i przyjmując prowizoryczny chrzest.

**PRZYBYSŁAW**, książę Brenny, przyjął chrzest przed 1147 rokiem. Nie był jednak orędownikiem bezwzględnej współpracy z Niemcami.

**PETRYSZA**, księżna Brenny, żona Przybysława. Chrześcijanka.

**JAKSA Z KOPNIKA**, książę Stodoran. Władął Brenną w roku 1147 i w latach 1154-1157. Po zdobyciu Brenny przez Albrechta Niedźwiedzia przebywał w Kopniku, potem ponoć uciekł na Śląsk. Bił własne brakteaty. Ostatecznie przyjął chrzest po 1147

roku.

**RACIBÓR**, (ok. 1110-1156) książę Pomorza Zachodniego, które m.in. hołdowało ziemie w Dyminie nad Pianą. Brat Warcisława, również księcia Pomorza Zachodniego.

**TILEMAN KRABE**, postać fikcyjna, moźny w Brennie, chrześcijanin, stronnik Petrysy.

**JAN NIPSCHKE**, postać fikcyjna, kupiec w Brennie, chrześcijanin.

**STĘPOTA**, postać fikcyjna, strażnik grodowy. Chrześcijan. Pochodził z Pragi.

**CHEBOTA**, postać fikcyjna, Stodoranin, do niego należały najbardziej żyzne ziemie nad Hawelą.

**CHOLEWNIK**, postać fikcyjna, Stodoranin, przeciwnik Jaksy. Synowie: Muściej i Mieszko.

**JERUSZKO i STYKUSZ KUNICZUKOWIE**, postacie fikcyjne. Stronnicy Jaksy.

# OD AUTORA

*Plagi tej ziemi* są opowieścią o ludziach i czasach zapisanych w kronikach, a także o tym, co niesie wiatr wraz z opowieściami naszych matek i babć. Ktoś mógłby rzec, że to stara baśń.

Ze słowiańskiej mitologii wzięłem tylko to, co potrzebne. Przede wszystkim cenię sobie pozycje Tadeusza Linknera *Słowiańskie bogi i demony*, która komasuje to, co Bronisław Trentowski wniósł do wyobrażeń na temat słowiańskich wierzeń.

Chyba niedoceniony jest Andrzej Szyjewski ze swoją *Religią Słowian*.

Co do medycyny średniowiecznej, zwracam uwagę zarówno na *Kompendium medycyny naturalnej* papieża Jana XXI, jak i wszystko to, co napisał Albert Wielki albo Leon III. Również książka *Poza kryształową kulą* może stanowić kompendium wiedzy nie tylko o magii w średniowieczu. Trzymając się jednak okresu wieków średnich, polecam choćby Richarda Kieckhefera *Magia w średniowieczu*.

Bernard z Clairvaux według opinii jednych był świętym, według innych zwykłym frustratem. Prócz znanych biografii cystersa odsyłam do książki Andrzeja Zielińskiego *Opat krzyżowców Święty Bernard*, którego należy czytać między wierszami, i do krótkich wzmianek w *znowu zapiał kur* Karlheinza Deschnera czy *Dziejach Filozofii Zachodu* Bertranda Russella.

Pochodzenie Petrysy jest po części fikcją. Nie była córką Warcisława, brata księcia Racibora. Swoją postawą przyczyniła się rzekomo do śmierci o wiele starszego od niej męża. Zainteresowanych odsyłam do sztandarowej pozycji o tych czasach -

Zofii Kossak i Zygmunta Szatkowskiego *Troja Północy*, choć udział Petrysy jest tam ukazany nieco inaczej niż w *Plagach*.

Albrecht Niedźwiedź i Henryk Lew utożsamiani są głównie z niemiecką ekspansją na wschód. Trzeba jednak pamiętać, że w XII wieku realizowali oni przede wszystkim swoje cele, a nie ogólnoniemieckie.

Jaksa, księżę Kopnika jest także utożsamiany z rycerzem z Miechowa, uczestnikiem pielgrzymki do Jerozolimy. Są to dwie różne osoby, zatem żeby rozwiać wątpliwości i długo nie szukać, wystarczy zajrzeć do książki Szymona Wrzesińskiego *Polscy Krzyżowcy*, który kilkoma prostymi pytaniami podsumowuje spór toczący się o tę postać od wielu lat w naszej historiografii. O samym Jaksie wzmianek jest wiele, a wszystkie rozsypane po opracowaniach i kronikach. Jego wizerunek jest znany z brakteatów, które księżę kazał wybijać, gdy zasiadał na Kopniku.

Przeclaw jest postacią szczególną, nie tylko dlatego, że fikcyjną. Powszechna recepcja dzieł, które zna, przypada na wiek XIII, niekiedy i zwroty, jakich używa, wiążą się z rozwojem mieszczaństwa, co przypada nawet na wiek XIV.

Wyszedłem z założenia, że jeżeli można ożywić mamuny, żywie i boginiaki, to dlaczego nie wyposażyć nieprzeciętnego mnicha w wiedzę, która wyprzedza jego czasy. Przez co, przyznaję, pewnie dałem w twarz Historii. Nie musi być to jednak mało realne i należeć wyłącznie do *licentia*



*poetika*. Nie wszystko bowiem zapisano w kronikach i nie o wszystkich mówią ci, którzy mieli wtedy władzę nad piórem.

Tak dla przykładu, w tym czasie fikcją jest kilka miejsc, ale tych mniej ważnych, choćby klasztor w Darguniu, który został ufundowany dopiero po drugiej krucjacie.

Kuniczukowie i cała plejada słowiańskich wojów i możnych są wymysłem autora. Relacje, jakie się między nimi wytworzyły, są oczywiście „historyczne”.

Zainteresowanych przedmiotem Słowian Zachodnich i Połabskich odsyłam do Lecha Leciejewicza *Słowianie Zachodni*, a także do starszych opracowań, m.in.: G. Labudy, J. Kostrzewskiego, K. Myślińskiego, J. Strzelczyka, J. Osieglowskiego, a przede wszystkim do źródła, czyli *Kroniki Słowian* Helmolda, której autor zresztą zagościł na jednej ze stron *Plag*.

Osobista uwaga na koniec. Historia jest ciekawsza, gdy można się do niej uśmiechnąć albo z niej zakpić, a niekiedy obalić mit.

Michał Krzywicki, Gdańsk 2008

# Table of Contents

PROLOG .....
ROZDZIAŁ I .....
ROZDZIAŁ II .....
ROZDZIAŁ III .....
ROZDZIAŁ IV .....
ROZDZIAŁ V .....
ROZDZIAŁ VI .....
ROZDZIAŁ VII .....
ROZDZIAŁ VIII .....
ROZDZIAŁ IX .....
ROZDZIAŁ X .....
ROZDZIAŁ XI .....
EPILOG .....
GLOSARIUSZ .....
OD AUTORA .....